MARIO I PRZYJACIELE
Szef wszystkich służb w służbie jednej partii

MARNOWANIE JEDZENIA
Raport i poradnik przed zakupami na święta

NIEZATAPIALNY
Abp Głódź, skargi księży i milczenie nuncjatury

DZIKOŚĆ W SERCU
Wilk, jaki jest, nikt nie widzi

Kraków 15 grudnia 2019 nr 50 (3675) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ROZMOWA Z SZYMONEM HOŁOWNIĄ:

Chcę być prezydentem

DODATKI:
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
MAŁY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

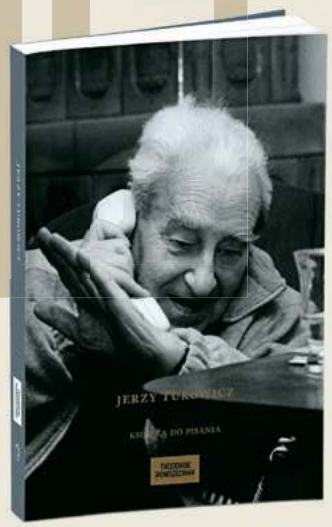

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego”

Jak ją otrzymać?

1. **JUŻ TERAZ** zamów lub przedłuż dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” – roczną, półroczną lub kwartalną. Musisz zdążyć przed 31 grudnia 2019 r.
2. Możesz to zrobić przez stronę **powszech.net/prenumeruj** lub poprzez wpłatę na konto czy opłacenie w Dziale Prenumeraty „TP” – cennik i zasady szczegółowe opisane są poniżej.
3. Na przełomie stycznia i lutego 2020 r. otrzymasz „Książkę do pisania” – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książka jest dostępna wyłącznie w dystrybucji „Tygodnika Powszechnego” – jest to limitowana oferta tylko dla obecnych i nowych Prenumeratorek i Prenumeratorów.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

NOWY CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	**69 zł**	

+ PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY – INSERT DO TYGODNIKA POWSZECHNEGO NR 50/2019

TYGODNIK POWSZECHNY

W marcu 2020 roku świętujemy 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj jubileuszowy prezent

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma.

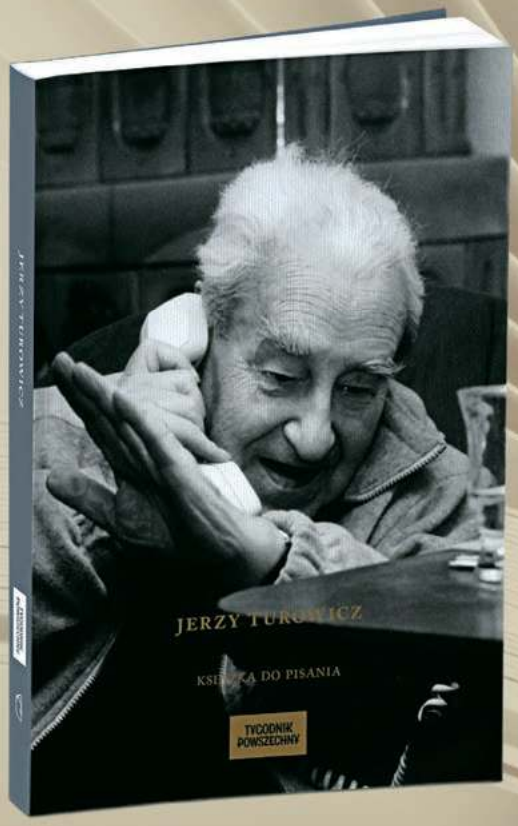

FOT. GRAŻYNA MAKARA / FTP

Nie musisz się spieszyć. „Książkę do pisania” możesz pisać przez całe życie. Spiesz się jednak, kiedy będziesz wiedzieć, że coś jest warte zapisania. Zapisz natychmiast. Pamięć jest niewierna i zawodna. (...) Weź pióro i na pierwszej stronie zapisz, co pomyślałeś. O dalszy ciąg się nie martw. Dalszy ciąg nastąpi.

ks. Adam Boniecki, fragment wstępu

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

PARTNERZY WYDANIA:

Jerzy Turowicz
FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA

Pasaż

REKLAMA

Zapraszamy do zrobienia
Przekrojowych zapasów na 2020 rok!

Więcej na przekroj.pl

KS. ADAM

Boniecki: *W duszy biskupa*

Piszę w związku z zamieszczonym w tym numerze portretem arcybiskupa Głódzia. Piszę i sobie wyobrażam swoich redakcyjnych kolegów, którzy mi perswadują, że nie musimy się tłumaczyć. Rzecz jasna, nie musimy. Ja też nie chcę się tłumaczyć, ale chcę po raz któryś wyjaśnić tym wszystkim, którzy powiedzą: „jak to możliwe, w katolickim piśmie?" – dlaczego to nie tylko możliwe, ale oczywiste.

Rzeczywiście, przed pięćdziesięciu laty nie było to do pomyślenia. My, katolicy, żyliśmy w sytuacji oblężonej twierdzy, a ta nie dopuszczała ujawniania wewnętrznych podziałów i sporów, jako że najpierw *divide*, a dopiero potem *impera*. Tak więc krytycznym, a często szkalującym pisaniem o biskupach zajmowały się reżimowe pisma antyklerykalne. Katolickie nigdy. Dziś jest inaczej. Nie jesteśmy oblężoną twierdzą, nawet Watykan nie ukrywa biskupich błędów i wypaczeń. Powiedziałbym wręcz, że wprost przeciwnie – tam żadnego immunitetu dla biskupów nie ma. Nic dziwnego, że katolickie środki przekazu nie chcą być *plus catholique que le pape*.

To źle czy dobrze? Dobrze: skoro nawet w ewangeliach informacje o apostołach nie zawsze są pochlebne, to dlaczego bezkrytycznie miałyby traktować biskupów – ich następców? No, chyba dziś już nikomu tłumaczyć nie trzeba, że „chowanie pod dywan" nie jest dobrym sposobem ochrony prestiżu Kościoła.

Dziś gdański metropolita dla jednych jest obiektem ataków, dla drugich – poważnej troski. Tym, którym sprawy Kościoła leżą na sercu, nie jest obojętne, jacy w Kościele są pasterze i jego oficjalni reprezentanci.

Abp. Leszka Sławoja Głódzia poznałem blisko 48 lat temu, kiedy studiował w Paryżu. Potem przez 11 lat często spotykaliśmy się w Rzymie, gdy on pracował w kongregacjach watykańskich, a ja (od 1979 r.) w „L'Osservatore Romano". Z tych spotkań zachowałem dobre wspomnienia. Teraz, kiedy o nim czytam albo o nim słyszę, zastanawia mnie, co się stało, że tak się radykalnie zmienił.

Ujmując rzecz w kategoriach „tego świata", ks. Sławoj Leszek zrobił zawrotną karierę. Świetnie wykształcony, podejmował powierzane sobie kolejne trudne zadania (zorganizowanie polowego ordynariatu, kierowanie diecezją praską w Warszawie, potem ważną archidiecezją gdańską – to tylko niektóre z nich). Teraz, kiedy dochodzi do wieku emerytalnego, powinien się czuć człowiekiem spełnionym i jako taki – pełnym życzliwości dla świata i dla ludzi. Tymczasem z portretu wyłania się człowiek rozgoryczony, sfrustrowany, a więc drażliwy, budzący lęk, nie miłość. Czyżby realizacja szlachetnych ambicji nie przyniosła mu szczęścia? Czy nie znajduje pokoju serca w spełnieniu?

Cóż, pełnienie urzędu biskupa w Polsce nie jest łatwe. Być może niejeden polski biskup odchodzi z urzędu, z poczuciem, że wizji, z którą zaczynał, nie zrealizował. Że zawiódł się na ludziach, że nie potrafił. Są tacy, którzy umieją się z tym pokornie pogodzić. Są inni, których to nie przestaje złościć.

Znałem pewnego biskupa, Panie, świeć nad jego duszą, który był człowiekiem wielkim i ogólnie podziwianym. Do końca robił wrażenie człowieka spokojnego, nieczułego na ataki, przebaczającego winowajcom. Prowadził osobisty dziennik. Niemal każdego dnia coś w nim zapisywał. Po jego śmierci w jakimś organie jego diecezji zaczęto te zapiski publikować.

I dopiero ten jego „dziennik duszy" pokazał, ile w tym człowieku było goryczy, uprzedzeń do ludzi, ile sarkazmu. Opiekunowie spuścizny zmarłego, pewnie chcąc chronić jego wizerunek, publikację przerwali. W tym odbijanym na powielaczu biuletynie (były to czasy PRL) zamieszczono zaledwie kilka odcinków.

Dziś abp. Sławoja Leszka spotykam niezmiernie rzadko i nie wiem, w jakim stanie ducha odejdzie niebawem ze względu na wiek – jak to się mówi – w stan spoczynku. Jedno mogę napisać z całą pewnością: pomódlmy się za abp. Sławoja Leszka Głódzia. ©℗

TP

MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA – świat na tak!

Apokalipsa Narodzin ▪ Mięso boskiego sensu ▪ Święta w Amazonii ▪ Wigilia u Trebuniów-Tutków Karp przed Trybunałem Rewolucyjnym ▪ Biały słoń pod choinką ▪ Kiedy urodziła się zima ▪ Pobożne życzenia Polaków ▪ Habsburżanka z Żywca ▪ Szczyty Regana ▪ Klimat dla ludzi ▪ Caravaggio kontra Bernini ▪ Od Ziemi Ognistej do Senegalu ▪ Opowieści wigilijne Marka Bieńczyka i Pawła Sołtysa

A także WIELKIE PYTANIA NA NOWO – BÓG

Jan Woleński: Co by było, gdyby Bóg istniał? ▪ Ks. Adam Boniecki: Co by było, gdyby nie istniał?

Podwójny, bożonarodzeniowy numer „Tygodnika Powszechnego" ukaże się już w środę 18 grudnia w wydaniu drukowanym, w wydaniach elektronicznych we wtorek wieczorem.

Weź, czytaj!

TEMAT TYGODNIKA

14 Pałac mi po nic
Z SZYMONEM HOŁOWNIĄ ROZMAWIA MICHAŁ OKOŃSKI
W badaniach CBOS ponad 90 proc. Polaków nie ufa partiom. A jednak na nie głosują. To dla mnie fenomen: naprawdę dużo jeżdżę po kraju i jeszcze nie spotkałem ludzi wybierających tych polityków, na których tak chętnie narzekają.

24 Mario i przyjaciele
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Być może Mariusz Kamiński jest ostatnim z rewolucyjnego pokolenia, który ideały zastąpił politycznym cynizmem. Szef MSWiA staje się zaprzeczeniem samego siebie sprzed lat.

46 Nowa Wielka Brytania
PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU
Brytyjczycy decydują w tych dniach nie tylko o nowym parlamencie, ale też o przyszłości swojego państwa.

66 Charakter pisma
Z RYSZARDEM KRYNICKIM, POETĄ, ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA: *Czasami wystarczy, że światło pada pod innym kątem i słowo, które przez miesiące, a niekiedy nawet lata nie dawało się odczytać, nagle staje się czytelne.*

36 Niezatapialny
MARCIN CHODUŃ
Sławoj Leszek Głódź, dla wielu „równy gość", jest oskarżany o wulgarny mobbing i chronienie księży pedofilów. Na skargi kapłanów i wiernych Kościół od lat pozostaje głuchy.

80 Dzikość w sercu
Z LARSEM BERGEM, SZWEDZKIM DZIENNIKARZEM I PISARZEM, ROZMAWIA ADAM ROBIŃSKI: *Domem pierwszych ludzi było ognisko, przy którym siadali, gdy zapadał zmrok. Wilk trzymał się na uboczu. Obserwował nas z mroku, a my wgapialiśmy się w tę ciemność i zastanawialiśmy się, co kryje.*

FILIP KATNER // BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI / EAST NEWS // ANNA JANINA BARAŃCZAK / FOTONOVA // HENRIK SORENSEN / GETTY IMAGES // ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM // STRINGER / EPA / PAP

6 Jest nas więcej
Literatura w białym szumie informacji
MONIKA OCHĘDOWSKA

7-13 Wiadomości / Komentarze

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ TEMAT TYGODNIKA

14 Pałac mi po nic
ROZMOWA Z SZYMONEM HOŁOWNIĄ

■ ■ KRAJ

24 Mario i przyjaciele
ANDRZEJ STANKIEWICZ

28 Na cmentarzu też jest porządek
JACEK TARAN *o dramacie Czeczenek przeniesionym na scenę*

30 Chleb nasz spowszedniały
MAREK RABIJ: *Żywność, którą w ciągu jednego dnia marnują wszystkie kraje świata, wystarczyłaby Polsce na 66 lat*

■ ■ WIARA

36 Niezatapialny
MARCIN CHODUŃ

41 Czas święty
KRZYSZTOF KRZYWANIA

43 Przerwana beatyfikacja
MASSIMO FAGGIOLI: *Miał być pierwszym błogosławionym laureatem Emmy. Watykan wstrzymał jednak beatyfikację bp. Fultona Sheena*

■ ■ ŚWIAT

46 Nowa Wielka Brytania
PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

MAREK ZALEJSKI / ADOBE.STOCK.COM

85 Magazyn literacki „KSIĄŻKI W TYGODNIKU”
Co powinni czytać najmłodsi? Jakie lektury podobają się rodzicom, a jakie dzieciom? I dlaczego prawie nigdy nie są to te same książki?

■ DODATEK SPECJALNY ■

113 MAŁY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

■ FELIETONY ■

35 ANNA DZIEWIT-MELLER **45** SZYMON HOŁOWNIA
59 ANDRZEJ STASIUK **78** JAN KLATA
79 PAWEŁ BRAVO **84** STANISŁAW MANCEWICZ
84 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: SZYMON HOŁOWNIA
FOTOGRAFIA FILIP ĆWIK / NAPO IMAGES
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

49 Prawie jak w Polsce
ROMAN HUSARSKI Z SEULU *przybliża skalę kryzysu ekologicznego w Korei Południowej*

52 Stacja Tropiki
DOMINIKA MATEJKO *o pierwszej polskiej stacji badawczej w tropikach*

55 Tygodnik Czytelników

■ ■ HISTORIA

56 Akcja na Chłodnej
PIOTR LITKA *Nieznane szczegóły prowokacji SB wobec ks. Jerzego Popiełuszki*

■ ■ NAUKA

60 Bezwzględny księgowy
ŁUKASZ KWIATEK: *Istotę ewolucji najlepiej opisuje język ekonomii*

■ ■ KULTURA

66 Charakter pisma
ROZMOWA Z RYSZARDEM KRYNICKIM

71 Sześćdziesiąty dziewiąty
FILIP ŁOBODZIŃSKI *sprawdza, kiedy naprawdę skończyły się lata 60.*

74 Nic nie rzekła Aniołowi
DARIUSZ KOSIŃSKI *o spektaklach Jana Klaty*

76 Klatka
ANITA PIOTROWSKA *poleca film „Angelo”*

78 Gra w „Przekrój”
LEKTOR *o książce „Przekrój Eilego” Tomasza Potkaja*

■ ■ ZMYSŁY

80 Dzikość w sercu
ROZMOWA Z LARSEM BERGEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Moje słowo roku

Trwa wybór słowa roku – **RAFAŁ WOŚ** *też ma faworyta, a właściwie faworytkę. To frekwencja. Trudno nie zauważyć demokratycznego ożywienia w Polsce.*
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Czuły narrator

Mowy noblowskiej nie transmitowała telewizja publiczna, ale to, co mówiła **OLGA TOKARCZUK**, jest dostępne na stronie „TP” *– o „czwartym narratorze”, czułości, informacji i fikcji.*
powszech.net/tokarczuk-mowa

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

JONATHAN NACKSTRAND / EAST NEWS

Olga Tokarczuk w Akademii Szwedzkiej, Sztokholm, 6 grudnia 2019 r.

JEST NAS WIĘCEJ

Czuję się „bieguńsko" nienobliwie – powtarzała Olga Tokarczuk w wywiadach udzielanych naprędce dziennikarzom tuż przed odebraniem literackiego Nobla.

MONIKA OCHĘDOWSKA

NIECZĘSTO SIĘ ZDARZA, aby w sobotni wieczór przed ekranami podłączonych do sieci telewizorów i laptopów tysiące ludzi czekały na tę samą transmisję. Podczas gdy jedni zasiadają w wygodnych fotelach swoich małych domowych kin, inni – zaopatrzeni w małe słuchawki – obracają wyświetlacze smartfonów, uruchamiając odpowiednie aplikacje. A pozostali, jakby wbrew współczesnym czasom, szukają po prostu odpowiedniej stacji, kręcąc gałką radia. To sytuacja wyjątkowa – szczególnie że to nie wyniki wyborów ani mecze reprezentacji przyciągnęły nas do odbiorników, lecz wykład o literaturze.

Literacka mowa noblowska odczytywana w języku polskim wybrzmiała w ciągu ostatnich 40 lat w Sztokholmie trzykrotnie. W czasie, który upływał pomiędzy, słowa pisarzy nie zajmowały pierwszych stron gazet. Zwyczajne atrybuty poetów, na które powoływał się w 1980 r. Czesław Miłosz – chciwość oczu i chęć opisu – zarezerwowane zostały dla sfery faktów. Tymczasem – jak mówiła w minioną sobotę w swoim noblowskim wykładzie Olga Tokarczuk – literatura zaczyna się od próby zrozumienia, „dlaczego coś się stało". Nawet jeśli mielibyśmy na to pytanie odpowiadać bez przerwy zwyczajnym: „nie wiem". W końcu to z bezustannego „nie wiem", jak zdradziła z kolei w 1996 r. w Sztokholmie Wisława Szymborska, rodzi się natchnienie. To natchnienie jest motorem dalszej – skądinąd już nie tak beznadziejnie niefotogenicznej, jak chciała poetka – aktywności.

Czuję się „bieguńsko nienobliwie” – powtarzała Tokarczuk w wywiadach udzielanych naprędce dziennikarzom tuż przed odebraniem literackiego Nobla. Setki razy fotografowana, odpytywana o najdrobniejsze fakty. „Nie ma potrzeby prowadzić dziennika, kiedy można wysyłać fotografie za pomocą portali społecznościowych. Po co sięgać po autobiografię, skoro można śledzić życie celebrytów na Instagramie?” – pytała przewrotnie w sobotni wieczór w Sali Giełdy Akademii Szwedzkiej.

Przez moment Olga Tokarczuk dotknęła rzeczywistości, którą zapowiadała w „Biegunach”. Zresztą wydana dekadę temu książka stała się właśnie bestsellerem miesiąca Empiku. Do Muzeum Nagrody Nobla – gest symboliczny – noblistka przekazuje swój kalendarz z 2018 r. W gablocie pod szkłem leży teraz otwarty na tygodniu między 10 a 17 grudnia. Listy zadań i sprawunków przykrywa wpięta w prawy dolny róg karta pokładowa American Airlines.

To prawda, rzeczywistość uległa dramatycznemu rozproszeniu, a „literatura jest czymś marginalnym wobec innych sposobów narracji”, „ginie w białym szumie oceanów informacji”. Ale także dzięki falom tych oceanów w ciągu 24 godzin od rozpoczęcia sztokholmskiego wykładu mogło go obejrzeć ponad 100 tys. ludzi na całym świecie.

„Marzy mi się nowy rodzaj narratora – »czwartoosobowego«, czułego, wiedzącego więcej, jeśli nie wszystko” – mówiła autorka „Ksiąg Jakubowych”. Dlaczego? Ponieważ „widzieć wszystko oznacza zupełnie inny rodzaj odpowiedzialności za świat”. W ramach poczucia odpowiedzialności Tokarczuk powołuje fundację, która ma się stać „przestrzenią dla międzynarodowej rozmowy o możliwościach literatury w diagnozowaniu świata widzialnego i niewidzialnego, w opisywaniu rzeczywistości, w której niebezpiecznie szybko narastają nastroje ksenofobiczne i nacjonalistyczne”. To działa: dziennikarka i pisarka Małgorzata Szejnert zapowiedziała – otrzymując w niedzielę w Łodzi Literacką Nagrodę im. Tuwima – że przekaże ją w całości właśnie wrocławskiej fundacji Noblistki.

„Zrozumiałam, że jest mnie więcej, niż sobie do tej pory wyobrażałam” – wyznała Tokarczuk. Wydaje się, że nas wszystkich jest więcej, niż myśleliśmy. Bo świat, jak mówiła kiedyś Szymborska, „cokolwiek byśmy o nim pomyśleli zatrwożeni jego ogromem i własną wobec niego bezsilnością, rozgoryczeni jego obojętnością na poszczególne cierpienia”, jednak bywa zadziwiający. ©℗

DR HAB. KRZYSZTOF BIEDRZYCKI, BADACZ EDUKACJI:

Polska szkoła: skuteczna, nieprzyjazna

JUSTYNA ROJEK / EAST NEWS

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Rozumienie tekstu i matematyka: pierwsza dziesiątka na świecie. Nauki przyrodnicze – 11. miejsce. To wyniki polskich 15-latków w największym na świecie badaniu umiejętności uczniów PISA. Sukces?

KRZYSZTOF BIEDRZYCKI: Niezaprzeczalny. We wszystkich obszarach nie tylko osiągamy wysokie pozycje, ale też poprawiamy wynik z 2015 r. To sukces również dlatego, że stosunkowo niewielu uczniów z Polski usytuowało się w grupie o najniższych kompetencjach. Np. jedynie 15 proc. miało problem ze zrozumieniem tekstu.

W najnowszej edycji PISA skupiono się właśnie na rozumieniu czytanego tekstu.

Pomiar jest co trzy lata, zawsze w trzech dziedzinach, a każda z nich staje się co dziewięć lat tą wiodącą. Wtedy do zestawu – objętych tajemnicą – zadań sprzed lat dodaje się nowe.

Jeśli chodzi o czytanie, PISA bada umiejętności na różnych poziomach: od tego elementarnego, sprowadzającego się do znalezienia najważniejszych informacji, aż po takie zdolności, jak interpretacja tekstu, wyabstrahowanie zeń głównej myśli czy wydobycie głęboko tkwiących w nim sensów.

Młodzi Polacy nie lubią czytać, zwłaszcza lektur, ale czytać umieją.

To paradoks, który zresztą wychodzi w badaniu PISA. Jest tu również część ankietowa, z której wynika, że ogromna część 15-latków nie czyta i czytać nie lubi.

Ale co ważne, dotyczy to książek. Jak się okazuje, umiejętności badane przez PISA dają się w jakimś stopniu wyćwiczyć także na innych tekstach, choćby tych znajdujących się w sieci. PISA nie sprawdza erudycji, tradycyjnie pojmowanego oczytania, bo badanie obejmuje w zasadzie cały glob, co niesie ze sobą ogromne różnice kulturowe.

15-latkowie dobrze radzą sobie z tekstem nie dzięki szkole, ale pomimo jej istnienia?

Aż tak daleko we wnioskach bym nie szedł. PISA odnosi się do tzw. hipertekstów, a także do tekstów tradycyjnych, jak opowiadanie czy felieton. Umiejętność obcowania z nimi to już zdecydowanie zasługa szkoły.

Podobnie jak jej „zasługą” jest to, że polscy uczniowie – co pokazują wspomniane ankiety, także te z poprzedniej edycji – czują się w jej murach obco.

To kolejny paradoks: nie tylko nie lubią szkoły, ale też dość krytycznie oceniają nauczycieli, uznając ich niejednokrotnie za mało entuzjastycznie podchodzących do pracy. A równocześnie ta sama szkoła – jak wynika z PISA – jest szkołą skuteczną.

Tą skutecznością wszyscy się teraz chwalą. Minister Piontkowski mówi o zasługach „polskiego systemu edukacji”. Inni, że to sukces gimnazjów, które PiS zniszczył.

Nie da się ukryć, że pomiar wykonywany był rok temu, na gimnazjalistach pracujących zgodnie ze starymi podstawami programowymi. Powiedziałbym więc, że PISA 2018 to nie tyle sukces samych gimnazjów, ile „starej”, sprzed obecnych zmian filozofii nauczania. Z tej filozofii zrodziła się reforma pod koniec lat 90. Sprowadza się do założenia, iż najważniejsza jest umiejętność samodzielnego, krytycznego myślenia.

To filozofia przez reformę zarzucona?

Niby w nowych podstawach programowych podkreśla się samodzielność myślenia, jednak jest w nich też wiele elementów, które wyrabianie tej umiejętności utrudniają. Rozszerzono podstawy programowe, zwiększono liczbę lektur obowiązkowych, co oceniam krytycznie. A czym ta zmiana zaowocuje, przekonamy się w 2022 r., gdy ogłoszone zostaną wyniki kolejnej edycji PISA.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRZYSZTOF BIEDRZYCKI *jest profesorem UJ, badaczem literatury i edukacji, członkiem zespołu opracowującego polski raport PISA.*

Duda może spać spokojnie

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Małgorzata Kidawa-Błońska kandyduje, bo jest kobietą, a Jacek Jaśkowiak – bo biegał ultramaratony. Taki wniosek można wyciągnąć po debacie kandydatów w prawyborach prezydenckich PO, bo sami najzupełniej poważnie takich argumentów używali. Jeśli ktokolwiek myślał, że prawybory pomogą Platformie odbić się od dna, to powinien pozbyć się złudzeń. Zostały zorganizowane przez Grzegorza Schetynę tylko po to, aby odwrócić uwagę od trzecich kolejnych przegranych przez niego wyborów. Schetyna chce się także podzielić z partią odpowiedzialnością za wybory czwarte, czyli prezydenckie.

Jeśli założyć, że w debacie udział wzięło jedynych dwoje polityków PO, którzy w tej chwili chcą zostać prezydentem – a to wielce prawdopodobne – widać wyraźnie, że Platforma jest partią wyjałowioną z osobowości. Kidawa i Jaśkowiak nie pokazali ani charyzmy, ani pomysłu na kampanię. Odpowiadali ogólnikowo, różnili się nieznacznie, przy czym Jaśkowiak starał się skorygować swój wizerunek światopoglądowego lewicowca.

Stało się jasne, czemu PO nie wystawiła Kidawy w ani jednej debacie przed wyborami parlamentarnymi – marnie wypadła nawet w cieplarnianych warunkach dyskusji wewnątrz własnej partii. Ponieważ to ona jest faworytką partyjnego establishmentu, który wskaże ostatecznie kandydata, można było się spodziewać, że Jaśkowiak będzie chciał pokazać swą wyższość. Zademonstrował równy Kidawie banał, co potwierdza plotki, że jest zającem, który w zamian za kandydowanie dostanie partyjny awans. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

LICZBA TYGODNIA

1859

kilogramów kokainy przejęli polscy policjanci (oraz ich pies Edek). Rynkowa wartość narkotyków jest trudna do oszacowania, ale może sięgać 2,2 miliarda złotych.

KRAJ W SKRÓCIE

BOŻY DAR
Jarosław Kaczyński przeszedł operację wszczepienia endoprotezy stawu kolanowego; media donoszą, że czeka go jeszcze operacja drugiego kolana. Ze szpitala prezes PiS podziękował obchodzącemu rocznicę Radiu Maryja za wsparcie w wyborach. „Dziękujemy Panu Bogu za wielki boży dar, jakim jest Radio Maryja oraz pozostałe przedsięwzięcia podejmowane pod auspicjami czcigodnego ojca dyrektora" – napisał.

DAR ASYSTENTA
Pod auspicjami Piotra Glińskiego rozwija się tymczasem kariera Krzysztofa Przekwasa. Jak sprawdziła „Rzeczpospolita", w rubryce „miejsce zatrudnienia w trzyletnim okresie poprzedzającym dzień zatrudnienia w KPRM" asystent polityczny wicepremiera wpisał tylko „KFC Puławska", czyli fast food sprzedający smażone kurczaki.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

DAR FUNDACJI
Kariera Edmunda Jannigera (na zdjęciu), b. doradcy Antoniego Macierewicza, nieco wyhamowała, ale z dokumentów, do których dotarł Onet, wynika, że wcześniej za pieniądze Polskiej Fundacji Narodowej i amerykańskiej firmy PR Janniger latał za ocean i nocował w luksusowych hotelach.

BEZ DARU
W tej sytuacji trudno się dziwić rozżaleniu sekretarza generalnego SLD Marcina Kulaska, który zaproponował portalowi Interia próbę utrzymania się w Warszawie za 6,5 tys. zł na rękę i dietę wynoszącą 2,5 tys. zł.

BARTŁOMIEJ MAGIEROWSKI / EAST NEWS

Jedwabny Szlak omija Polskę

TOWARY, KTÓRE CHINY WYSYŁAJĄ KOLEJĄ do Europy Zachodniej, zaczynają omijać nasz kraj – mimo że najkrótsza droga dostaw np. do Niemiec, ich najważniejszego kontrahenta na Starym Kontynencie, wiedzie właśnie przez Polskę.

Już nie tylko Pekin próbuje uniknąć współpracy z rodzimą koleją. Według danych PKP Cargo w październiku wielkość ładunków przetransportowanych koleją wyniosła 20,9 mln ton – o 7 proc. mniej niż rok wcześniej. Od stycznia do października przewieziono 197 mln ton, co oznacza spadek o 5,6 proc.

Przyczyną jest oczywiście fatalny stan rodzimej infastruktury kolejowej. Składy towarowe w Polsce poruszają się ze średnią prędkością 30 km na godzinę. W III kwartale br. punktualność w przewozach towarowych wyniosła zaledwie 42 proc. Średni czas opóźnień wzrósł we wrześniu do 10 godzin i 22 minut. W rezultacie spedytorzy coraz częściej korzystają z tras alternatywnych, np. przez Turcję, lub z połączeń kolejowo-promowych omijających Polskę przez Bałtyk. ©℗ MR

Jeszcze w zielone gramy

KONTROLOWANY PRZEZ PAŃSTWO PKN ORLEN zamierza kupić Energę, jednego z głównych polskich dostawców energii elektrycznej. Na wieść o tej deklaracji akcje Orlenu potaniały o 10 proc.: akcjonariusze nie uwierzyli w obietnice prezesa Daniela Obajtka o transformacji Orlenu w „koncern multienergetyczny", który na stacjach umożliwi też ładowanie samochodów elektrycznych.

Mniejsza o to, że tego typu aut jest wciąż niewiele. Prąd w Polsce wytwarza się przede wszystkim z węgla. Energa zużywa go wprawdzie mniej niż inni producenci, ale i jej miks energetyczny najwyżej w jednej trzeciej składa się ze źródeł odnawialnych.

W co gra zatem rząd? Skarb Państwa ma 27 proc. akcji Orlenu, ale w rozdrobionym akcjonariacie zachował decydujący głos. 51 proc. akcji Energi również należy do państwa. Poszukująca pilnie gotówki władza kupi więc Energę sama od siebie – ale za pieniądze firmy będącej jej częściową własnością.

A ekologia? W tej kalkulacji nie ma żadnego znaczenia. ©℗ MAREK RABIJ

DOMRADIO.DE

WAŻĄCY PRAWIE PÓŁTOREJ TONY KAMIEŃ MŁYŃSKI podarowali Franciszkowi przedstawiciele niemieckiej grupy „Inicjatywa przeciwko przemocy i wykorzystywaniu seksualnemu dzieci i młodzieży". Widnieje na nim cytat z Ewangelii według św. Mateusza: „Lecz kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza". Kamień ma być symbolem przestrogi przed przestępstwami pedofilskimi w Kościele katolickim. Papież zdecydował, że zostanie umieszczony przed siedzibą Papieskiej Komisji Ochrony Dzieci za aulą audiencyjną Pawła VI. ©℗ MAM

Odszedł wybitny sinolog

MONUMENTA SERICA

NIE ŻYJE KS. ROMAN MALEK, werbista, misjonarz i sinolog, jeden z najwybitniejszych znawców Kościoła w Chinach. Urodził się w 1951 r. w Bytowie na Kaszubach. Studiował religioznawstwo na KUL i sinologię oraz japonistykę na uniwersytecie w Bonn. Większość życia spędził w Niemczech, gdzie w Sankt Augustin przez wiele lat prowadził m.in. Instytut Monumenta Serica, był też pierwszym dyrektorem China-Zentrum oraz wydawcą kwartalnika „China heute" i licznych serii sinologicznych. W 2011 r. przeszedł rozległy wylew. Zmarł 29 listopada w wieku 68 lat po krótkiej chorobie w szpitalu w Grudziądzu. Na naszych łamach przez wiele lat publikował teksty przedstawiające sytuację katolików w Chinach. W jednym z ostatnich przestrzegał: „Wiele środowisk – Rzym, Hongkong i inne grupy – próbuje wiercić w Kościele chińskim swoje otwory. Co przy braku wyczucia może doprowadzić do katastrofy".

©℗ ARTUR SPORNIAK

Franciszek o mieszaniu wiary z magią

„MAGIA NIE MA NIC WSPÓLNEGO Z CHRZEŚCIJAŃSTWEM" – przekonywał papież podczas środowej audiencji ogólnej. Komentując rozdziały z Dziejów Apostolskich o wizycie św. Pawła w Efezie, mieście słynącym z uprawiania magii, Franciszek przypomniał: „Jeśli wybierasz Chrystusa, nie możesz uciekać się do czarodzieja: wiara jest ufnym powierzeniem się w ręce niezawodnego Boga, który objawia się nie przez praktyki okultystyczne, ale poprzez objawienie i bezinteresowną miłość".

To kolejna katecheza ukazująca duszpasterskie podejście Franciszka do spraw doktrynalnych. Papież, podejmując temat doktrynalny, nie odwołuje się do kategorii grzechu i nikogo nie potępia. Apeluje jedynie do sumienia: „Zadam wam pytanie: ilu z was chodzi, żeby postawić mu tarota? (...) Także dzisiaj w wielkich miastach chrześcijanie praktykujący nadal z tego korzystają. Jak to możliwe?". ©℗ ASK

Korytarz kardynała

„GDYBY KAŻDY KLASZTOR, KAŻDY DOM ZAKONNY, każda plebania przyjęły choć jednego uchodźcę, na Lesbos nie byłoby nikogo" – powiedział kard. Konrad Krajewski po powrocie z Grecji. Obóz Moria, który odwiedził (na zdjęciu), budowano dla 3 tys. osób. W tej chwili przebywa w nim 15 tys. uchodźców i imigrantów, wśród nich blisko 800 dzieci bez opieki. „Żyją w tragicznych warunkach. To wstyd dla Europy" – dodał papieski jałmużnik.

Lesbos jest pierwszą europejską wyspą, do której docierają – przez Turcję – uciekinierzy z Azji i Afryki. Papież Franciszek odwiedził ją w kwietniu 2016 r., a wracając do Rzymu, zabrał ze sobą trzy syryjskie rodziny. Kard. Krajewski, działając w jego imieniu, przywiózł teraz kolejne 33 osoby (następne dziesięć przyleci w najbliższych dniach).

Jest to możliwe dzięki umowie o „korytarzach humanitarnych", którą Watykan, Wspólnota Sant'Egidio, a także Kościoły protestanckie podpisały z rządami niektórych państw europejskich. Na jej mocy władze państwowe gwarantują imigrantom azyl polityczny, a organizacje religijne opłacają ich przylot i pobyt.

Od 2016 r. z „korytarzy" skorzystało blisko 3 tys. imigrantów. Większość z nich (1,8 tys. osób) przyjechało do Włoch, pozostałych przyjęły Francja, Belgia, Andora i Luksemburg. Ostatni z tych krajów dołączył niespełna miesiąc temu – dwie rodziny z obozu na Lesbos zaprosili kard. Jean-Claude Hollerich i bp Leo Wagener, przeznaczając na ich utrzymanie pieniądze, które otrzymali z okazji niedawnej nominacji kardynalskiej i święceń biskupich.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

VATICAN MEDIA

Kaznodzieja w niełasce

ZAKON PAULINÓW „zdecydowanie odcina się od prywatnych poglądów” i wyraża „głębokie ubolewanie z powodu zamętu i zgorszenia, jakie w dusze wiernych wprowadzić może indywidualna działalność” o. Augustyna Pelanowskiego – oświadczył sekretarz generalny zakonu.

Chodzi o poglądy „stojące w jaskrawej sprzeczności z niektórymi prawdami doktryny katolickiej oraz szacunkiem należnym Ojcu Świętemu”. Oświadczenie podkreśla, że o. Pelanowski „łamie śluby zakonne, zarówno przez publikacje, na które nie otrzymał zgody, jak również przez trwającą ponad 11 miesięcy samowolną nieobecność w klasztorze. (...) Już wcześniej podjęte zostały kroki przewidziane przez Kodeks Prawa Kanonicznego”.

O. Pelanowski to charyzmatyczny kaznodzieja, znany m.in. z roli, którą odegrał w nawróceniu muzyków rockowych, m.in. Tomasza Budzyńskiego i Dariusza Malejonka (o czym opowiada głośna książka „Radykalni” Marcina Jakimowicza). Był też ojcem duchownym w krakowskim seminarium paulinów i autorem rozważań biblijnych w „Gościu Niedzielnym”. Radykalizm jego kazań i publikacji w ostatnich latach narastał. Pelanowski głosił filipiki przeciwko papieżowi, mówiąc o nim *per* „Bergoglio”, który pełni „tak zwany pontyfikat”. Krytykował go (podobnie jak prymasa Polaka i abp. Rysia) za wezwania do przyjmowania uchodźców muzułmańskich.

PROROCTWO.COM.PL

W wydanej ostatnio książce „Testament duchowy” twierdził, że jest „tylko jedno jedyne prawdziwe Objawienie, którego dziedzicami jesteśmy my, katolicy”, i że „przestaje być katolikiem ten, kto by twierdził, że poza katolickim Kościołem jest dostępne zbawienie”. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Tagle na prefekta

KARDYNAŁ LUIS ANTONIO TAGLE został nowym prefektem Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów, która po reformie ma być jedną z trzech najważniejszych i największych dykasterii Kurii Rzymskiej (na równi z Kongregacją Doktryny Wiary i nowo planowaną dykasterią dzieł miłosierdzia).

Arcybiskup Manili ma 62 lata, kapelusz kardynalski otrzymał od Benedykta XVI (na ostatnim konsystorzu), był również wymieniany wśród kandydatów na jego następcę. Jest uznanym teologiem, autorem pięciotomowej „Historii Vaticanum II”, a także cenionym duszpasterzem młodzieży i poliglotą. ©℗ EA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DZIEŃ BRATERSTWA
Franciszek i wielki imam islamskiego Uniwersytetu al-Azhar w Kairze Ahmed el-Tayeb zaproponowali ogłoszenie przez Narody Zjednoczone 4 lutego Światowym Dniem Braterstwa Ludzkiego. Ich wspólna prośba w tej sprawie trafiła na ręce António Guterresa – sekretarza generalnego ONZ w Nowym Jorku. 4 lutego 2019 r. papież wraz z imamem al-Azhar podpisali w Abu Zabi wspólną deklarację o ludzkim braterstwie dla pokoju na świecie.

WYJĄTEK OD CELIBATU
Były pastor i ojciec pięciorga dzieci zostanie księdzem katolickim. Watykan wyraził zgodę na święcenia diakona Drake’a A. McCalistera, który przez 13 lat był pastorem zielonoświątkowym, po czym wraz z żoną przeszedł do Kościoła katolickiego. W czerwcu ubiegłego roku w diecezji Steubenville w stanie Ohio, w USA, McCalister przyjął święcenia diakonatu.

POŻEGNANIA
W wieku 92 lat zmarł 2 grudnia ks. Johann Baptist Metz, uczeń Rahnera, jeden z najwybitniejszych teologów współczesnych. Emerytowany wykładowca akademicki w Münster był jednym z najważniejszych ideowych wizjonerów po Soborze Watykańskim II im.in. twórcą nowej teologii politycznej. 3 grudnia w wieku 83 lat zmarła s. Carmel McEnroy, profesor teologii, jedna z 23 kobiet audytorek na Soborze Watykańskim II. Była uznawana za jedną z najważniejszych teolożek dopominających się o miejsce kobiet w Kościele. W 1995 r. została zwolniona z pracy na uczelni diecezjalnej w St. Meinrad w Indianie w USA za podpisanie listu do Jana Pawła II, by nie zamykał dyskusji nt. święceń kobiet.

STR / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Białoruś–Rosja: w stronę głębszej integracji?

OCZEKIWANYM NIEPOWODZENIEM zakończyło się w minioną sobotę spotkanie prezydentów Władimira Putina i Aleksandra Łukaszenki w Soczi. Wprawdzie Kreml miał nadzieję, że przed 20. rocznicą stworzenia Państwa Związkowego Białorusi i Rosji uda się wreszcie wymusić na Mińsku ustępstwa, jednak sprzeczności w pozycjach obu stron nadal są zbyt duże.

Moskwa chce wykorzystać uzależnienie gospodarcze Mińska i w zamian za utrzymanie preferencyjnych cen ropy i gazu wymusić zgodę na podpisanie kolejnego pakietu integracyjnego. Jego efektem byłoby dalsze ograniczanie białoruskiej suwerenności. Jest jednak mało prawdopodobne, że Łukaszenka zgodzi się na szybkie ustępstwa. Od dwóch dekad głównym celem jego relacji z Putinem jest, aby do tego nie dopuścić. W efekcie katalog problemów dwustronnych rośnie, choć spór wciąż nie stał się publiczny. Jednak możliwość manewru Mińska coraz bardziej się zawęża. Moskwa przez długie lata inwestowała w Białoruś i teraz oczekuje zwrotu z inwestycji, grożąc redukcją subsydiów. Samo tylko zapowiedziane już zwiększenie ceny rosyjskiej ropy będzie równoznaczne z utratą niemal 2 proc. białoruskiego PKB. Sytuację Łukaszenki komplikują dodatkowo wybory prezydenckie za kilka miesięcy. Na razie niedzielna demonstracja opozycji, protestującej w Mińsku przeciw integracji z Rosją (na zdjęciu powyżej), odbyła się bez ingerencji sił porządkowych. To jasny znak, że – paradoksalnie – była ona w tym momencie na rękę reżimowi.

Choć Kreml ma wiele możliwości wpływu na Białoruś, to Łukaszenka wielokrotnie pokazywał, że nie jest łatwym przeciwnikiem. Przed spotkaniem z Putinem kpił, pytając: „Po cholerę komu taka integracja?” – lecz wiadomo, iż najbliższe tygodnie i miesiące będą dla niego wyjątkowo trudne. © WOJCIECH KONOŃCZUK

Mosul nie powstaje z gruzów

LUDZIE WYCHODZĄ JAKBY NIE WIADOMO SKĄD. Życie w starej części Mosulu – irackiego miasta zniszczonego w dużym stopniu podczas zakończonej dwa lata temu bitwy z Państwem Islamskim – skupia się w ciasnych, nie zawsze widocznych z chodnika przestrzeniach między gruzowiskami oraz na ulicach dochodzących do dwóch ocalałych mostów na Tygrysie. Na prowizorycznych ladach ustawionych wzdłuż ścian ruin trwa sprzedaż karpia. Gdy zmruży się oczy, dym unoszący się nad grillowanymi rybami potęguje wrażenie smutku i grozy: Mosul, kiedyś jedno z najpiękniejszych miejsc Iraku, to dziś podobno 8 mln ton gruzu.

Kilka ulic stąd, w starym meczecie al-Nuri, 5 lipca 2014 r. objawił się światu Abu Bakr al-Baghdadi: samozwańczy kalif tzw. Państwa Islamskiego, które w tamtych dniach zajęło miasto. Zażądał posłuszeństwa od wszystkich muzułmanów i wezwał do wojny z „niewiernymi". Lojalni mu dżihadyści rządzili Mosulem trzy lata – było to największe miasto pod kontrolą Państwa Islamskiego. Działając często z poparciem mieszkańców, porywali, torturowali, gwałcili i zabijali chrześcijan, jezydów i wszystkich, którzy nie podporządkowali się ich rozkazom. Dopiero w lipcu 2017 r. połączone siły irackiej armii i Kurdów, wspierane przez Amerykanów, ogłosiły wyzwolenie miasta. Ta ponoć najcięższa bitwa miejska od II wojny światowej trwała dziewięć miesięcy. Zginęło co najmniej 11 tys. ludzi. Z Mosulu, który na początku XXI w. liczył półtora miliona mieszkańców, uciekła połowa. Urbicyd, zabójstwo miasta, zwieńczyło wysadzenie przez dżihadystów meczetu al-Nuri z jego charakterystycznym minaretem, symbolem miasta. Al-Baghdadi zginął siedem tygodni temu w Syrii, podczas akcji amerykańskich komandosów.

Na ścianach chaldejskiego klasztoru św. Jerzego jeden z mnichów wskazuje na ścianę: to „księga gości". Wpisali się na niej bojownicy Państwa Islamskiego – z Iraku, Libanu, Libii, Syrii i Maroka. W Mosulu kościoły poznaje się dziś po wysadzonych kopułach.

Jedziemy przez miasto, ale w głowie majaczą jeszcze obrazy otaczających Mosul równin Niniwy, gdzie zaczęła się tamta iracko-kurdyjska ofensywa. Oglądając otoczone polami minowymi wioski, ostrzelane budynki, mamy świadomość, że bojownicy Państwa Islamskiego wciąż tu są, w uśpieniu. Choć nie kontrolują żadnego terytorium, zastraszają i wymuszają lojalność mieszkańców, co roku zabijając kilkudziesięciu szefów lokalnych wspólnot.

Szansy na szybką zmianę nie ma. Od dwóch miesięcy w Bagdadzie i innych miastach Iraku trwają antyrządowe demonstracje. W Mosulu nikt nie protestuje – w miejscu tak zniszczonym przez wojnę hasło walki z korupcją to za mało, aby wyjść na ulicę.

©℗ MARCIN ŻYŁA z Mosulu

Ruiny chaldejskiego kościoła Al-Tāhirā, Mosul, 6 grudnia 2019 r.

MARCIN ŻYŁA

Stan NATO jest stabilny

OLAF OSICA

Zdajemy sobie sprawę, że rosnące wpływy Chin i ich polityka międzynarodowa stwarzają zarówno możliwości, jak i wyzwania, którymi musimy się wspólnie zająć jako Sojusz" – to zdanie, umieszczone prawie na końcu deklaracji liderów państw NATO, jest najciekawszą konsekwencją zakończonego w ubiegłym tygodniu jubileuszowego szczytu w Londynie.

Chiny były dotąd w myśleniu sojuszników wielkim nieobecnym. Nie było bowiem – i nadal nie ma – pewności, pomysłu ani tym bardziej zgody co do tego, że NATO powinno mieć coś do powiedzenia w sprawie Chin. Jako organizacja regionalna, obejmująca obszar północnoatlantycki (na północ od zwrotnika Raka), NATO nie zostało stworzone do angażowania się na półkuli południowej, w Azji i na Pacyfiku. Oczywiście inaczej wygląda to z perspektywy USA. Dla Stanów to Chiny, a nie Rosja, są dziś pierwszym wyzwaniem strategicznym. Zatem pytanie, czy Sojusz nie powinien uważniej myśleć, a być może i działać także w tym obcym dotąd dla siebie regionie, jest w istocie pytaniem o przyszłość zaangażowania Stanów w NATO (co jest kwestią równie otwartą jak zagadnienie chińskiego wymiaru polityki Sojuszu). To, że Chiny pojawiły się w oficjalnym komunikacie, stanowi więc niejako symboliczny początek „nowego" – choć nie sposób dziś przesądzać o ostatecznym kształcie tej dyskusji, a tym bardziej o jej konkluzjach.

Poza tym szczyt w Londynie był głównie spotkaniem rytualnym, w którym każdy podkreślał przywiązanie do idei NATO i jego niezbędność dla bezpieczeństwa Europy. Nawet prezydent Trump postanowił chwalić Sojusz, a także kanclerz Merkel („wspaniała kobieta") za wzrost nakładów na obronność. Ciężar *enfant terrible* wziął na siebie tym razem Emmanuel Macron. Jednak jego uwaga o „śmierci mózgowej" NATO padła na długo przed szczytem, zatem podczas rozmów nie wywołała większego poruszenia. Próbował wprawdzie wzbudzić je prezydent Turcji, biorąc za „zakładników" państwa bałtyckie – albo uznają syryjskich Kurdów za terrorystów, albo nie będzie akceptacji dla planów ich obrony – ale ostatecznie wycofał się, aby nie psuć święta.

Stan siedemdziesięciolatka, którym jest dziś NATO, okazuje się zatem stabilny. ©

LICZBA TYGODNIA

1,6 bln

dolarów: to aktualna wartość giełdowa najcenniejszej firmy świata, saudyjskiego Aramco, które wydobywa ropę i gaz. Paliwa kopalne, jak widać, są nadal w cenie.

KULTURA W SKRÓCIE

WSPÓŁCZESNE NIEWOLNICTWO
Laureatem drugiej edycji Konkursu im. Krzysztofa Millera został włoski fotoreporter Alessio Paduano. Nagrodzono jego fotoreportaż o Nigeryjkach, padających ofiarami handlarzy ludźmi i zmuszanych do prostytucji we Włoszech (na zdjęciu jedna z nagrodzonych fotografii). Zdjęcia Paduano publikowały m.in. pisma „Corriere della Sera", „La Repubblica", „Guardian" i „Time".

ALESSIO PADUANO / / MAT. PRASOWE

„ZIMNA WOJNA" RAZ JESZCZE
Podczas berlińskiej ceremonii wręczenia Europejskich Nagród Filmowych (European Film Awards, EFA) reżyser Paweł Pawlikowski odebrał Nagrodę Publiczności za „Zimną wojnę". Film już w 2018 r. zebrał na EFA pięć statuetek, a za najlepszą aktorkę europejską uznano odtwórczynię głównej roli Joannę Kulig. EFA po raz pierwszy przyznano w 1988 r. – zwyciężył wówczas „Krótki film o zabijaniu" Krzysztofa Kieślowskiego.

NOWY PASZPORT KUNDERY
Milan Kundera po 40 latach odzyskał czeskie obywatelstwo. Pisarz wyjechał z komunistycznej Czechosłowacji na zaproszenie uniwersytetu w Rennes. W 1979 r. – po jego tekście we francuskim „Le Monde", w którym krytykował komunizm, a także po ukazaniu się francuskiego tłumaczenia nieopublikowanej wtedy jeszcze w oryginale „Księgi śmiechu i zapomnienia" – władze odebrały mu obywatelstwo. Dwa lata później Kundera został obywatelem Francji.

Azjatyckie genomy

BANKI DNA są źródłem bezcennej wiedzy: pozwalają na śledzenie ludzkich migracji, opracowywanie nowoczesnych leków czy szacowanie ryzyka zachorowania na rozmaite choroby w związku z danym stylem życia i spożywaniem określonych substancji. Niestety, banki te przepełnione są genomami Europejczyków. Przedstawiciele innych populacji, czyli zdecydowana większość ludzi żyjących na świecie, reprezentowani są w zbiorach danych genetycznych bardzo słabo. Stawia to pod znakiem zapytania sens ekstrapolacji uzyskiwanych wyników na całą ludzkość. Nie da się wykluczyć, że specyficzne różnice genetyczne występujące pomiędzy Europejczykami a Afrykanami czy Azjatami będą decydowały np. o skuteczności danych terapii.

Aby częściowo zaradzić temu olbrzymiemu problemowi, powołany został międzynarodowy GenomeAsia 100K Project, którego celem jest zbadanie genomów 100 tys. mieszkańców Azji. Poza zdobyciem bezcennych zasobów danych dla badań medycznych projekt ten powinien rzucić światło na historię naszego gatunku. Być może dowiemy się czegoś o denisowianach, na których w Azji natknęli się nasi przodkowie i skrzyżowali się z nimi kilkadziesiąt tysięcy lat temu (podobnie jak z neandertalczykami), oraz o... kilku innych grupach ludzi (zwanych populacjami-widmami), o których wiemy tylko tyle, że musiały istnieć – ponieważ i one pozostawiły ślad w DNA niektórych dzisiejszych mieszkańców Azji. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Hajp na alternatywki

GDY „MŁODZIEŻOWYMI" SŁOWAMI zaczynają mówić dziennikarze wszystkich mediów, nastolatki już dawno ich nie używają. Podobnie jest z alternatywą: zwykle to, co uważamy za hipsterskie, było takie trzy sezony temu. Moda jest dziś efemeryczna, rozproszona w coraz krótszych cyklach hajpu [od ang. *hype*: szum medialny wokół czegoś, sprawiający, że staje się to modne – red.], błyskawicznie kopiowana i kapitalizowana przez popkulturę.

Wyłonione w plebiscycie Wydawnictwa Naukowego PWN Młodzieżowe Słowo Roku 2019 to „alternatywka". Oznacza inspirującą się nastoletnią piosenkarką Billie Eilish dziewczynę z kolorowymi włosami, w obszernej bluzie Trashera i rajstopach-kabaretkach wystających spod podartych jeansów. To już raczej mainstream niż alternatywna subkultura – jedna z piosenek Eilish znalazła się właśnie w pierwszej dziesiątce najczęściej odtwarzanych kawałków serwisu YouTube.

Ale wśród wyróżnionych w plebiscycie słów widać ciekawszy trend: dominują wzbudzające w 2019 r. wiele emocji feminatywy, rzeczowniki rodzaju żeńskiego. Oprócz alternatywki i jej przeciwieństwa – konserwatywki – mamy m.in. jesieniarę (miłośniczkę jesieni) czy koniarę (fankę jeździectwa). ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Unik miliarderów

„DUŻE BIURO, DOBRA PENSJA, MAŁO PRACY. Wyjazdy w egzotyczne miejsca". W 1996 r. taki opis wymarzonej pracy ukrył w kodzie HTML uczelnianej wizytówki student Uniwersytetu Stanforda Sergey Brin. Dwa lata później wraz Larrym Page'em stworzyli Google. Obaj właśnie ogłosili, że odchodzą na emeryturę.

Mają po 46 lat. W 1998 r. byli o krok od sprzedania wyszukiwarki za 750 tys. dolarów. Dziś każdy ma ponad 60 mld dolarów. Alphabet, firma-matka Google, jest warta bilion. Ma jednak coraz więcej problemów. Także z samą sobą.

Google to informacyjny hegemon. Jego algorytmy dyskretnie kształtują wiedzę, gusta i przekonania użytkowników. Już samo to jest proszeniem się o kłopoty, a gigant bywał też pod ostrzałem m.in. za współpracę z Chinami, z Pentagonem, za traktowanie pracowników, ale przede wszystkim za rolę, jaką odgrywa w rozsiewaniu kłamstw czy propagandy.

Coraz głośniej nawołuje się dziś do rozbijania technologicznych monopoli. W tym kontekście emeryturę założycieli część pracowników uznała za unik (zwłaszcza że zachowują większościowy pakiet akcji). „Zamiast ratować tonący statek, uciekli z pokładu" – napisali na Twitterze działacze organizacji pracowników „Google Walkout".

To już drugi „koniec epoki" Google'a. Pierwszy nastąpił w 2015 r., gdy cichcem usunięto jego słynne motto „Nie czyń zła". Zastąpiło je: „Rób to, co właściwe". © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Sergey Brin i Larry Page

RALPH ORLOWSKI / GETTY IMAGES

VINCENT TRUCHET / BIOS-PHOTO / EAST NEWS

Gigantyczna pamięć

JESZCZE STO LAT temu amerykański herpetolog John Van Denburgh określał największe gatunki żółwi lądowych jako „żywe skały" – zwierzęta „powolne w poruszaniu się i myśleniu". Obraźliwa łatka na długo przylgnęła do tych statecznych gigantów, co zresztą dobrze komponowało się z tym, co naukowcy ogólnie sądzili o umysłach gadów.

Teraz wszystko powinno się zmienić. Tamar Gutnick wraz ze współpracownikami postanowiła sprawdzić, jak mieszkające w ogrodach zoologicznych żółwie olbrzymie (na zdjęciu) i żółwie słoniowe poradzą sobie z kilkoma zadaniami poznawczymi. Okazało się, że nauczyły się one m.in. wybierać jeden z dwóch kolorów (za wskazanie „właściwego" otrzymywały nagrodę), a z częścią zadań radziły sobie nawet po 9-letniej przerwie! Co ciekawe, nauka sprawniej szła im w towarzystwie innych osobników niż w samotności.

Jak piszą w „Animal Cognition" badacze, ich eksperyment jest „pierwszym krokiem na drodze do bardziej powszechnego docenienia zdolności poznawczych tych wyjątkowych zwierząt". Wykonajmy więc kolejny krok – i opowiedzmy o tych wynikach swoim znajomym!

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Anatomia decydowania

KORA CZOŁOWA odpowiada w naszym mózgu za wiele funkcji. Przypisuje się jej m.in. kluczowy udział w procesie podejmowania decyzji. Ponieważ na proces ów wpływa wiele czynników – od bodźców zmysłowych, przez pamięć i emocje, aż po spodziewaną nagrodę – szalenie trudno jest zidentyfikować należące do tego obszaru mózgu neurony lub ich grupy, które odpowiadałyby za określony, znany psychologom element procesu decyzyjnego. Jest to o tyle frustrujące, że badania innych obszarów mózgu wielokrotnie dawały nam informacje o funkcjach konkretnych neuronów.

Zespół badawczy Junya Hirokawy zaproponował właśnie w „Nature" swoją odpowiedź na pytanie, w jaki sposób określone neurony w korze czołowej szczurów przyczyniają się do podejmowanych przez nie decyzji wymagających nie tylko dobrego węchu, ale i przewidywania wielkości nagrody. Szczury preferowały te rozwiązania, które skutkowały obfitym pożywieniem, naukowcy co jakiś czas zmieniali zaś zasady nagradzania – zwierzęta stawały więc przed względnie złożonym procesem decyzyjnym. W toku badań nagrywano aktywność 485 neuronów, dzięki czemu udało się ostatecznie zidentyfikować niewielkie grupki komórek, których aktywność odpowiadała takim zmiennym jak stopień pewności co do podejmowanej decyzji albo wysokość spodziewanej nagrody. Neurony te komunikowały się z innymi obszarami mózgu, przekazując do nich informacje na temat podejmowanego właśnie procesu decyzyjnego.

Ponieważ architektura mózgu szczurzego i ludzkiego często okazuje się podobna, tego typu badania mają kolosalne znaczenie dla wiedzy o naszym własnym „okablowaniu".

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Sonda Parker coraz bliżej Słońca

SŁOŃCE już dawno przestało być tylko jasnym punktem na niebie wyznaczającym porządek dnia i nocy. Dla gatunku o ambicjach prawdziwie kosmicznych, jakim jest człowiek, przewidywanie pogody słonecznej i dynamiki mknącego w naszą stronę wiatru słonecznego to kwestia równie istotna co monitorowanie huraganów i cyklonów na powierzchni. Parker Solar Probe (na ilustracji), sonda NASA wysłana w 2018 r. ku Słońcu, bliżej niż jakakolwiek inna przed nią, właśnie zaczęła dostarczać nam nowej wiedzy o tej najbliższej nam gwieździe. W tym tygodniu w „Nature" opublikowano spory pakiet artykułów naukowych właśnie na podstawie danych z sondy Parkera.

Co nowego? Okazało się choćby, że wiatr słoneczny tuż przy powierzchni gwiazdy jest dużo bardziej agresywny, niż dotychczas przypuszczaliśmy, a ulega względnemu wygładzeniu dopiero w drodze na Ziemię. Sonda Parkera w czasie jednego tylko zbliżenia do Słońca została omieciona przez setki nagłych, ostrych „porywów" wiatru słonecznego, o których istnieniu naukowcy dotychczas nie wiedzieli. Wygląda też na to, że cząstki wydostające się ze Słońca rotują wokół niego z niespodziewaną wcześniej prędkością, tworząc coś w stylu kosmicznej zawieruchy – zmienia to naszą perspektywę nie tylko na wiatr słoneczny, ale i na rotację naszej gwiazdy.

To jednak dopiero początek. Parkera czekają w najbliższych latach aż 24 tego typu bliskie przejścia. Każde bardziej niebezpieczne, ekscytujące i dostarczające jeszcze więcej wiedzy niż poprzednie.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

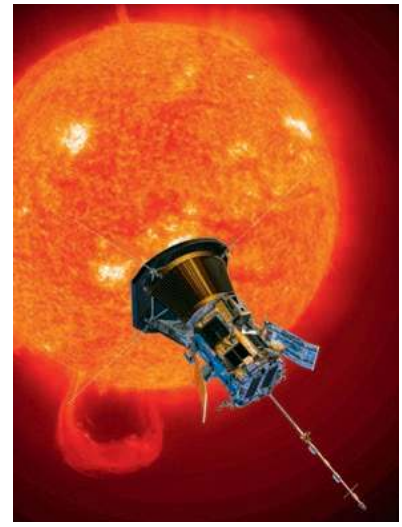

NASA

TEMAT TYGODNIKA

PAŁAC MI PO NIC

SZYMON HOŁOWNIA:

Zabrali nam politykę? Upartyjnili? To my ją sobie odbierzemy. A potem pójdę do kandydatów partyjnych i zapytam, ile potrafiliby zrobić bez przelewów do prezesów.

MICHAŁ OKOŃSKI: Mam właściwie tylko jedno pytanie: po co Ci to?

SZYMON HOŁOWNIA: Bo jest praca do wykonania. Bo znów nadszedł moment, w którym poczułem, że pora przejść z poziomu obserwowania świata do jego robienia. Po raz pierwszy przeżyłem to jako chłopak stojący na białostockiej ulicy w tłumie gapiów patrzących na wypadek. Wiedziałem, że skoro tam jest bezradny, bezbronny człowiek, muszę wyjść z kręgu i spróbować coś dla niego zrobić. A żeby móc coś zrobić sensownie, musiałem skończyć kursy udzielania pierwszej pomocy. Znalazłem je i skończyłem. A później przez lata – prowadziłem.

Czyli świadomy proces, nie odruch.

Na początku odruch. To samo przeżyłem w Afryce: do Kasisi, domu dziecka w Zambii, pojechałem jako dziennikarz, wyjechałem jako ktoś, kto chce pomóc, a gdy się okazało, że na stałą pomoc tak wielkiej placówce jestem „za krótki", poszedłem z tym do ludzi, założyłem fundację. Polityka jest dokładnie o tym. To miejsce, w którym słowa przestają tylko opisywać świat, one zaczynają go tworzyć.

Tworzyć czy niszczyć?

Ja wolę twórczość od destrukcji. Ale jeśli pytasz, po co tam idę: możesz być pewien, że nie dla osobistych korzyści ani ambicji, te od dawna mam zaspokojone. Widzę natomiast, w jakim miejscu są Polska i świat. Od 10 lat jeżdżę więcej po kraju niż jakikolwiek polityk czy badacz. Rocznie mam do dwustu spotkań z ludźmi, na każde przychodzi średnio od stu do paruset osób. Nie tylko mówię do nich, słucham. Czasem brzmią jak rodzina po traumie. Jałowy klincz, w jakim zwarły się partie organizujące nasze życie od ponad dekady, sprawia, że choć swoje prywatne życie ludzie „ogarniają" wspaniale, gdy mowa o Polsce, ciągle słyszę: „jesteśmy tym tacy zmęczeni", „niech oni nie zgadzają się, ale niech przestaną już dzielić". Partie nie są czymś złym, to naturalna emanacja różnych interesów. Ale w Polsce zajęły też nie swoje miejsca. Jeśli jako wspólnota mamy pójść do przodu, musimy ich apetyty przyciąć.

Co chcesz im odebrać?

Media publiczne. Spółki skarbu państwa. Instytucje kontroli i regulacji, np. NIK i KNF. Teraz partie sięgają po sądy. Wchodzą do kościołów. Z życia publicznego wymontowano bezpiecznik. A może nim być tylko ktoś spoza systemu.

Już widzę, jak strażnik żyrandola uzdrawia system.

Ta słynna fraza Donalda Tuska zrobiła sporo złego. Konstytucja daje prezydentowi sporo narzędzi do pilnowania, by we władzy chodziło o coś więcej niż prostą dominację większości. Mieliśmy już prezydentów hamulcowych, mieliśmy notariuszy. Ja marzę o prezydencie, który zakleszczonym partiom przywróci kreatywność przez to, że je rozdzieli. Który przywróci kreatywność Polakom przez to, że ich – podzielonych przez partie – połączy.

Pięknie się zapalasz, a ja myślę, że w obecnym systemie nie może być takiego prezydenta.

Powtarzam ci: system nie jest zły, on jest źle używany. Znam konstytucję, czytam ją regularnie. Widzę w niej wszystko, czego mógłby potrzebować prezydent-arbiter, nie taki, który gra z jedną z drużyn, ale autentyczny stróż reguł. Jeżdżąc po Polsce i słuchając ludzi, ale też patrząc na to, co dzieje się w mediach, w internecie, mam wrażenie, że nie skończyły się u nas jeszcze lata 90. XX wieku z ich sporami robionymi cepem i siekierą. Tymczasem w ludziach, zwłasz-

FILIP KATNER

cza młodych, jest tęsknota za tym, żeby zaczął się w końcu wiek XXI. Ludzi różnych, ale równych, a nie lepszych i gorszych.

Mnie się wydaje, że to współcześni populiści są politykami XXI wieku. Ale ja w ogóle mam jak najgorsze przeczucia.

Z przeczuciami trudno dyskutować. Powiedz mi więc: dlaczego?

Wszyscy znani mi ludzie, którzy poszli w politykę, w najlepszym razie odrywali się od rzeczywistości. W najgorszym: stawali się cynikami. Wręcz nihilistami.

A jeśli powiem ci teraz: „ja taki nie będę" – uwierzysz? Ja nie marzę o polityce jako takiej, o byciu całe życie posłem czy ministrem. Funkcja, o którą chcę się ubiegać, trwa maksymalnie 10 lat. Szymonem Hołownią będę – jak Bóg da – lat 70 albo 80. Nie mam horyzontu, który Zełenskiemu, Macronowi czy Kukizowi dawał kalendarz wyborczy: robisz wynik w wyborach prezydenckich, zaraz potem są wybory parlamentarne, więc zakładasz partię i bierzesz się za rząd. Nie chcę budować partii.

Tę obietnicę zapamiętam.

Nigdy nie mów „nigdy". Ale dziś się do tego nie nadaję.

A do czego się nadajesz?

Do tego, by zacząć odbudowywać podstawowy warunek suwerenności współczesnego państwa: spójność społeczną. Nie sycić się siłą, lecz budzić w ludziach ich moc. Wspólnie przepracowywać lęki. Lubię i umiem ↦

↦ to robić. Chcę naprawić system od góry, a widzę ludzi, którzy może za 4 czy 8 lat zaczną to robić z innego końca. W partiach rośnie nowe pokolenie liderów. Cieszyłbym się na myśl o wspólnej pracy z nimi.

Nazwiska proszę.

Władysław Kosiniak-Kamysz. Adrian Zandberg.

Jedna strona.

Jadwiga Emilewicz. Spoza partii – Aleksandra Dulkiewicz. Michał Kurtyka.

A to całe kandydowanie jest przyznaniem się do porażki? Szymon Hołownia – działacz charytatywny, publicysta, wędrowny kaznodzieja doszedł do ściany. Nie zmienił świata, kraju ani Kościoła.

Porażki? Co ty opowiadasz? To poszerzenie pola walki o Polskę, w której wspólnota jest silna nie jak najsilniejszy, tylko jak najsłabszy jej członek. Prezydent ma być kimś, kto jeśli fizycznie zaatakowany zostanie ksiądz tylko dlatego, że jest księdzem, pojedzie do niego i przeprosi. Bo jeśli taka rzecz miała miejsce, to znaczy, że coś nie tak dzieje się we wspólnocie.

A jeśli pobity zostanie gej?

Niedaleko od miejsca, w którym rozmawiamy, pół roku temu rzuciła się z mostu transpłciowa dziewczyna, pisała, że ma dość, że jest traktowana jak gówno. Prezydent powinien pójść na jej grób i przeprosić w imieniu wspólnoty – oczywiście po uzyskaniu zgody bliskich. Tak, żeby zwrócić uwagę na problem wykluczenia i na to, że konflikt i agresja w debacie niczemu dobremu nie służą. To wspólnota nie udźwignęła problemu.

Tak się zastanawiam: piękne czy pięknoduchowskie?

Twój wybór. Ja wiem, co chcę wybrać, gdy mam inne pary: partia czy państwo, ideologia czy człowiek.

Nie pięknoduchowskie. Kaznodziejskie.

Przemawia przez ciebie – że zacytuję klasyka – głęboki imposybilizm.

Sam nie wiem. Wielu Polaków może pomóc pozytywnie zakręconemu kolesiowi, nawet jeśli jest katolikiem, ale komuś, kto idzie w politykę, już niekoniecznie.

Wierzę w ludzi. Sprawdzimy.

Tadeusz Mazowiecki sprawdził. Pamiętam jego opowieść o epizodzie z początków kandydowania: jechał pociągiem, podczas postoju na jakiejś stacji wychylił się przez okno, żeby zapalić. Ludzie na peronie dostrzegli go i zaczęli wiwatować. Ale zobaczył i zapamiętał także – może zwłaszcza – twarze tych, którzy nie wiwatowali i zaczęli się odsuwać.

Wiem, że nie jestem stuzłotówką i nie każdemu będę się podobał. Nie chodzi o to, by mój program nie miał przeciwników, ale by grono zwolenników było o jednego czy jedną większe. Popatrz też na liczby. W badaniach CBOS ponad 90 proc. Polaków nie ufa partiom. A jednak na nie głosują. To dla mnie fenomen: naprawdę dużo jeżdżę po kraju i jeszcze nie spotkałem ludzi, którzy wybraliby polityków, na których tak chętnie narzekają.

Mówię najszczerzej, jak umiem: w tym nie chodzi o moje samopoczucie czy o liczbę followersów. A od chwili, gdy urodziła się moja córka, ta robota jest jeszcze bardziej oczywista. Dzięki podróżom wiem, jak złożonego mechanizmu częścią jesteśmy. Nawet jeśli żyjemy w Polsce, to przecież kupujemy rzeczy wyprodukowane w Azji albo oddychamy powietrzem, które płynie ponad granicami.

Czyli stawiasz na ekologię.

Tak. To dziś kwestia kluczowa nie tyle dla komfortu, co dla biologicznego przeżycia kolejnych pokoleń. Ale chcę też pokazać rodakom, jak byłoby pięknie, gdybyśmy przywrócili do życia pojęcie solidarności. Chcę pomagać rozwijać te pola, na których Polacy sami, bez żadnych centralnych stymulantów, łączą się we wspólnej pracy, a nie toczą wojny o pokój: samorządy, organizacje pozarządowe. 30 lat pokazywaliśmy sobie, że się nie zgadzamy, więc teraz pokażmy, że w prawie każdym sporze jest też pole na zgodę.

Popatrz: wałkowany od lat temat aborcji. 58 proc. obywateli jest za dopuszczalnością przerywania ciąży do trzeciego miesiąca praktycznie bez ograniczeń. Ja się z tym nie zgadzam, ale uważam, że musimy usiąść przy stole i zacząć rozmawiać. Gdyby tak powiedzieć sobie: OK, wiemy, co do czego się nie zgadzamy, a teraz poszukajmy pierwszej rzeczy, co do której jest między nami zgoda? Widziałem, co się dzieje z ludźmi, którzy dostają złe wyniki badania genetycznego, a są sami, w trudnej sytuacji, nad miarę obciążeni. Napiszmy ustawę, która zapewni im wsparcie psychologiczne, 5 dodatkowych dni płatnego urlopu, oprócz psychologa także fizjoterapię, a przede wszystkim opiekę wytchnieniową, tak potrzebną rodzicom niepełnosprawnych dzieci. Zrzućmy się na to jako wspólnota.

A jeśli w parlamencie znalazłaby się większość reprezentująca te 58 proc., podpisałbyś liberalizację?

To kwestia konkretnej ustawy. Prezydent może ją podpisać, ale może też zapytać o jej konstytucyjność, choć dziś jest kłopot z odpowiedzią na pytanie, kogo pytać, może też zwrócić parlamentowi ustawę do ponownego rozpatrzenia.

Czyli zawetowałbyś.

Nie mówmy o wecie i odrzuceniu weta. Mówmy o zwróceniu do ponownego rozpatrzenia i ponownym rozpatrzeniu przez Sejm. Jeżeli – w co szczerze wątpię – przeszłaby ustawa zmieniająca obecny stan rzeczy, to ponieważ wiem, z jakimi kosztami społecznymi by się to wiązało, bo jako publicysta jestem po paru wojnach w tej kwestii, zwróciłbym ją Sejmowi do ponownego rozpatrzenia. Nie po to, żeby ją „uwalić". Po to, żeby zapytać, czy Sejm jest pewien tego, co robi. Jeśli będzie pewien, jeśli będzie stało za nim poparcie takiej części społeczeństwa, które pozwoli na ponowne uchwalenie ustawy, konstytucja nie zostawi wyboru: prezydent musi ją podpisać.

Poprawkę zakazującą aborcji z przyczyn eugenicznych też podpiszesz.

Jestem przeciwnikiem aborcji eugenicznej. Ale widzę, że pytanie o to, kto w takiej sytuacji powinien podejmować decyzje – Sejm czy konkretna kobieta – rozgrzewa Polaków do czerwoności. Więc najpierw niech taka ustawa zostanie uchwalona. Jeśli przejdzie, usiądziemy i zastanowimy się, czy stoi za nią w społeczeństwie większość pozwalająca uniknąć wojny. Podobnie np. ze związkami partnerskimi.

Podpiszesz czy uwalisz?

Powtarzam: niech najpierw wypowie się społeczeństwo przez swoich przedstawicieli. Niech Sejm to najpierw uchwali. Ja mam jasne poglądy, ale licytowanie się

w rodzaju „jakby kiedyś przyszła ustawa, to bym podpisał” uważam za mało poważne. 30 lat żyję w kraju pełnym bohaterskich okrzyków, wznoszonych przez męczenników różnych idei. A życie pisze scenariusze w poprzek ideologii.

Przykład: jestem w stanie uznać, że dwóch obywateli tego kraju może stworzyć partnerski związek jednopłciowy uznany w świetle prawa. Nie trafią do mnie argumenty o tym, że korzyści z tego rozwiązania płynące można załatwić np. notarialnie – wyobrażam sobie bieganie do szpitala z aktem notarialnym. Małżeństwo to dla mnie wyłącznie związek kobiety i mężczyzny. W moim systemie wartości nie mieści się też zgoda na adopcję dzieci przez pary homoseksualne. Ale na jednym ze spotkań usłyszałem historię związku dwóch kobiet, które przez wiele lat wspólnie wychowywały dziecko jednej z nich. Biologiczna matka zmarła. Jej partnerka formalnie jest dla dziecka obcą osobą.

Co tu można zrobić?

Co do zasady powiedziałbym: wypowiedzmy się w referendum. Wiem jednak, że żyjemy w tak upartyjnionej rzeczywistości, że narzędzie bezpośredniego zabierania głosu przez obywateli nie działa: przecież gdy ogłosi się referendum, partie zaraz zrobią z tego kolejną scenę do bójki. Moim rozwiązaniem mogłoby być coś, co nazywam prezydenturą partycypacyjną. Można by ustanowić na szczeblu centralnym jawny panel obywateli i ekspertów, zbierający się przy prezydencie i dyskutujący na oczach wszystkich różne trudne kwestie, z wyjątkiem tych, które z definicji powinny zostać tajne.

Wciąż nie rozumiem, co jest takiego w polityce, że Cię wciąga.

Narzędzia do zmiany systemowej. Ten świat zostawimy po sobie lepszym, jeśli zmiana jednostkowa będzie miała odbicie w systemowej. Zmianę jednostkową wciąż wdrażam. Wiem, ile może zmienić przytulenie na ulicy człowieka w kryzysie bezdomności. Zlecenie stałe na potrzebujących. Wprowadzam – dzięki żonie – w swoim życiu zmiany w kwestii plastikowych opakowań czy zużycia wody.

Twój ślad węglowy musi być spory.

Jest znaczny, bo dużo jeżdżę, ale bez tych wyjazdów – koniecznych, bo taką mam pracę – byłoby naprawdę dobrze.

KAROL MAKURAT / REPORTER

Z Marcinem Prokopem w programie TVN „Mam talent”, czerwiec 2018 r.

MOJA ROZPOZNAWALNOŚĆ *przed ogłoszeniem decyzji o starcie wynosi 80 proc. – tylu Polaków mnie kojarzy. Jestem spełnionym mężem, ojcem, pisarzem i dziennikarzem, działaczem organizacji pozarządowej, ba: nawet szołmenem jestem spełnionym.*

SZYMON HOŁOWNIA

Afryka, grudzień 2015 r.

DO KASISI *pojechałem jako dziennikarz, wyjechałem jako ktoś, kto chce pomóc, a wkrótce założyłem fundację. Polityka jest dokładnie o tym: to miejsce, w którym słowa przestają tylko opisywać świat, one zaczynają go tworzyć.*

ADAM WARŻAWA / PAP

Spotkanie w Teatrze Szekspirowskim, Gdańsk, 8 grudnia 2019 r.

JEŻDŻĘ WIĘCEJ *po kraju niż jakikolwiek polityk czy badacz: od 10 lat mam ok. 200 spotkań rocznie. Czasem ludzie brzmią jak rodzina po traumie. Ciągle słyszę „jesteśmy tym tacy zmęczeni”, „niech oni nie zgadzają się, ale niech przestaną już dzielić”.*

Zwłaszcza od czasu, gdy przestałem jeść mięso, w większości przypadków pochodzące przecież z hodowli przemysłowych. Teraz chciałbym takiej władzy wykonawczej, która do każdej z ustaw przykłada miarkę-pytanie: czy to spowoduje, że w Polsce będzie więcej wody, czystego powietrza – przecież nawet dziś płacimy za oddychanie, kupując oczyszczacze...

Nie wszystkich stać na oczyszczacz, a nietrucie też kosztuje. Pojedź na Śląsk i powiedz o zamykaniu kopalń.

Ale przecież ja ciągle jeżdżę na Śląsk i rozmawiam z ludźmi dużo dłużej niż politycy, którzy zaczęli jeździć teraz i stali się jego wielkimi fanami.

No proszę, szpila w premiera.

Nie w premiera. W kokietowanie sloganami o świętym polskim węglu zamiast rozmów o rozwiązaniach. Wiem, jakim problemem jest węgiel dla Śląska, choć wiem też, jaki procent spalanego u nas węgla pochodzi z importu. Jeżdżę też na Podlasie i rozmawiam o wycinaniu Puszczy Białowieskiej. Moja odpowiedź na Śląsku jest analogiczna, jak do ludzi, którzy mówią: chcemy normalnie żyć, a wy nas chcecie zamknąć w skansenie. W takich sytuacjach powinna reagować wspólnota. Mieszkańców terenów przyrodniczo cennych trzeba wesprzeć, by mogli zarabiać pieniądze nie na ich eksploatacji, lecz pilnowaniu naszego wspólnego skarbu.

Martwi mnie, że Twoja oferta jest raczej dla sytych i zamożnych.

Przeciwnie! Mieszkańcy pewnego bloku w Sieradzu skarżyli mi się, że sąsiadka z pobliskiego domku pali śmieciami w starym piecu. Nie stać jej – jak tysięcy Polaków – na wkład własny w programie wymiany źródeł ciepła. Mówię im: dość marudzenia. Zakładajcie stowarzyszenie, przejdźcie się po klatkach w tym bloku, zbierzecie na wkład dla tej pani. Gdybym był prezydentem – poszedłbym po tych mieszkaniach i zbierał z nimi.

Trzeba przejść Rubikon między narzekaniem albo – jak w moim przypadku – opisywaniem świata a działaniem. Wspólnym. Może dlatego Pan Bóg nie dał mi nigdy wygrać w Lotto: chodziło o to, żebym wykorzystał umiejętność włączania innych. Chcę to robić nadal, tylko na szerszą skalę. Mam też poczucie, że w ostatnich latach na świecie istnieje coś takiego jak premia za innowacyjność ↦

↦ w polityce. Widzieliśmy ją na Ukrainie, na Słowacji, we Francji, także w Stanach. Znakiem firmowym Alexandrii Ocasio-Cortez były znoszone buty, w których naprawdę obeszła cały okręg wyborczy. To samo zrobił ostatnio w Poznaniu Franek Sterczewski, który z bardzo dobrym wynikiem wszedł do parlamentu z ostatniego miejsca na liście wyborczej KO.

Jeżelibyś mnie zapytał o ideał polityka, byłby to ktoś, kto nie ma w herbie mównicy, tylko stół, przy którym rozmawia i słucha. Podczas badań widzieliśmy, jak ludzie tęsknią za pozytywną Polską i jak boleśnie reagują, gdy wraca temat podziałów, walk, sporów.

Co to były za badania?

Duże ogólnopolskie, które pokazały nie tylko moje szanse w starciu z innymi kandydatami, ale także kraj, w którym żyjemy. Wiesz, jak bardzo niejednorodne są elektoraty, które PiS i KO uważają za swoje? Wiesz, ilu ludzi głosuje na PiS z poczucia, że nie ma alternatywy, bo kandydat opozycji pasuje im jeszcze mniej? Albo podoba im się 500 plus, a cała reszta już nie? Albo podoba im się piękne mówienie o historii, a cała reszta już nie?

Czyli będziesz teraz taki, jak wyjdzie w badaniach, że się sprzedaje?

Nie kandyduję na szafę grającą odtwarzającą hity na życzenie. Powtórzę: kadencja prezydenta trwa maksymalnie 10 lat, a ja mam jedno nazwisko na całe życie. I nie chcę przed dzieckiem oczami świecić, że się tatusiowi odmieniło.

Dużo mówisz o córce.

Bo czuję się odpowiedzialny za jej życie.

A ile wieczorów z nią spędziłeś, skoro masz 200 spotkań rocznie? Ile z nią spędzisz w najbliższych latach?

I ja, i moja żona mamy trudne logistycznie prace, w tej chwili to Ula spędza z Manią więcej czasu, ale ja też – uwierz – staję na rzęsach, żeby od razu po spotkaniach gdzieś w Polsce gnać do domu i spędzić z nimi choć kawałek wieczoru i poranka, zanim ona wybierze się do przedszkola. Dla mnie rodzina jest najważniejsza. To się nie może zmienić. Wziąłem ślub w wieku 39 lat. Urealniło mnie to w sposób cudowny, ale też uroczo bezwzględny.

Co żona mówi o kandydowaniu?

Przyjęła to. I bardzo mnie wspiera.

Zobaczymy ją w kampanii? Jest pilotem myśliwca, oficerem Wojska Polskiego.

Pewnie nie będzie wyjścia. Ale chciałbym, żeby to było na takim etapie, na jakim będzie to dla niej komfortowe. Tak, Ula jest oficerem. W tym środowisku lans jest źle widziany. Na pewno jej ewentualny udział w kampanii odbędzie się w momencie, w którym z perspektywy służby, jaką pełni, będzie to możliwe. Kiedy to nie będzie lans, tylko wymóg procesu, w którym się razem znaleźliśmy.

„Wymóg procesu" to słowa, które streszczają cały mój niepokój. Wejście w politykę wymaga kompromisów. Jeszcze niedawno pilnie strzegłeś swojej prywatności. Odpuszczasz to, a ja się zastanawiam, co jeszcze będziesz musiał odpuścić, bo taki będzie wymóg procesu.

A na jakie kompromisy w zakresie swojej prywatności idzie Agata Kornhauser-Duda? Na jakie szły Anna Komorowska i Maria Kaczyńska? Doceniam twoją troskę, ale uwierz: na salonach już byłem. Choć jestem z Podlasia i mam ćwierć duszy prawosławnej, to w kwestii etyki pracy jestem protestantem. Jest robota do zrobienia, to się idzie i robi.

Ładnie mówić potrafiłeś zawsze, nie z tego Cię sprawdzam. Raczej chciałbym wrócić do tego, co powiedziałeś na początku: że wszystkie potrzeby masz zaspokojone. Wszystkie, czyli jakie? Popularności? Sławy?

Z badań wynika, że moja rozpoznawalność przed ogłoszeniem decyzji o starcie wynosi 80 proc. Naprawdę uważasz, że ryzykowałbym teraz wszystko, by zdobyć 5 czy 10 proc. więcej? Ja źródła satysfakcji mam zlokalizowane w innym miejscu. Cieszę się z każdego spotkania, po którym ludzie mówią: mamy więcej siły, jest jakoś jaśniej. Napisałem w życiu 20 książek. Żadna nie jest wybitna, ale co najmniej kilka okazało się użyteczne. Następna rzecz do załatwienia: powstały fundacje. Ludzie mnie straszyli i przestrzegali jak ty teraz. „Fundacje defraudują pieniądze", „będziesz kolejnym celebrytą, który wyciera sobie twarz dobroczynnością". A ja to zrobiłem i już. Jestem spełnionym mężem, ojcem, pisarzem i dziennikarzem, działaczem organizacji pozarządowej. Ba, nawet tzw. szołmenem jestem już spełnionym.

Ale teraz wchodzisz w politykę. A cień polityki to pragnienie władzy.

Mnie nie interesuje władza jako taka, mnie interesuje przywództwo, pokazywanie ludziom, jak wszyscy możemy być lepszą wersją siebie. Co będzie wkrótce bardzo potrzebne. Znasz dane gospodarcze, wiesz, co nas czeka w przyszłym roku: od stycznia idą podwyżki śmieci, prądu, paliw. W listopadzie-grudniu nikt nie będzie pamiętał *exposé* premiera o Polsce mlekiem i miodem płynącej.

Prezes już mówi o kryzysie.

A co robi się, kiedy nadchodzi kryzys, a prezydent jest notariuszem? Politycy rzucają bombę, żeby odwrócić naszą uwagę. Co to będzie w naszych warunkach? Widziałem to dziesiątki razy: kolejna wojna ideologiczna. A przy takim poziomie podgrzania emocji, jaki już kipi w internecie, w telewizji, w publicystyce, boję się o to, co będzie na ulicach.

Dla mnie to jest ostatnie kuszenie Hołowni. Oparł się celebrytctwu. Nie oparł się pokusie władzy.

Jeśli już sięgasz po taki arsenał porównań: w chrześcijaństwie jest mnóstwo przykładów ludzi, którzy wyszli ze strefy komfortu, spomiędzy tych, którzy ich zawsze słuchali. Nie wiem, ile razy mam ci powtarzać, żebyś zaczął mnie słuchać, a nie cały czas projektował na mnie swoje lęki. To jest o pracy, o Polsce, nie o mojej psychologii. Mam żonę, która zadba, żeby mi nie odbiło. W ogóle myślę, że dobrze wybrałem grono – by użyć terminu psychologicznego – znaczących bliskich. Takich, którzy nie są klakierami, tylko mówią, co myślą.

I oni mówią: kandyduj?

Tak. I bardzo się cieszą tą nadzieją. Pięć lat temu było na taki pomysł za wcześnie. Za pięć będzie za późno.

Kardynał Krajewski, papieski jałmużnik, którego nazywasz przyjacielem?

Mieliśmy dużo rozmów. Nie chcę zdradzać ich treści, bo nie chcę go angażować w polityczny kontekst, ale rozmawialiśmy o tym nieraz, nieraz się też modliliśmy i ja sam się modliłem, kiedy byłem w Watykanie i zmagałem się z tym, jaką decyzję podjąć, a on był tego świadkiem.

Na ulicy ludzie zawsze podbiegali i prosili o selfie, a teraz wołają: „Będę na pana głosował!". Po ważnej serii badań zapy-

tałem też współpracowników, nie jako ekspertów, ale jako przyjaciół, czy po tym, co usłyszeli, powiedzieliby „idź” czy „nie idź”. Każdy powiedział „idź”. Uświadomiłem sobie wtedy, że muszę powiedzieć „idę” także dlatego, żeby siebie i ich nie zostawić na resztę życia z żalem, że nie spróbowaliśmy.

Skoro wspomniałeś o modlitwie i skoro tyle w Twoim pisaniu słów o relacji z Bogiem... Nikogo innego bym o to nie pytał, ale Ciebie powinienem: to jest misja od Boga?

Nie jestem mistykiem, nie mam wizji i objawień. Bóg, w którego wierzę, jest mądrym ojcem, który pozwala samemu odkrywać pewne rzeczy. Daje światło, układa wydarzenia, pokazuje ludzi, sprawia, że zaczynasz się zastanawiać, czy gdzieś otwiera się droga. Najważniejszych rzeczy nie ma co szukać, wystarczy ich nie przegapiać. Chcę wierzyć, że to jeden z tych momentów. Modlę się więc, ale mam świadomość, że nie staję do wyborów na pierwszego ministranta.

A jak Twoje zdrowie?

Bardzo dobrze.

Ten wątek przewijał się przez całe Twoje życie. Ciężkie choroby w dzieciństwie, mocny kryzys w nowicjacie, bakteria z Burkina Faso...

To był chyba pierwotniak. Napiłem się wody z niepewnego źródła, chodziłem z tym pół roku, aż padł mi system żółciowy. Przy takiej intensywności życia cieszę się wspaniałym zdrowiem. Może ta praca tak mnie nakręca, a może życie.

W książce rozmów z Marcinem Prokopem powiedziałeś tak: „Ponieważ nie dawałem upustu napięciu duchowo, emocjonalnie czy werbalnie, zaatakowało od strony fizycznej i po prostu się rozsypałem”.

Do dominikańskiego nowicjatu miałem podejście dwa razy. Za pierwszym razem wyrzuciła mnie choroba i uznałem, że nie wracam. Za drugim zderzyłem się z systemem, który organicznie – chodzi o logistykę nowicjackiego życia, nie o idee – nie współgrał z moim.

Nie chodzi mi o to, że będą Cię atakować frazą „niedoszły ksiądz”. Raczej o to, że powiedzą: „Zbyt kruchy, by powierzać mu poważny urząd”.

GRAŻYNA MAKARA

Nie ma tu żadnych pieniędzy Dominiki Kulczyk. Liczę na finansowanie społecznościowe, a na razie wydałem z własnej kieszeni ponad 200 tys. zł.

Och, jak ja to uwielbiam, te argumenty pełne braterskiej troski. Dlaczego komuś, kto w swoim życiu 5 razy zmieniał studia, 10 razy pracę i 4 razy partię, nikt nie mówi, że jest kruchy? „On szuka swojej drogi...”. Ja 2 razy zrobiłem podejście do dominikanów, żeby upewnić się, czy to nie jest moje miejsce, i robi się z tego wielkie mecyje.

Ojtam, ojtam. Kandydujesz na prezydenta. Trzeba Cię prześwietlić.

Niech ci, co mnie prześwietlają, popatrzą na swoje wybory, a potem wymagają ode mnie niewzruszoności od chwili poczęcia aż do decyzji o kandydowaniu.

Będziesz miał gdzie wrócić?

Nie wiem, gdzie będzie Polska za 10 lat.

Pytam o powrót z kampanii, nie z pałacu.

Ja nie idę się sprawdzić, tylko wygrać. Jeden z dziennikarzy powiedział mi: „Wiesz, rozmawiałem ze wszystkimi potencjalnymi kandydatami po tej stronie. Jesteś jedyny, któremu się chce”. Sytuacja się rozwija. W sierpniu nikt z nas nie myślał, że tak szybko skończy się historia z kandydowaniem Donalda Tuska.

Próbowałeś się z nim spotkać?

Tak. Tylko termin nie był najlepszy: on był w ostatnim miesiącu pracy na stanowisku szefa Rady Europejskiej, miał brexit na głowie. Nasi współpracownicy są w kontakcie, co nie znaczy, że zabiegam o jego poparcie. Uważam po prostu, że może się jeszcze Polsce przysłużyć. Nikt inny nie ma takiego notesu z telefonami i tylu dobrych relacji z najważniejszymi graczami tego świata.

Parę razy powiedziałeś: „moi współpracownicy”. Co to za ekipa?

Przyjdzie czas, by o tym mówić. Niektórzy są na wypowiedzeniu w dotychczasowych miejscach pracy, niektórzy nie chcą jeszcze, żeby ich za wcześnie „spalić”.

Michał Kobosko, dawny naczelny „Newsweeka” i „Wprostu”, a później szef think tanku Atlantic Council?

To nazwisko pojawiło się już w mediach. Innych nie wyciągniesz.

Spotkałem w drzwiach wybitnego niegdyś urzędnika państwowego.

Jego nazwisko również teraz nie padnie. Mam grono ekspertów, bo nie wierzę w omnipotentnego prezydenta, który zna się na wszystkim, od unasienniania bydła po cykl kwitnienia jabłoni. Mam też ludzi, którzy pracują nad powołaniem ruchu obywatelskiego. Mam agencję zajmującą się strategią i komunikacją. Zaczynam współpracę z agencją reklamową. Mam doradców politycznych, politologów, prawników, psychologów, specjalistów od badań. Co ważne: większość nie robiła bieżącej polityki, to nie jest zbieranina byłych ministrów. No i nie jest to wielki biznes.

Miałem pytać o Dominikę Kulczyk.

Nie ma tu żadnych pieniędzy Dominiki Kulczyk. Ani nikogo z listy najbogatszych Polaków. Liczę na finansowanie społecznościowe i wierzę, że to najlepsza i najskuteczniejsza metoda. Jeśli zmiana, której chcemy, ma być autentyczna, sfinansować ją musimy sobie sami.

Ile wydałeś do tej pory i czyje to były pieniądze?

Do tej chwili ponad 200 tysięcy złotych. Z własnych środków – przez ostatnie miesiące naprawdę dużo pracowałem, by zarobić na ten projekt, poza tym kilkanaście osób wsparło mnie darowiznami ↦

↦ w wysokości 4900 zł – na tyle pozwala prawo osobom, które nie są ze sobą spokrewnione. Wśród tych osób nie ma milionerów, polityków, lobbystów, to moi przyjaciele od lat. Gdy w styczniu lub lutym ruszy kampania, drogę wytyczy nam ustawa. Mówi ona, że kampanię prezydencką może finansować fundusz wyborczy partii politycznej i obywatele. My nie mamy partyjnych przelewów. Poprosimy obywateli: jeśli chcecie nowej polityki, zrzućcie się na nią.

Potrzebujesz dużo. Komitet Komorowskiego oficjalnie wydał 18 milionów, Dudy – 13 milionów.

Nie wstydzę się prosić, bo wiem, że crowdfunding przywraca ludziom sprawczość. Zabrali nam politykę? Upartyjnili? To my ją sobie odbierzemy. Za 50 zł od głowy. Ktoś zamożniejszy da 33 tysiące, bo taki jest limit dla wpłat na komitet wyborczy, większość da dużo mniej. Ale wierzę, że da. I że będę mógł pójść do kandydatów partyjnych i zapytać, ile potrafiliby zrobić bez przelewu od prezesa?

Słyszę plotki o tym, jak partie kombinują z wydatkami. Niemożliwe, żeby frontman listy, którego billboardy wisiały w całym mieście, przeznaczył na to tylko 20 tysięcy. Słyszałem też – i namawiałem tych, co mi o tym opowiadali, na pójście do prokuratury – o szkoleniach finansowych dla kandydatów trwających oficjalnie kwadrans, a w rzeczywistości półtorej godziny, jak te limity obchodzić. Brzydzę się taką polityką.

I Ty chcesz sobie poradzić bez tego?

To przecież warunek *sine qua non*. Jak mam mówić o zmianie w polityce, brać pieniądze od ludzi i robić na tym wałki?

A Twoja kampania jak będzie wyglądała? Billboardy? Spotkania?

O, kochany. Mamy za dobre pomysły, żebym ci o nich mówił i żeby inni je kopiowali. Będziemy nowatorscy. Nie wystarczy obkleić pół miasta, trzeba naprawdę wiedzieć, gdzie kleić i gdzie jechać. Trzeba docierać do ludzi punktowo, omijając rafy, które – nie mam złudzeń – będzie stwarzała znaczna część mediów.

Czyli kampania na Facebooku.

Na pewno. Ale będę też fizycznie obecny w różnych miejscach, bo to uwielbiam. I wierzę w ludzi, którzy się angażują w wolontariat. Jeszcze zanim ogłosiłem start, w kilkunastu miastach Polski zapisały się do wsparcia dziesiątki wspaniałych ludzi. Liczę, że za miesiąc-dwa będą ich tysiące w kilkuset lokalizacjach.

GRAŻYNA MAKARA

Należy przeprowadzić przyjazny rozdział Kościoła od państwa. Może to zrobić tylko katolik, żeby nie wywołać wojny religijnej.

Media obozu rządzącego mówią, że i tak jesteś z największej opozycyjnej partii, czyli z TVN-u.

Nie pracowałem w TVN. Łączyła mnie z tą stacją umowa o dzieło – poprowadzenie programu „Mam Talent". A pogłoski o tym, że to sekta, w której codziennie o siódmej zbierają się na odprawie wszyscy, od księgowych po gwiazdy seriali, i wgrywa im się do głów antypolski przekaz dnia, są zdecydowanie przesadzone.

To drugie obciążenie wizerunkowe, obok niedoszłego księdza. Dowcipniś z telewizyjnej rewii, który wygłaszał z offu czyjeś dowcipy.

Protestuję. Z Marcinem Prokopem wygłaszaliśmy nasze teksty nie z offu, często nie z promptera i sami je pisaliśmy.

Sam będziesz w kampanii jak św. Franciszek.

Chcę być wierny zasadom, które nazywałem sobie, kiedy zabito Pawła Adamowicza. Bo to był tak naprawdę pierwszy moment, w którym poczułem, że tu również muszę przejść od gadania do robienia. Polak zabijający Polaka podczas dającego życie tylu ludziom finału WOŚP... Pamiętam, że pisałem wówczas o herbie Gdańska, i o haśle, które wziąłem na swoje: „*Nec temere, nec timide*", bez zuchwałości, ale i bez lęku.

Dlatego zaczynasz w Gdańsku?

Tak. I dlatego chcę bez zuchwałości, ale i bez lęku mówić, jak jest.

Również o obecnym prezydencie?

Szanuję go i nie podważam jego patriotyzmu, ale trudno mi przejść do porządku dziennego nad tym, że łamał konstytucję. Zaprzysiągł trzech sędziów TK, chociaż było już trzech innych, legalnie wybranych przez parlament. Ułaskawił nieskazanego prawomocnym wyrokiem sądu. Podpisywał ustawy likwidujące *de facto* trójpodział władzy.

Zgromadziłem całą antologię bon motów, które w ustach polityka wydają się nie do przyjęcia.

A jakiś konkret?

Biskupi, którzy pukają w dno od spodu?

Swoim listem, bardzo konkretnym, w którym pisali, że są prześladowanymi ofiarami ideologii LGBT, i zwracali się do władz państwowych z prośbą o zakończenie tych prześladowań, pukali w dno od spodu. Nadal tak uważam.

Czyli będziesz prezydentem wszystkich Polaków z wyjątkiem o. Rydzyka i abp. Jędraszewskiego.

Będę prezydentem wszystkich Polaków, także wymienionych. Co nie znaczy, że ze wszystkimi muszę się zgadzać i tracę prawo do oceny ich oceny naszej wspólnej rzeczywistości.

A żeby była jasność w kwestii tamtego listu: rozmawiałem z wieloma biskupami. Jednego nawet pytałem, jak mógł coś takiego podpisać. Popatrzył na mnie i powiedział: „Bo ty nie widziałeś pierwszej wersji".

„Niech opustoszeją kościoły, w których Jezus jest członkiem PiS"...

W Ewangelii, o ile pamiętam, nie ma ani słowa o tym, że Jezus jest członkiem jakiejś partii.

Z wykluczającym językiem mam problem.

Polityk musi pilnować słów bardziej niż publicysta, to jasne. Ale nadal będę mówił, że należy faktycznie przeprowadzić przyjazny rozdział Kościoła od państwa. I zgadzam się z tymi, którzy mówią, że może to zrobić tylko katolik, żeby nie wywołać w Polsce wojny religijnej. Jeżdżę dużo po szkołach. Otóż jeśli parę lat temu od ich uczniów słyszałem tylko „Korwin, Korwin, Korwin", to teraz 80 proc. młodzieży nie chodzi na religię, a agenda jest tak lewicowa, że łeb urywa. Tych ludzi – dodam – jeszcze nie widać w badaniach. W 2023 r. głosować będą po raz pierwszy dzisiejsze 14-latki. Jeśli do tej pory nie przeprowadzimy tego rozdziału, zrobią to oni. Jak nie w 2023, to w 2028. I obawiam się, że wtedy nikt nie będzie zawracał sobie głowy przymiotnikiem „przyjazny".

Jako katolik jesteś u nich spalony.

Nie potrzebuję stu procent głosów. A poza tym się mylisz. Z naszych badań wychodzi, że człowiek wierzący, który mówi z wewnątrz Kościoła o rozdziale Kościoła od państwa, może być wiarygodny także dla elektoratu lewicy.

Czyli gębę „katolewaka" nosisz chętniej niż gębę celebryty.

Chcę ciężko pracować przez najbliższe miesiące, by przekonać do siebie także tych, których ta gęba odstręcza. Muszę ci zresztą powiedzieć o szoku, jaki przeżyłem rozmawiając z wieloma profesorami, liderami organizacji pozarządowych, biskupami, którzy mówili: o, super, że kandydujesz, bo ja nie byłem na wyborach od 20 lat. Albo od wyborów, po których nastać miał PO-PiS. Elita tego kraju, wypchnięta z systemu, osierocona przez upartyjniony system.

Prezydent Hołownia będzie jeździł na Jasną Górę, spotykać się z pielgrzymką rolników?

Mam kłopot z mieszaniem się polityków do obrzędów religijnych, a Eucharystii do uroczystości świeckich.

Msze za ojczyznę? Uroczysta msza 11 listopada?

Za ojczyznę staram się modlić codziennie. Poza tym nie wiem, czy umiałbym się modlić z kamerami nad głową.

Nie będzie mszy na inaugurację prezydentury?

Na pewno będzie. Ale nie w katedrze, z Episkopatem i pompą, ale w kaplicy w pałacu prezydenckim. Eucharystia nie jest, mówię to jako praktykujący katolik, od umajania państwowych uroczystości, a państwo ma swój ceremoniał. Nie mogę włączać kraju, w którym mieszkają obywatele różnych wyznań i osoby niewierzące, w ceremoniał religijny jednego wyznania.

„Polska jest krajem o zbyt niepewnej pozycji, aby składać prezydencką władzę w ręce kompletnego amatora bez zaplecza" – to opinia Piotra Zaremby, z życzliwego tak ogólnie tekstu o Tobie. I jeszcze: „Obronność i sprawy międzynarodowe nie powinny być topione w najsympatyczniejszym nawet kabarecie".

Czytaliśmy chyba inne teksty, bo ja nie odnalazłem tam życzliwości. Piotr, którego znam od lat, pominął wszystkie inne aspekty mojej działalności – książki, felietony, fundacje – wybrał tylko ten, który pasował mu do tezy. Od dziś będę jednak odpowiadał na pytania, nie na zaczepki dziennikarzy. Zresztą – patrząc na to, jakich spraw w ostatniej dekadzie bronili – nawet się cieszę, że mnie atakują.

Odgryzłeś się. Ale z emocjami, które potwierdzają inną tezę Zaremby: „Nie sprawia wrażenia człowieka z grubą skórą przygotowanego na wątpliwe przyjemności szarpania się z polityką profesjonalną".

Mówię z emocjami, bo za tymi wszystkimi głosami krytyki, nie tylko ze strony PiS, którą reprezentuje Piotr, ale i z lewej, za często widzę taką oto postawę: w tym kraju nic się nie może udać. Zmiana może kiedyś przyjdzie, ale najpierw wszystko się musi zawalić. Ludzie muszą poczuć głód. Musi być wojna. Jezus Maria, jak można tak mówić? Jak można tak źle życzyć Polsce? Jak można widzieć problemy i zamiast je rozwiązywać, mówić: poczekajmy, niech się pacjent wykrwawi?

A w Polsce tylu pomników i orderów – komu byś dał Order Orła Białego?

Siostrze Małgorzacie Chmielewskiej. Tylko że ona by zaraz mnie za to zabiła. I Służba Ochrony Państwa miałaby poważny problem.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Granice wiedzy

„Jakiż pożytek ma pracujący z tego, czym się trudzi. Widziałem sprawę, jaką Bóg dał synom ludzkim, aby się jej oddawali. Uczynił wszystko piękne w swoim czasie i nawet wieczność włożył w ich serca, chociaż nie pojmie człowiek dzieł stworzonych przez Boga od początku do końca” (Koh 3, 9-11; przeł. Anna Kamieńska).

Bóg uczynił świat dobry. Budzi zachwyt i radość, ale człowiek nie jest w stanie, pisał Kohelet, zrozumieć, co też wspaniałego Bóg nam dał. Oznacza to, że nie umiemy się dostosować do okoliczności zadekretowanych przez Najwyższego. Człowiek nie zna swojego czasu. Jest jak ślepiec, wpada w sieć i nagle dotyka go zły czas. To również Bóg go nam dał, ale nie znajdziemy w tym pocieszenia, bo nie jesteśmy w stanie pojąć, co przyjdzie później. „W dzień dobry miej się dobrze, w dzień zły bacz, że i ten, i tamten dzień uczynił Bóg po to, aby nie dociekał człowiek nic z tego, co będzie po nim” (7, 14).

Na tym świecie jest sprawiedliwość, choć przeważa przemoc, chytrość, marność. Wiedząc to, Kohelet stale powtarza: „Jest marnosć, która dzieje się na ziemi, że są sprawiedliwi, którym się tak powodzi, jakby byli złoczyńcami, a są złoczyńcy, którym się powodzi, jakby czynili sprawiedliwie, pomyślałem, że i to marność. Chwaliłem radość, bo nie ma nic lepszego dla człowieka pod słońcem, jak żeby jadł, pił i cieszył się, i korzystał z trudu swego życia, które dał mu Bóg pod słońcem” (8, 14-15). Kohelet nie chce pisać dydaktycznego dzieła. Powiada, co wydaje mi się najważniejsze, że istnieje niepokonywalna bariera ludzkiego wysiłku w dążeniu do mądrości i wiedzy. Nie umiemy przewidzieć swojego losu, ale zawsze w czasie dobrym mamy wręcz obowiązek, by cieszyć się życiem. To jest zgodne z boskimi wyrokami.

W moich ulubionych słowach Koheleta czytamy o radości: „O każdej porze niech szaty twoje będą białe i niech nie zabraknie olejku na twoją głowę. Używaj życia z żoną, którą umiłowałeś na wszystkie dni życia twojej marności, które dał ci pod słońcem, przez wszystkie dni twojej marności, bo to jest twój udział pośród żyjących i w twoim trudzie, którym trudzisz się pod słońcem” (9, 7-9).

Kohelet nie ma dla nas gotowych porad. On uczy nas, jak żyć w czasach dobrych, ale nigdy nie powie, jak zawładnąć dobrem, jak poznać drogi Boga. Człowiek nie ma pewności co do zewnętrznego świata. Choć ten przeniknięty jest boską wolą, to świat milczy. „Wszystkiego tego doświadczyłem w mądrości i powiedziałem sobie: będę mądry, ale ona daleko ode mnie. Dalekie to, co było, a to, co głęboko, któż to odnajdzie?”.

Człowiek nigdy nie wejdzie w dialog ze światem, tym bardziej z Bogiem. Nigdy Bóg nie będzie dla nas „ty”. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Szydełkowanie ewangelii

W trzecią niedzielę adwentu usłyszymy: „Duch Pański nade mną, posłał mnie głosić dobrą nowinę ubogim”. Tak o sobie mówił Izajasz: „Duch Pana Boga nade mną, bo Pan mnie namaścił, abym ubogim głosił dobrą nowinę”. Słowa te powtórzy Jezus: „Duch Pana nade mną, bo mnie namaścił, abym ubogim głosił dobrą nowinę. Posłał mnie, abym ogłosił więźniom wyzwolenie, a niewidomym przejrzenie, abym zniewolonych uczynił wolnymi, abym ogłosił rok łaski od Pana”, po czym dodał: „Dziś wypełniło się Pismo, które słyszeliście”.

Już po zmartwychwstaniu Jezus mówi: „Otrzymałem pełną władzę w niebie i na ziemi. Idźcie więc i pozyskujcie uczniów we wszystkich narodach! Udzielajcie im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Nauczajcie ich, aby zachowywali wszystko, co wam nakazałem. A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do końca świata”. Inne tłumaczenie: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”. Zwróćmy uwagę na różnicę w przekładach: „pozyskujcie uczniów we wszystkich narodach” i „nauczajcie wszystkie narody”.

Nauczanie kojarzymy dzisiaj głównie ze szkołą, a głoszenie z kazaniami i katechezą. Używa się w nich przeważnie czasu przeszłego i przyszłego: Jezus był i mówił, i znów przyjdzie i powie. Mamy też trudności ze zrozumieniem języka kaznodziejsko-katechetycznego. Co np. znaczy „głosić Jezusa”? Nie mówimy przecież „głosić Mickiewicza”. Co znaczy, że Jezus zbawił nas przez mękę i krzyż? Albo że do komunii możemy przystąpić, gdy nie mamy grzechu śmiertelnego i żyjemy w łasce uświęcającej, albo czy czasami nie jest wróżbiarstwem otwieranie Biblii i traktowanie pierwszego z brzegu zdania jako instrukcji postępowania? Czy wystarczy nauczenie dzieci katechizmu, często na pamięć, a kleryków teologii, która nie ma już żadnego styku ze współczesnością, żeby „pozyskać” Jezusowi uczniów? Wreszcie, gdzie takich uczniów spotkać, żeby do nich dołączyć?

W listopadzie poznanianką roku została 90-letnia „czarna” urszulanka Cecylia Śmiech. Odpowiadając na apel polskich żołnierzy z Afganistanu o ciepłą odzież dla dzieci, założyła trzy lata temu Klub Włóczkersów. Do dzisiaj klubowiczki z całej Polski wydziergały 70 tys. czapek. Ale co czapeczki mogą mieć wspólnego z ewangelizacją? Św. Faustyna: „O Trójco Przenajświętsza, mieszkająca w sercu moim, proszę Cię, daj łaskę nawrócenia tylu duszom, ile dziś ściegów zrobię tym szydełkiem. Wtem usłyszałam w duszy te słowa: Córko moja (...) każde nawrócenie grzesznej duszy wymaga ofiary. A więc, Jezu, ofiaruję Ci tę szczerą pracę swoją; nie wydaje mi się ta ofiara za mała za tak wielką liczbę dusz; przecież Ty, Jezu, przez trzydzieści lat zbawiałeś dusze taką pracą”. ©

Jeśli pragniesz się modlić, wyrzeknij się wszystkiego, aby posiąść wszystko.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Naturą więzów jest pragnienie.

ASZTAWAKRAGITA

Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Nieprzemijające

„Niebo i ziemia przeminą, ale moje słowa nie przeminą" (Łk 21, 33) – mówi Jezus w swej mowie eschatologicznej, w redakcji św. Łukasza. Wszystko w świecie przemija. Słowo Jezusa trwa. Paradoks? Cóż szybciej przemija niż słowo? Czyż nie wydaje się ono najbardziej ulotne? I słabe? Liturgia przypomniała nam niedawno to Jezusowe zdanie wraz ze stanowiącym pierwsze czytanie fragmentem proroctwa Daniela, mówiącym o czterech bestiach, podobnych – pierwsze trzy – do lwa, niedźwiedzia, pantery; czwarta zaś „okropna i przerażająca, o nadzwyczajnej sile, miała potężne zęby z żelaza i miedziane pazury... i miała dziesięć rogów" (Dn 7, 2-14). Egzegeci zgodnie identyfikują owe bestie jako następujące kolejno po sobie historyczne potęgi: Babilończyków, Medów, Persów i Greków Aleksandra Macedońskiego.

Wszystkie przeminęły. Podobnie jak te, które w historii biblijnej nastąpiły po nich: Syria Seleucydów i Rzym. Rzym! Wieczne Miasto nie okazało się wieczne...

„Słowa moje nie przeminą" – mówi Jezus. Dlaczego? Bo nie są to słowa ludzkie, ale Słowa Boże. Jako takie są niezmienne i nieodwołalne („Bóg nie jest jak syn ludzki, by się wycofywał [ze swoich słów]"; Łb 23, 19). Nigdy się nie dezaktualizują. Rzucają światło na każdą z możliwych sytuacji. W każdej przynoszą nie tylko poczucie sensu, ale także doświadczenie siły. Są stwórcze (Bóg słowem stworzył – wciąż stwarza – cały świat). Nie tylko informują. Formują! A wszystkie – wszystkie słowa Boga, wypowiedziane i wcielone w Jezusie – sprowadzają się zasadniczo do dwóch, które brzmią: „kocham cię".

Właśnie to jest to słowo, z którego Bóg nigdy się nie wycofa. Słowo przynoszące sens. I poczucie siły. Słowo nieprzemijające. Na Nim można się oprzeć. Jest jak skała, na której można zbudować życie – osobiste i wspólne.

Czytałem to słowo na Eucharystii koncelebrowanej z polskimi księżmi studiującymi w Rzymie – koło dwudziestu doktorantów z różnych dziedzin: biblistyki, prawa, nauki społecznej, dogmatyki itd. Za dwadzieścia lat będą ludźmi tworzącymi polski Kościół: profesorami, rektorami seminariów, oficjałami, biskupami...

Nie mogłem nie postawić im pytania: w oparciu o co będą go budować? O którą bestię? Babilońskie bogactwo? Perską władzę i bezwzględność? Siłę Aleksandra? Jakie koneksje – z jaką polityczną formacją i władzą – pozwolą im współtworzyć Kościół, którego „nie przemogą bramy piekielne"?

Czy nie lepiej budować na Słowie? Zamiast rezygnować z Niego czy brać Go w nawias, z racji na równie doraźny, co wymierny skutek?

Czy można budować Kościół w oparciu o inne słowo skierowane do człowieka niż to „kocham cię"?

Odpowiedź wydaje się oczywista. A przecież ciągle nie brakuje takich momentów, kiedy ustawiamy się na dystans do Słowa – że naiwne, że nieżyciowe, że zbyt radykalne, że łatwe do zmanipulowania, że owocuje za wolno. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 XII)

Trzecia niedziela Adwentu: Iz 35, 1-6a. 10; Ps 146; Jk 5, 7-10; Mt 11, 2-11;
Poniedziałek: Lb 24, 2-7. 15-17a; Ps 25; Mt 21, 23-27;
Wtorek: Rdz 49, 1a. 2. 8-10; Ps 72; Mt 1, 1-17;
Środa: Jr 23, 5-8; Ps 72; Mt 1, 18-24;
Czwartek: Sdz 13, 2-7. 24-25a; Ps 71; Łk 1, 5-25;
Piątek: Iz 7, 10-14; Ps 24; Łk 1, 26-38;
Sobota: PnP 2, 8-14; Ps 33; Łk 1, 39-45;
Czwarta niedziela Adwentu: Iz 7, 10-14; Ps 24; Rz 1, 1-7; Mt 1, 18-24.

MARIO I PRZYJACIELE

Być może Mariusz Kamiński jest ostatnim z rewolucyjnego pokolenia, który ideały zastąpił politycznym cynizmem. Szef MSWiA staje się zaprzeczeniem samego siebie sprzed lat.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Był czwartkowy wieczór, gdy pod siedzibę Prawa i Sprawiedliwości zajechały limuzyny szefa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji Mariusza Kamińskiego i prezesa Najwyższej Izby Kontroli Mariana Banasia. Panowie przyjechali do Jarosława Kaczyńskiego, żeby uzgodnić warunki odejścia Banasia, którego kontakty z sutenerami i niejasne sprawy majątkowe ciągną PiS w dół od wielu tygodni.

To, że spotkanie jeszcze zaogniło sytuację – to jedno. Banaś był gotów odejść, ale kiedy w kolejnych dniach liderzy PiS poinformowali o tych tajnych ustaleniach, kiedy Centralne Biuro Antykorupcyjne złożyło na niego doniesienie do prokuratury, kiedy prokuratura wszczęła ekspresowo śledztwo, a wreszcie kiedy PiS wyrzucił mu syna z posady w państwowym banku – wściekł się i postanowił trwać.

Jest jednak w całej tej zdumiewającej historii o udolnym powołaniu i nieudolnym odwołaniu Banasia inny, równie ważny bohater – Mariusz Kamiński. Po prawdzie, trudno znaleźć uzasadnienie dla jego zaproszenia na Nowogrodzką na pożegnalny podwieczorek. Wszak to Kamiński i jego ludzie są najbardziej winni tej kompromitacji. To jego służby przez wiele miesięcy prześwietlały przyszłego szefa NIK – i nic nie znalazły. Albo znaleźć nie chciały, albo nie potrafiły – każdy wariant jest dla Kamińskiego dyskwalifikujący.

Na jednych doniesie, innym odpuści

W partii dominuje ten pierwszy pogląd – że Kamiński nie był szczególnie zainteresowany tropieniem Banasia. Przeciwko niemu świadczy nawet pobieżne przeanalizowanie kalendarium sprawy.

Jest 16 listopada ubiegłego roku. W Wirtualnej Polsce ukazuje się tekst Tomasza Molgi: „Domagający się podwyżek pracownicy fiskusa nie poszli masowo na zwolnienia lekarskie, jak zrobili to policjanci i strażacy. Wpadli na inny pomysł, mający na celu skłonienie swojego szefa, Mariana Banasia, do rozpoczęcia pertraktacji. Jaki? Wzięli pod lupę jego majątek... i znaleźli luki w oświadczeniach". To podwładni Banasia wytropili, gdzie znajduje się należąca do niego kamienica, wynajmowana pod usługi hotelowe. I zaalarmowali, że coś jest nie tak z rozliczeniami za ten wynajem. Kilka dni później poinformowane o sprawie CBA wszczyna „analizę przedkontrolną", czyli pierwszy etap rozpoznania oświadczenia majątkowego Banasia. W kwietniu 2019 r. rozpoczyna etap drugi, czyli kontrolę. To już nie przelewki – kontrola jest wszczynana tylko wtedy, jeśli są poważne wątpliwości co do majątku polityka czy urzędnika.

7 grudnia pytają Kamińskiego o tę sprawę posłowie opozycji. Kamiński odpowiada na odczepnego: „Analizujemy".

Dziś wiemy, że przez wiele miesięcy ludzie Kamińskiego nie znaleźli nic, dlatego w czerwcu Banaś został ministrem finansów, a w sierpniu Sejm wybrał go na szefa NIK. Wcześniej – na przełomie 2018 i 2019 r. – Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego kierowana przez Piotra Pogonowskiego, od wielu lat człowieka Kamińskiego, przedłużyła Banasiowi dostęp do materiałów ściśle tajnych. Dziś już wiadomo, że ludzie Banasia przewinęli się kiedyś przez jedną spółkę z Pogonowskim.

Czemu miałby Kamiński Banasiowi folgować? Choćby dlatego, że od lat blisko współpracują. Za pierwszego PiS, gdy idealista Kamiński stworzył CBA i potrzebował szybkich sukcesów, by się wykazać, to Banaś – wówczas szef Służby Celnej – przynosił mu gotowe sprawy, które wystarczyło tylko zakończyć. Gdy pod koniec sierpnia tego roku Banaś był wybierany na szefa NIK, Kamiński siedział za nim w rządowych ławach – i triumfował.

Ważny poseł PiS wzdycha: – Mariusz już od dawna widzi tylko to, co chce widzieć. Na jednych donosi, innym w cudowny sposób darowuje.

Ważny poseł ma powody do frustracji: wyciągniętymi z rękawa kwitami Kamiński doprowadził do dymisji jego sojusznika, Antoniego Macierewicza. Na początku 2018 r., podczas rekonstrukcji rządu, zarzucił mu przymykanie oczu na przekręty w spółkach zbrojeniowych. Macierewicz, choć jego osobistej uczciwości nikt nie kwestionuje, został usunięty

i zmarginalizowany. Krótkowzroczność dopadła za to Kamińskiego akurat przy Banasiu, którego uczciwość pozostawia wiele do życzenia. A więc może rzeczywiście zaczął widzieć tylko to, co widzieć chce? Macierewicz był konkurentem Kamińskiego, a Banaś sojusznikiem.

Stąd już tylko krok do podważenia jednego z fundamentalnych twierdzeń polskiej prawicy. To dogmat o krystalicznej uczciwości i bezkompromisowości Kamińskiego. Nawet doktryna o nieomylności Jarosława Kaczyńskiego ma w kręgach związanych z obecną władzą mniej zwolenników. Kaczyńskiemu politycznych błędów można wytknąć bez liku, za to życiorys Kamińskiego układał się dotąd prawicy w opowieść o jedynym sprawiedliwym, który rzuca wyzwanie całej podłości tego świata.

Może tak rzeczywiście było. Tyle że – co dobitnie dziś widać – władza nawet Kamińskiego zmieniła. Nie, nie jest już jak Robespierre, lider jakobinów z czasów rewolucji francuskiej, gotowy powiesić na szubienicy nawet sojuszników. Stał się politykiem: waży skutki swych decyzji, kalkuluje zyski i straty, dba o swych ludzi i ustawia rodzinę.

Miało nie być zarzutów

To dla przemiany Kamińskiego z bezkompromisowego stróża prawa w polityka o solidnych pokładach cynizmu moment kluczowy: dojście Platformy Obywatelskiej do władzy w 2007 r. Pod koniec pierwszych rządów PiS stworzone i kierowane przez Kamińskiego Centralne Biuro Antykorupcyjne przeprowadziło serię operacji przeciwko politykom PO. Abstrahując od kontrowersyjnych metod, pokazywały one niechlubne oblicze Platformy.

Nawet jeśli po latach z tych akcji niewiele zostało – sąd uniewinnił choćby oskarżoną o korupcję posłankę Beatę Sawicką, uznając metody CBA za nielegalne – to jedno trzeba Kamińskiemu przyznać: kosił równo, nie oglądając się na partyjne szyldy. Nie miał oporów, by podczas rządów PiS ścigać skorumpowanego ministra sportu Tomasza Lipca czy wicepremiera z Samoobrony Andrzeja Leppera – co pozbawiło PiS władzy, bo rozpadła się koalicja obu partii.

Dlatego też po przejęciu władzy jesienią 2007 r. lider PO Donald Tusk go nie wyrzucił, choć wielu polityków z jego partii go do tego namawiało. Wolał ↦

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

↦ straszyć swych ludzi Kamińskim, a z nim samym miał niezłe relacje. Z dawnych czasów – prawdopodobnie z okresu działalności w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów – byli na „ty".

Ale afera hazardowa wywraca ten porządek. Latem 2009 r. Kamiński informuje Tuska, że prominentni ludzie PO – na czele z szefem klubu Zbigniewem Chlebowskim i ministrem sportu Mirosławem Drzewieckim – przepychają rozwiązania prawne pod dyktando bossów z branży hazardowej. Kamiński miał taśmy z podsłuchów.

Tusk z miejsca zaczął podejrzewać, że to pułapka – z jednej strony nie mógł przywołać swych ludzi do porządku, by nie zostać oskarżonym o przeciek. Z drugiej – zrozumiał, że Kamiński ma bombę i jeśli CBA będzie kontynuować operację, to może wysadzić Platformę w powietrze.

Postanowił się Kamińskiego pozbyć. Pretekst szybko się znalazł. Od czasu pierwszych rządów PiS Kamińskim interesowała się prokuratura tropiąca nieprawidłowości podczas ówczesnych efektownych operacji. Wkrótce po rozmowie z Tuskiem Kamiński dostał wezwanie do prokuratury w Rzeszowie, która badała operacje przeciwko Andrzejowi Lepperowi.

– To było wezwanie w charakterze podejrzanego. Kiedy „Mario" nam to pokazał, wszyscy byliśmy zgodni. Rozpoczęła się egzekucja – wspomina wysokiej rangi agent CBA z tamtego czasu, bliski współpracownik Kamińskiego.

Mój rozmówca opowiada o tym, czego potwierdzenie znalazłem w aktach śledztwa. Otóż Kamiński był zdumiony. Wcześniej jeździł do Rzeszowa zeznawać i podczas nieformalnych rozmów z prowadzącym sprawę prokuratorem Bogusławem Olewińskim miał słyszeć, że zarzutów z tego nie będzie i zanosi się na umorzenie. W aktach jest kuriozalna korespondencja w tej sprawie. Gdy Kamiński zrozumiał, że prokurator postawi mu zarzuty, to z jednej strony przekonuje, że nie może się stawić na przesłuchanie, bo ma wykupione zagraniczne wczasy z synem, a z drugiej pyta, jak to możliwe, że prokurator mówił mu, że zarzutów nie będzie, a są.

Zarzuty usłyszał ostatecznie na początku października 2009 r. i Tusk z miejsca usunął go z szefostwa CBA. Kilka dni wcześniej zaprzyjaźniona wówczas z PiS „Rzeczpospolita" opublikowała fragmenty podsłuchów z afery hazardowej. Źródło przecieku było jasne. Tusk znalazł się pod ścianą – to był pierwszy poważny kryzys jego epoki. Zareagował radykalnie: wyrzucił pół rządu na czele z szefem MSWiA Grzegorzem Schetyną, który także przewijał się w podsłuchach. I zgodził się na utworzenie w Sejmie komisji śledczej, jednocześnie kontrolując jej skład. Dał publiczności pozory tego, że czyści partię i państwo.

Kamiński ma być najsilniejszym człowiekiem w Polsce.
Stoją za nim od lat specsłużby obsadzone kolegami, a teraz dodatkowo dostał pod osobiste rozkazy policję i Straż Graniczną.

Taśmowy rewanż

Czy Kamiński już podczas afery hazardowej prowadził cyniczną akcję polityczną, by pomóc PiS, czy też uczciwie wykonywał swe obowiązki kontrolne wobec Platformy – tego nie sposób rozstrzygnąć. Nawet jeśli ta historia nie była działaniem politycznym Kamińskiego, to na pewno przemieniła go w polityka.

Kamiński ciężko przeżył odejście z CBA i właśnie wtedy zaczął się przeistaczać w polityka, który za wszelką cenę chce doprowadzić swą partię do władzy. Po raz pierwszy uderzył w maju 2011 r., na kilka miesięcy przed wyborami. W wywiadzie dla nowego prawicowego tygodnika „Uważam Rze" sięgnął do swych zasobów z czasów CBA. Oznajmił, że świadek koronny Piotr K. pseudonim „Broda" złożył w 2009 r. zeznania obciążające Mirosława Drzewieckiego z PO, który był wówczas ministrem sportu. Miało z nich wynikać, że Drzewiecki utrzymywał przestępcze kontakty z gangsterami z grupy pruszkowskiej, pomagając im w praniu brudnych pieniędzy. Po czterech latach przegrał o to proces z Drzewieckim. Ale wyroku nakazującego przeprosiny nie wykonał do dziś.

Lepsza okazja do rewanżu nadarzyła się na przełomie 2013 i 2014 r. Do skarbnika PiS Stanisława Kostrzewskiego zgłosił się biznesmen Marek Falenta. Oświadczył, że ma taśmy z rozmowami polityków PO i związanych z nimi biznesmenów nagrywane w restauracjach Sowa i Przyjaciele oraz Amber Room.

Na najwyższym szczeblu PiS zapadła decyzja, że ludzie Kamińskiego – których zabrał ze sobą z CBA, zatrudniając w partii i jej przybudówkach jako swoisty wywiad oraz kontrwywiad PiS – mają sprawdzić Falentę. Sprawdzenie dało efekt pozytywny. Znali go agenci związani z Kamińskim wciąż pracujący we wrocławskiej delegaturze CBA – utrzymywali z Falentą kontakty operacyjne. Falenta był m.in. informatorem Jarosława Wojtyckiego, a to jeden z ludzi Kamińskiego. Postępowanie wewnętrzne, które już po wybuchu afery zlecił ówczesny szef CBA Paweł Wojtunik, wykazało, że Wojtycki wiedział o nielegalnych nagraniach i kontaktował się z otoczeniem Kamińskiego. Po dojściu do władzy PiS Wojtycki dostał awans.

Ale czy to Kamiński lub jego ludzie dokonali przecieku do tygodnika „Wprost", który zaczął publikować stenogramy rozmów? Na to dowodów nie ma. Bez wątpienia jednak dawny Kamiński, dowiedziawszy się o nielegalnym nagrywaniu najważniejszych ludzi w państwie, poszedłby do prokuratury. Ten nowy, rodzący się, jednostronny politycznie – wybrał grę wokół taśm.

I cel polityczny osiągnął: Platforma po tej aferze się nie pozbierała. Donald Tusk uciekł do Brukseli, a wykrwawiająca się partia w 2015 r. straciła rząd i prezydenta. Zwyciężył PiS. Ale nade wszystko zwyciężył Mariusz Kamiński.

Pawłowicz pomogła go skazać

Mógł przystąpić do rewanżu. Wiadomo było, czym zajmie się w nowym rządzie – dostał nadzór nad służbami specjalnymi. Był jednak kłopot – Kamiński wraz z trzema dawnymi druhami z CBA miał wyrok. Nieprawomocny, bo nieprawomocny – ale jednak.

We wspomnianej sprawie rzeszowskiej dotyczącej przekroczenia uprawnień w sprawie Leppera wiosną 2015 r. usłyszał drakoński wyrok 3 lat więzienia i 10-letniego zakazu zajmowania stanowisk publicznych. Jego zastępca i wieloletni kumpel Maciej Wąsik też dostał

3 lata, a dwaj dyrektorzy z CBA – Grzegorz Postek i Krzysztof Brendel – po 2,5 roku. Zostali zresztą skazani m.in. dzięki analizie prawnej prof. Krystyny Pawłowicz, która wtedy jeszcze nie była posłanką PiS. Jej zdaniem nielegalnie wytwarzali dokumenty.

Kamiński publicznie zarzekał się, że nie będzie się starał o ułaskawienie u świeżo upieczonego prezydenta Andrzeja Dudy. Już wówczas jednak i jego ludzie, i prawnicy Dudy pracowali nad tym ułaskawieniem. Ostatecznie już po wyborach sejmowych, 16 listopada 2015 r., wieczorem – jak to było wówczas popularne – prawnicy Dudy ogłosili ułaskawienie wszystkich skazanych. Sąd Najwyższy co prawda uznał, że prezydent nie może ułaskawić skazanych nieprawomocnie, ale przejęty przez PiS Trybunał przyklepał decyzję Dudy.

Lawirowanie w sprawie ułaskawienia to był kolejny sygnał ostrzegawczy, że mamy do czynienia z Kamińskim, który nade wszystko dąży do realizacji swego politycznego celu.

Kolejne miesiące to potwierdziły. Gdy wiosną 2016 r. rząd PiS zorganizował w Sejmie „audyt" rządów PO, Kamiński grał w nim pierwsze skrzypce. Zarysowany przez niego z sejmowej mównicy obraz rządów PO był dramatyczny – inwigilacja opozycji i dziennikarzy, tolerancja dla korupcji, nepotyzm i kolesiostwo.

Z masy zapowiadanych w audycie prokuratorskich doniesień wiele nigdy nie trafiło do prokuratury. A te, które trafiły, zazwyczaj kończyły się niczym. W tej nicości zasadniczy wkład miał właśnie Kamiński.

Abnegat dbający o rodzinę

Dziś widać wyraźnie, że Kamiński już dawnym „Mariem" – ponadpartyjnym antyzłodziejskim radykałem – nie jest. Nie chodzi przy tym tylko o niedostrzeganie rzeczy niekorzystnych dla partii. Nie chodzi o brudną robotę wykonywaną w imieniu partii – jak podczas afery taśmowej czy groteskowego „audytu".

Chodzi także o to, co Kamiński robi dla Kamińskiego. Przez lata „Mario" zbudował mit abnegata, którego dobra doczesne nie dotyczą. W latach 80. był studenckim opozycjonistą w jednych portkach, a po upadku komuny stał się szeryfem w sfilcowanym kapeluszu, z tanim papierosem w zębach. Gdy ekipa PO wyrzucała go z CBA, nie chciał przyjąć 130 tys. zł odprawy, ostatecznie przekazał ją na Caritas.

Wszystko to, co dotyczy osobistego statusu materialnego Kamińskiego, się nie zmieniło. Ale już sposób podejścia do finansowych potrzeb rodziny i towarzyszy uległ drastycznej zmianie. Gdy wpłacał swą odprawę na kościelną organizację charytatywną, usuwani z nim z CBA towarzysze w pośpiechu wypłacali sobie odprawy w gotówce, upychając banknoty w pudełkach. Obawiali się, że nowe szefostwo CBA cofnie im te dziesiątki tysięcy.

Po powrocie PiS do władzy okazało się w dodatku, że Kamiński nie odróżnia się od szwadronów polityków partii upychających swych powinowatych na lukratywnych stołkach. Najmniejszy kłopot jest z konkubiną. To adwokatka w zaufanej kancelarii PiS, której prawnicy dostają zlecenia m.in. od Polskiej Fundacji Narodowej. Większy kłopot jest z synem. Ku zaskoczeniu Kaczyńskiego okazało się, że Kacper Kamiński dostał z nadania NBP posadę w Banku Światowym. Zarobki – około pół miliona złotych rocznie. Doświadczenie? Dzięki pozycji taty pracował w centrali partii, partyjnej spółce „Srebrna" i delegacji PiS do Parlamentu Europejskiego. Z kolei Anna Kamińska (Kasprzyszak) – była żona Mariusza, matka Kacpra – znalazła dyrektorski stołek bezpośrednio w NBP, kierowanym przez Adama Glapińskiego z PiS. Zarobki? Niemal 40 tys. zł miesięcznie.

Sprawa syna i byłej żony stała się kłopotliwa, gdy rok temu wybuchła afera Komisji Nadzoru Finansowego, czyli korupcyjna propozycja, którą szef KNF Marek Chrzanowski – człowiek Glapińskiego – złożył miliarderowi Leszkowi Czarneckiemu. W sprawie Chrzanowskiego CBA zachowywało się zdumiewająco opieszale. Rola Glapińskiego także nie była drążona. Wtedy po raz pierwszy pojawiły się wątpliwości, które dziś – przy sprawie Banasia – powracają ze zdwojoną siłą: czy CBA mruży oczy tam, gdzie Kamiński ma swą rodzinę lub swych ludzi?

Na drodze do superresortu

Nie, żeby to wszystko poważnie komuś w PiS przeszkadzało. Bardziej przeszkadzał Kamiński pryncypialny – bo był nieobliczalny. Dlatego na pozór niezrozumiałe wzmocnienie go w nowym rządzie poprzez oddanie mu w jasyr MSWiA jest absolutnie logiczne.

Kamiński ma być najsilniejszym człowiekiem w Polsce. Stoją za nim od lat specsłużby obsadzone kolegami, a teraz dodatkowo dostał pod osobiste rozkazy policję i Straż Graniczną. Żeby to uzyskać, doprowadził do dymisji wieloletniego wiceszefa MSWiA Jarosława Zielińskiego, który zamienił obie służby w swój folwark. Do tej pory żadnemu szefowi resortu nie udało się załatwić tej dymisji – a przecież poprzednikami Kamińskiego byli zaufani prezesa PiS Mariusz Błaszczak i Joachim Brudziński.

Cel ma jeden: stworzenie mniej lub bardziej formalnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Narodowego. Kiedy dwa lata temu po raz pierwszy zgłosił pomysł powołania takiego superresortu, szefostwo PiS uznało, że to zbyt ryzykowne. Rzeczywiście, projekt ustawy był brawurowy. Nowy twór miał być jednocześnie wywiadem, kontrwywiadem, formacją zwalczającą terroryzm oraz superpolicją. I taki właśnie jest wymarzony model Kamińskiego, który teraz będzie próbował wprowadzić w życie. Za pieniądze, które państwo powinno przeznaczyć na pomoc ofiarom przestępstw, już kupił superzabawkę – izraelski program Pegasus do perfekcyjnej inwigilacji.

Odmieniony, wzmocniony Kamiński to bat na opozycję. Już pokazał, że potrafi wykorzystywać urobek służb do robienia polityki. Magazynował machlojki polityków opozycji tak, aby przydały się przed wyborami. Sprawa Stefana Niesiołowskiego – oskarżonego o nielegalny lobbing w zamian za finansowanie jego ekscesów seksualnych – leżała na półkach CBA przez 3 lata, zanim została odpalona na początku tego roku. Doniesienie w sprawie nieprawidłowości w oświadczeniach majątkowych Sławomira Neumanna, byłego szefa klubu PO, poszło do prokuratury latem, tuż przed wyborami parlamentarnymi – choć Neumann był pod lupą służb od kilku lat.

Ale nie tylko opozycja powinna się mieć na baczności. Z takim ministrem każdy premier musi się liczyć albo się go bać. Zwłaszcza Mateusz Morawiecki, który wolałby Kamińskiego z rządu usunąć, niż dodawać mu władzy.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Na cmentarzu też jest porządek

JACEK TARAN

Nie boję się wyjścia na scenę. Dopiero jak tam stoję i zaczynam myśleć o domu, o zabitym synu, o mamie, to przychodzi strach. Boję się wojny – mówi Heda, uchodźczyni z Czeczenii grająca w sztuce „Popytka”

W języku rosyjskim to słowo oznacza próbę. Określa również bezprawną procedurę stosowaną na granicy Polski i Białorusi: uchodźcy są przesłuchiwani przez pograniczników, którzy decydują, kto może wjechać do Polski, a kto nie. Przez tę „popytkę” czeczeńskie kobiety przechodziły po dziesiątki razy, aż w końcu miały szczęście trafić na lepszy dzień polskiego oficera – wtedy wpuszczał do Polski. *Popytka* – w tym słowie kryje się jeszcze jedno: *pytka* – po rosyjsku tortura.

Wybrałam Polskę

Kobiety są cztery. Rosjanka i trzy Czeczenki. Marina Hulia, Heda Debirova, Milana Goytamirova, Madina Mazalieva. Różne losy, różne historie, ale łączy je wszystkie los matek uchodźczyń.

Marina przyjechała do Polski ponad 20 lat temu jako – jak sama siebie określa – uchodźca ekologiczny. Przemysł chemiczny w rodzinnych Czerkasach na Ukrainie doprowadził jej córkę do ciężkiej choroby. – Moje dziecko zionęło acetonem. Cmentarz zaczynał być większy niż miasto. Musiałam uciekać, wybrałam wtedy Polskę, bo mogłam tu pracować jako nauczycielka języka rosyjskiego.

Pracowała też w ministerstwie edukacji jako pełnomocnik ds. dzieci cudzoziemskich. Po wyborach w 2015 r. nowa władza zredukowała jej stanowisko, bo przecież w Polsce takich dzieci nie ma. Od tamtej pory całkowicie poświęca się pracy społecznej. Zajmuje się więźniami, bezdomnymi, uchodźczyniami z Czeczeni. Na dworcu w Brześciu stworzyła nieformalną „Szkołę Demokratyczną” – dzieci koczujące tam wraz z matkami uczyła języka polskiego. Tam poznała też Milanę i Madinę.

Heda przyjechała do Polski w 2003 r., kiedy ciągle trwała druga wojna czeczeńska. – Gdy mój najstarszy syn zginął od odłamka bomby, to nie chciałam już czekać, aż zginą moje młodsze dzieci. Nie miałam też siły żyć dalej z mężem sadystą. Wzięłam dzieci i uciekłam od niego.

Milana i Madina są sporo młodsze od Hedy. W Polsce od czterech lat, za sobą mają „popytkę” i doświadczenie koczowania na granicznym dworcu.

Żywe działania

W poznańskiej Scenie Roboczej, gdzie wystawiono spektakl, ulokowana centralnie scena daje widzom poczucie uczestnictwa w rozgrywających się aktach przedstawienia. W świat czeczeńskiej traumy wprowadza nas Marina krótkim wspomnieniem swojego dzieciństwa w Związku Radzieckim. Jako dziewczynka śpiewała w pociągu wojenne piosenki dla weteranów wielkiej wojny ojczyźnianej. Teraz śpiewa wielkie przeboje Związku Radzieckiego – piosenki Pugaczowej i znienawidzoną przez siebie propagandową piosenkę radzieckich pionierów „Zawsze niech będzie słońce”. Po chwili światło gaśnie, a pompatyczne sowieckie melodie przechodzą w niepokojące, naznaczone strachem głosy kobiet – wypowiadane po czeczeńsku kwestie mieszają się z muzułmańską modlitwą, dźwiękami kolejowego dworca i odgłosami, które trudno zidentyfikować. Na scenie pojawiają się Madina, Heda i Milana.

Scenografia sprowadzona jest do minimum – puste butelki, pochylnie z surowych desek, rozrzucone buraki. Weronika Fibich, reżyserka przedstawienia, tłumaczy: – Nie lubię nazywać tego spektaklem. To są żywe działania, to performance zbudowany z symboli wynikających bezpośrednio z ich przeżyć, z ich pamięci. Dlatego poszczególne sekwencje zawierają w sobie wiele warstw, z których jedynie część może być zrozumiała dla widza. Tylko my wiemy, ile w scenie, w której kobiety przerzucają ubrania, wynikło z procesu pracy z pamięcią, bo z każdą bluzką wiążą się bolesne przeżycia. Gdy pochylają się nad białym materiałem, pochylają się nad bliskimi, nad światem, o którym trzeba milczeć. Kolor biały w Czeczenii oznacza żałobę – w ten sposób tworzą się kolejne warstwy.

Pomysł przedstawienia z udziałem uchodźczyń zrodził się kilka miesięcy wcześniej w kaszubskiej wsi Gołczewo. Weronika Fibich poznała tam Marinę Hulię i historię kobiet koczujących na dworcu w Brześciu. – Poczułam, że warto spróbować pokazać tę otwartość, tworząc projekt z udziałem świadków zdarzeń, o których będę opowiadać. Zobaczyłam scenę, w której one dzieliły między siebie ciuchy otrzymane od kogoś w paczkach. Były nieskrępowane, dostrzegłam natychmiast tę symbolikę. Pokazałam im moje wcześniejsze prace – z bezdomnymi, kibicami, stoczniowcami. Powiedziałam im, że chcę opowiedzieć ich historie. Wiedziałyśmy, że to nie może być powiedziane wprost – to muszą być tylko impulsy, sygnały, które uruchomią odpowiednie struny w odbiorcach.

Fibich nie pierwszy raz sięga do tematów związanych z uchodźstwem i doświadczeniami emigracyjnymi. W 2016 r. zrealizowała sztukę „Pobyt tolerowany” (funkcjonujący do niedawna termin prawny określający stan uchodźcy czekającego na pozwolenie na pobyt w Polsce). Opowiadane tam historie rozgrywały się w prywatnych mieszkaniach. – To były opowieści o innym, obcym. Ktoś wchodził do twojego domu i na kilka godzin lub dni przejmował rolę gospodarza. A ty musiałeś zachować się tak jak gość, dostosować się do zasad wyznaczonych przez niego. Czułeś, że twój pobyt jest tu ledwie tolerowany, warunkowany. Widzami tej akcji byli często przypadkowi ludzie, sąsiedzi, mieszkańcy okolicznych kamienic.

Boicie się nas czy o nas?

„Popytka” to też opowieść o przekraczaniu granicy intymności i akceptacji. Czeczenki zapraszają publiczność do wejścia

JACEK TARAN

„Popytka" – spektakl w reżyserii Weroniki Fibich

w ich życie, do wkroczenia w ich emocje, w wspomnienia – do rzucania burakami w butelki jak w grze w kręgle, do grzebania w workach z ciuchami. Każą im wsłuchiwać się w brzęczenie pszczół, które są jednym z najważniejszych wspomnień z dzieciństwa Hedy – jej ojciec był pszczelarzem. Zaciera się granica pomiędzy sceną a publicznością, pomiędzy tym co obce, inne, a tym co nasze i oswojone. Przesuwają się granice akceptacji i tolerancji, znika strach. Koleje życia zaczynają się wzajemnie splatać, jak w tej scenie, w której Czeczenki z pociętych fragmentów fotografii swoich twarzy układają nową twarz.

To współdziałanie, wciągnięcie publiczności we wspólne przeżywanie traumy wyzwala emocje. Na koniec spektaklu padają pytania – czego się bocie? Naszych chustek? Czemu boicie się muzułmanów? Boicie się nas czy o nas? Publiczność chętnie tę próbę podejmuje – po spektaklu ludzie podchodzą do kobiet z Czeczenii, obejmują je, przytulają, płaczą.

Według Mariny Hulii spektakl jest dowodem, że nie miejsce rządzi człowiekiem. Można żyć, kochać, malować w więzieniu, na uchodźstwie. – Nieważne, czy jesteś z Czeczenii, czy z zapyziałego miasteczka na Ukrainie, bo jeżeli masz w sobie szczerość i coś do powiedzenia, to można zrobić to w sposób dojmujący.

Widzi też przemianę, jaka zaszła w kobietach, odkąd są w Polsce. – Udział w tym przedstawieniu jest kolejnym etapem w ich wyzwoleniu się od terroru, od jarzma mężów sadystów i w drodze do samostanowienia. One już nie pozwalają się obrażać, poniżać. Potrafią zadbać o swoją godność.

Ile wejdzie do kraciastej torby

Po przedstawieniu Wojciech Jagielski, wieloletni korespondent wojenny i autor m.in. książki o Czeczenii („Wieże z kamienia"), opowiadał o swoich doświadczeniach, ale też o obecnej sytuacji na Kaukazie. Tłumaczył, dlaczego ludzie uciekają z Czeczenii, choć formalnie nie ma tam wojny. – Ramzan Kadyrow, obecny prezydent Czeczenii, to zaufany człowiek Putina. Stroi się w piórka dobrego i pobożnego muzułmanina. W swoich wystąpieniach często podkreśla swoje przywiązanie do tradycji, do historii narodu czeczeńskiego, a w kraju wprowadza terror. Kobieta, która spodoba się wysokiemu urzędnikowi, może być bezkarnie porwana z ulicy. Jeśli ma narzeczonego, to tym gorzej dla niego, szybko wyląduje w więzieniu z jakimś spreparowanym zarzutem. Trwa bezustanna nagonka na homoseksualistów. Co z tego, że pozornie panuje tam porządek? Na cmentarzu czy w więzieniu też panuje porządek, ale żyć tam się nie da.

Wojna zniszczyła ład społeczny. Rozpadły się więzy rodzinne, zanikły tradycyjne role – to kobiety wzięły na siebie ciężar i obowiązek utrzymania rodziny, zapewnienia bezpieczeństwa. To, co w mocno tradycyjnych i konserwatywnych społeczeństwach uchodzi za hańbę dla mężczyzny, w Czeczenii dla wielu rodzin stało się niemal codziennością. Ojcowie niejednokrotnie po ciężkich przejściach wojennych, często uzależnieni od alkoholu czy narkotyków, pozbawieni pomocy psychologicznej, rekompensują sobie frustrację przemocą. Kobiety nie mogą liczyć ani na pomoc państwa, ani na rozwód, a jeśli nawet uda im się odejść od męża (przynosząc tym samym hańbę swojej rodzinie), to zgodnie z czeczeńskim prawem dzieci zostają w rodzinie mężczyzny. Dlatego biorą dzieci – i gdy tylko nadarzy się okazja, uciekają zabierając ze sobą tyle, ile zmieszczą do kraciastej torby.

Jagielski zwraca też uwagę na to, że wojna odebrała im zdolność planowania. – Człowiek zaczyna myśleć w krótkiej perspektywie. Nie można przecież niczego zaplanować. Nie można się zakochać, marzyć. Wojna zabiera marzenia.

Tę umiejętność można odzyskać, gdy odbuduje się poczucie bezpieczeństwa i akceptacji. Język teatru okazuje się tu zaskakująco dobrym wyborem. Kobiety z Czeczenii w Polsce potrafią na nowo marzyć. – Marzę o mieszkaniu. Zdaję sobie sprawę, że to przyziemne, ale mieszkamy w siedem osób na dwudziestu metrach kwadratowych. A jak będę miała większą przestrzeń do życia, to może i marzenia nabiorą większego rozmachu – mówi Milana Goytamirova. ©

Od 2020 r. „Popytka" wchodzi na stałe do repertuaru w Nowym Teatrze w Warszawie.

Chleb nasz spowszedniały

MAREK RABIJ

Marnowanie żywności, trawestując Talleyranda, to nie błąd współczesnego kapitalizmu, który rozrzutność uczynił cnotą. To zbrodnia – także na samej żywności.

Na najwyższej półce znalazłem serek wiejski. Stał wciśnięty w kąt lodówki, za sokiem malinowym i trzema napoczętymi słoikami z konfiturą domowej roboty. Sądząc po wybitej na opakowaniu dacie przydatności do spożycia – 11 listopada 2019 – tkwił tam od co najmniej kilku tygodni.

Poniżej – jogurt. Nieruszony, częściowo tylko zgnieciony przez inne produkty wpychane pewnie w pośpiechu do lodówki. Powinniśmy go zjeść najpóźniej 26 listopada, ale nie doczekał się tego zaszczytu. Podobnie jak ćwierć kostki masła w pozłotku i kawałek wyschniętego już cheddara, zawieruszony za słoikiem z resztką suszonych pomidorów, o którym – prawdę powiedziawszy – również zdążyliśmy zapomnieć.

Lustracja półek na drzwiach lodówki zaowocowała odkryciem jajka, które kiedyś chyba ugotowaliśmy na twardo, chociaż nikt z domowników nie umiał sobie przypomnieć kiedy – i czy na pewno. W szufladzie na warzywa do grona lo-

dówkowych weteranów dołączył zwiędły por oraz osiem ziemniaków o konsystencji zbliżonej do starej gąbki.

Przyszła wreszcie kolej na inspekcję zamrażalnika. Kiedy wyjąłem zeń pudełko z zamrożonym pół roku temu bulionem warzywnym, olśniło mnie, że schowałem tam wtedy również pół kilo świeżo łuskanego groszku, który wtedy pachniał latem. Teraz przybrał odstręczającą zielonkawo-szarą barwę. Obok leżała równie nieapetyczna wędlina w plastrach, trudna do zidentyfikowania przez pokrywającą ją glazurę szronu. Filety z dorsza, wciąż w oryginalnym opakowaniu, dało się rozpoznać od razu. Niestety – wraz z datą przydatności do spożycia, która minęła z ostatnimi feriami zimowymi.

W sąsiadującej z lodówką szafce znalazłem jeszcze sześć saszetek z rozmaitymi ryżami i kaszami oraz słoik z ciecierzycą w zalewie, która wraz z datą przydatności pod koniec zeszłego roku straciła ostatnią szansę na metamorfozę w humus czy choćby sałatkę.

Internetowy kalkulator kalorii i tabele składników odżywczych na opakowaniach pozwoliły łatwo zsumować skalę marnotrawstwa. W lodówce i szafkach z zapasami popsuła się nam porcja żywności, która zdrowemu mężczyźnie prowadzącemu aktywny tryb życia wystarczyłaby na trzy dni.

8172 kilokalorie – oto nasz skromny rodzinny wkład w globalny wysiłek marnowania żywności. Jeśli rację mają ekonomiści pracujący dla ONZ, każdego dnia na świecie na śmietnikach ląduje pełnowartościowe jedzenie, które populacji Polski wystarczyłoby na 66 lat dostatniego życia.

Bez poszanowania

Dariusz, pracownik jednej z krakowskich firm wywożących śmieci, zdecydowanym ruchem podczepia do podnośnika brązowy pojemnik na bioodpady wystawiony przed nasz dom. – Nie, żebyśmy za każdym razem sprawdzali, co jest w środku – zastrzega, przekrzykując grzechot śmieciarki, która pochłania właśnie zawartość kontenera. – Ale i bez zaglądania widać, co ludzie wyrzucają do pojemników bio. Całe bochenki chleba. Owoce. Czasem te, co lądują w śmieciach, wyglądają apetyczniej od tych na półce w sklepie, bo są dojrzalsze. Kilka dni temu ktoś wywalił do kosza całą mrożoną kaczkę. Nawet foliowego opakowania z niej nie zdjął – wylicza.

235 kilogramów – w przybliżeniu tyle jedzenia, zdaniem analityków firmy doradczej Deloitte, marnuje co roku każdy mieszkaniec Polski. Pod tym względem plasujemy się wysoko, bo na piątym od góry miejscu wśród wszystkich nacji Unii Europejskiej – i niestety, z perspektywą awansu w tym niechlubnym rankingu. Odsetek osób, którym „zdarza się wyrzucać żywność", nadal rośnie. W 2016 r. takiej odpowiedzi w badaniu przeprowadzonym na zlecenie Federacji Polskich Banków Żywności udzieliło 31 proc. respondentów. W 2016 r. – 34 proc. W zeszłym roku – 42 proc.

Darek: – Możliwe, że to prawda. Ja tego w każdym razie nie widzę. Może dlatego, że dopiero od paru miesięcy mamy w Krakowie oddzielne pojemniki na bioodpady? A może po prostu dlatego, że od dawna jest tego tyle, że człowiek przestał zwracać uwagę na wyrzucane jedzenie.

Z podobnymi problemami mierzą się statystycy, którzy próbują oszacować skalę marnowania żywności w Polsce. Od kilku lat w kolejnych analizach pojawia się wzmianka o ok. 9 mln ton, ale sami badacze zastrzegają, że są to bardziej szacunki niż obliczenia. Jak mówi Paulina Kaczmarek z Deloitte, ↦

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

Poradnik: przesyp lub wysusz

JEŚLI NA DNIE PACZKI ZOSTANIE Wam pokruszony makaron lub porcyjka zbyt mała dla choćby jednej osoby, przesypcie te resztki do słoja. Po kilku tygodniach uzbiera się w nim oryginalna mieszanka makaronów różnych kształtów, w sam raz na zapiekankę lub włoską frittata di maccheroni, którą na tych łamach polecał jakiś czas temu Paweł Bravo.

Warto przyswoić sobie ten prosty przepis, bo pomoże zagospodarować także resztki gotowej pasty już zmieszanej z sosem; śmiem twierdzić, że frittata najlepiej smakuje właśnie zrobiona z wczorajszych resztek, które zdążyły się przegryźć.

Ugotowany i wystudzony makaron przekładamy więc do miski i zalewamy skłóconym jajkiem z dużą ilością startego pecorino lub parmezanu. Jeśli sos do makaronu powstał na bazie pomidorów, dobrym dodatkiem będą marynowane kapary, mozzarella lub świeża bazylia. Jeżeli sos był biały, np. na bazie śmietany, do jajek dodajemy właśnie śmietanę oraz odrobinę prawdziwego sosu sojowego (unikajmy podróbek na bazie karmelu, które smakują inaczej i często zawierają dużo konserwantów).

Całość przekładamy następnie na delikatnie natłuszczoną i niezbyt gorącą patelnię, przykrywamy i smażymy, a raczej podgrzewamy stopniowo, aż masa jajeczna zetnie się i zwiąże makaron. Frittata powinna dać się pokroić na kawałki jak pizza.

Powyższy przepis pochodzi oczywiście z bogatego arsenału włoskiej *cucina povera*. Podobne sztuczki można spotkać także na talerzach innych kultur. Gdy po posiłku zostaje ugotowany ryż, nie jesteśmy skazani wyłącznie na mdłą zapiekankę z jabłkami i cynamonem. Można też przesmażyć go na chińską modłę, czyli krótko i na mocnym ogniu, z cienko pokrojonymi warzywami i z rozkłóconym jajkiem wlanym pod koniec na patelnię. Jeżeli zostało go za mało na nowe danie, spróbujcie, zamiast wysypywać go do kosza, sztuczki rodem z indyjskich i bangladeskich slumsów, gdzie jedzenie traktuje się nadal z nabożeństwem. Ugotowany i wystudzony ryż rozkładamy jak najcieńszą warstwą na pergaminie na blasze do pieczenia, rozdzielamy widelcem większe grudki i wkładamy do piekarnika ustawionego na 90 stopni na około 3-4 godziny. Po takim zabiegu można przesypać go do pudełka i przechowywać do czasu, aż przy następnej okazji znów potrzebny będzie nam ryż. Wysuszone ziarna dodajemy wtedy pod koniec gotowania do świeżych.

DOMENA PUBLICZNA

©℗ MR

Unia Europejska dopiero wzięła się za stworzenie standardu badań. W Polsce przed kilkoma miesiącami tematem na poważnie zajęła się także Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, która wraz z Instytutem Ochrony Środowiska spróbuje zbadać ten proceder na wszystkich etapach: od produkcji i dystrybucji, kończąc na gospodarstwach domowych oraz w gastronomii. Opinia publiczna za głównego winowajcę już dawno uznała wielkie sieci handlowe, a politycy w ślad za nią we wrześniu br. uchwalili ustawę nakładającą na wielkie sklepy m.in. obowiązek przekazywania niesprzedanego jedzenia na cele charytatywne. Organizacja EU Fusion działająca dla Komisji Europejskiej wskazuje tymczasem na gospodarstwa domowe, które zdaniem badaczy odpowiadają za aż 53 proc. żywności trafiającej przedwcześnie na śmietniki Europy. Na drugim miejscu plasuje się przetwórstwo spożywcze (19 proc.), na trzecim i czwartym – odpowiednio gastronomia (12 proc.) i produkcja (11 proc.). Najmniejszym marnotrawcą w tym zestawieniu paradoksalnie okazuje się handel, który odpowiada za „jedynie" 5 proc. strat.

POLSKA

235

tyle kilogramów żywności wyrzuca co roku przeciętny Polak. I ta liczba rośnie

ŚWIAT

1,3 mld

ton żywności marnuje się rokrocznie na całym świecie

ZIEMIA

250 bln

litrów wody zużywa się co roku do produkcji żywności, która trafia na śmietniki; to 14 razy więcej, niż mieszczą wszystkie jeziora w Polsce

Ci, którzy żyją z produkcji żywności, nadal podchodzą więc do niej z jako takim respektem. Za to dla tych, którzy za nią płacą, jedzenie przestało być darem, który zasługuje na poszanowanie.

Jęczmień na giełdzie

Mały Rocznik Statystyczny z 1939 r. podaje, że przeciętne zarobki miesięczne osób objętych ubezpieczeniem emerytalnym w ZUS wynosiły w 1935 r. 102,77 zł. Za tę kwotę można było wówczas kupić 394 bochenki chleba lub 57 jaj. Dziś przeciętna pensja brutto to 5084 zł, co stanowi równowartość ceny detalicznej 1065 bochenków albo ponad 12 tys. jajek. W odniesieniu do najpopularniejszego polskiego mięsa, jakim była i nadal jest wieprzowina, siła nabywcza średniego polskiego wynagrodzenia wzrosła z 68 do ponad 390 kg.

W zglobalizowanej gospodarce żywność również potaniała na globalną skalę. W Stanach Zjednoczonych statystyczne gospodarstwo domowe przeznacza dziś tylko 6,9 proc. swojego budżetu na zakup jedzenia – blisko cztery razy mniej niż na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego wieku. W Europie żywność jest nieco droższa, bo lepsza jakościowo, ale zakupy spożyw-

Poradnik: namocz lub przesmaż

CZERSTWIEJĄCY CHLEB BYWA CIEKAWSZY dla kucharza od świeżego! Po pierwsze, można go „zreanimować", kładąc kromki na patelni, na której stopiliśmy szczodrą porcję masła (może z ząbkiem czosnku?) i podgrzewając je na malutkim ogniu pod przykryciem – po dwóch minutach trzeba przewrócić na drugą stronę, po kolejnych dwóch będą już miękkie – a jeśli lubimy lekko chrupiący i „grzankowy" posmak spalenizny, to pod koniec warto na krótko zwiększyć ogień i zdjąć pokrywkę.

Ale co zrobić, kiedy nie mamy ochoty na grzanki? Pokrojony w drobną kostkę miękisz czerstwego chleba (dowolnego, także razowego) jest świetnym wypełniaczem w dwóch wariantach. Po pierwsze na ciepło do omletów i wszelkich potraw, które składają się z masy jajecznej zapiekanej lub smażonej z warzywami, wędliną itd. Garść chlebowych ułomków rzucona już po wylaniu do masy na patelnię lub do formy sprawi, że frittata stanie się bardziej sycąca, zwiększy objętość i zadowoli większą liczbę stołowników. W takim wypadku warto dodać do jajek i całej reszty trochę śmietanki albo mleka, żeby masa była bardziej płynna.

Po drugie, uczmy się od Toskańczyków, którzy zamieniają sałatkę warzywną w bardzo pożywne danie obiadowe na upalne dni, robiąc tzw. panzanellę. Zasada jest prosta: kromki czerstwego chleba zwilżamy mieszaniną 1:1 wody i octu winnego, potem kroimy do miski dowolne warzywa, na jakie mamy ochotę, dbając, by znalazły się wśród nich także „mokre", jak świeży ogórek czy pomidor. Solimy, doprawiamy wedle upodobań, po czym palcami wkruszamy dużą ilość nasączonego miękiszu, intensywnie mieszamy, żeby się jak najbardziej rozdrobnił, odstawiamy koniecznie na godzinę.

No i wreszcie magiczny deser, dla którego warto specjalnie zostawić trochę chleba, by się zsechł. Bread and butter pudding. Topimy 70 g masła i nasączamy nim czerstwe kromki w ilości potrzebnej, by ułożyć trzy warstwy w żaroodpornej formie średnicy ok. 20 cm, posypując między nimi garść namoczonych rodzynek. Zalewamy to mieszaniną 400 ml mleka z wanilią, 3 jajek i 70-80 g cukru, czekamy, aż dobrze nasiąknie, i pieczemy w 160 stopniach przez godzinę pod przykryciem, odsłaniając na ostatnie minuty, by skarmelizować wierzch. Zaraz po wyjęciu z pieca mamy jeszcze wrażenie, że jemy słodki, mokry chleb, ale po nocy całość zamienia się w prawdziwy, jednorodny pudding. ©℗ PB

DOMENA PUBLICZNA

cze wciąż nie stanowią ważnej pozycji w wydatkach domowych. OECD szacuje, że przeciętny Niemiec przeznacza na ten cel tylko 11,4 proc. dochodów. W Polsce na żywność wydajemy więcej, bo około 20 proc. budżetu domowego. Ale jeszcze na początku lat 90. szła na ten cel co druga zarabiana złotówka!

Globalna era taniego jedzenia rozpoczęła się właśnie w latach 90. zeszłego stulecia, wraz ze śmiercią tradycyjnego rolnictwa, którego miejsce zajęła wielkopowierzchniowa produkcja i hodowla prowadzona metodami przemysłowymi. Produkty rolne przestały być tylko żywnością. Ich wolnorynkowym alter ego stały się tajemnicze skróty, którymi na giełdach towarowych oznacza się niemal wszystko, co da się zjeść, a więc i sprzedać: kukurydzę, sok pomarańczowy, wieprzowinę, soję, owies, mleko sojowe, wołowinę, pszenicę, ryż. Jeszcze w 2010 r. na każde 100 kontraktów terminowych, zawartych na 69 największych giełdach świata, jedynie sześć stanowiły umowy, których przedmiotem były produkty rolne. Od tamtej pory ich liczba rośnie w średnim tempie około 28 proc. rocznie.

Tego typu zabawa opłaca się jednak wyłącznie na wielką skalę. Dlatego przyspieszyć musiała również produkcja, a raczej nadprodukcja żywności. Amerykańska agencja FDA zarządzająca rynkiem spożywczym USA szacuje, że od początku lat 70. globalna produkcja kukurydzy potroiła się ze 140 do 420 mld litrów.

Zastosowanie herbicydów, nawozów sztucznych i innych sztuczek rolniczej inżynierii sprawiło, że średnia wydajność upraw kukurydzy tylko w latach 1990–2015 wzrosła w USA z 4,1 do 5,3 tys. litrów ziarna. Po chemię sięgnęli oczywiście również producenci żywności przetworzonej; w końcu niedrogi, łatwo dostępny surowiec nie jest żadnym argumentem za tym, by tanio sprzedawać wyprodukowane także z nich towary.

Sprzedaż detaliczna w branży spożywczej na całym świecie jest polem wściekłej rywalizacji na marże rzędu 1-3 proc. W tych warunkach dobra jakościowo żywność bez wspomagaczy smaku, sztucznych barwników czy solanek zwiększających ciężar produktu musi stać się niszowym produktem premium.

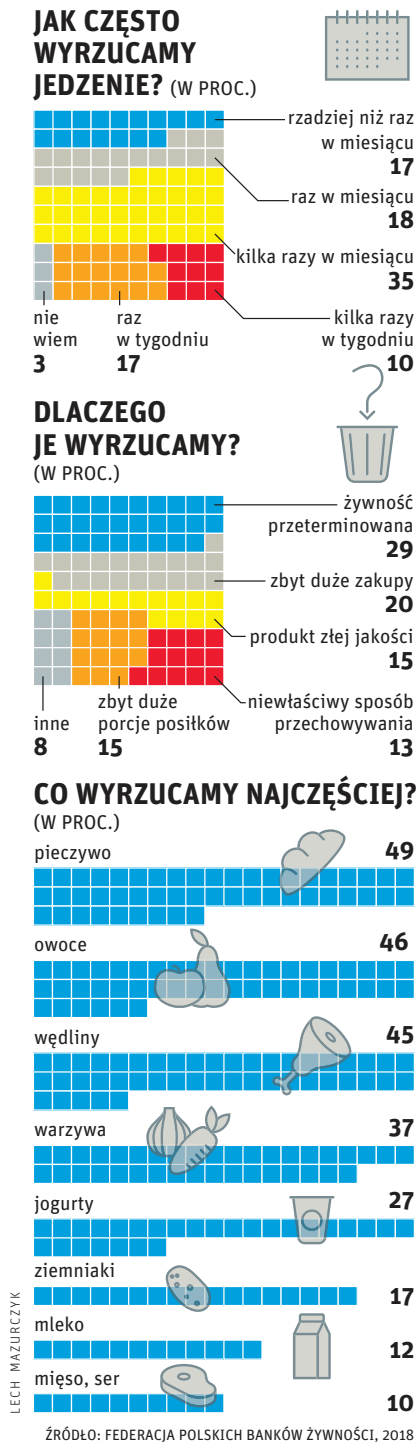

ŹRÓDŁO: FEDERACJA POLSKICH BANKÓW ŻYWNOŚCI, 2018

We Francji, jak obliczyli niedawno dziennikarze „Le Monde", cena żywności niezawierającej sztucznych dodatków jest wyższa średnio o 1,76 euro za każde tysiąc kilokalorii.

Marzenie o jedzeniu „na każdą kieszeń" stało się faktem – oczywiście w krajach rozwiniętych. Koszt jego produkcji spadł tak bardzo, że jego przechowywanie kosztuje często więcej niż wyprodukowanie. Rzecz jasna, mając na co dzień do czynienia z takimi ersatzami, trudno upierać się, że żyjemy po to, by jeść.

Tylko czy na pewno wciąż jemy po to, aby żyć?

Prawda brzegu talerza

Żywność nie jest już bowiem po prostu nośnikiem kalorii, a samo jedzenie przestało być czynnością, której podstawowym celem jest zaspokojenie głodu. Odkąd miejsce tego ostatniego w kulinarnej dialektyce zajął apetyt, spożywanie posiłków powędrowało błyskawicznie w górę piramidy Maslowa. Jedzenie bywa dziś deklaracją stylu życia („odchudzam się"), manifestem ideologicznym („jestem weganinem"), symbolem statusu („oboje z żoną wprost przepadamy za sashimi"), a nawet popularną formą wyrazu artystycznego – sądząc chociażby po tłumach chętnych do udziału w kolejnych telewizyjnych talent-show spod znaku łyżki i widelca.

Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że drastycznie kurczy się przez to przestrzeń dla jedzenia w prozaicznej roli zapychacza grających marsza kiszek tym, co akurat znajduje się pod ręką. W lodówkach milionów Amerykanów i Europejczyków więdną właśnie połówki pomidora z ostatniego śniadania, których nikt już nie skroi na kolację – bo co to za przyjemność dojadać napoczęte kilka godzin wcześniej warzywo (dokładniej rzecz ujmując owoc, gdyby czytał nas jakiś biolog). W nowoczesnych biurowcach coraz rzadziej trafiają się kuchnie, w których da się zrobić coś więcej niż latte macchiato, bo personel woli stołować się (co za anachroniczne określenie) w którymś z kilkunastu okolicznych lokali serwujących dania kuchni świata. Nawet gimnazjaliści potrafią odrzucić ofertę przygotowania kanapek do szkoły oczywistym dla nich stwierdzeniem, że jedzenie czegoś takiego w towarzystwie innych nastolatków to esencja obciachu.

Tym samym trudne czasy nastały także dla żywności. Data przydatności do spożycia nie stanowi żadnej wskazówki, odkąd głównym kryterium doboru żywności jest czysta frajda z jedzenia. W Wielkiej Brytanii blisko 33 proc. zdatnych do konsumpcji owoców w ogóle nie trafia z plantacji do sklepów, ponieważ nie spełnia „oczekiwań estetycznych" tamtejszych klientów. ↦

Brązowe plamki na skórce dojrzałego banana mogą więc sobie świadczyć dobitnie o wysokiej zawartości cukru, ale to nie uchroni owocu przed wylądowaniem w śmieciach. W idealnym świecie przepisów kulinarnych z Instagrama banany są przecież nieskazitelnie żółte i do tego mają błyszczącą skórę. Chleb? Zawsze ciepły i chrupiący. Lekko zwiędła marchew nie nadaje się nawet na bulion, nie wspominając o surówce. Zresztą, kto by chciał jeść nudną surówkę z samej marchewki?

W podbijaniu tego bębenka uczestniczą oczywiście producenci żywności, którzy dawno odkryli, że ludzki apetyt jest zbyt jałową glebą dla biznesu przez duże B. Trzy posiłki dziennie? Lepiej, żeby było ich pięć. Albo i siedem. Właśnie w tym celu laboratoria marketingu krzyżują kolejne kategorie żywności: superfood w sam raz na zdrową koktajl-przekąskę pomiędzy posiłkami, a wieczorem, po paskudnym dniu w robocie, comfort food – na poprawę nastroju. Mogłoby to być cokolwiek pod ręką, choćby jabłko, które zostało po szarlotce, lecz internetowe poradniki nie pozostawiają wątpliwości, że bez zjedzenia np. wytwornych croque madame, do których potrzeba sera, pieczywa, szynki oraz jajek, wieczorna chandra jest nie do uniknięcia. A jeśli comfort food, to też telewizja, bo przecież nic tak nie wzmaga łaknienia jak patrzenie w ekran.

Z badania przeprowadzonego kilka lat temu przez chicagowską firmę doradczą Technomic wynika, że w latach 2008-12 liczba określeń odnoszących się do konsystencji na opakowaniach amerykańskich produktów spożywczych uległa podwojeniu. Producenci po prostu odkryli, że sugestywny opis tych właściwości zachęca do zakupu jedzenia skuteczniej od promocji cenowych. Klienci, których wieczorem nachodzi apetyt na coś do chrupania albo gotowi są dać się pokroić za ciepłą, klejącą się czekoladę do picia, z reguły nie zdają sobie sprawy, że ich zachcianki mogą być prostą reakcją na sprytnie skomponowany przekaz reklamowy.

Preferencje smakowe, którymi tak chętnie tłumaczymy impulsywne zakupy żywności, w gruncie rzeczy mogą więc nie być nasze. Ale to nie problem. To, co nie posmakuje, wystarczy wyrzucić. ©℗ MAREK RABIJ

Poradnik: ukiś lub zamroź

ZALEGAJĄCE W LODÓWCE trochę zbyt długo, przywiędłe i mniej atrakcyjne? To jeszcze nie powód, żeby wyrzucać. A już na pewno powodem nie może być (chociaż – jak pokazuje doświadczenie rynku – zbyt często bywa, *vide* tekst obok) wygląd dyskwalifikujący je z instagrama. Jak nie marnować warzyw i owoców, jak przedłużyć im przydatność do spożycia?

UKIŚ! – wszyscy teraz mówią o kiszeniu i to bardzo piękny trend. Warto zajrzeć do książek Sandora Elliksa Katza, kiszonkowego guru. Zalegającą w lodówce kapustę, kalarepę, marchew, rzodkiew, jarmuż – drobno siekamy, porządnie nacieramy solą do kiszonek (Katz pisze, że komercyjni producenci dają 1,5 do 2 łyżeczek na 500 g warzyw, sam proponuje 3 łyżeczki na 2,3 kg), doprawiamy kminkiem, gorczycą czy kolendrą i ugniatamy w słoju, aż puszczą tyle soku, żeby je przykrył. Dociskamy np. spodkiem, żeby nic nie wystawało ponad płyn, przykrywamy tak, żeby uchodził dwutlenek węgla i zostawiamy na kilka dni w temperaturze pokojowej. Po ukiszeniu przestawiamy do lodówki, gdzie wytrzymają kilka dalszych tygodni. Jeśli nie chcą puścić aż tyle soku albo chcesz np. ukisić rzodkiewki w całości (boskie!), użyj solanki: zagotuj wodę z solą (czubata łyżka na litr), przestudź, zalej warzywa ciepłą solanką.

UGOTUJ ZUPĘ: np. tajską pomidorową z owocami – przesmażamy kawałek cebuli na oliwie, dodajemy 4 pomidory (albo analogiczną ilość z puszki) i 1 jabłko, nieco chili, miksujemy, zabielamy mlekiem kokosowym, można rozprowadzić bulionem z zamrażarki (patrz niżej) – to wariant podstawowy. Świetnie wyjdzie z gruszką, a nawet z pomarańczą. Albo krem z białych warzyw: przesmażamy cebulę z czosnkiem na oliwie, dodajemy dowolne (posiekane) białe warzywa zalegające w lodówce (pietruszkę, seler, ziemniaki), przyprawiamy według upodobania, gotujemy, miksujemy na krem.
I do zamrażarki.

ZRÓB BULION WARZYWNY: kilka marchwi i pietruszek, cebula, por, kawałek selera, pieprz ziarnisty, liście laurowe, kilka jagód ziela angielskiego (bez soli) wrzucamy do garnka, dopełniamy wodą nieco powyżej warzyw i stawiamy na minimalny ogień nawet i na 3 godziny (pół godziny w szybkowarze). Odcedzony porcjujemy i zamrażamy – poczeka, aż będzie potrzebny. Przy okazji można dorzucić skórę z parmezanu (*zero waste*!), która podbije smak, czy włókniste doły szparagów, co da wspaniałą bazę nie tylko do zupy szparagowej, ale też np. brokułowej. Rezerwa bulionu w zamrażarce naprawdę zmienia kuchenne życie na lepsze.

MK X2

ZAPIECZ OWOCE POD KRUSZONKĄ: dowolne pokrojone owoce wrzucamy płaską warstwą do natartej masłem kamionki. 150 g mąki, 2 łyżki cukru, po 2 łyżki płatków owsianych i wiórków kokosowych mieszamy palcami z 100 g masła (można dodać ½ łyżeczki proszku do pieczenia), aż osiągną grudkowatą, piaszczystą konsystencję. Przysyp owoce, zapiecz w 180 st. C na rumiano. Uwaga, szczególnie dobrze się w ten sposób ratuje owoce z nalewki – tylko to nie będzie deser dla dzieci.

UWAGA: Z zalegających owoców i warzyw trzeba wyciąć ewentualne przebrązowienia (oczywiście nie dotyczy to bananów). Jeśli zaczęły gnić albo pokryły się pleśnią, wyrzucamy do odpadów bio, a sami idziemy posprzątać las, żeby odkupić ten grzech. ©℗ MK

ANNA

Dziewit-Meller:
Kto się wstydzi

Pośród najcenniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek kupiłam w lumpeksie, irchowy płaszcz w kolorze, który dziś nazywa się na Instagramie „camelowym", na pewno stał wysoko w hierarchii fajności.

Lumpeks w drugiej połowie lat 90. na naszej ulicy otwarły dwie przedsiębiorcze panie. Wkrótce wszystkie lokalne elegantki przychodziły tu w poszukiwaniu zagrzebanych między wieszakami perełek, typu lekko sfilcowany moherowy sweterek, jedwabna apaszka z małą dziurką na rogu albo wełniany płaszcz z lekko rozdartą podszewką. Ekscentryczna młodzież nabywała stare skórzane kurtki i kraciaste flanelowe koszule w kratę (grunge, bejbi!), a oszczędne matki (jak moja) kupowały całym rodzinom ciuchy, które jeszcze niedawno służyły jakimś sytym Szwedom albo Niemcom, a teraz mogły całkiem dobrze posłużyć trochę mniej sytym nam. Jak ta moja piękna irchowa kurtka, długa do połowy uda, wiązana w pasie rzemykiem, nieco przetarta na łokciach, której zazdrościły mi koleżanki. Moja mama miała tzw. chody w tym lumpie, panie odkładały jej z każdej dostawy co lepsze kąski, cieszyliśmy się więc wyraźnie uprzywilejowaną pozycją w lokalnej społeczności, która zawiązała się dookoła sklepu „Ciuszek".

Pewnie stamtąd właśnie idzie moja wielka namiętność do kupowania używanej odzieży. Nieprzyjemny dla wielu, specyficzny zapach środków dezynfekcyjnych używanych w szmateksach nigdy mnie nie odrzucał, wręcz przeciwnie – kojarzył mi się z dreszczykiem ekscytacji, co też dziś znajdę w kupie szmat leżących w koszach z ciuchami na wagę.

Najpiękniejsze sukienki mojej córki, te, które kocha najbardziej, balowe bufiaste suknie z poliestru, wszystkie „wojskowe" spodnie mojego syna, moje zimowe swetry oversize, ciepłe bluzy z kapturem dla prawdziwej jesieniary, eleganckie szlafroki i kremowa plisowana sukienka, w której poszłam na ślub szwagierki – o lumpy mrągowskie, o reszelskie szmateksy – bez was nic! Jakie to miłe uczucie (zwłaszcza dla oszczędnej córki swojej oszczędnej matki): pójść na polowanie do lumpa i za ubrania dla całej rodziny wydać tyle, co na jedną bluzkę w Domach Centrum.

Przez ostatnie lata siedziałam więc pochylona nad koszami pełnymi „odzieży skandynawskiej" i dopiero niedawno się zorientowałam, że kupując głównie z drugiej ręki znalazłam się w poważnym światowym trendzie. Jak pan Jourdain nie wiedział, że mówi prozą, tak ja nie miałam pojęcia, że jestem wśród trendsetterów.

W Szwecji – kraju, który oprócz Ikei i Volvo dał światu Gretę Thunberg – jednym z nowych modnych słów w słowniku, obok znanego już i w Polsce *flygskam* (wstydu z powodu latania samolotem), jest *köpskam* – wstyd spowodowany kupowaniem, odnoszący się (według tego, co raportuje dziennik „Aftonbladet") przede wszystkim do kupowania nadmiernej liczby ubrań, zwłaszcza tych z segmentu „*fast fashion*". Wiedza o tym, jak wielkie firmy odzieżowe produkują swoje ubrania w krajach rozwijających się – często w sposób nieodpowiedzialny, tanio, szybko, emitując ogromne ilości dwutlenku węgla do atmosfery, wykorzystując nadmierne ilości wody, zatruwając barwnikami rzeki – wszystko to nie pozostało bez wpływu. W każdym razie nie bez wpływu na Szwedów, choć przeprowadzający badania opinii publicznej specjaliści ze sztokholmskiej HUI Research są przekonani, że ten trend wkrótce rozleje się na resztę zachodniego świata. Jednocześnie w Szwecji bardzo szybko rośnie rynek secondhandów. Rzeczy z drugiej ręki przestają być widziane jako nieodpowiedni pomysł na prezent, wręcz przeciwnie: wyprawa do lumpa po rzecz wyjątkową, wygrzebaną własnoręcznie w stercie innych rzeczy, zdobytą niczym trofeum na polowaniu – staje się dodatkowym walorem takiego prezentu.

Pośród moich koleżanek od jakiegoś czasu modne stały się też instytucje wymianek: spotykamy się u jednej z nas, znosząc z domu wszystko, co nam w nim zalega – nienoszone od dawna ubrania, kosmetyki, które stoją i czekają na lepsze czasy, buty kupione w jakimś dziwnym widzie, torebki, w których znajdujemy bilety kolejowe z 2008 r., biżuterię, która jakoś nam już nie leży – i na trzy, cztery kładziemy wszystko na kupę pośrodku pokoju, by jednocześnie się na nią rzucić i wyciągać z jej przepastnych trzewi to, co nam wpadło w oko. Co zaś się nie rozejdzie pomiędzy nami, spakowane w worki trafia do jednej z instytucji w rodzaju dom samotnej matki, gdzie – jak już się zorientowałyśmy – potrzeby nigdy się nie kończą. I tak oto wracamy do domów zadowolone w trójnasób: pozbyłyśmy się rzeczy, które zalegały w domu jak cholesterol w tętnicach, w torbie mamy dwie „nowe" sukienki po koleżance, która ich już nie chce, a z naszych rzeczy, tkwiących tak długo w szafie, może ktoś się ucieszy. Biorę udział w co najmniej trzech takich grupach wymiankowych – i wszystkim, którzy nie wiedzą, od czego zacząć naprawianie świata na swoją małą tyci-skalę, bardzo to polecam.

Nie wszyscy możemy, jak Greta, podróżować po świecie nieemisyjnym solarnym jachtem, nie każdy jest w stanie zrezygnować z mięsa w jadłospisie. Ale sposoby na małe zmiany w życiu są różne i można ich po prostu spróbować. Co przed zakupowym szaleństwem bożonarodzeniowym wydaje się warte refleksji. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

NIEZATAPIALNY

Abp Sławoj Leszek Głódź, przed laty dla wielu „równy gość", jest oskarżany o wulgarny mobbing i chronienie księży-pedofilów. Na skargi kapłanów i wiernych Kościół od lat pozostaje głuchy.

MARCIN CHODUŃ

Mimo wieczornego światła na jego twarzy widać napięcie. Za plecami ma rozświetlone okna licznie rozsianych bloków; z dołu dochodzi delikatny szum ulicy: to w końcu jedno z dużych trójmiejskich osiedli. Ale na plebanii miejscowej parafii jest cicho i spokojnie. Tutejszy proboszcz to jeden z szesnastu księży, którzy w liście do nuncjatury apostolskiej potwierdzili prawdziwość informacji przedstawionych w głośnym, wyemitowanym kilka tygodni temu filmie TVN-u „Nietykalny", a także poprosili o przeprowadzenie wizytacji w diecezji.

Ciszę na plebanii przecina tylko głos gospodarza – skupiony i wyważony. Widać, że nie jest mu łatwo znów o tym wszystkim mówić. Nic dziwnego – publiczne poniżanie i przemoc psychiczna to bardzo mocne oskarżenia.

– Znam księdza, który miał myśli samobójcze, bo arcybiskup wielokrotnie go publicznie poniżał. Inny powiedział mi ostatnio, że pod wpływem kontaktów z Głódziem nie wierzy już w Kościół jako wspólnotę. Od pewnego młodego duchownego usłyszałem, że obecna sytuacja spowodowała, iż zaczął myśleć o odejściu z kapłaństwa. Nie odszedł, ale smak takiej myśli już zna.

Szlify zmieniają

Sławoj Leszek Głódź pochodzi z Bobrówki, małej podlaskiej wioski. W młodości wykazuje się nie lada odwagą: za udział w akcji dywersyjnej przed pierwszomajowym pochodem zostaje wydalony z liceum w Sokółce i trafia na trzy miesiące do więzienia. Maturę zdaje w liceum dla pracujących. Święcenia kapłańskie przyjmuje w 1970 r. W latach 1972-74 studiuje w Paryżu prawo kanoniczne.

Tam spotyka go ks. Adam Boniecki, który wspomina Głódzia jako życzliwego, pogodnego i miłego kolegę. – Pamiętam, jak pełen entuzjazmu wróciłem do Paryża z Taizé. Kiedyś w pustym kościele, całkiem prywatnie, modliłem się w pozycji lotosu. Zobaczył to Leszek i potem, w gronie kolegów księży, siedząc na podłodze żartobliwie odgrywał te moje praktyki. Trochę z nich żartował, ale nie było to zjadliwe, raczej sympatyczne – opowiada dzisiejszy redaktor-senior „Tygodnika".

Po powrocie do Polski ks. Głódź kończy studia na KUL-u. W 1980 r. robi w Rzymie doktorat ze wschodniego prawa kanonicznego. Rok później rozpoczyna pracę w watykańskiej Kongregacji ds. Kościołów Wschodnich.

W Rzymie znów spotyka go ks. Boniecki: – Głódź miał olbrzymie poczucie humoru, był mistrzem parodiowania. Pamiętam, jak pewnego dnia odegrał po włosku pełną gestykulacji modlitwę księdza, który nie zrobił kariery. Wprost doskonale uchwycił w niej mentalność watykańskich karierowiczów.

Z tego samego okresu pamięta ówczesnego księdza Głódzia wieloletni korespondent Polskiego Radia w Rzymie Marek Lehnert. W wywiadzie dla Gazety.pl w maju tego roku mówił o nim jako o „wspaniałym kompanie" i „równym, fajnym gościu".

W jaki zatem sposób ten niegdyś miły i serdeczny ksiądz stał się kościelnym hierarchą, wobec którego wysuwane są najcięższe oskarżenia?

Ks. prof. dr hab. Adam Świeżyński z warszawskiego UKSW, który przez rok pracował z arcybiskupem w gdańskiej diecezji i stał się twarzą ostatniego protestu szesnastu gdańskich księży, uważa, że Głódzia takim, jakim jest dzisiaj, uczynili ludzie wokół niego. Najpierw w wojsku, potem w jednej diecezji, następnie w drugiej. A po drodze był jeszcze cały ciąg powiązań politycznych.

Marek Lehnert (w tym samym wywiadzie): „To nie jest odstępstwo od pewnej smutnej reguły, że jeżeli duchowni dostają generalskie szlify, które szły w parze z podniesieniem do godności biskupiej, to zmieniają się diametralnie. Coś się z tymi ludźmi staje, kiedy wkładają tę fioletową sukienkę".

Diabły na klamkach

21 stycznia 1991 r. ks. Sławoj Leszek Głódź zostaje mianowany przez Jana Pawła II ↦

Abp Sławoj Leszek Głódź podczas morskiej pielgrzymki rybaków na odpust św. Apostołów Piotra i Pawła. Zatoka Pucka, 29 czerwca 2019 r.

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

biskupem polowym Wojska Polskiego, wkrótce otrzymuje stopień generalski.

Ingres do katedry polowej w Warszawie odbywa się 24 lutego 1991 r. Na jej progu chlebem i solą wita go Leon Komornicki, ówczesny generał brygady.

– Wszystko musieliśmy budować od zera – wspomina gen. Komornicki. – Np. samą siedzibę ordynariatu. Wcześniej znajdował się tam tzw. Komitet Partyjny Jednostek Centralnych MON. Zawiozłem tam Leszka i mówię: „To miejsce dla ciebie, tylko musisz cysternę wody święconej załatwić, bo tu diabeł na każdej klamce siedzi".

Gen. Stanisław Koziej: – Uważam, że był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Zadanie odbudowy ordynariatu polowego realizował z właściwą wizją, energicznie i konsekwentnie.

Gen. Waldemar Skrzypczak: – Bp Głódź na pewno potrafił odezwać się do żołnierzy. Był też dowcipny, czym z pewnością zyskiwał sobie ich sympatię. Za jego czasów wielu pułkowników robiło wszystko, żeby mu się przypodobać. I biskup chyba bardzo to lubił. Wśród wojskowych krążyły też opinie, że ostateczną listę nominacji generalskich akceptuje jego ekscelencja.

Ojciec Rydzyk przyjacielem

17 lipca 2004 r. bp Głódź zostaje mianowany arcybiskupem, a w sierpniu – biskupem ordynariuszem diecezji warszawsko-praskiej.

Z tego okresu pamięta go ks. Wojciech Lemański: – Gdy usłyszałem od arcybiskupa, że mam się przenieść do innej parafii, postanowiłem przekonać go, bym w Otwocku mógł jeszcze przez jakiś czas pozostać jako proboszcz. Wiele osób w kurii przekonywało mnie, bym zrezygnował z tego spotkania. Muszę jednak powiedzieć, że było to spotkanie na poziomie: rzeczowe, merytoryczne, bez cienia arogancji.

– Nasza diecezja jest jak rodzina alkoholowa, w której wszystko zależy od humoru ojca-pijaka – mówi o nim jeden z księży.

W kolejnych latach na abp. Głódzia spływają dalsze splendory: zostaje członkiem Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski i współprzewodniczącym Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu. Przewodniczy także Radzie ds. Środków Społecznego Przekazu i Zespołowi Biskupów ds. Duszpasterskiej Troski o Radio Maryja.

Nie przypadkiem. Hierarchę łączą z toruńskim redemptorystą przyjacielskie stosunki, publicznie wspiera i chwali jego działalność. Gdy w 2007 r. arcybiskup Stanisław Dziwisz zaapelował do Episkopatu o zmianę zarządu Radia Maryja, mówiąc, że stacja ta „staje się elementem przetargu oraz rozgrywek politycznych i społecznych", jednym z nielicznych biskupów, którzy stanęli w obronie toruńskiej rozgłośni, był właśnie Głódź.

Arcybiskup równie otwarcie wyraża też swoją sympatię dla PiS-u. Ot, chociażby w homilii wygłoszonej podczas uroczystej mszy z okazji 37. rocznicy porozumień sierpniowych w 2017 r., gdy dziękował prezesowi Kaczyńskiemu i minister Rafalskiej.

Obecna władza także nie kryje swojej przychylności wobec hierarchy. W 2016 r. na 25-lecie świątyni do jego rodzinnej Bobrówki przyjechali ministrowie Krzysztof Jurgiel, Jan Szyszko i Jarosław Zieliński. Był też Tadeusz Rydzyk, a Radio Maryja i Telewizja Trwam nadawały relację na żywo.

Czy ksiądz musi nosić brodę?

17 kwietnia 2008 r. Głódź zostaje metropolitą gdańskim.

Ks. Adam Świeżyński, który był wówczas prorektorem w tutejszym seminarium, doskonale pamięta chwilę przybycia arcybiskupa do gdańskiej diecezji: – Na pierwszym spotkaniu z zarządem uczelni po przedstawieniu przeze mnie zakresu moich działań zadał mi tylko jedno pytanie: „Czy ksiądz musi nosić brodę?".

Rok później ks. Świeżyński opuścił gdańską diecezję i zamieszkał na jednej z warszawskich parafii. Mimo pobytu poza diecezją działalność abp. Głódzia nadal nie dawała mu spokoju. W 2013 r., gdy za sprawą artykułu w tygodniku „Wprost" do opinii publicznej dotarła historia kapelana abp. Głódzia, księdza Piotra, którego permanentne poniżanie i wulgarny język przełożonego doprowadziły na skraj załamania, Świeżyński zaangażował się w protest wobec hierarchy.

Przypadki mobbingu w gdańskiej diecezji nagłaśniał też w ostatnich latach Piotr Szeląg, były ksiądz, niegdyś prawnik w Gdańskim Trybunale Metropolitalnym, który wielokrotnie z ust hierarchy słyszał wulgarne, pogardliwe słowa kierowane pod adresem innych księży czy sióstr zakonnych: – W jednej z rozmów powiedział do mnie, żebym „nie pierdolił, bo gówno wiem i jestem gówniarzem".

Wedle Szeląga jedną z największych ofiar mobbingu ze strony gdańskiego hierarchy był ks. Jan Kaczkowski, nieżyjący już założyciel puckiego hospicjum. Abp Głódź drwił z jego wady wzroku, nazywał go dziwakiem. Gdy ks. Jan śmiertelnie zachorował, arcybiskup chciał pozbawić go funkcji szefa hospicjum, wydając bezprawny dekret wyznaczający innego księdza na dyrektora placówki.

Kontakty zaprzyjaźnionych od czasów seminaryjnych Szeląga i Kaczkowskiego z abp. Głódziem pokazują coś jeszcze: różnicę w stylu kierowania metropolią pomiędzy obecnym arcybiskupem a jego poprzednikiem. Pierwsze lata jako księża Szeląg i Kaczkowski spędzają pod rządami niedbającego zbytnio ani o kasę, ani dyscyplinę abp. Tadeusza Gocłow-

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 136/19 postępowanie z wniosku Justyny Kidawa o stwierdzenie nabycia przez Halinę Jabłczyńską i Zbigniewa Jabłczyńskiego własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy nieruchomości położonych w Racendowie:
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 6/7, arkusz mapy 5, o powierzchni 1,27,00 ha,
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 87/1, arkusz mapy 3, o powierzchni 0,55,00 ha,
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 68/5, arkusz mapy 4, o powierzchni 0,45,00 ha.
Dla wszystkich wyżej wymienionych nieruchomości nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

skiego, i cieszą się dużą – jak na polski Kościół – niezależnością. Nastanie abp. Głódzia oznacza zmianę o 180 stopni.

Gdy ks. Kaczkowski wraz z przyjaciółmi chce – bez formalnej zgody przełożonego – otworzyć w Pucku katolicką szkołę, arcybiskup przysyła kurialną komisję. Młody duchowny będzie jej wizytę wspominał jako najbardziej traumatyczne doświadczenie. „Co ty myślisz, że media cię obronią? »Wyborcza« z TVN? Zniszczymy cię" – to tylko jedno ze zdań, jakie zapamięta.

A gdy już podczas choroby do zarządu puckiego hospicjum wchodzi – też bez formalnej zgody – ks. Szeląg, Głódź pozbawia go pracy w sądzie metropolitalnym. Ks. Kaczkowski próbuje się – zresztą bez skutku – wstawiać za przyjacielem, pisząc list do wpływowego hierarchy spoza archidiecezji gdańskiej. Zdaje w nim też relację z jednego ze spotkań ze swoim przełożonym, kiedy to miał usłyszeć, że jest dziwakiem-narcyzem i „promuje siebie przez chorobę, zaś puckie hospicjum jest prowadzone bezprawnie i w jakimś sensie zagraża dobru Kościoła".

W obronie prałata

Czy dzisiaj problem stylu biskupiej posługi w diecezji gdańskiej znów odżył? Wedle ks. Świeżyńskiego zwyczajnie nigdy nie zniknął. Księża z tej diecezji regularnie wysyłali do kościelnych władz sygnały alarmowe. W 2015 r. kilku kapłanów pojechało do nuncjusza z imiennie podpisanymi świadectwami. Nuncjatura jednak w ogóle na to nie zareagowała. W tym samym roku księża napisali list do kard. Marca Ouelleta, prefekta Kongregacji ds. Biskupów w Rzymie. Też bez odpowiedzi.

Protesty gdańskich księży to jednak niejedyny problem abp. Głódzia – długim cieniem na jego posłudze kładzie się jego stosunek do przypadków pedofilii wśród duchownych.

Chodzi w pierwszym rzędzie o sprawę ks. Henryka Jankowskiego. Gdy wobec prałata pojawiały się coraz liczniejsze oskarżenia o pedofilię, arcybiskup dziękował mu podczas pasterki w 2018 r. za „posługę cichą, spokojną, niewidoczną", a także za hart ducha, „kiedy godność kapłańska jest stawiana pod pręgierzem oskarżeń, zarzutów, pomówień". Dla jednej z ofiar księdza prałata, Barbary Borowieckiej, metropolita gdański nie znalazł nawet czasu na krótką rozmowę, mimo iż kobieta przez wiele tygodni zabiegała o spotkanie w kurii.

Podobną rewerencję Głódź okazał też dawnemu kapelanowi Lecha Wałęsy – ks. Franciszkowi Cybuli. Mimo że on sam przed śmiercią przyznał się do molestowania dzieci, został pochowany w 2018 r. przez arcybiskupa w bardzo uroczystej oprawie.

Tata kupi lizaka

Wspomniana już trójmiejska parafia; proboszcz, który podpisał list do nuncjatury, a także wystąpił anonimowo w filmie „Nietykalny", siedzi w półmroku na kanapie.

– Co nas skłoniło do napisania listu? – chwilę się zastanawia. – Przede wszystkim atmosfera lęku, którą arcybiskup wytworzył, poniżając księży. Tajemnicą poliszynela jest to, że stosowana przez arcybiskupa przemoc psychiczna wynika z jego pijaństwa – twierdzi. – Nasza diecezja jest taką wielką rodziną alkoholową, w której wszystko zależy od humoru ojca-pijaka. Od jednego z księży usłyszałem niedawno, że arcybiskup wprawdzie nie potrafi przeprosić, ale umie za to nagrodzić. Czy nie jest to typowa opowieść dziecka pijącego ojca: „tata najpierw wleje, a potem kupi lizaka"?

– Bardzo współczuję księżom, którzy pod wpływem lęku poszli na kompromisy moralne w relacji z arcybiskupem – kontynuuje duchowny. – Którzy np. zapłacili za awans czy probostwo. Po jednej z uroczystości w parafii, gdy ofiarowałem arcybiskupowi stypendium mszalne, sam usłyszałem od niego, czy nie nauczono mnie, że po takiej uroczystości należy przyjechać do kurii i podziękować.

Mój rozmówca przyznaje, że na pewno są i tacy, którzy mają z arcybiskupem dobre relacje. Twierdzi, że dla tych, na których mu zależy, potrafi on być gościnny i serdeczny. – My, kapłani, jesteśmy więc podzieleni – mówi. – Zdarzają się przypadki donosicielstwa. Nie ma wśród nas wspólnej modlitwy, braterstwa. Nie mamy już relacji przez Chrystusa, tylko przez arcybiskupa. Albo ktoś jest z nim, albo przeciw niemu.

I dodaje: – Nasz list i odpowiedź kurii podpisana przez biskupów pomocniczych i wielu kapłanów z naszej diecezji świadczą o tym, że żyjemy w zagubieniu.

Według proboszcza skutkuje to tym, że diecezja nie funkcjonuje normalnie. – Mnie np. bardzo brakuje spotkań formacyjnych dla księży, budowania kapłańskiej wspólnoty – mówi. – To wszystko przekłada się na naszą posługę. Potrzebujemy biskupa, który animuje życie duszpasterskie. Uważam, że panuje u nas głęboki kryzys duszpasterstwa. Jako księża odeszliśmy naprawdę daleko od Ewangelii. Wielu z nas nie protestuje wobec tej sytuacji, boi się. Wielu emigruje wewnętrznie, robiąc wszystko, by arcybiskupa nie widzieć.

Nie biskup, tylko pan

Przeciw Głódziowi wystąpili też wierni z tej samej trójmiejskiej parafii: kilka tygodni temu przed kurią około dwustu osób zorganizowało demonstrację. Organizatorką była Justyna Zorn. – My, wierni, mieszkamy w tym samym bloku, w którym jest rodzina patologiczna, i nie możemy udawać, że nic się nie dzieje – tłumaczy. ↦

Milczenie nuncjatury

GDY ZACHOWANIE BISKUPA wywołuje zgorszenie, jedyną instancją, która może skutecznie zareagować, jest papież – tylko on ma władzę usuwania biskupów z urzędów. Dlatego w takich sprawach kluczową rolę odgrywa nuncjatura. Nuncjusz bada zarzuty i informuje papieża. Ponieważ nikt z polskiej nuncjatury nie kontaktował się ze skarżącymi się księżmi, postanowiliśmy zadać przedstawicielstwu papieża kilka pytań. Oto one:

- Czy o zarzutach stawianych abp. Głódziowi Nuncjatura Apostolska w Polsce zawiadomiła Stolicę Apostolską?
- W jakim trybie prawnym Nuncjusz abp Salvatore Pennacchio zamierza zbadać sprawę, o ile w ogóle podejmie taką decyzję?
- Dlaczego nie skontaktowano się z księżmi stawiającymi zarzuty metropolicie gdańskiemu?
- Czy można sprawę dogłębnie zbadać bez rozmowy z księżmi, którzy doświadczyli mobbingu?
- Czy Nuncjusz uważa sprawę stawianych metropolicie gdańskiemu zarzutów za ważną?

NA ŻADNE Z TYCH PYTAŃ nie otrzymaliśmy odpowiedzi. ©℗ ARTUR SPORNIAK

I dodaje, że świeccy także odczuwają napięcie, np. związane z ciągłymi zmianami księży bez żadnego uzasadnienia: – Przy parafii działa prawie trzydzieści wspólnot. Są grupy wsparcia, zajęcia dla seniorów, klub rodzica, klub muzyczny, studio nagrań. Są też organizowane warsztaty dla osób wykorzystywanych seksualnie w rodzinach. A co rusz dostajemy dekrety z różnymi księżmi, np. jakiś czas temu zamiast duchownego „do roboty" został przysłany kapłan-alkoholik z zaburzeniami, który wymagał 24-godzinnej opieki. I to na tydzień przed pierwszymi komuniami.

Na początku listopada inni wierni diecezji napisali list do papieża wzywający abp. Głódzia do złożenia urzędu, a papieża Franciszka do przyjęcia jego rezygnacji. „Metropolita gdański stracił moralną wiarygodność, niezbędną do pełnienia posługi biskupa diecezjalnego, i jest dla wiernych przyczyną zgorszenia" – pisali.

– Czarę goryczy przelała sprawa ks. Jankowskiego – tłumaczy jeden z autorów listu, Krzysztof Olszewski, z parafii św. Franciszka w Gdańsku. – Jej wyjaśnienie jest absolutnie kluczowe dla naszej diecezji. Jako katolicy nie możemy tolerować zła, bo to niszczy naszą wiarygodność. Mamy pasterza, który kryje przestępców.

Józef Majewski, teolog, profesor Uniwersytetu Gdańskiego, sygnatariusz listu: – Uważam, że moim biskupem w diecezji gdańskiej nie jest już biskup, przepraszam, pan Głódź, tylko luterański biskup Marcin Hintz. Dzięki Bogu on jakoś podtrzymuje istnienie naszego Kościoła.

Olszewski: – Problemem w naszej diecezji jest też propagowana przez papieża Franciszka decentralizacja, zakładająca, że Kościoły lokalne będą zgodnie z własnym rozeznaniem same decydować o pewnych sprawach. Ale jeśli zamiast pasterza mamy szkodnika, który postępuje wbrew temu, co Kościół światowy uznaje za normalność, to nic takiego nie jest możliwe. Choćby dyskusja o związkach niesakramentalnych: u nas taka rozmowa nie jest możliwa, bo wszyscy się boją.

Biskupie podwórko

Bobrówka. Przy wjeździe do wsi – jadąc od Jaświł – olbrzymi głaz z pozłacanymi literami „Anno Domini 2000" z orłem i krzyżem. Na początku wioski po lewej stronie – pałac abp. Sławoja Leszka Głódzia (tak naprawdę to przebudowana dawna szkoła podstawowa).

Proboszcz z Trójmiasta: **– Nie wiem, co jego następca będzie musiał zrobić,** by odbudować w tej diecezji duszpasterstwo i relacje między księżmi.

Pałacu trudno nie zauważyć: to największy budynek we wsi. Z przodu cztery jońskie kolumny podpierające masywny portyk, który dzieli rozległą budowlę na dwa skrzydła. Co jest w prawym – nie do końca wiadomo. Podobno arcybiskup zgromadził w nim swoje ordery, odznaczenia, dyplomy. W lewym skrzydle pałacu – drzwi. Obok nich tablica: „NZOZ. Stacja Opieki Caritas Archidiecezji Białostockiej. Gabinet Fizjoterapii. Gabinet Kinezyterapii".

Czy budynek faktycznie należy do białostockiej Caritas i z jej środków jest finansowany? Caritas w mailowej korespondencji zaznacza jedynie, że „udziela odpowiedzi na pytania tylko w takim zakresie, w jakim dotyczą one bezpośrednio jej działalności".

Czy arcybiskup często tu bywa? Pani w niewielkim gabinecie odpowiada przerażonym spojrzeniem: nie, nic nie wie, proszę o wszystko pytać we wsi.

– Ksiądz arcybiskup? No, on tu jest panem wszystkiego – zapewnia napotkana kobieta. – Nie ma rzeczy, o której nie decyduje. Jak sąsiad chciał otworzyć sklep, to Głódź się nie zgodził i sklepu nie ma. Że dzięki niemu podobno powstał most i asfaltowa droga? No tak, ale przecież tak naprawdę to on dla siebie to wszystko robił. Bo w tym pałacu to on wcale nie mieszka, jego dom jest za wsią.

Za wsią skręca się w prawo. Rozległe pola, kawałek lasu. Domów niewiele. Pusto. W końcu, po prawej stronie, dwie duże bramy. Płot wysoki na kilka metrów. Skryte za nim zabudowania ledwie widać. Na okolicznych łąkach pasą się daniele. Właśnie pod płot podjeżdża ciągnik z sianem dla zwierząt. Dwóch mężczyzn. Jeden z nich staje na środku drogi, ani myśli przepuścić samochód.

– Co pan tu robi?! Z gazety? Z jakiej gazety?!

Nagle podaje komórkę: – Ktoś chce z panem rozmawiać.

W słuchawce zdenerwowany męski głos, przedstawia się jako bratanek arcybiskupa: – Czego pan tu szuka?! Teraz ciągle ktoś przyjeżdża i potem nieprawdę rozpowiada. Jaką? Że to wszystko mojego wujka. A to wcale nie jest tak. Jeden dom należy do jednej cioci z Ameryki, drugi do drugiej. Wszystko należy do całej rodziny. Taka jest prawda.

Potrzeba pokuty

Brama do rezydencji abp. Głódzia w Gdańsku-Oruni zamknięta na głucho, na dzwonek nikt nie odpowiada. Kuria? Głos w domofonie mówi, że arcybiskup przebywa na rekolekcjach, po czym się wyłącza. Sekretarz arcybiskupa, ks. dr Bartłomiej Stark? Mimo maili i dziesiątków telefonów – zero reakcji.

Nuncjatura apostolska? – Teraz mogę jedynie powiedzieć, że nie ma żadnego komunikatu czy też wypowiedzi na ten temat – mówi w rozmowie telefonicznej ks. dr Kryspin Dubiel, radca nuncjatury.

Piotr Szeląg: – Sądzę, że zarówno biskupi, jak i Stolica Apostolska będą grać na przeczekanie. To sprawdzona strategia kościelnych władz.

Ks. Świeżyński: – Najważniejsze teraz jest uzdrowienie sytuacji wśród duchownych. Bo arcybiskup za parę miesięcy odejdzie na emeryturę, a w księżach i pomiędzy nimi zostanie to, co teraz jest milcząco skrywane.

Proboszcz z Trójmiasta: – Nie wiem, co następca będzie musiał zrobić, by odbudować w tej diecezji duszpasterstwo i relacje między księżmi. Jak my mamy np. rozmawiać z biskupami pomocniczymi, którzy podpisali oświadczenie kurii wiedząc, że to kłamstwo?

Justyna Zorn: – Najlepiej, żeby przyszedł ktoś, kto nie musi być lojalny wobec kolegi z roku czy też nie jest zależny od kogoś, z kim robił doktorat w Rzymie. Najlepiej jakiś biskup z Wietnamu, Boliwii lub Filipin.

Proboszcz z Trójmiasta: – My, kapłani gdańskiej diecezji, powinniśmy zrobić nabożeństwo pokutne, w którym wszyscy wyznamy swoje grzechy. Ci, którzy kupili urzędy, i ci, którzy krzywdzili innych pod wpływem lęku, a także ci – w tym ja sam – którzy popełnili grzech zaniedbania, gdy nie stanęli w obronie krzywdzonych. I w którym się pojednamy. W takim nabożeństwie mógłby wziąć udział sam arcybiskup.

© MARCIN CHODUŃ

PAUL FUSCO / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Hospicjum w Marin, Kalifornia USA, 1982 r.

Czas święty

KRZYSZTOF KRZYWANIA

Zamykam oczy. Próbuję przywołać Go, choć wiem, że On tu był, jest i będzie do końca. Otwieram oczy, patrzę na twarz pani G., wsłuchuję się w jej coraz płytszy, przerywany długimi okresami bezruchu oddech.

Była zima, mróz i 10 centymetrów śniegu. Zaproszony na śluby zakonne, pojechałem do klasztoru sióstr Misjonarek Miłości w Zaborowie pod Warszawą.

Boże Narodzenie

Gdy zbliżałem się do zabudowań, zobaczyłem kilka sióstr witających gości. Były odziane w biało-niebieskie sari i cienkie granatowe swetry; na ich nogach zauważyłem sandały. Ja miałem na sobie nową (bardzo drogą) kurtkę puchową.

Jedna z sióstr umówiła mnie na spotkanie z Matką Teresą. To był czas mojego zmagania z Bogiem. Miałem dużo pytań. Chciałem służyć biednym i nie wiedziałem, jak mam to robić.

Stałem z Matką Teresą w niewielkim korytarzyku łączącym dwie sale w domu sióstr. Na moje pytania odpowiedziała: „Jeśli chcesz służyć ubogim, najpierw ty sam musisz stać się biedny”.

Nic więcej nie usłyszałem, choć może jeszcze coś powiedziała. Zrobiło mi się ciepło. Rozpiąłem kurtkę.

Wielki Piątek

Zbliżała się dwudziesta druga. Weszliśmy na chwilę do pokoju socjalnego, żeby odpocząć. Na oddziale było słychać ciszę – pomyślałem, że chyba coś się wydarzy tej nocy. I wtedy zadźwięczał dzwonek. Spojrzałem na wyświetlacz wskazujący numer sali, z której dzwoni pacjent – „12”.

Idziemy z pielęgniarkami. Ponieważ na tej sali obowiązuje reżim izolacji kontaktowej, wkładamy jednorazowe fartuchy, maski i rękawice. Przy łóżku pana W. stoi jego córka; jest skulona i przerażona. Monitor piszczy, wyświetlając cyfrę „0” w miejscu wskazującym wartość tętna. Patrzę na przekrzywioną na bok żółto-ziemistą twarz pana W. Ma otwarte usta. Rysy twarzy wyostrzone, jakby nieziemskie, obce. Pielęgniarka bierze rękę pacjenta, sprawdza puls na nadgarstku, po chwili odkłada rękę. Wychodzi po lekarza, który zjawia się dość szybko, zagląda w źrenice pana W., osłuchuje stetoskopem klatkę piersiową. Patrzy na córkę pana W. i składa krótkie kondolencje. Ja nic nie mówię.

Zżyłem się z panem W. Leżał u nas od dwóch miesięcy. Robiłem mu toaletę, zmieniałem pieluchy, myłem, okrywałem go, podawałem wodę, karmiłem. Miałem wrażenie, że zawsze się cieszy na mój widok. Ostatnie dwa, trzy tygodnie ↦

to było umieranie, męka: duże trudności z oddychaniem, konieczność odsysania jamy ustnej, niepokój, nadpobudliwość, potem znów brak kontaktu, wielogodzinne pojękiwania, grymas bólu na twarzy.

Wyłączamy monitor, odłączamy tlen. Zostawiamy córkę, żeby mogła w spokoju pożegnać się z ojcem. Ja idę piętro niżej po wózek (który wygląda jak trumna na kółkach) do transportu zwłok. Przywożę go windą i ustawiam w pustej sali, żeby nie rzucał się w oczy.

Po półtorej godziny, gdy już córka wyszła z oddziału, idziemy na salę. Odkrywam ciało, jedna z pielęgniarek przewiązuje bandaż od podbródka przez czubek głowy. Ściągamy piżamę ze zmarłego. Odpinam pieluchę, przewracamy ciało na bok, oczyszczam ze stolca pośladki pana W. i zakładamy czystą pieluchę. Ciało wygląda brzydko: jest pożółkłe, w wielu miejscach plamy.

Staram się robić wszystko z szacunkiem, z delikatnością – tak, jakby pan W. na mnie patrzył. Biorę duży worek plastikowy, rozpinam, rozkładam na łóżku i podsuwam pod ciało leżące na jednym boku; przekładamy ciało na drugi bok i rozciągamy worek; ciało wraca do pozycji na wznak – wtedy nasuwamy skrzydła worka i zasuwamy zamek. Idę po wózek.

Pascha

Nigdy nie zauważyłem przy łóżku pani G. kogoś odwiedzającego. Leży w czteroosobowej sali hospicjum już od półtora miesiąca.

Tego dnia mojego dyżuru zauważam, że z trudem oddycha. Łapie powietrze, wydycha, potem jest długa przerwa i znów nabiera powietrze, wydycha; kolejna przerwa jest, mam wrażenie, jeszcze dłuższa. Postanawiam usiąść przy łóżku, by przez jakiś czas jej towarzyszyć. To nie jest łatwe, bo choć jestem wolontariuszem, nie wiem, co mam robić. Podczas szkolenia słyszałem wielokrotnie o towarzyszeniu osobie umierającej. Gdy jednak usiadłem przy kimś obcym i zrozumiałem, że to prawdopodobnie ostatnie godziny, może ostatnie chwile życia tej osoby, to instrukcje ze szkolenia wydały mi się nic niewarte.

Choć pani G. ma zamknięte oczy i jak sądzę, nic nie słyszy, przedstawiam się jej i mówię, że będę przy niej siedział, by nie czuła się samotna. Zamykam na chwilę oczy. Próbuję uświadomić sobie obecność Boga, przywołać Go, choć wiem, że On tu był, jest i będzie do końca, i że w gruncie rzeczy nie muszę Go przywoływać. Otwieram oczy, patrzę na twarz pani G., wsłuchuję się w jej coraz płytszy, przerywany długimi okresami bezruchu oddech. Dotykam jej dłoni. Nie wiem, czy tego potrzebuje. Ale myślę, że może boi się teraz i dotyk kogoś, kto jest obok, ją uspokaja... Nie wiem.

Na sali jest cicho, choć przy łóżku jednej z pacjentek siedzi dwoje odwiedzających. Układ łóżek i ścian daje wszystkim odrobinę intymności. Co jakiś czas do sali zagląda dyżurna pielęgniarka.

Znów zamykam oczy, próbuję sobie wyobrazić aniołów stojących przy łóżku. Powtarzam w myślach niektóre wersety psalmów. „Pan jest moim pasterzem, niczego się nie boję". „Chociażbym przechodził przez ciemną dolinę, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną". „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie!". I znów przez chwilę trzymam swoją dłoń na dłoni pani G. Oddech coraz wolniejszy. Wierzę, że ona czuje, że nie jest sama. Chcę w to wierzyć, by usensownić moją obecność przy niej.

Okresy bezdechu coraz dłuższe i dłuższe. Na szczęście nie widzę oznak cierpienia pani G. Jest spokojna. I ja też jestem spokojny. Czekam.

Kolejny bezdech już się nie kończy. Przeszła do innego świata. Idę po dyżurną pielęgniarkę.

> Jeśli chcesz służyć ubogim, **najpierw ty sam musisz stać się biedny** – odpowiedziała Matka Teresa.

Boże Ciało

Jest późne popołudnie. Siedzę przy łóżku umierającej w hospicjum pani E., która leży tu od czterech czy pięciu tygodni. Podczas moich wolontariackich dyżurów zawsze do niej zaglądam. Zwykle nic nie mówi, chce tylko trochę wody lub soku. Widzę, jak z tygodnia na tydzień słabnie. Dziś ma twarz skierowaną w stronę ściany, zamknięte oczy, bardzo słaby oddech. Postanawiam posiedzieć przy niej jakiś czas.

Po kilku minutach na salę wchodzi Basia – też jest wolontariuszką. Witamy się skinieniem głowy. Basia podchodzi do wezgłowia łóżka i stoi przez chwilę w ciszy, chyba się modli. Potem widzę, jak wyciąga rękę, przez moment gładzi delikatnie twarz pani E. i cofa dłoń. Przez dwie, trzy minuty patrzymy razem na twarz pacjentki, nic nie mówimy. Potem znów Basia wyciąga rękę i delikatnie gładzi twarz pani E., szepcząc powoli: „Boże Ciało, Boże Ciało".

Podwyższenie Krzyża

Jest 5.30. Stoję sam na przystanku w podwarszawskim Izabelinie. Ciemno i bardzo zimno, oblodzona ulica, nie widzę żadnych ludzi, jakby wszystko zamarło. Czekam na autobus podmiejski, którym muszę dotrzeć do pracy w Laskach. Obawiam się, że lód na drodze wszystko dziś zdezorganizował. Do tego silny mroźny wiatr. Tracę nadzieję, że dojadę na czas do pracy. Nagle widzę, jak z bocznej uliczki wolno wyjeżdża duży osobowy opel. Gdy jest na wysokości przystanku, zatrzymuje się. Kierowca macha w moją stronę. Otwieram drzwi. Za kierownicą nieznajomy mężczyzna, około czterdziestki. Pyta, czy podwieźć, bo jedzie do Warszawy. Szczęśliwy siadam obok niego, zapinam pasy, ruszamy powoli; mam wrażenie, że w pewnej chwili koła buksują po śliskiej jezdni.

Nieznajomy pyta o moją pracę i sam zaczyna opowiadać, że wczoraj został okradziony w swoim biurze, do którego mają dostęp interesanci. Stracił klucze do domu i sporą sumę pieniędzy. Zauważam, że opowiada o tym z bólem, ale bez goryczy.

Otwieram szeroko oczy ze zdumienia. Zaledwie kilkanaście godzin wcześniej ktoś go okradł, a dziś on sam zatrzymuje się obok przystanku, żeby podwieźć nieznajomego. Myślę sobie, że ja na jego miejscu byłbym wściekły na złych ludzi i jeszcze długo pielęgnował awersję do niedobrego świata. Ten człowiek zaś, wczoraj skrzywdzony, dziś robi bezinteresowny gest życzliwości. Nie do wiary.

Wychodząc z auta, próbuję dać kierowcy kilka złotych. Nie chce wziąć. Jestem dziś w pracy na czas.

© KRZYSZTOF KRZYWANIA

COURTESY EVERETT COLLECTION / EAST NEWS

Bp Fulton J. Sheen prowadzący audycję „The Catholic Hour", lata 40. XX w.

Przerwana beatyfikacja

MASSIMO FAGGIOLI

Miał być pierwszym błogosławionym laureatem nagrody Emmy. Pierwszą wyniesioną na ołtarze gwiazdą amerykańskich mediów. Na dwa tygodnie przed uroczystością Watykan wstrzymał beatyfikację Fultona Sheena.

Dotąd błogosławionymi i świętymi zostawali w Stanach zakonnicy misjonarze. W końcu aż do początku XX wieku Kościół uważał USA za „terytorium misyjne". Beatyfikacja bp. Fultona Sheena (1895–1979) miała pokazać, jak młody, amerykański katolicyzm dojrzał i jak bardzo się zmienił. Miała być symbolem pogodzenia tradycji z nowoczesnością.

Dopiero co ustalono oficjalnie miejsce i datę uroczystości: 21 grudnia, katedra Niepokalanego Poczęcia NMP w Peorii, w stanie Illinois, gdzie równo sto lat temu Sheen został wyświęcony na księdza i gdzie w marmurowym grobowcu obok ołtarza spoczęło jego ciało. Po skomplikowanym procesie beatyfikacyjnym, w czasie którego dwie diecezje – Nowy Jork i Peoria – poszły nawet do sądu, wydawało się, że słynny kaznodzieja wreszcie zazna spokoju i zasłużonej chwały. Tymczasem 3 grudnia diecezja Peoria, która rozpoczęła przed 19 laty proces beatyfikacyjny, wydała krótkie oświadczenie: „Stolica Apostolska, na prośbę kilku członków Konferencji Episkopatu USA, którzy domagają się ponownego zbadania sprawy, zdecydowała o przełożeniu planowanej beatyfikacji. W obecnej sytuacji bardzo ważne jest, by wierni wiedzieli, że wobec bp. Sheena nie było żadnych oskarżeń o seksualne nadużycia w stosunku do nieletnich". Ordynariusz Peorii, bp Daniel Jenky, wyjaśnia w komunikacie, że ta kwestia była dokładnie badana na etapie procesu. Z jego słów można więc wnioskować, że na linii diecezja – Konferencja Episkopatu – Watykan zapanowało pełne niedopowiedzeń napięcie.

Irlandzka krew

Fulton John Sheen urodził się 8 maja 1895 r. w El Paso (Illinois), wówczas maleńkim, prowincjonalnym i protestanckim miasteczku, w którym katolików – pod względem politycznym, społecznym, ekonomicznym czy kulturalnym – uważano za obywateli drugiej kategorii. Był najstarszym z czwórki dzieci Delii Fulton i Newtona Sheena. Jego babcia i dziadek ze strony matki, a także dziadek ze strony ojca byli irlandzkimi emigrantami. Rodzina nie należała do zamożnych, utrzymywała się z prowadzenia sklepu z narzędziami. Młody Fulton poszedł do seminarium – najpierw niższego, potem wyższego – St. Viator College w Illinois, skąd przeniósł się do bardziej prestiżowego St. Paul w Minessocie, gdzie został wyświęcony na kapłana diecezji Peoria. Dalsze studia odbywał na należącym do biskupów Katolickim Uniwersytecie Ameryki w Waszyngtonie D.C. oraz na Katolickim Uniwersytecie w Lowanium (Belgia). Tam też, w 1923 r., obronił doktorat, wydany trzy lata później ze wstępem samego G.K. Chestertona. Rozprawa z filozofii św. Tomasza z Akwinu była pierwszą amerykańską pracą naukową wyróżnioną Międzynarodową Nagrodą Filozoficzną kard. Merciera. A także pierwszą i ostatnią, jaką Sheen napisał.

Po powrocie do Stanów i kilku miesiącach pracy duszpasterskiej w biednej dzielnicy Peorii ks. Fulton ponownie trafił – tym razem w roli wykładowcy – na Katolicki Uniwersytet Ameryki w Waszyngtonie. Ale jego relacje z pracownikami nie ułożyły się najlepiej. Koledzy z wydziału filozofii niezbyt przychylnie patrzyli na coraz szerzej prowadzoną przez młodego księdza działalność popularyzatorską. Świadom, że nie da się na dłuższą metę łączyć pracy dydaktycznej z aktywnością w mediach, Sheen rzucił uniwersytet i poświęcił się całkowicie kaznodziejskiej pasji.

Medialna sława

Opublikował ponad 90 popularnych książek na temat duchowości, m.in. „Pace of the Soul" (1949), która znalazła się na liście bestsellerów „New York Timesa", czy „Life of Christ" (1958), opartą na wystąpieniach w programie telewizyjnym „The Catholic Hour". Bo prawdziwą sławę przyniosły mu występy w mediach. Z roku na rok stawał się coraz bardziej znanym i cenionym mówcą.

Dwudziestoletnia przygoda z radiem zaczęła się w latach 30. XX wieku cyklicznym programem „The Catholic Hour". W latach 50. wciągnęła go telewizja. Dwudziestominutowy program „Life Is Worth Living" – nadawany od 1952 do ↦

↦ 1957 r., najpierw w sieci Dumont, potem ABC – zdobył serca milionów Amerykanów, którzy przez pięć lat, w każdy wtorek o ósmej wieczorem, zasiadali przed odbiornikami. Występy Sheena były najdłużej utrzymującym się na antenie programem katolickim w Stanach, emitowanym w najlepszym paśmie telewizyjnym (*prime time*). W 1952 r. otrzymał za nie statuetkę Emmy – najważniejszą nagrodę telewizyjną, i stał się najbardziej znanym księdzem, cenionym także przez protestantów, żydów czy agnostyków. W telewizyjnych „lekcjach teologii" atakował komunizm, ateizm i nowoczesną psychologię, choć jednocześnie reprezentował katolicyzm wspierający i dodający otuchy. A w dodatku możliwy do pogodzenia ze stylem życia nowoczesnych Amerykanów.

Pieniądze i duszpasterstwo

Popularność medialna Sheena nie pozostała bez wpływu na jego karierę kościelną. W latach 1950-66 był dyrektorem Stowarzyszenia Propagandy Wiary, a w latach 1951-66 biskupem pomocniczym Nowego Jorku. Uczestniczył w czterech sesjach Soboru Watykańskiego II (1962-65), choć nie pozostawił tam po sobie znaczących śladów. Najwyraźniej uznał swoje 25-letnie doświadczenie w głoszeniu popularnych kazań radiowych i 5-letnie występy w telewizji za mało przydatne podczas wielkich debat teologicznych, w których udział brali choćby dwaj przyszli papieże – Jan Paweł II i Benedykt XVI.

Potrafił za to bardzo sprawnie pozyskiwać fundusze na działalność Kościoła, co było powodem konfliktu z legendarnym i bardzo skutecznym katolickim fundraiserem, kard. Francisem Spellmanem (1889–1967), ordynariuszem diecezji Nowy Jork. Starcie z przełożonym zakończyło karierę Sheena. W październiku 1957 r. Spellman cofnął mu pozwolenie na występy w mediach.

Złe relacje z kardynałem, który także po soborze zachował – sięgające jeszcze lat 20. XX wieku – wpływy w Watykanie, były powodem usunięcia Sheena z Nowego Jorku. W 1966 r. został mianowany biskupem niewielkiej diecezji Rochester. W 1969 r. złożył jednak urząd, na rok przed osiągnięciem wieku emerytalnego. Nadal, niemal do końca życia, głosił rekolekcje i konferencje duchowe. Zmarł 9 grudnia 1979 r.

Fulton i inni

Działalność Sheena można uznać za najlepszą odpowiedź na izolacjonistyczne i reakcyjne pokusy amerykańskiego katolicyzmu okresu międzywojennego. Widać to dobrze w porównaniu z innym, wielkim i kontrowersyjnym kaznodzieją radiowym tamtego czasu, o. Charlesem Coughlinem (1891–1979), znanym z antysemickich kazań i ataków na prezydenta Franklina Delano Roosevelta.

Można rzec, że Sheenowi udało się na skalę masową dokonać tego, co wśród establishmentu osiągnęli o. John Courtney Murray (1904–1967) czy Thomas Merton (1915–1968). Pierwszy z nich, jezuita, był bojownikiem o wolność religijną na Soborze Watykańskim II. Drugiemu, słynnemu trapiście, udało się trafić z katolicką doktryną do czytelnika wyrafinowanego, obeznanego ze współczesną literaturą światową. Sheen natomiast dotarł do zwykłego, przeciętnego odbiorcy i zdobył dla Kościoła rzymsko-katolickiego akceptację amerykańskiego społeczeństwa. Tym samym pomógł katolikom w USA wyjść poza kulturowe i społeczne getto, w jakim do końca II wojny światowej większość z nich żyła (czy też sama się w nim widziała) i wprowadził ich do społecznego mainstreamu.

Beatyfikacja Fultona Sheena miała być okazją do przypomnienia tego, co łączy mocno dziś podzielony i spolaryzowany Kościół w USA. Radiowo-telewizyjne lekcje pokazywały katolicyzm tradycyjny, ale w sposób niedogmatyczny, wręcz ekumeniczny. Antykomunizm Sheena był bardziej filozoficzny niż polityczny czy ideologiczny, i absolutnie nie miał nic wspólnego z maccartystycznymi obsesjami tamtych czasów.

Medialny biskup zdobył popularność w czasie, gdy katolicyzm amerykański miał jeszcze wiele ufnej wiary w siebie i w chrześcijańską przyszłość Stanów Zjednoczonych, których to brak coraz mocniej mu dziś doskwiera.

Proces wstrzymuje proces

Diecezja Peoria rozpoczęła proces beatyfikacyjny bp. Fultona Sheena w 2002 r., gdy okazało się, że arcybiskup Nowego Jorku nie podejmuje w tej kwestii żadnych działań. Dziesięć lat później Benedykt XVI ogłosił Sheena „Sługą Bożym", a w 2014 r. watykańska komisja medyczna przy Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych zatwierdziła cud, przypisywany jego wstawiennictwu. Potem proces utknął na kilka lat. Powodem był spór sądowy o miejsce spoczynku Sheena, po śmierci pochowanego w krypcie pod ołtarzem św. Patryka nowojorskiej katedry. Gdy zaczęto mówić o beatyfikacji, krewni biskupa oraz diecezja Peoria zażądały przeniesienia ciała do miejscowej katedry. Nowy Jork nie chciał się zgodzić, sprawa trafiła do sądu. Spór, trwający pięć lat, zakończył dopiero wyrok z 2019 r. przyznający rodzinie prawo do decydowania o miejscu pochówku. Proces beatyfikacyjny odmrożono. 6 lipca papież Franciszek zatwierdził cud i wyznaczył datę beatyfikacji.

Dziś już wiemy, wiemy, że to, co wydarzyło się między lipcem (gdy papież Franciszek zatwierdził cud konieczny do beatyfikacji) a grudniem (gdy odwołano uroczystość) ma związek z nową falą skandali seksualnych w amerykańskim Kościele. Oczywiście oskarżenia, wysuwane przeciwko Sheenowi od 2007 r., gdy pojawiły się na stronie internetowej organizacji „Bishop Accountability", były podczas procesu beatyfikacyjnego badane i uznano je za nieudokumentowane i niewiarygodne. Jednak dziś, po sprawie McCarricka, nie ma już nieprawdopodobnych oskarżeń i niewiarygodnych źródeł. Czasy się zmieniły.

Poza tym w wielu stanach Ameryki sądy zgodziły się na otwarcie spraw, które dotąd prawo uznawało za przedawnione. Dlatego bp Salvatore Matano, ordynariusz diecezji Ronchester, którą Sheen zarządzał przez trzy lata, poprosił Stolicę Apostolską o zawieszenie beatyfikacji z obawy, że nazwisko słynnego poprzednika może pojawić się w raporcie końcowym z dochodzenia przeciwko duchownym z jego diecezji. Beatyfikacja została więc odroczona conajmniej do momentu ogłoszenia dokumentu a – kto wie – może i bezterminowo.

Widać, jak skandale seksualne zaciążyły na każdym aspekcie życia Kościoła w USA. Zawieszenie beatyfikacji Fultona Sheena jest tego najlepszym przykładem. Amerykański Kościół jest niepewny nie tylko przyszłości. Drży także przed swoją przeszłością.

© MASSIMO FAGGIOLI
Przeł. EDWARD AUGUSTYN

Autor jest profesorem teologii i nauk o religii Villanova University (Philadelphia, USA).

SZYMON

Hołownia:
Po drugiej stronie okładki

Pisanie felietonów to w istocie straszna praca. Regularnie jak w zegarku (w moim przypadku – co tydzień), o tej samej porze, czy masz dobry dzień, czy zły, czy porównania spiętrzają ci się w głowie z prędkością światła, czy żadne zdanie nie lepi ci się do kolejnego, musisz wysłać tekst, bo przecież już wysyłają esemesy: „Kiedy będzie?", „Już?", „A o której?". Felieton to zawsze zobowiązanie autora, ale też ryzyko redakcji, która wie przecież, i ma to wliczone w koszta, że raz autorowi trafi się perełka, raz szklany paciorek, a raz „wymęcz" taki, że tylko fakt istniejącej umowy (a i wysoka kultura redaktorów) sprawia, że nie wysłuchuje się po nim słów niechęci i wzgardy.

Felieton jednak nieprędko umrze, bo to starannie wybrany gość (pewnych autorów lubimy, innych mniej), który co tydzień wpada na krótką herbatę, w parę minut powie o czymś, co wyłapał w świecie, po czym na kolejny tydzień znika. To jedna z ostatnich kotwic, mostów do starego świata, w którym życia nie przeżywano w kwadransach, lecz zgodnie z naturalnym rytmem świata i człowieka: w dniach. Układających się później w siedem różnych od siebie nastrojem części każdego tygodnia, w miesiące, które ściśle korespondowały z innym wymiarem natury: porami roku.

Pierwsze felietony w życiu pisałem, pracując w polskim „Newsweeku". Jego ówczesny naczelny, Tomasz Wróblewski, który chyba wtedy rzeczywiście jakoś mocno we mnie wierzył, któregoś dnia zaproponował, żebym tym właśnie się zajął, pisał nie tylko wewnątrz, ale i na pierwszych stronach gazety, gdzie wtedy taką twórczość umieszczano. Pamiętam, jakim szokiem było dla mnie, gdy przeczytawszy pierwsze próbki mojej felietonowej twórczości, skwitował je, przynosząc mi na biurko zszywki amerykańskiego „Newsweeka" i pokazując, jak piszą tam ludzie z dużo większym od mojego warsztatem i doświadczeniem. Odkrywałem, że felieton nie stoi wcale na opinii, że nawet najbardziej autorska woltyżerka najlepiej smakuje, gdy po dach wypakowany jest faktami, danymi, cytatami.

Na tych łamach publikowali najwięksi w tym gatunku. To zaszczyt stanąć z nimi w szeregu pod tym samym tytułem. Tych z Państwa, którzy co tydzień dawali mi szansę i zaglądali do moich tekstów, którzy później przychodzili na moje spotkania autorskie, by mi o tym powiedzieć, chciałbym – dziękując – prosić o chwilę cierpliwości na czas, w którym muszę zwolnić moją stałą stronę, moje „Tygodnikowe" miejsce. Jak możecie przeczytać w zamieszczonej w tym samym numerze „Tygodnika" rozmowie, podjąłem niełatwą decyzję, że spróbuję wziąć odpowiedzialność za świat, w którym żyję jeszcze na innym polu, i zmienić go – o ile się da – na trochę lepszy, już nie tylko słowem felietonu, także robiąc go, a nie tylko opisując.

Choć kampania przed wyborami prezydenckimi oficjalnie wystartuje w styczniu lub lutym przyszłego roku, a więc formalnie nie jestem przecież jeszcze kandydatem, uznaliśmy wraz z redakcją, że byłoby bardzo niezręcznie, gdybym nadal pisał, narażając „Tygodnik" na zarzut, że udostępniając mi łamy, bierze udział w mojej „prekampanii". Co przyniesie przyszłość – to przyszłość nam pokaże i wtedy podejmiemy decyzję co do dalszych losów tej rubryki. Żegnam się więc nie na zawsze, lecz na „do zobaczenia". Prosząc moich Czytelników, by trzymali za mnie kciuki, i zdalnie dodawali sił, bo w wyścigu, który przede mną, potrzeba ich niesłychanie dużo.

I – nadal czytajcie felietony. To naprawdę bardzo ważne – przypominać sobie stale, że są w życiu rzeczy, których nie da się zamówić w trybie VOD, z natychmiastową dostawą, na które trzeba poczekać tydzień. I wiedzcie, proszę, że dla mnie to naprawdę był zaszczyt: pisać je w piśmie, które – w takich okolicznościach, stojąc jedną nogą na zewnątrz, mogę otwarcie prawić mu komplementy – ze swojej bogatej tradycji wzięło na dziś to, co najlepsze. To jeden z bardzo niewielu na polskim rynku tytułów, w których nadal publikuje się teksty, a nie zbiory wykrzykników czy rozbudowane podpisy pod zdjęcia. W „Tygodniku" tekst jest tekstem, jest o czymś, zgadzasz się z nim czy nie – ma wagę. „Tygodnik" gra oczywiście w rynkową grę, ale robi to na swoich warunkach, to jeden z niewielu (jeśli nie jedyny) tygodnik opinii notujący wzrosty sprzedaży, ale przecież nawet owa sprzedaż rośnie mu z arystokratyczną niespiesznością. Powoli, acz nieuchronnie.

Dziękuję Ci, „Tygodniku", dziękuję Państwu, dziękuję, Koleżanki i Koledzy. Róbcie nadal wspaniałą robotę. Ja spróbuję zbudować dystrybutor nadziei choć niedaleko, to chwilowo po drugiej stronie okładki. Znajdziecie mnie w Polsce. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

NOWA WIELKA BRYTANIA

Brytyjczycy decydują w tych dniach nie tylko o nowym parlamencie, ale też o przyszłości swojego państwa.

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

W tej kwestii politycy z różnych partii i komentatorzy są zgodni jak nigdy: podkreślają, że to „przełomowe wybory", „jedyne takie na całe pokolenie". Inaczej rzecz wygląda, gdy posłucha się zwykłych Brytyjczyków. „Tylko nie o polityce", „nie oglądam już telewizji", „staram się trzymać z daleka" – mówią, zmęczeni tym, co dzieje się od kilku lat w ich kraju.

Wygląda na to, że poruszanie w prywatnych rozmowach kwestii polityczno-wyborczych albo, co gorsza, tych dotyczących brexitu, stało się na Wyspach jakby trochę niestosowne. Już w sondażu z końca marca 2019 r. – kiedy to ostatniego dnia tego miesiąca zgodnie z planem miał nastąpić brexit – aż 83 proc. ankietowanych wyznawało, że czuje mdłości, słysząc codziennie o brexicie w wiadomościach. 64 proc. uważało już wtedy, że związana z nim niepewność źle wpływa na zdrowie psychiczne ludzi, 84 proc. nie miało dobrego zdania o poczynaniach żadnej z głównych partii, a 70 proc. było przekonanych, że przyspieszone wybory nic by nie zmieniły.

A jednak – nadszedł grudzień i oto Brytyjczykom znów przyszło wybierać swoich reprezentantów w Izbie Gmin. Głosowanie w czwartek, 12 grudnia – to już trzecie wybory parlamentarne, licząc od 2015 r. W tym czasie były też wybory do Parlamentu Europejskiego (maj 2019 r.) i oczywiście referendum w sprawie wyjścia z Unii Europejskiej (czerwiec 2016 r.). Znużenie i zniecierpliwienie polityką można więc zrozumieć.

Slogany i przemilczenia

Poprzednie przedterminowe wybory parlamentarne rozpisała w 2017 r. ówczesna premier Theresa May, licząc na zwiększenie przewagi swojej Partii Konserwatywnej w ławach poselskich. Plan nie wypalił, a jej rząd stracił większość. Teraz szczęścia próbuje premier Boris Johnson – podobnie jak May, liczy na silną większość, która pozwoli mu przepchnąć porozumienie z Unią w sprawie brexitu.

Jednak choć to brexit był faktycznym powodem rozpisania wyborów i tematem, który dominuje od kilku lat w tutejszej polityce, w istocie w tych wyborach chodzi nie tylko o relacje z Unią. – Wyraźny jest brak szczegółowej dyskusji o brexicie. Konserwatyści nie zrobią nic poza powtarzaniem ich mantry, że „dokończą brexit". To efektowny slogan, ale wprowadza w błąd, bo nie będzie to żadne dokończenie: Zjednoczone Królestwo spędzi zapewne lata, negocjując porozumienie handlowe z Unią – mówi „Tygodnikowi" prof. Tim Bale z Uniwersytetu Queen Mary w Londynie.

– Z kolei opozycyjna Partia Pracy nie chce mówić o brexicie, bo jej strategia – wynegocjować nowe porozumienie z Unią i przedstawić je w referendum, w którym byłaby opcja pozostania w Unii – nie jest popularna. W rezultacie wiele mówi się o tym, jak dofinansować usługi publiczne, przede wszystkim służbę zdrowia i policję – dodaje Bale.

I rzeczywiście, z sondażu Ipsos MORI wynika, że dla Brytyjczyków państwowa służba zdrowia jest ważniejsza niż brexit (59 proc. do 54 proc.). Natomiast imigracja, która odegrała tak wielką rolę dla wyniku brexitowego referendum w 2016 r., ma wpływ na wyborcze decyzje tylko 29 proc. wyborców. Dla podobnego odsetka istotna jest ochrona środowiska i walka ze zmianami klimatu – to nowy temat, którego waga rośnie.

Zresztą gdy idzie o kondycję służby zdrowia, akurat brexit może mieć duże znaczenie. Jedną z bolączek jest tu bowiem brak personelu. Tymczasem wiele pielęgniarek i lekarzy pracujących w Wielkiej Brytanii pochodzi z kontynentu. Teraz część już

STRINGER / EPA / PAP

Zwolennicy opozycyjnej Partii Pracy w oczekiwaniu na wiec wyborczy z udziałem jej lidera Jeremy'ego Corbyna. Whitby, Wielka Brytania, 1 grudnia 2019 r.

wyjechała, nowi przyjeżdżają rzadziej. Premier Johnson zapowiada dla nich szybką ścieżkę wizową po brexicie. Była to jedna z wielu obietnic wyborczych...

Obietnice i straszaki

Premier Theresa May – podobnie jak inni konserwatyści – chętnie powtarzała, że nie ma magicznego drzewa, na którym rosną pieniądze. Tymczasem sądząc po deklaracjach z kampanii wyborczej, można by sądzić, że właśnie je znaleziono. Johnson zapowiadał zwiększenie wydatków budżetowych, których największa część miałaby pójść właśnie na służbę zdrowia, m.in. na zatrudnienie o 50 tys. pielęgniarek więcej. Media od razu bezlitośnie wykazały błędy w tej arytmetyce: deklarowana liczba zawierała już pracujące pielęgniarki.

Tym nośnym tematem zajmował się też lider Partii Pracy Jeremy Corbyn, co rusz ostrzegając, że po brexicie konserwatyści „sprzedadzą" państwową służbę zdrowia Amerykanom i ich farmaceutycznym koncernom. Podobnie jak konserwatyści, Partia Pracy obiecuje tu obfite inwestycje: zwiększenie wydatków na zdrowie o 4,3 proc. rocznie. A także inne działania prospołeczne, jak wydłużenie urlopów macierzyńskich, podniesienie pensji minimalnej i darmowy internet szerokopasmowy.

Zdawałoby się, że problemy w sektorze usług publicznych i lata oszczędności z czasów rządów konserwatystów powinny działać na korzyść opozycji, zwłaszcza Partii Pracy. Nie do końca tak jest. Dlaczego? – Bo Partia Konserwatywna też deklaruje zwiększenie wydatków. I ponieważ wyborcy nie wierzą, że Partia Pracy wyda te pieniądze mądrze lub zyska je bez podniesienia podatków zwykłym ludziom – twierdzi prof. Bale.

Z sondażu Ipsos MORI rzeczywiście wynika, że aż 63 proc. ankietowanych nie wierzy lewicy w sprawie obiecywanych wydatków. Jednocześnie 56 proc. nie ufa też konserwatystom.

A jednak brexit...

Ale choć w kampanii eksponowano tematy społeczne, to brexit pozostaje głównym czynnikiem – także wyborczym. W ankiecie ośrodka YouGov aż 86 proc. pytanych zdecydowało się zidentyfikować poprzez swój wybór dotyczący brexitu (za lub przeciw). Przy czym okazuje się, że nadal jest to podział niemal pół na pół, uwzględniając wahnięcia i błąd statystyczny (w tym sondażu: 41 proc. za brexitem, 45 proc. przeciw). Tylko 68 proc. z nich potrafiło wskazać „swoją" partię polityczną. Odpowiadając na inne pytanie, większość przyznała, że nie identyfikuje się mocno lub wcale z żadną z partii. ↦

Zatem to stanowisko danej partii w sprawie relacji z Unią może być decydujące dla składu Izby Gmin po 12 grudnia. Np. w przemysłowej północnej Anglii – tradycyjnym bastionie Partii Pracy, gdzie jednak dominują zwolennicy brexitu – mogli wygrać konserwatyści. Komentatorzy oceniali bowiem, że ci, którzy chcą brexitu, zagłosują za konserwatystami. Przeciwnicy wyjścia z Unii mieli teoretycznie większy wybór. Liberalni Demokraci zapowiadali anulowanie decyzji o brexicie, a Partia Pracy – jak już powiedziano – nową umowę z Unią i referendum, które miałoby ją zatwierdzić. Zdecydowanie antybrexitowym ugrupowaniem była Szkocka Partia Narodowa (SNP), ale na nią mogli głosować jedynie wyborcy w Szkocji.

Na nieprzewidywalność tych wyborów wpływa też ordynacja oparta na okręgach jednomandatowych (mandat zyskuje kandydat z największą liczbą głosów; głosy oddane na kontrkandydatów przepadają). Analitycy sądzili, że wielu Brytyjczyków może głosować taktycznie, bardziej „przeciw" niż „za" – wspierając ugrupowanie, które w danym okręgu ma największe szanse, by wyeliminować kandydata z nielubianej partii.

Szkockie dylematy...

Obywatele na północy kraju mają jeszcze jeden dylemat: szkocką niepodległość.

Szkocka Partia Narodowa, rządząca w tej części Zjednoczonego Królestwa i licząca na miażdżące zwycięstwo w Szkocji 12 grudnia, określiła się jasno jako formacja antybrexitowa, prounijna i proniepodległościowa. Tymczasem około jednej trzeciej zwolenników brexitu w Szkocji to zarazem zwolennicy SNP. Dla nich głosowanie oznaczało wybór tego, co najistotniejsze: wyjście z Unii czy wyjście ze Zjednoczonego Królestwa (po ewentualnym referendum niepodległościowym, którego domaga się dziś SNP). Konserwatyści mogli więc tu zyskać na głosach szkockich unionistów, których przeraża wizja rozpadu Zjednoczonego Królestwa. Nawet jeśli mieliby oni głosować na partię Johnsona z zaciśniętymi zębami.

Dla SNP istotne jest nie tylko to, jak zdecydowane będzie w Szkocji ich zwycięstwo (a co za tym idzie: mandat do planowania nowego referendum niepodległościowego), ale też, jaki będzie ogólnokrajowy wynik konserwatystów i Partii Pracy. Od poparcia Szkotów może zależeć przyszły rząd. Z kolei to poparcie będzie zależeć od zgody Londynu na referendum niepodległościowe. Konserwatyści zdecydowanie to wykluczają. Partia Pracy jest bardziej zniuansowana: według niej szkockie referendum nie byłoby możliwe „w pierwszych latach rządu". A potem? To nie jest wykluczone... Labourzyści zapowiadają jednak inwestycje w Szkocji (100 mld funtów w ciągu 10 lat) i najwyraźniej liczą, że separatystyczny ferwor osłabnie.

...i irlandzka łamigłówka

Irlandzki „*backstop*" w umowie rozwodowej z Unią – rodzaj gwarancji, że po brexicie nie będzie „twardej" granicy między Irlandią Północną (częścią Wielkiej Brytanii) a Republiką Irlandii – był głównym powodem kłopotów z jej przegłosowaniem. Choć w kampanii sprawa irlandzkiego „bezpiecznika" przycichła, to także w Irlandii Północnej głównym czynnikiem określającym to głosowanie jest brexit. Pod znakiem zapytania stoi utrzymanie dotychczasowej liczby mandatów irlandzkich unionistów z DUP, opowiadających się za wyjściem z Unii. Co jest o tyle istotne, że konserwatyści Johnsona polegali dotąd na ich wsparciu w Izbie Gmin.

Irlandia Północna ma też własne problemy, bo od prawie trzech lat z powodu braku porozumienia między głównymi tu partiami – republikańską Sinn Fein i unionistyczną DUP – nie ma regionalnego rządu, a północnoirlandzki parlament jest zawieszony. Kampania i związane z nią emocje nie ułatwiają ponownej współpracy między tymi partiami. Sprawa ta zapewne wróci zaraz po wyborach.

Dla Irlandczyków ważne mogą się okazać też wyniki w Szkocji. Silny mandat SNP i ewentualne szkockie referendum niepodległościowe być może przyspieszą rozmowy dotyczące irlandzkiego referendum o zjednoczeniu Irlandii Północnej z Republiką Irlandii – o nim już się mówi, choć jeszcze bardzo, bardzo delikatnie. Sinn Fein twierdzi, że takie referendum to już nie pytanie „czy", ale „kiedy". Miałoby to też – według manifestu wyborczego tej partii – być odpowiedzią na brexit i związane z nim problemy.

Płynny krajobraz

Wyłoniona 12 grudnia nowa Izba Gmin być może będzie w stanie rozstrzygnąć sprawę wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii. Bo choć znana jest kolejna data brexitu – 31 stycznia 2020 r. – to przecież termin ten przekładano już kilka razy. Czy więc ostatniego dnia stycznia nastąpi brexit? To kolejna niewiadoma...

Wiadomo natomiast, co już się stało: ostatnie trzy lata, a zwłaszcza ostatni rok, zmieniły polityczny krajobraz kraju. Nadal dominują dwie duże partie – konserwatyści i labourzyści, ale nie są już one takie jak wcześniej. Zmianę widać przede wszystkim u torysów, których znakiem charakterystycznym była przez lata dyscyplina budżetowa. Teraz w deszczu obietnic wyborczych nie ma po niej śladu. – Partia Konserwatywna jest na dobrej drodze, by stać się czymś zbliżonym do formacji prawicowo-populistycznej – uważa prof. Bale. – Choć niekoniecznie będzie to zmiana na stałe – dodaje. Jego zdaniem, za sukcesami konserwatystów stoi ich umiejętność „wymyślenia siebie na nowo", nawet jeśli wiąże się to z odłożeniem na bok pewnych zasad i wartości.

Wiadomo już także, że brexit wywołał na nowo kwestię szkockiej niepodległości i teraz bardzo trudno będzie ją zamknąć. Zależnie od warunków, na jakich Wielka Brytania wyjdzie z Unii, mogą nasilić się żądania zjednoczenia Irlandii (twardy brexit bez porozumienia je wzmocni). A nawet jeśli odsunięta zostanie groźba rozpadu Zjednoczonego Królestwa, to będą potrzebne głębokie zmiany systemowe, umożliwiające dalsze funkcjonowanie w jednym państwie Anglików, Szkotów, Walijczyków i Irlandczyków.

Boris Johnson zapowiada, że po brexicie stworzy „Nową Wielką Brytanię". Jaką? Tego być może on sam jeszcze nie wie. Jednak bez względu na to, kto będzie premierem, najtrudniejszym wyzwaniem nowego rządu mogą się okazać nie zawiłości brexitowe czy spełnianie szczodrych obietnic, lecz zjednoczenie ludzi – teraz bardzo podzielonych. I bardzo zmęczonych.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Tekst ukończono w czwartek 5 grudnia.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

PATRYCJA BUKALSKA będzie gościć u Pawła Sulika w Popołudniu Radia TOK FM w środę 11 grudnia o godzinie 17.20.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

SEONGJOON CHO / BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

Plastikowe opakowania są tu wszechobecne, pakuje się w nie nawet pojedyncze warzywa. Statystyczny koreańczyk zużywa ok. 420 plastikowych toreb rocznie. Na zdjęciu: wytwórnia organicznego kimchi w Yangpyeong. Korea Płd., 2015 r.

Prawie jak w Polsce

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Niczym w Biblii woda w rzece zmienia kolor na czerwony. W miastach rosną góry śmieci, a sezon smogowy jest jednym z najgorszych na świecie... Korea Południowa mierzy się z kryzysem ekologicznym.

Woda w rzece Imjin została skażona krwią utoczoną z prawie 50 tys. świń. Zwierzęta masowo wybito z powodu wirusowej choroby ASF, nazywanej afrykańskim pomorem świń, której obecność wykryto jesienią w prowincji Gyeonggi.

Lokalne władze próbowały powstrzymać rozprzestrzenienie się zanieczyszczonej wody, lecz na próżno. Ministerstwo środowiska zapowiedziało kontrole obiektów zaopatrujących mieszkańców w wodę pitną w dotkniętych klęską regionach. Uspokajano, że zwierzęta przed zabiciem przeszły dezynfekcję, a choroba nie przenosi się na ludzi. Cała historia wzbudza jednak w kraju emocje, a życzliwi Koreańczycy doradzają, aby przez pewien czas zrezygnować z wieprzowiny.

Północ milczy, Południe walczy

Władze w Seulu już wcześniej spodziewały się, że choroba ASF może przedostać się do kraju z Korei Północnej, gdzie wybuchła wiosną 2019 r. Rozpoczęto budowę specjalnych ogrodzeń w gospodarstwach w pobliżu granicy z Północą. Południowokoreańskie wojsko zostało upoważnione do zabijania w strefie zdemilitaryzowanej dzików, które mogły przynieść chorobę na południową stronę. Także wojskowe helikoptery zostały zaangażowane do dezynfekcji najbardziej narażonych części 250-kilometrowej granicy.

Nikt nie zna skali spustoszenia, jakie wirus poczynił w Korei Północnej. Rodong Sinmun, główny organ propagandowy władz Północy, donosi o działaniach partii dla powstrzymania choroby i zachęca farmy do produkowania własnych leków na bazie lokalnych ziół. Nie podaje jednak żadnych szczegółów. Tymczasem wieprzowina jest głównym źródłem białka w Korei Północnej. Według ekspertyzy ONZ z kwietnia, już teraz 40 proc. populacji Korei Północnej, czyli 10 mln ludzi, jest niedożywione i potrzebuje pilnej pomocy. Efekty masowego pomoru świń w połączeniu z obecnymi sankcjami grożą kolejną falą głodu. Ponieważ granice są szczelne jak nigdy przedtem, ciężko będzie ustalić, co się tam dzieje. Dyktatura Kim Dzong Una odmawia ujawnienia skali problemu.

Również Korea Południowa nie radzi sobie z problemem ASF. Jak dotąd zabito już 160 tys. świń, co wiąże się z olbrzymim problemem utylizacji tak dużej liczby martwych zwierząt. Coexistence of Animal Rights on Earth (CARE), największa organizacja broniąca praw zwierząt w Korei, ujawniła wideo, na którym widać, że świnie zabijane są w okrutny sposób – przez grzebanie żywcem. Powodem prawdopodobnie była za mała ilość ↦

gazu, używanego zwykle do ich zabijania. Na filmie widać, jak zwierzęta próbują walczyć o życie. Aktywiści zorganizowali protest, tradycyjnie na placu Gwanghwamun, domagając się ukarania winnych niepotrzebnej przemocy i większej transparentności. Część włożyła maski z podobizną świni.

Seul się dusi

Innym męczącym Koreę problemem jest poważne zanieczyszczenie powietrza, na które składa się smog i drobny pył. Przez lata obwiniano o to Chiny, jednak w ostatnim czasie media coraz częściej informują, że jedynie 40-50 proc. szkodliwego powietrza ma pochodzenie chińskie – pył i zanieczyszczenia przybywają z wiatrem znad pustyni w Mongolii.

O tym, jak silne jest przekonanie o wpływie Chin, świadczą kontrowersje wokół raportu, w którego powstaniu wzięli udział przedstawiciele Korei Południowej, Chin i Japonii. Badania wykazały, że Państwo Środka odpowiada jedynie za 32 proc. drobnego pyłu w skali roku. Koreańczycy powszechnie nie dają tym liczbom wiary, uznając je za zaniżone.

W najgorsze dni można dosłownie odczuć, jak wysokie jest zanieczyszczenie powietrza. Usta stają się suche, oddech krótszy, gardło zaczyna drapać... Każdy bogatszy mieszkaniec Seulu ma oczyszczacz powietrza, ale nie wszystkich na taki wydatek stać. Starsi i biedniejsi mieszkańcy stolicy są najbardziej narażeni. Seoul Institute ostrzega, że wraz ze wzrostem najdrobniejszego pyłu do 10 mikrogramów na metr kwadratowy zwiększa się ryzyko śmierci z powodu choroby niedokrwienia serca lub choroby naczyniowo-mózgowej o prawie 14 proc. Narażone są przede wszystkim osoby powyżej 65. roku życia.

Rząd południowokoreański zapowiedział szereg działań, by odpowiedzieć na problem. Od marca 2020 r. zakaz wjazdu do stolicy będzie miała część najbardziej szkodliwych ekologicznie pojazdów z silnikiem diesla. Na czas zimy zostanie obniżona praca kopalni węglowych w kraju. Podobnie jak w Polsce, węgiel w Korei znacznie dokłada się do krajowego poziomu smogu. Zresztą poziom pyłów PM10 w miastach takich jak Rybnik, Kraków czy Katowice jest podobny, a czasem wyższy od tego w 25-milionowym Seulu. W badaniach OECD śmiertelność z powodu złego powietrza w 2017 r. była wyższa w Polsce: na milion mieszkańców 555 osób dla Polski, a 316 dla Korei.

Plastikowa zmora

Według danych EUROMAP (Europe's Association for Plastics and Rubber Machinery Manufacturers), obejmujących 63 kraje, zużycie plastiku w przeliczeniu na jednego mieszkańca w Korei Południowej było najwyższe zaraz po Belgii i Tajwanie. W 2015 r. konsumpcja plastiku na jednego mieszkańca wynosiła aż 132,7 kg. Ogląd daje spojrzenie na zużycie w innych krajach, jak Polska (71,4 kg), Japonia (65,8 kg), Indie (10 kg) czy Etiopia (1,9 kg). Tajwan i Belgia, z konsumpcją 141,9 kg i 170,9 kg, zajęły niechlubne pierwsze i drugie miejsca.

Mieszkając w Seulu, łatwo to zrozumieć. Wystarczy wejść do supermarketu, by zobaczyć wszechobecny plastik. Nawet pojedyncze warzywa zamykane są w plastikowe opakowania. Samo spożycie kawy, która jest w Korei niezmiernie popularna, produkuje stosy plastikowych kubków dziennie. Co krok przy zakupach trzeba się bronić przed czarnymi siatkami. Szacuje się, że Koreańczyk zużywa ok. 420 plastikowych toreb rocznie (a to i tak mniej niż w Polsce, gdzie średnia wynosi 490 toreb).

Do niedawna w Korei nie dostrzegano problemu, bo znaczna część odpadów (200 tys. ton) skupowana była przez Chiny. Jednak Państwo Środka uznało, że ma dość bycia śmietnikiem świata – i wiosną 2019 r. zakończyło ów import z Korei. Plastik nie jest łatwym tworzywem do recyklingu i Chiny stwierdziły, że ten biznes jest nieopłacalny. Problemem jest niska jakość śmieci, których nie można poddać ponownemu przetworzeniu i ich toksyczność (nawet Niemcy, światowy lider, poddaje recyklingowi tylko 68 proc. śmieci).

Do tej pory Korei udawało się łączyć wizerunek kraju promującego ekologiczne rozwiązania z wysoką konsumpcją plastiku. Obecnie staje się to trudne. Próbowano zastąpić Chiny biedniejszymi krajami, Filipinami i Tajlandią, jednak również tu pojawiły się problemy. W marcu do Korei przybył statek z 51 kontenerami odpadów, które wróciły z Filipin. Okazało się, że śmieci nie nadają się do recyklingu; początkowo wysypano je na wyspie Mindanao, ale po protestach miejscowej ludności i organizacji ekologicznych wysłano je z powrotem. Filipiny są już wystarczająco zaśmiecone.

W Korei na obrzeżach miast coraz częściej rzucają się w oczy problemy ze śmieciami. Najbardziej spektakularny efekt tych działań widać w powiecie Uiseong, we wschodniej części kraju, gdzie wyrosły śmieciowe góry. W ciągu ostatnich pięciu lat życie mieszkańców regionu stało się nie do zniesienia. Praktycznie zniknęła zieleń. Z powodu toksycznego powietrza lokalny rząd rozpoczął przydział masek, jednak te chronią jedynie przed pyłem. Według ministerstwa środowiska ilość nielegalnych odpadów wzrosła w 2014 r. z ok. 70 tys. ton do ponad 1,2 mln ton.

Teoretycznie w Korei niesegregowanie śmieci jest karane wysoką grzywną.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą I Ns 181/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Mirosławie Gut zmarłej dnia 1 września 2014 roku w Mińsku Mazowieckim, ostatnio, stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 467/18, na wniosek Elwiry Karwickiej toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku między innymi po Sylwestrze Duszyńskim, zmarłym dnia 24 sierpnia 2014 roku w Wołominie, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

AHN YOUNG-JOON / AP / EAST NEWS

Studenci chronią się przed deszczem pod plastikową folią, Seul 2016 r.

Jednak wystarczy przejść się po seulskich blokowiskach, by zobaczyć, jak swobodnie wielu mieszkańców podchodzi do segregacji.

Mało kto zdaje sobie sprawę z konsekwencji „plastikozy". Koreański plastik dociera daleko poza Półwysep – znaleziono go... w gniazdach ptaków na Alasce. Otaczające Półwysep Koreański wody – Morze Żółte i Wschodnie – wypełnione są mikroplastikiem, który oddziałuje destrukcyjnie na wszystkie wodne formy życia. I na ludzi, którzy konsumują go wraz z morskimi stworzeniami. Lubiany w Korei tuńczyk okazuje się wyjątkowo toksyczny.

Światełko w tunelu

W internecie można znaleźć szereg sprzecznych informacji w kwestii działań rządu w sprawie plastiku.

– Od początku roku prowadzimy szereg kampanii dotyczących kwestii jednorazowego plastiku. Wywieramy naciski na władze i prowadzimy kampanie uświadamiające – mówi mi Kim Yiseo.

Oficjalna informacja o zakazie plastikowych kubków w przypadku napojów na wynos okazuje się bardziej skomplikowana. Kim Yiseo z seulskiego biura Greenpeace: – Istnieją już regulacje prawne, ale szara strefa jest ogromna. Prawo nie obejmuje kawiarni mniejszych niż 10 metrów kwadratowych. Część właścicieli nie stosuje się do przepisów. Ministerstwo środowiska ogłosiło, że wkrótce zacznie kontrole.

W styczniu 2019 r. Korea Południowa zakazała rozdawania plastikowych toreb za darmo – wyjątkiem są opakowania takich produktów jak mięso, ryby czy słynne kimchi. Jak się okazuje, prawo dotyczy jednak tylko największych supermarketów, piekarni i niektórych sklepów. W małych lokalach i na tradycyjnych targowiskach wciąż korzysta się z plastikowych czarnych toreb. To zmora tutejszych zakupów.

W zachodniej prasie pojawiła się błędna informacja, że rząd w Seulu chce zrezygnować z plastikowych słomek i innych jednorazowych plastikowych produktów do 2027 r. W rzeczywistości ministerstwo środowiska zapowiedziało regulacje w tej kwestii (cokolwiek to znaczy) do 2030 r. Ogłosiło też, że w tym czasie podniesie krajowy współczynnik recyklingu z 34 do 70 proc. Pod wpływem krytyki ministerstwo ogłosiło jednak niedawno, że do 2021 r. wszystkie plastikowe kubki zostaną zakazane w kawiarniach, restauracjach i sklepach szybkiej obsługi, a jednorazowe na wynos będą płatne ekstra. Uregulowana ma być również kwestia pozostających w obrocie toreb, plastikowych słomek i mieszadełek.

Świadomość rośnie

Nie będzie to łatwy proces. – Wszyscy zdają sobie sprawę, że problem istnieje. Gdy zapytasz kogokolwiek, to każdy odpowie, że trzeba dbać o ekologię – mówi Park Jun-hui, student biologii. – Jednak na co dzień nikt o tym nie myśli. Gdy w niektórych kawiarniach pojawiły się rurki z papieru, Koreańczycy zaczęli narzekać, że są niepraktyczne. Być może trzeba wymyślić lepsze technologie. Słyszałem, że rurki z bambusa są wygodniejsze...

Według Yiseo z Greenpeace widać jednak pewne zmiany: – Trudno powiedzieć, jak szybko zmieni się nastawienie opinii publicznej. Jednak nasze ankiety pokazują, że świadomość rośnie. Organizujemy akcje, takie jak „Make Something Week!", podczas których pokazujemy, jak żyć bez plastiku. Potrzebujemy jednak skoordynowanych wysiłków nie tylko ludzi, ale i rządu, przemysłu oraz innych organizacji pozarządowych.

– Korea wychodziła już z gorszych tarapatów – mówi Park Jun-hui.

© ROMAN HUSARSKI

TP

Kluby „TP" zapraszają na spotkania

WARSZAWA, czwartek, 12 grudnia, godz. 18.00
„Od solidarności po iluzję" – „Etyka solidarności" ks. J. Tischnera.
Gościem będzie: Anna Karoń-Ostrowska.
Miejsce: sala KIK, II piętro (ul. Freta 20/24A).

WROCŁAW, środa, 11 grudnia, godz. 17.00
„Najważniejszy wrzesień świata", autorskie spotkanie z Markiem Rabijem – autorem reportażu o Rohingach, redaktorem „Tygodnika Powszechnego".
Miejsce: Klub Literacki „Proza" (ul. Przejście Garncarskie 2).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

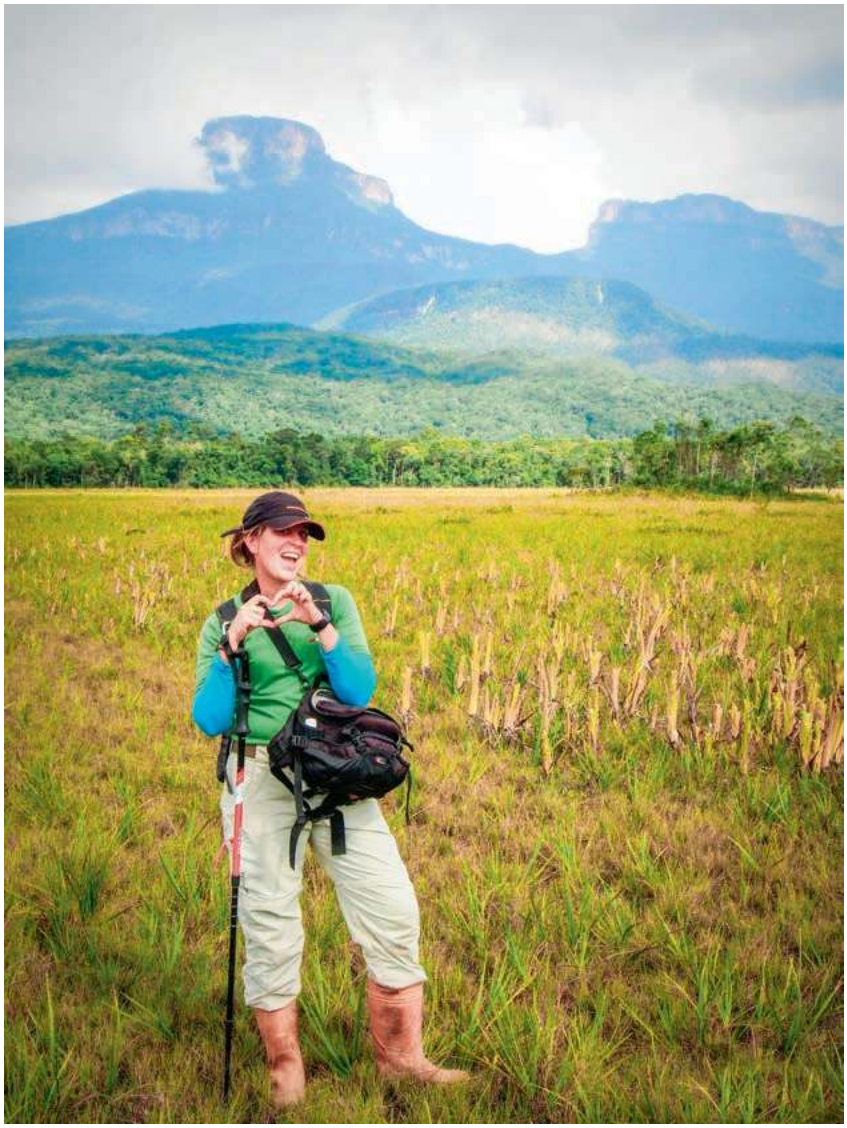

ARCHIWUM IZABELI STACHOWICZ

Izabela Stachowicz na Gran Sabana, wrzesień 2015 r.

Stacja Tropiki

DOMINIKA MATEJKO

Z ich miłości do nauki oraz do Ameryki Południowej rodzi się właśnie pierwsza polska stacja badawcza w tropikach.

Kiedy Polka oznajmia, że emigruje do Ameryki Łacińskiej, zwykle za tą decyzją – przynajmniej w przekonaniu ciotek i dalszych znajomych – stoi jakiś Alejandro, Rodrigo lub inny Juan. Ale to będzie opowieść o Polkach, które bohaterami swej latynoskiej telenoweli uczyniły kolumbijskie storczyki i wenezuelskie sawanny. Za sprawą ich fascynacji powstaje pierwsza polska stacja badawcza w tropikach.

Dzieło przypadku

Doktor Marta Kolanowska z góry przeprasza za zapach etanolu zmieszanego z formaldehydem, który w jej gabinecie na Uniwersytecie Łódzkim ulatnia się z setek małych próbek roślin, które niedawno przyleciały z Papui-Nowej Gwinei.

Marta ze współpracownikami opisała przeszło 200 nowych gatunków storczyków. O jej dokonaniach pisał „Washington Post", a odkryty przez nią storczyk *Telipogon diabolicus* trafił na listę Top New Species 2017 roku. To dzięki niej już niedługo będziemy mogli pochwalić się polską jednostką badawczą w Kolumbii.

A wszystko, jak mówi, to dzieło przypadku.

Do Ameryki Południowej trafiła 12 lat temu, gdy wygrała konkurs o bioróżnorodności – organizowany przez ambasadę Kolumbii w Warszawie. Wraz ze studentem z UJ pojechała wtedy do Parku Narodowego El Cocuy, aby... zmarznąć na kość i wrócić z kwitkiem. W ciągu dwóch tygodni pozbyła się złudzeń, jakoby Kolumbia była synonimem upału i owocowych drinków z palemką.

W El Cocuy na wysokości 4200 m n.p.m. chłód nie pozwalał jej zasnąć. Pewnej nocy było tak zimno, że bała się postawić stopy na podłodze, bo czuła, jakby palce miały jej odpaść. Bez prądu, za to z niską temperaturą i małą ilością tlenu w powietrzu, odkrywała dotąd nieznane jej ekosystemy. Przy okazji krótkiej wizyty w najbliższym mieście Villa de Leyva skradziono jej wszystkie pieniądze i paszport.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że w kolumbijskich autobusach się nie drzemie, tylko czuwa.

Złe dobrego początki

Kiedy pytam, czy przypuszczała, że będzie zajmować się storczykami i bioróżnorodnością w Kolumbii, odpowiada bez zastanowienia: – W życiu!

Będąc dzieckiem myślała, że zostanie policjantką. Ćwiczyła judo. Gdy została studentką Uniwersytetu Gdańskiego na Wydziale Biologii, była przekonana, że będzie badać zwierzęta. Rośliny wydawały się jej nudne. Ale pierwsze zajęcia terenowe z botaniki i wyjazd do Kolumbii zmieniły wszystko. – Kolumbię albo się kocha, albo nienawidzi. Mnie przydarzyło się to pierwsze – opowiada.

Mimo mocnych pierwszych wrażeń z Ameryki Południowej wiedziała, że musi tam wrócić. – Andy są idealne do badania ewolucji. Pasmo andyjskie powstawało nierównomiernie, okresowo, w bardzo szybkim tempie. Wypiętrzało się, tworząc bariery geograficzne dla różnych gatunków roślin i zwierząt – opowiada.

W Kolumbii można spotkać aż 10 proc. wszystkich znanych ludzkości gatunków roślin. Co więcej, Kolumbia kryje w swoich lasach tysiące nieznanych jeszcze ludzkości gatunków, o których istnieniu niestety nigdy się nie dowiemy. – Człowiek rzucił się na kosmos, a my dalej nie wiemy, co jest na Ziemi. I to nie jest tak, że już prawie wszystko odkryliśmy i niewiele brakuje do pełnego poznania. W rzeczywistości nie wiemy prawie nic – uważa Kolanowska.

– W zależności od regionu mamy nawet o 40 proc. więcej wymierania, niż wynikałoby to z oficjalnych danych, bo część gatunków nie była nigdy opisana, więc nikt nie zanotował, że już ich nie ma – wyjaśnia.

ARCHIWUM MARTY KOLANOWSKIEJ

Marta Kolanowska, Kolumbia, grudzień 2018 r.

Kłamstwo i oszustwo

Gdy Marta opowiada o storczykach, widać, że to jedna z najważniejszych miłości jej życia. Miłość niełatwa, bo jak sama twierdzi, storczyki są mistrzami kłamstwa, wykorzystania i oszustwa. Orchidee nie tworzą symbiozy. Żyją na drzewach, na koszt obecnych w ich środowisku grzybów, nie dając w zamian nic prócz wyglądu.

Storczyki, niczym *femme fatale*, kuszą i uwodzą zapylacze, czyli owady, które nie wiedząc, że właśnie padły ofiarą okrutnego wykorzystania, dokonują pseudokopulacji: – Samiec podlatuje, próbuje kopulować nieświadomy tego, że to nie jest partnerka, i podczas tego procesu zbiera pyłkowiny. Ale robi to, bo ważka, czyli najważniejszy z płatków storczyka, wydziela substancje podobne do feromonów samicy oszukiwanego owada.

Dla badaczy storczyki też nie mają litości. Kwitną krótko. Szansa na to, że akurat w czasie badań trafi się na ich kwitnienie, czyli jedyny moment, który pozwala na określenie ich odmienności gatunkowej, jest nikła. Mimo to doktor Kolanowska nie ustaje w poszukiwaniach nowych gatunków tych kwiatów. – Chyba nie było wyjazdu, z którego wróciłabym bez nowego gatunku – przyznaje.

Lek na wszystko

Jak w każdej szanującej się telenoweli, tak i tu perypetii jest mnóstwo.

– Chcielibyśmy robić również inne badania – przyznaje doktor Kolanowska. – Dla nas najciekawsze byłoby przeprowadzenie badań genetycznych i zbadanie, czy te gatunki, które występują po dwóch stronach Andów, się różnią, czy też nie. Czy może są to gatunki kryptyczne, czyli takie, które z wyglądu są identyczne, ale genetycznie zupełnie odmienne.

Jednak rząd kolumbijski niechętnie wyraża zgody na badania genetyczne roślin. Obostrzenia wynikają z faktu, że Kolumbia nie chce, by zagraniczne firmy farmaceutyczne korzystały z bioróżnorodności kraju, co mogłoby zachwiać równowagą ekosystemów i jednocześnie nie przynieść zysku lokalnym koncernom.

Jak dotąd tylko 5 proc. roślin tropikalnych zostało przebadanych pod kątem działania medycznego. Tymczasem Marta i jej koledzy z Uniwersytetu Łódzkiego prowadzą badania nad antynowotworowymi właściwościami storczyków ekwadorskich. O ile w sąsiednim Ekwadorze niektóre badania genetyczne są dopuszczone, o tyle stwierdzenie, czy dany storczyk w Kolumbii jest faktycznie nowym gatunkiem, jest złożonym procesem.

– Trzeba sprawdzić, czy taki gatunek nie był już kiedyś opisany. Nie jest to problem, jeśli tych podobnych gatunków jest dziesięć. Co innego w przypadku dużych grup, jak rodzaj *Lepantes*, do którego zaliczamy ponad 700 gatunków i trzeba sprawdzić je wszystkie. Szukamy tego najbardziej podobnego i jeśli odnotujemy wystarczająco duże różnice morfologiczne, możemy podejrzewać, że to nowy gatunek – wyjaśnia założycielka polskiej stacji w Kolumbii.

Do trzech razy sztuka

O doktor Izabeli Stachowicz słyszałam już ponad dwa lata temu podczas wizyty w Caracas. Ówczesny konsul Polski opowiadał mi o Polce, której miłość do badań fauny Wenezueli jest dużo większa niż hiperinflacja krajowej waluty. A to spory komplement.

Izabela zakochała się w Wenezueli od pierwszej próby zdobycia szczytu Tramén Tepui w 2009 r. Dwukrotnie, wraz z himalaistami Markiem Arcimowiczem i Michałem Kochańczykiem, bezskutecznie mierzyła się z górą. Za trzecim razem, w 2012 r., w końcu zdobyła szczyt, po drodze odkrywając nowy gatunek motyla oraz żaby. Tramén Tepui nie było jednak szczytem jej marzeń. Chciała więcej. Bez znajomości hiszpańskiego, ale z motywacją, zaczęła doktorat w kraju tonącym w chaosie.

Na rozmowę umawiałyśmy się trzy razy. Za pierwszym i drugim razem przeszkodziły nam przerwy w dostawie prądu. Przy trzecim podejściu Iza łapie zasięg, wychylając głowę przez okno. Wspomina, że gdy zaczynała studia w Caracas w 2013 r., dziesięć dni przed oficjalnym ogłoszeniem śmierci rewolucjonisty-dyktatora Hugo Cháveza, w kraju jeszcze nie było tak źle. Na początku miała ↦

ARCHIWUM IZABELI STACHOWICZ

Izabela Stachowicz wśród miejscowych współpracowników, Gran Sabana, Wenezuela, październik 2015 r.

nawet stypendium. Starczało na kino i od czasu do czasu na jedzenie na mieście.

Teraz, będąc po doktoracie i pracując dla Wenezuelskiego Instytutu Badawczego, za wypłatę może kupić 30 jajek. – Dużych jajek – dodaje. W 2014 r. wyczerpały się fundusze naukowe. Iza musiała więc zarobić na badania. Pracowała dla ambasady. Pisała wnioski o dofinansowanie do zagranicznych instytucji. Osobiście naprawiła samochód terenowy, sprowadzając części z Kolumbii. Wszystko po to, aby móc kontynuować badania na południu Wenezueli w regionie Gran Sabana.

Tam od pięciu lat za pomocą fotopułapek rejestruje przemieszczające się zwierzęta.

Jak narkotyk

Socjalistyczny ustrój i galopująca inflacja okazały się tylko częścią wyzwań. Aby dojechać w rejon badań, Izabela spędza dwa dni w podróży. Gdy zaczynają się bagniste tereny, zostawia auto, bierze prowiant i idzie na piechotę.

Podczas badań pokonuje pieszo przeszło tysiąc kilometrów. Najczęściej nocuje w indiańskiej wiosce Warapata. Bez prądu, bez wody. Po kilkunastu godzinach pracy w terenie wraca, aby przyrządzić posiłek na palenisku. Z Indianami, na co dzień posługującymi się językiem arekuna, rozmawia z pomocą tłumacza. Musi im wyjaśnić, na czym polegają jej badania, aby uchronić siebie i swoje fotopułapki przed ich podejrzliwością.

Nie zawsze to się udaje. – Nie wszystkie wioski w okolicy wiedziały, czym się zajmuję. Pojawiły się plotki, że wydobywam złoto przy użyciu kamer, a ostatnio powiedziano mi, że myślą, iż wieszam bomby na drzewach – opowiada doktor Stachowicz.

Jak twierdzi, życie w tym kraju niekiedy jest balansowaniem na granicy absurdu. Surrealizm dnia codziennego jest tym, co przyciąga i przeraża jednocześnie: – Wenezuela daje i odbiera. Jest jak narkotyk. Wiesz, że ci robi krzywdę, ale i tak bardzo ciężko jest ją rzucić.

Jednak kiedy w ostatnich miesiącach zaczęła mierzyć czas według dostaw prądu i wody, zdecydowała się przyjechać na chwilę do Polski. Znajomi z UJ powiedzieli jej o Marcie Kolanowskiej. Wkrótce Iza dołączyła do zespołu pierwszej stacji badawczej w tropikach.

Polska w tropikach

Nasz kraj jak dotąd posiadał dwie stałe stacje badawcze, obie na obszarach polarnych. Stacja w tropikalnym lesie, między Pasto i Mocoa, to – jak wiele w życiu Marty – przypadek. Pewnego dnia siedziała w dolinie Sibundoy i usłyszała, jak ktoś przy obiedzie rozmawiał o ziemi na sprzedaż. – Mówili, że ktoś sprzedaje ziemię, która jest daleko od miasta, i że jest tam las. Byłam przekonana, że zgodnie z prawem kolumbijskim osoba z zagranicy nie może ot tak kupić lasu. Wtedy tylko wspomniałam, że fajnie by było to robić. Siostra znajomego sprawdziła przepisy i okazało się, że jednak można. I tak się zaczął projekt – wspomina Marta.

Już wtedy wiedziała, że powstanie stacji badawczej w tropikach będzie przełomem dla nauki polskiej i nie tylko. Jak zapewniają badaczki, pożytek z polskiej bazy w Kolumbii prędzej czy później odczuje każdy. – Polska nie leży daleko od tropików. Leży dużo bliżej, niż nam się wydaje – przekonuje doktor Stachowicz. – Coraz częściej mamy ochotę na awokado, mimo że nie jest elementem naszej lokalnej diety. Decydując się na awokado, poruszamy całe ekosystemy w Meksyku, gdzie wycinane są lasy pod ich uprawę.

Podobnie jest z tropikalnymi lasami w Kolumbii oraz w innych regionach Ameryki Łacińskiej, gdzie karczuje się je pod hodowlę bydła i uprawy. To, czy w przyszłości będziemy zaczynać dzień od mocnego espresso, czy też zostaniemy skazani na kawę zbożową, zależy od tego, czy uda się te tropiki uratować. Ani mango, ani kawa nad Wisłą nie urosną.

– To nasza odpowiedzialność. Nie jest to żadna fanaberia, ale realna potrzeba, bo to jest najbogatszy i zarazem najbardziej zagrożony ekosystem na świecie – podkreśla Iza. Rząd Kolumbii nie jest w stanie sam objąć ochroną wszystkich terenów tropikalnych. Koszty przewyższają możliwości budżetu. Terenów jest za wiele, a lokalnych naukowców za mało.

Wchodząc na teren rezerwatu, turyści będą mogli się poruszać tylko po wyznaczonych szlakach po prawej stronie lasu. Reszta rezerwatu będzie przeznaczona dla profesjonalistów. Taki jest plan. A tam, gdzie teren jest płaski, można zbudować stację noclegową. Będzie kilka miejsc dla tych naukowców, którzy nie zdecydują się spędzić nocy na hamaku w lesie, parę łóżek dla studentów i dla turystów.

Choć miejscowi Indianie już szykują pamiątki dla przyjezdnych z Polski, będzie to miejsce raczej dla poszukiwaczy przygód niż amatorów *all inclusive*. A przede wszystkim dla Marty oraz Izy, które wraz z zespołem polskich naukowców mają szansę ocalić ginące gatunki.

© DOMINIKA MATEJKO

„TP" 47 / 2019

Wzór nie jest prosty

Marcin Napiórkowski interesująco napisał o „siewcach strachu" i wykorzystywaniu lęków przez polityków. Mało precyzyjnie natomiast charakteryzuje pojęcie ryzyka. Utożsamia je z prawdopodobieństwem wystąpienia określonego zdarzenia. W rzeczywistości, w ocenie ryzyka bierze się pod uwagę także wielkość możliwych konsekwencji wystąpienia danego zdarzenia. Bywają bowiem sytuacje, w których ryzyko uznaje się za duże z powodu poważnych strat, jakie mogą wystąpić w wyniku zrealizowania się sytuacji o małym prawdopodobieństwie. Przykładem są zdarzenia określane mianem „czarne łabędzie" (pisałem o tym w „TP" 37/2017). W wywodzie Napiórkowskiego niezrozumiałe jest stwierdzenie, że „ryzyko opiera się na obliczaniu prawdopodobieństw", i w dalszym ciągu, że chodzi o iloczyn dwóch liczb. Ale jakich? Autor sugeruje, by mnożyć prawdopodobieństwa dwóch różnych zdarzeń. Tyle że wynik nie będzie oceną ryzyka, a prawdopodobieństwem tego, że zrealizują się łącznie oba zdarzenia. A i to tylko przy założeniu, że są one względem siebie niezależne. Dyskusyjne są też stwierdzenia sugerujące, iż komunikacja ryzyka to przede wszystkim kwestia matematyczna. Autor zdaje się nie doceniać złożoności problemu „zamiany niebezpieczeństwa na wyrażone liczbami ryzyko". Wyrazem tego jest m.in. używanie określenia „obliczanie ryzyka". W praktyce prawie nigdy ryzyko nie jest obliczane, lecz szacowane na podstawie niepełnej informacji. Stwierdzenia o obliczaniu ryzyka i o tym, że „wzór jest prosty", odnoszą się jedynie do wyjątkowo nieskomplikowanych, powtarzalnych i dobrze znanych zdarzeń.

PROF. DR HAB. MIROSŁAW SZREDER

„TP" 48/2019

Ochrona w segregatorze

Jestem stałą czytelniczką „Tygodnika". Przeczytałam artykuł Agnieszki Kantaruk dotyczący hałasu. Zainteresował mnie również dlatego, że jestem członkinią Stowarzyszenia „Zojda", które mocno zaangażowane jest w walkę z tym dręczącym mieszkańców naszej gminy problemem. Od miesięcy toczymy batalię z hałasem emitowanym przez dużą rozbudowującą się fabrykę. Nie działają tu żadne normy, urzędy – ani prawo, ani rozsądek. Instytucje, które pozornie odpowiadają za pomoc obywatelowi, w walce z hałasem sprzyjają przedsiębiorcom. Bo czy nie jest pozoranctwem badanie poziomu hałasu emitowanego przez fabrykę, która jest uprzedzona o wykonywaniu tego badania, i na czas jego przeprowadzania hałas wycisza?
Proszę zajrzeć do dokumentów w swojej gminie, powiecie, województwie, do tych wszystkich „Planów ochrony środowiska na lata...". Są to zwykle papiery tworzone na zasadzie kopiuj/wklej, zawierające oderwane od życia informacje. Napisano, odłożono na półkę, niech środowisko czuje się dobrze, bo program jego ochrony leży w segregatorze.
W takim świecie bardzo cenne są takie publikacje, jak ta w „Tygodniku".

MARTA PAPROCKA

PROŚBA O POMOC

Tuż przed Świętami Kacperek Ryło skończy rok. Nigdy nie sądziłam, że zamiast radosnego planowania pierwszych urodzin będę drżeć na myśl, że został niespełna rok na zebranie zawrotnej kwoty 8 milionów zł. Że będę ze strachem odliczać miesiące i dni do końca refundacji leku, który synek dostaje obecnie. Leku o nazwie Nusinersen (Spinraza), który trzeba przyjmować przez całe życie, a koszt roczny to 270 tys. euro. Nigdy nie myślałam, że zamiast zabawek będziemy kupować kolejny sprzęt medyczny; że nad jego łóżeczkiem zamiast obrazków zawiśnie instrukcja postępowania w krytycznych sytuacjach, które mogą nadejść w każdej chwili. Rdzeniowy zanik mięśni typu pierwszego (najostrzejsza postać) do niedawna był nieuleczalną, śmiertelną chorobą, która w ciągu 2 lat zabierała rodzicom ich dzieci. Teraz jest nadzieja. Jedyna skuteczna terapia jest od maja dostępna w USA. Najdroższy lek świata, kosztujący 2,1 mln dolarów specyfik Zolgensma, jest w medycynie przełomem na miarę odkrycia insuliny. Dzięki jednorazowemu wlewowi daje dożywotni efekt, naprawia wadliwy gen. Prosimy o wiele, aby nasz syn mógł siedzieć, stać, jeść i oddychać. Mamy rok: terapia genowa jest stosowana tylko u dzieci poniżej 2. roku życia. Każda złotówka, każde nagłośnienie sprawy jest na wagę złota. Błagamy, pomóż pokonać Kacperkowi SMA! Wpłaty można dokonać na konto: Fundacja Serca dla Maluszka, ul. Kowalska 89/1, 43-300 Bielsko-Biała, numer konta: 85 1160 2202 0000 0001 9214 1142, w tytule: „Kacper Ryło", lub: Fundacja Agenor, ul. Prądnicka 12, 30-002 Kraków, numer: 03 1020 2892 0000 5702 0577 5632, w tytule: „Darowizna dla Kacperka" (SWIFT BPKOPLPW).

MAMA KACPERKA

TP

„Tygodnik Powszechny" zaprasza na spotkanie

POLSKIE SZANSE I ZANIECHANIA

Środa, 18 grudnia, godz. 17.00, Filharmonia Podkarpacka, ul. Fryderyka Szopena 30 w Rzeszowie

Gośćmi będą: O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP, PROF. ALEKSANDER HALL, PROF. PAWEŁ KOWAL, PROF. TADEUSZ POMIANEK.

Prowadzenie: WOJCIECH BONOWICZ.

Bezpłatne wejściówki do pobrania na **powszech.net/polskieszanse**
Podczas spotkania będzie można kupić wydawnictwa „Tygodnika Powszechnego".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

IPN

Od 1981 r. ks. Popiełuszko był także diecezjalnym duszpasterzem służby zdrowia; tu na zdjęciu podczas drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Warszawa, czerwiec 1983 r.

AKCJA NA CHŁODNEJ

Wymierzona w księdza Jerzego Popiełuszkę prowokacja, zrealizowana z zimną krwią w grudniu 1983 r., może nigdy już nie doczekać się rozstrzygnięcia sądowego.

PIOTR LITKA

Tygodnik Powszechny" dotarł do nieznanych szczegółów dotyczących akcji, którą 36 lat temu kapitan Służby Bezpieczeństwa PRL Grzegorz P. i podlegli mu funkcjonariusze SB przeprowadzili w bloku przy ul. Chłodnej 15 w Warszawie (nie podajemy jego nazwiska – choć wszyscy wiedzą, o kogo chodzi – z powodów formalnych: sprawa ta nie została osądzona).

To tam, w niewielkim mieszkaniu kapelana Solidarności ks. Jerzego Popiełuszki, w trakcie tzw. „tajnego wejścia" – jak nazywali to esbecy – podrzucono granaty, naboje, dynamit oraz kilka tysięcy ulotek. Chodziło o to, aby był pretekst do przedstawienia księdza jako nieodpowiedzialnego ekstremisty, który – choć głosi w kazaniach „zło dobrem zwyciężaj" – to w istocie posiada broń palną. Wkrótce bowiem, podczas oficjalnego już przeszukania mieszkania przez SB, wszystko to „odnaleziono", a księdza zatrzymano w stołecznym areszcie SB w pałacu Mostowskich.

W końcu października 2019 r. trzej byli esbecy – wtedy w resortowym slangu nazywani „czwórkarzami", od nazwy Departamentu IV MSW, który zajmował się w PRL Kościołami i związkami wyznaniowymi, na czele z Kościołem katolickim – mieli odpowiedzieć przed sądem za popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości wobec ks. Popiełuszki.

Dziesięć miesięcy wcześniej, w akcie oskarżenia z 25 stycznia 2019 r., prokurator IPN w odniesieniu do prowokacji na Chłodnej powoływał się m.in. na pierwsze europejskie porozumienie w sprawie ścigania i karania zbrodni przeciwko ludzkości. Była nim Karta Międzynarodowego Trybunału Wojskowego, podpi-

IPN

Proces morderców ks. Popiełuszki w Sądzie Wojewódzkim w Toruniu, styczeń 1985 r.

sana w Londynie 8 sierpnia 1945 r. Wskazywano w niej, że „zbrodnie przeciwko ludzkości to prześladowania ze względów politycznych, rasowych lub religijnych przy popełnianiu jakiejkolwiek zbrodni wchodzącej w zakres kompetencji Trybunału lub w związku z nią (...). Przywódcy, organizatorzy, podżegacze i wspólnicy, uczestniczący w układaniu lub wykonaniu wspólnego planu albo zmowy w celu popełnienia (...) zbrodni [przeciwko ludzkości], odpowiadają za wszelkie czyny, których dopuścił się ktokolwiek bądź w związku z wykonaniem takiego planu".

Co istotne, do zbrodni przeciwko ludzkości – wedle prawodawstwa międzynarodowego, na które powołuje się pion śledczy IPN – może dojść zarówno podczas działań wojennych, jak i w czasie pokoju.

Główni aktorzy nieobecni

Kiedy w ostatnią środę października tego roku jechałem w tłumie warszawiaków tramwajem do Sądu Okręgowego przy alei Solidarności, liczyłem, że posiedzenie w sprawie prowokacji na Chłodnej będzie dotyczyło wyznaczenia terminów kolejnych rozpraw. To krótka formalność – myślałem.

Na korytarzu, obok sali nr 218, porządku pilnowała para uzbrojonych policjantów. Powoli zbierali się dziennikarze. Jak się okazało – jedyna publiczność na tej rozprawie. W tłumie dało się słyszeć szepty i pytania: czy przyjdą? Operatorzy kilku dużych stacji telewizyjnych i portali internetowych ustawili się w strategicznych miejscach korytarza obok wejścia do sali, gdzie miało się odbyć posiedzenie sądu. Gdyby któryś z trójki oskarżonych pojawił się w ich polu widzenia, kamery zostałyby włączone i z pewnością padłoby kilka pytań.

Jednak oskarżeni esbecy nie przyszli.

Zupełnie inaczej było na przełomie 1984 i 1985 r. Wówczas na niewielką salę Sądu Wojewódzkiego w Toruniu ci sami trzej funkcjonariusze MSW – Grzegorz P. oraz Waldemar Chmielewski i Leszek Pękala (dwaj ostatni żyją dziś pod zmienionymi nazwiskami) – byli doprowadzani skuci kajdankami przez grupę antyterrorystów. Specjalnie dla nich stworzono też między aresztem śledczym a sądem przejście, by nie musiano ich konwojować na rozprawy ulicą w centrum miasta. 27 grudnia 1984 r. stanęli przed sądem oskarżeni o udział w uprowadzeniu i zabójstwie kapelana Solidarności. Wówczas filmowano ich i fotografowano.

Obecna w toruńskim sądzie Józefa Hennelowa tak pisała wtedy dla „Tygodnika Powszechnego" (w tekście w całości zdjętym przez cenzurę w styczniu 1985 r.): „Dziennikarz siedzący na sali toruńskiej ma tę przewagę nad śledzącymi proces z daleka, gromadzącymi wycinki prasowe i otwierającymi radio na dźwiękowe przekazy, że wszystkie te elementy akcji pozostają do jego dyspozycji. Słyszy nazwiska, które potem taśma radiowa wyciszy, docenia jakość techniczną bezszmerowego sklejania wycinków nagrań, a jeśli notuje dostatecznie szybko, zapisze mnóstwo szczegółowych kwestii, które nie doczekają się potem przekazu w skrótach prasowych sprawozdań i reportaży. Może pytać, sprawdzać wnioski z innymi uczestnikami, może dotrzeć do niektórych uczestników dramatu – tych mniej ważnych, [ale] ciągle na sali obecnych".

Nad przekazem medialnym procesu w Toruniu na przełomie 1984 i 1985 r. czuwał specjalny zespół z MSW, z którym współpracował ówczesny rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban. Z sali sądowej w Toruniu docierał więc przekaz starannie ocenzurowany i wyselekcjonowany. Nie mogły się w nim znaleźć niewygodne dla ówczesnej władzy pytania i odpowiedzi, które niejednokrotnie padały podczas procesu.

Teraz, w końcu października 2019 r., trójka skazanych wtedy w Toruniu esbeków miała odpowiadać za przygotowanie i przeprowadzenie prowokacji na Chłodnej, która rozpętała medialną nagonkę na ks. Popiełuszkę na niecały rok przed jego męczeńską śmiercią. Dziś – inaczej niż w 1984 r. – trzej byli funkcjonariusze Departamentu IV MSW byli wolnymi ludźmi, a ich obecność w sądzie nie była obowiązkowa.

To „tylko" zbrodnia komunistyczna

W środę 30 października 2019 r., zaraz na początku posiedzenia, sąd odebrał od wszystkich obecnych na sali dziennikarzy oświadczenia w celu podjęcia decyzji, czy jego obrady będą jawne. Decyzja była oczywista: posiedzenie będzie dla mediów jawne.

Po niespełna godzinie, po głosach stron – wystąpili prokurator IPN oraz adwokaci dwójki oskarżonych – Sąd Okręgowy w Warszawie wydał postanowienie. Ocenił, że prowokacja na Chłodnej w świetle przepisów polskiego prawa nie była zbrodnią przeciwko ludzkości, a jako zbrodnia komunistyczna przedawniła się 1 stycznia 1995 r.

Co istotne: trzy i pół miesiąca po ustaniu terminu ścigania takich zbrodni komunistycznych, dokładnie 15 marca 1995 r., Sąd Najwyższy umorzył również postępowanie wobec ks. Popiełuszki, w związku z prowadzonym przeciwko niemu w latach 1982-84 śledztwem ↦

związanym z prowokacją na Chłodnej. Jak napisano w uzasadnieniu: z powodu „braku znamion przestępstwa" i „z powodu niepopełnienia czynów" przestępczych przez księdza.

Kryptonim „Popiel"

Przez ostatnie dwa lata swojego życia ks. Popiełuszko był wrogiem numer jeden reżimu Jaruzelskiego i Kiszczaka. Był inwigilowany: miał założony podsłuch telefoniczny i tzw. podsłuchy pokojowe w warszawskich mieszkaniach: przy ul. Chłodnej 15 i na plebanii przy ul. Hozjusza 2. Ponadto śledzono go. Dwukrotnie zatrzymywano: po raz pierwszy 30 sierpnia 1983 r. w drodze do Gdańska, po raz drugi w nocy z 12 na 13 grudnia 1983 r., już po realizacji prowokacji na Chłodnej. Ksiądz spędził wówczas noc w areszcie. Od grudnia 1982 r. do października 1984 r. planowano też co najmniej kilkakrotnie zamachy na jego życie.

Nie można przy tym zapominać, że od 2 września 1982 r. do śmierci ks. Popiełuszko był rozpracowywany przez Wydział IV Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej/Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych, w ramach Sprawy Operacyjnego Rozpracowania (SOR) o kryptonimie „Popiel".

We wszystkie te działania byli zaangażowani pośrednio lub bezpośrednio oskarżani przez IPN trzej byli funkcjonariusze SB. Prowokacja na Chłodnej nie była więc jednorazowym epizodem w działaniach tych konkretnych ludzi. A jak zaznaczał prokurator IPN w odniesieniu do – nielegalnej także wedle prawa PRL – akcji przy ul. Chłodnej, „zbrodniami przeciwko ludzkości mogą być również czyny o mniejszym ciężarze gatunkowym, zagrożone karą pozbawienia wolności poniżej 5 lat. Istotne jest natomiast [to], aby czyny takie stanowiły część polityki państwa albo zakrojonej na szeroką skalę lub systematycznej praktyki, którą sprawca świadomie realizuje albo co najmniej aprobuje".

Wszystkie te przesłanki spełnia prowokacja na Chłodnej.

> Przez ostatnie dwa lata swojego życia **ks. Popiełuszko był wrogiem numer jeden reżimu** Jaruzelskiego i Kiszczaka. Był inwigilowany: miał założony podsłuch telefoniczny i tzw. podsłuchy pokojowe w warszawskich mieszkaniach.

Ciąg dalszy nastąpi...

Sąd Apelacyjny w Warszawie, gdzie trafiło zażalenie prokuratury IPN dotyczące decyzji Sądu Okręgowego, nie jest związany żadnym terminem co do wydania decyzji w sprawie dalszego biegu tej sprawy.

Według informacji „Tygodnika", w dokumencie opracowanym przez IPN-owską prokuraturę, który trafił do Sądu Apelacyjnego, pojawiły się przede wszystkim argumenty dotyczące przepisów prawa międzynarodowego (ogłaszanych od lat 40. XX w.), które Polska przyjęła i które obowiązują w naszym kraju podczas orzekania w sprawach o popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że w lutym 2019 r. w Sądzie Okręgowym w Szczecinie uznano winnym popełnienia zbrodni przeciwko ludzkości byłego komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej: Jarosław W. został skazany tylko za to, że podpisał kilkadziesiąt decyzji o internowaniu działaczy opozycji ze Szczecina.

Z kolei koronnym argumentem adwokatów broniących oskarżanych o udział w prowokacji na Chłodnej esbeków było to, że doszło do niej już po zniesieniu stanu wojennego. W tej sytuacji, twierdzili, może ona zostać uznana wyłącznie za zbrodnię komunistyczną. *Ergo*: przedawniła się.

Z nieoficjalnych informacji „Tygodnika" wynika, że Sąd Apelacyjny swoją decyzję wyda prawdopodobnie w pierwszej połowie 2020 r. W przypadku uznania zażalenia IPN, sprawa trafi znów na wokandę. Jeśli natomiast Sąd Apelacyjny odrzuci skargę prokuratora IPN, wówczas pozostaje jeszcze ruch ze strony Prokuratora Generalnego i Rzecznika Praw Obywatelskich, którzy mogą wnieść w tej sprawie – niezależnie od siebie – kasacje do Sądu Najwyższego. Dodatkowym instrumentem może być też w tym przypadku skarga nadzwyczajna.

Na rozstrzygnięcie sądowe w sprawie prowokacji na Chłodnej przyjdzie więc jeszcze poczekać.

© PIOTR LITKA

Korzystałem z materiałów IPN i tekstu Józefy Hennelowej „W ciemni (po 23 dniach procesu toruńskiego)", opublikowanego w książce „Ksiądz Jerzy Popiełuszko. Życie i śmierć. Dokumenty-wspomnienia" (wyd. Paryż 1986).

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 9/19 z wniosku Jerzego Andrzeja Trojnara z udziałem Sebastiana Trojnara, Jerzego Waldemara Trojnara i Niny Trojnar o stwierdzenie nabycia spadku po Helenie Trojnar, c. Stanisława i Krystyny, wdowie, zmarłej 11 grudnia 1987 roku w Lubaczowie, ul. Kościuszki 62, ostatnio stale zamieszkałej w Lubaczowie, właścicielce nieruchomości położonych w Lubaczowie o łącznej powierzchni 3,7974 h, wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 431/18 toczy się postępowanie z wniosku Andrzeja Andrzejewskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Cezarym Andrzejewskim, synu Szczepana i Joanny, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Złotej 77 m. 26, urodzonym w dniu 30 sierpnia 1936 r. we Wrześni, zmarłym w dniu 4 maja 2018 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ANDRZEJ

Stasiuk: *Koniec listopada. Grudzień*

Pada czarny deszcz. Wieje z północnego zachodu. Gdzieś z ciemności. Można nasłuchiwać mrocznego dudnienia, które tłumi wszystkie inne dźwięki. Znaczy prawdziwa jesień nadeszła i zaraz będzie zima. Upewniam się w duchu, że wszystkie pory roku i pogody są dobre. Sprawdzam prognozę. W poniedziałek ma być biało. Dobry początek grudnia. Świat jednak nie do końca wypadł z kolein.

Parę lat temu rozbiłem obóz na Altan Els. To jest niewielka piaszczysta pustynia na granicy Mongolii i Rosji. Kilkaset kilometrów piasku, wydm, fantastycznych skalnych formacji i absolutnej ciszy. Był wieczór, rozpaliłem ogień na niewielkim wzgórzu w skalnej wnęce, tak żeby nie było go widać ze szlaku w dole. Wyschnięty wielbłądzi nawóz i gałązki saksaułu płonęły spokojnym płomieniem w nieruchomym powietrzu. Zrobiłem sobie coś do jedzenia, popijałem piwo i jak zwykle na Altan Els wyobrażałem sobie, że jestem jedynym człowiekiem na Ziemi. To jest ciekawe zajęcie.

W pewnym momencie poczułem na sobie czyjś wzrok. Patrzyła na mnie mysz. Patrzyła ze skalnej szczeliny. Pojawiała się na moment i znikała. Nie bała się. Prawdopodobnie pierwszy raz w życiu widziała ogień, pierwszy raz widziała człowieka. Blask barwił na czerwono jej futerko, zapalał się na czerwono w jej źrenicach. Miałem wrażenie, że patrzy na mnie gdzieś z otchłani czasu, gdzieś z jego początków. Bo przecież poprzedzały ją setki tysięcy niezmiennych mysich pokoleń i dopiero teraz się spotkaliśmy. Pierwszy raz. Wcześniej między nami nie było nic. Wieczność. Niezmienność. Więc pojawiała się i znikała zainteresowana ogniem i moją obecnością. Położyłem na kamieniu okruch chleba. Po chwili zniknął. Położyłem następny. Też go zabrała. Może zanosiła rodzinie. Nie byłem pewien, czy jej nie zaszkodzi, ale zaufałem mysiej mądrości. Zapadła całkowita ciemność. Zastanawiałem się, z jakiej wysokości widać nasz ogień w czarnym, ale przecież przejrzystym powietrzu pustyni. Wślizgnąłem się do śpiwora i czekałem, aż zgaśnie. Zasnąłem wyobrażając sobie, że mysz wygląda ze skalnej szczeliny i przygląda się śpiącemu człowiekowi, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Śnieg spadł jednak dzisiaj w nocy. Obudziłem się o świcie i deski tarasu były białe. Biel pewnie zniknie w ciągu dnia. Zbudziłem się i nie wiedzieć czemu przypomniała mi się mysz z Altan Els. Jej samotność – nawet jeśli gdzieś tam wśród skalnych szczelin miała jakąś rodzinę. Można rzec, że przypomniała mi się nasza wspólna samotność pod bezkresnym niebem pustyni, Eurazji i świata. Samotność, z którą nigdy sobie nie poradzimy, chociaż wciąż będziemy próbowali.

Wyszło słońce i śnieg pewnie zniknie. Owce wyszły z obórki. Stoją w porannym blasku. Kilka sikorek podfruwa nad nimi. Co rusz któraś przysiada na wełnistym grzbiecie. Wydziobują nasiona, które zaplątały się w runo. Potem odlatują pomiędzy nagie gałęzie modrzewi. Tak. ©

weź, czytaj w prenumeracie!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:
- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

NOWY CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

+ PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BEZWZGLĘDNY KSIĘGOWY

Ewolucja nie polega na „walce o byt", majsterkowaniu „ślepego zegarmistrza" czy rywalizacji „samolubnych genów". Jej istotę najlepiej okazuje się wyjaśniać język... ekonomii.

ŁUKASZ KWIATEK

Dobór naturalny jest głównym bohaterem dzieła Karola Darwina „O powstawaniu gatunków" z 1859 r. Nie jest to bohater całkowicie oryginalny. Kilkadziesiąt lat wcześniej Thomas Malthus przedstawił w „Prawie ludności" niepokojącą koncepcję. Ogłosił, że liczba ludności rośnie znacznie szybciej, niż poprawiają się nasze możliwości produkcji pożywienia. Oczywiście od czasu do czasu zachodzi jakaś epidemia albo wybucha wojna, które chwilowo zmniejszają liczbę żołądków do wykarmienia, ale długofalowe konsekwencje tej prawidłowości, przekonywał Malthus, muszą być opłakane. Niedobór zasobów, nędza i walka o przetrwanie, której towarzyszy całkowity upadek zasad moralnych. U progu nadchodzącej wówczas epoki wiktoriańskiej musiała to być wizja absolutnie przerażająca.

Darwin, jak sam przyznał, rozciągnął koncepcję Malthusa na całą przyrodę. Rozumował mniej więcej tak. Ilość zasobów w przyrodzie jest ograniczona. W każdym gatunku więcej osobników się rodzi niż dożywa wieku rozrodczego, a ci, którym się to uda, mogą mieć różną liczbę potomstwa. W każdym z gatunków obserwujemy także zmienność, czyli różnice pomiędzy poszczególnymi osobnikami – w wadze, wzroście, kolorze skóry czy sierści, wielkości skrzydeł i poroża, w naturalnej sprawności. Przynaj-

mniej niektóre z tych różnic muszą w sytuacji silnej konkurencji o zasoby wpływać na zdolność osobników do przeżycia i pozostawienia potomstwa, które odziedziczy część cech swoich rodziców. Skoro tak, to w kolejnych pokoleniach musi występować więcej osobników obdarzonych cechami, które ułatwiają przeżycie i rozmnażanie się w aktualnych warunkach środowiska. Osobniki o gorszych cechach – gorszych pod kątem dostosowania do panujących warunków – po prostu w końcu wymrą bezpotomnie.

Darwin odwoływał się także do doświadczeń hodowców, którzy starannie wybierając osobniki do rozrodu, potrafili, metodą kumulacji drobnych zmian, w dłuższej perspektywie osiągać rozmaite odmiany zwierząt. Owce o wełnie długiej lub krótkiej. Krowy mleczne lub przeznaczone na mięso. Psy myśliwskie albo pasterskie. W przyrodzie, przekonywał Darwin, nieustannie dokonuje się naturalny proces ukierunkowanego doboru, przy czym różnica tkwi w kryterium selekcji. Ludzki hodowca kieruje się „własnym pożytkiem lub upodobaniem". Przyroda nie ma planów ani kaprysów – w ewolucji drogą naturalnej selekcji chodzi wyłącznie o przeżycie i skuteczniejszy rozród.

SEBASTIAN GOLLNOW / AP / EAST NEWS

Dżelady, jak na małpy przystało, troszczą się o swoje inwestycje rodzicielskie.

Jak ujął to przyjaciel Darwina, Thomas Henry Huxley: „rozmnażajcie się" z Księgi Rodzaju to nieprzypadkowo pierwsze boskie przykazanie. I być może jedyne obowiązujące w całej przyrodzie.

Problemy z metaforami

Wystarczyło, pisał Darwin w zakończeniu swego dzieła, by Stwórca „natchnął życiem kilka form, lub tylko jedną", a naturalna selekcja – po bardzo długim czasie i metodą małych kroków – doprowadziła do ewolucji „nieskończonego szeregu form najpiękniejszych i najbardziej godnych podziwu". Dla Darwina pogląd ten był „zaiste wzniosły", ale nie wszyscy jego czytelnicy podzielali to przekonanie. Wielu postrzegało darwinowską wizję przyrody równie pesymistycznie jak koncepcję Malthusa. Głosiła bowiem panowanie nieustannej „walki o byt".

Sam Darwin posługiwał się tą metaforą ostrożnie – nie miał na myśli tego, że w przyrodzie nie ma miejsca na życzliwość. Agresja może być jednym z narzędzi przetrwania – równie dobrze jak współpraca. Również rosyjski rewolucjonista i przyrodnik Piotr Kropotkin zżymał się, że metafora walki o byt wykrzywia prawdziwy obraz przyrody. Zwłaszcza ten, który odsłonił przed nim surowy klimat Syberii, gdzie zwierzęta jednoczą siły w walce o przetrwanie. Wspólnie poszukują jedzenia, wzajemnie ogrzewają się ciepłem swoich ciał, razem bronią przed drapieżnikami. Kropotkin głosił nawet, że przyrodą kieruje raczej imperatyw współpracy, a nie współzawodnictwa, ponieważ spośród wszystkich gatunków najbardziej rozwinięte i inteligentne są te, które życie społeczne oparły na „pomocy wzajemnej".

Pod koniec XX w. Richard Dawkins zaproponował inną ewolucyjną metaforę. W jednej ze swoich książek przypomniał koncepcję Williama Paleya, anglikańskiego biskupa zmarłego kilka lat przed narodzinami Darwina, który porównał organizmy do zaprojektowanych urządzeń. Gdybyśmy znaleźli zegarek na pustyni, przekonywał Paley, od razu uznalibyśmy, że to przedmiot wykonany przez zręcznego rzemieślnika – dzieło ludzkiej inteligencji. Dlatego obecność zegarka dowodzi istnienia zegarmistrza. Podobnie z istnienia organizmów – jak się Paleyowi wydawało, doskonale zaprojektowanych do życia w danych warunkach środowiska – powinniśmy wnioskować o istnieniu Inteligentnego Projektanta. To rozumowanie wywarło duże wrażenie nawet na Darwinie, oczywiście do czasu, aż wpadł na koncepcję ewolucji. Ona wyjaśnia bogactwo różnorodności gatunków i ich adaptacje do środowiska działaniem zupełnie prozaicznego doboru naturalnego, bez potrzeby odwoływania się do transcendentnego Stwórcy. Rozumowanie Paleya zaś, jak przekonuje Dawkins, jest tym bardziej wadliwe, że dobór naturalny przypomina „ślepego zegarmistrza" (to tytuł wspomnianej książki), ponieważ „nie patrzy wprzód, nie planuje konsekwencji i nie ma celu". W anatomii zwierząt wiele jest rozwiązań, których inteligentny projektant po prostu powinien by był uniknąć – szczątkowe organy, takie jak kość ogonowa u ludzi, są tego najlepszym przykładem.

„Ślepy zegarmistrz" to dobra metafora doboru naturalnego, gdy chcemy dyskutować z kreacjonistami, powtarzającymi argumenty Williama Paleya. Może ona pomóc zrozumieć również to, że ewolucja zachodzi zwykle małymi krokami: dobór naturalny nie stwarza niczego nagle i w gotowej postaci. Nowe cechy organizmów pojawiają się dzięki przypadkowemu przekształcaniu starych mechanizmów. Ma jednak ta metafora swoje ograniczenia: nie wyjaśnia, dlaczego niektóre rozwiązania „ślepego zegarmistrza" świetnie się sprawdzają, a inne skazują osobniki, w których zostały „zaimplementowane", na bezpotomne wymarcie.

Dla dobra gatunku

Z punktu widzenia darwinizmu łatwo zrozumieć, dlaczego współpraca może być korzystna, jeśli zależy nam na przeżyciu i spłodzeniu potomstwa. Jeśli zasobów jest odpowiednio dużo dla całej naszej grupy, to nie musimy konkurować – lepiej przecież otaczać się przyjaciółmi niż wrogami. Jak jednak wyjaśnić to, że zwierzęta czasem ryzykują życiem, by ratować inne osobniki? Ewolucja wymaga płodzenia potomstwa i przekazywania mu własnych cech: dlaczego tacy altruiści nie wymarli bezpotomnie?

Darwin wiedział, że takie zjawiska mają miejsce w przyrodzie i stanowią ogromny problem dla jego teorii. Sen z powiek ↦

spędzały mu owady społeczne, takie jak mrówki czy pszczoły. U tych gatunków wybrane osobniki nierzadko oddają życie w obronie roju. Co więcej, istnieją całe kasty, robotnic czy żołnierzy, wyspecjalizowane w swoich „pomocniczych" rolach i niezdolne do reprodukcji. Jak przyroda mogła dopuścić do takiej anomalii?

Po wielu latach rozmyślań Darwin uznał, że znalazł wyjaśnienie: w ewolucyjnej „walce o byt" uczestniczą nie tylko pojedyncze osobniki, ale całe grupy zwierząt. Jedne populacje konkurują z innymi. Grupa, w której znajdzie się trochę altruistów, może w tej rywalizacji radzić sobie lepiej od grupy złożonej z samych egoistów. Dlatego dobór naturalny czasami może dopuszczać u osobników zachowania altruistyczne.

Dziś wiemy, że taki ewolucyjny scenariusz mógłby mieć miejsce, ale tylko w szczególnych warunkach przyrodniczych – tak szczególnych, że w zasadzie niespotykanych. Pomysł Darwina, określany też teorią doboru grupowego, początkowo się jednak przyjął i był rozwijany, ale po latach został zupełnie wypaczony. Wielu biologów, z noblistą Konradem Lorenzem na czele, uznało, że organizmy robią wszystko – rozmnażają się, pomagają sobie, uciekają przed drapieżnikami – „dla dobra własnego gatunku". Czyli po to, by uchronić gatunek przed wyginięciem. Dobór naturalny miałby w długiej perspektywie eliminować te gatunki, do których należą takie osobniki, które nie dbają o dobro swojego gatunku. Różnica wydaje się niewielka: Darwin mówił o grupach zwierząt, biolodzy z pierwszej połowy XX w. grupę zastąpili całym gatunkiem.

Z tej koncepcji wynikały jednak ważne przewidywania. Jeśli dobór naturalny faktycznie promuje „dobro gatunku", to u większości gatunków powinniśmy obserwować liczebną przewagę samic nad samcami. Samce mogą przecież płodzić dzieci z wieloma różnymi partnerkami. Dlatego gatunek, w którym istnieje znacznie więcej samic niż samców, rozmnażałby się w błyskawicznym tempie. Bardzo szybko odbudowywałby liczebność po katastrofach i natychmiast zasiedlał nowe tereny. Taki gatunek musiałby w dłuższej perspektywie zupełnie zdominować bardziej zrównoważone płciowo gatunki. A jednak u wszystkich gatunków, które rozmnażają się płciowo, obserwujemy niemal idealną równowagę płci. Ten fakt dowodzi, że rozumienie ewolucji opierające się na koncepcji „dobra gatunku" jest całkowicie błędne.

Samolubne geny

Jeśli jednak odrzucamy wyjaśnienia odwołujące się do dobra gatunku lub dobra grupy, jeszcze raz musimy się zmierzyć z problemem ewolucji zachowań altruistycznych. Jak ją inaczej wyjaśnić?

Z pomocą ponownie przychodzi Dawkins, który odwołując sie do prac takich uczonych jak John Maynard Smith czy George C. Williams, zaproponował kolejną błyskotliwą metaforę: samolubnych genów. Jego rozumowanie przypomina stwierdzenie, że kura to urządzenie, przy pomocy którego jedno jajko postanowiło wyprodukować kolejne jajka.

Gdy Dawkins wymyślał swoją metaforę, biolodzy znali już mechanizmy dziedziczenia cech, o których Darwin miał niewielkie pojęcie. Kluczową rolę w dziedziczności odgrywają geny – fragmenty DNA przekazywane przez rodziców potomstwu, które determinują u osobników określone cechy i predyspozycje do zachowań. Spójrzmy, proponuje Dawkins, na cały ten proces z punktu widzenia pojedynczego genu.

Tym, co taki gen robi, jest w zasadzie wyłącznie tworzenie własnych kopii. Geny nie potrafią niczego innego. Nie robią tego jednak bezpośrednio. Zawierają za to przepisy na budowę swoistych „maszyn przetrwania", czyli organizmów. Przepisy te muszą zostać odczytane i zrealizowane przez całą skomplikowaną maszynerię biochemiczną występującą w komórkach. Wpływając w taki sposób na budowę i zachowanie organizmów, geny prowadzą je do rozmnażania się – czyli tworzenia swoich własnych kopii w organizmie potomnym.

Niektóre geny – dzięki temu, że zawierają przepisy na przydatne cechy lub zachowania – w danych warunkach środowiska prowadzą do skuteczniejszego rozmnażania się organizmu, inne zaś – rozmnażanie się utrudniają. A więc w kolejnych pokoleniach te pierwsze będą reprezentowane w populacji częściej, te drugie z czasem znikną. Ten krótki opis powinien nam coś przypominać – oczywiście mechanizm doboru naturalnego. Metafora Dawkinsa mówi o tym, że dobór naturalny to w zasadzie rywalizacja genów o to, jak licznie będą reprezentowane w populacji.

Perspektywa genetyczna, do której odwołuje się metafora Dawkinsa, pozawala wyjaśnić m.in. cały szereg zachowań altruistycznych. Jak zauważył William Hamilton, osobniki najczęściej pomagają swoim własnym krewnym – czyli takim osobnikom, które posiadają wiele kopii tych samych genów. Geny prowadzące do altruizmu to zatem takie geny, które dbają o swoje własne kopie przechowywane w ciałach krewnych altruisty. Dlatego zachowania altruistyczne mogą się utrzymywać w populacji – nie zostaną wyeliminowane przez dobór naturalny. U ptaków i ssaków spotykamy je powszechnie. Determinują m.in. to, co nazywamy opieką rodzicielską.

Metafora „samolubnego genu" pozwala także zrozumieć, dlaczego proporcje płci są równe. Ponieważ każdy z rodziców przekazuje potomstwu przeciętnie połowę swoich genów, połowa genów w populacji pochodzi od każdej z płci. Geny równie skutecznie rozprzestrzeniają się, gdy rodzą się samce, jak i samice. Jeśli w którymś pokoleniu spadnie odsetek jakiejś płci, np. samców, to właśnie im będzie się łatwiej rozmnażać (ponieważ będzie na nich większy „popyt"). Wtedy przeciętny samiec zostawiał będzie więcej kopii swoich genów niż przeciętna samica. Wytworzy się więc presja na rodzenie samców – geny, które warunkują rodzenie się samców, będą się skuteczniej rozprzestrzeniać niż geny, które warunkują rodzenie się samic. Presja ta utrzyma się aż do wyrównania proporcji płci.

Jednak nawet ta użyteczna metafora ma swoje wady: może być nieintuicyjna. Posługując się nią, łatwo pomylić metaforyczny „egoizm" genów z egoizmem osobników, będący cechą psychiczną. Geny altruizmu mogą być „samolubne". Osobniki altruistyczne samolubne nie są.

W języku ekonomii

Pojęcie altruizmu wszyscy intuicyjnie rozumiemy, ale biolodzy dzisiaj bardzo ściśle je definiują. Wspomniany Hamilton zrobił to w języku ekonomii: altruizm to takie zachowanie, którego sprawca ponosi pewne koszty na rzecz odbiorcy (a ten z kolei czerpie korzyści).

„Walutą" tych kosztów i korzyści (zysków) jest dostosowanie, także definiowane ściśle, np. jako prawdopodobieństwo przeżycia i spłodzenia potomstwa przez danego osobnika. Zachowania czy cechy fizyczne wpływające na dostoso-

wanie to takie, które zwiększają prawdopodobieństwo, że dany osobnik dłużej przeżyje i doczeka się liczniejszego potomstwa. Możemy również powiedzieć, że dobór naturalny w długiej perspektywie maksymalizuje dostosowanie organizmów.

W przeliczaniu kosztów i korzyści zachowań (a nawet ogólniej: wszelkich cech organizmu) na dostosowanie biolodzy ewolucyjni odwołują się także do „pośrednich walut", jakimi są np. zasoby energetyczne czy budżet czasowy osobnika. Nawet jeśli wydaje się bowiem, że dane zachowanie – na przykład iskanie się małp – nie wpływa bezpośrednio na szanse iskającej małpy na spłodzenie potomstwa i przeżycie, to jednak uszczupla ono jej budżety energetyczny i czasowy, które mogłyby zostać wydatkowane inaczej. A każdy nieuzasadniony „wydatek" czasowy czy energetyczny ma już wymierny wpływ na dostosowanie.

Z tej perspektywy na organizm można patrzeć jako na swoistego inwestora, którego nakłady (energetyczne czy czasowe) na dane zachowanie muszą się zwrócić (w postaci zwiększenia dostosowania), jeżeli cechy warunkujące skłonność do takiego zachowania mają się utrzymać w populacji w kolejnych pokoleniach – czyli jeśli mają być preferowane przez dobór naturalny. Dlatego dobrą metaforą działania doboru naturalnego wydaje mi się metafora „bezwzględnego księgowego". Dobór to bowiem mechanizm odsiewania z populacji cech i zachowań zbyt kosztownych w danych warunkach środowiskowych – wszystkich inwestycji, które przyniosły straty lub zbyt małe stopy zwrotu w porównaniu z inwestycjami konkurencji.

Metafora ta nie tylko dobrze oswaja z ekonomicznym językiem, który opanował biologię ewolucyjną, ale pozwala także zrozumieć zjawiska, na które poprzednie metafory przeważnie były ślepe.

Pierwszym z nich jest zanikanie w jakiejś linii ewolucyjnej organów, które przestają odgrywać ważną rolę. Jeszcze przed Darwinem Jean-Baptiste de Lamarck głosił, że zjawisko „zanikania nieużywanych organów" ma miejsce, choć źle je rozumiał. Dziś uważa się, że organy, które już się nie przydają – ponieważ gatunek zmienił środowisko życia – oznaczają dla organizmu pewien koszt. Wymagają nakładów energii – na stworzenie organu i utrzymywanie go. Na dłuższą metę lepiej więc poradzą sobie te osobniki, które ten koszt zredukują – czyli pozbędą się niepotrzebnych organów. Dlatego np. u waleni, których przodkowie broczyli w płytkiej wodzie na czterech nogach, dziś, po kilkudziesięciu milionach lat, nie obserwujemy kończyn dolnych. W morzach i oceanach, do których w swojej ewolucyjnej historii walenie się przeniosły, te kończyny nie są potrzebne. Została po nich symboliczna pamiątka – szczątkowe kości. Na tyle niewielkie, że bezwzględny księgowy nie zaprząta sobie nimi głowy. W całym bilansie energetycznym nie mają już znaczenia.

SEBASTIAN GOLLNOW / AP / EAST NEWS

Jeśli w populacji żyje więcej samic niż samców, rodzicom opłaca się rodzić synów. **Dadzą oni wyższą stopę zwrotu w postaci wnuków**.

Kolejnym zjawiskiem jest tzw. karłowacenie wyspowe. Na wyspach – na których ilość zasobów jest jeszcze bardziej ograniczona niż w innych warunkach – obserwuje się pewien trend ewolucyjny: wiele gatunków dużych zwierząt w dłuższej perspektywie maleje. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ mniejsze ciało oznacza mniejsze koszty utrzymania tego ciała, a więc niższe zapotrzebowanie na zasoby. Na wyspach organizmy mniejsze zdobywają ewolucyjną przewagę nad większymi. Nasz bezwzględny księgowy ponownie daje o sobie znać.

Zresztą, przytoczone wcześniej zjawisko wyrównywania się proporcji płci też łatwiej zrozumiemy, gdy zaczniemy myśleć w bliskich bezwzględnemu księgowemu kategoriach inwestycji rodzicielskich: przy zaburzonych proporcjach płci rodzicom bardziej opłaca się inwestować zasoby w rzadszą płeć – da ona wyższą stopę zwrotu w postaci wnuków. Ale tę zasadę można uogólnić. W istocie dotyczy ona kosztów, jakie wiążą się z wychowaniem dziecka danej płci. Gdyby w jakimś gatunku wychowanie syna było dwukrotnie bardziej kosztowne niż wychowanie córki, to jeden syn będzie równie opłacalną inwestycją rodzicielską jak dwie córki. W obu przypadkach potencjalna stopa zwrotu z inwestycji (liczona we wnukach) będzie identyczna. Co przełoży się na strukturę płciową populacji.

Bańki spekulacyjne

Metafora „bezwzględnego księgowego" pozwala także lepiej zrozumieć drugi darwinowski mechanizm selekcyjny – dobór płciowy. Pewne cechy zwierząt, takie jak pawie ogony, pełnią wyłącznie funkcję ozdobną – nie pomagają one swoim właścicielom w gromadzeniu zasobów czy walce z drapieżnikami. Mało tego – często wręcz utrudniają przeżycie, ponieważ pstrokate upierzenie czy błyszczący pawi ogon zwracają uwagę drapieżników. A jednak te cechy przyciągają także samice – paw o pięknym ogonie będzie miał więcej partnerek i pozostawi więcej dzieci. W ten sposób jego niebezpieczny ornament utrzyma się w kolejnych pokoleniach. Tylko właściwie dlaczego?

Bezwzględny księgowy powiedziałby nam, że pawi ogon to wprawdzie bardzo kosztowny wydatek, ale także oznaka wysokiego statusu jego posiadacza. Skoro osobnika stać na taki wydatek, to znaczy, że jest on atrakcyjnym partnerem (posiadaczem „dobrych genów"). Istnieje też większe prawdopodobieństwo, że taki partner spłodzi „atrakcyjnego syna", obdarzonego równie imponującym ogonem – a zatem kogoś, kto będzie miał wzięcie wśród samic. Dlatego samice dobrze zainwestują swój czas i zasoby (doczekają się większej liczby wnuków), jeśli wybiorą na partnera samca o najbardziej atrakcyjnym ogonie. Dzięki takiej preferencji „wartość rynkowa" ogonów może rosnąć z pokolenia na pokolenie.

Nawet jeśli początki pawich ogonów były skromne, w długim czasie dobra koniunktura nakręciła ich ewolucję.

Nie zauważyłem, by ktokolwiek wcześniej posłużył się wprost metaforą „bezwzględnego księgowego". Oddaje jednak ona sposób myślenia każdego ewolucjonisty.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Stany splątane

PROF. ANDRZEJ KOSSAKOWSKI, FIZYK:

W naszej dziedzinie zmienia się tylko kraj, miasto i pokój do pracy, kluczowe są kontakty osobiste z innymi uczonymi. Spotykamy się, rozmawiamy i czasem udaje się rozwiązać jakiś problem.

MARCIN BÓJKO: Jak zaczęła się historia równania, którego nazwa pochodzi m.in. od Pańskiego nazwiska?

ANDRZEJ KOSSAKOWSKI: Zainspirowany teorią laserów zainteresowałem się problemem ewolucji w czasie kwantowych układów otwartych, to znaczy będących podukładami większego systemu kwantowego. Wymagało to wyjścia poza klasyczne równanie zaproponowane przez von Neumanna (zob. ramka). Już wcześniej, w 1972 r., podałem częściowe rozwiązanie tego problemu w uproszczonym przypadku układu n-poziomowego.

Pracował Pan sam nad tymi zagadnieniami?

Podczas pobytu na uniwersytecie w Stuttgarcie przypadkowo nawiązałem kontakt z Vittorio Gorinim z Mediolanu. Spotkaliśmy się i od razu zaprzyjaźnili.

W 1973 r. w Marburgu odbyła się bardzo ważna konferencja, poświęcona podstawom mechaniki kwantowej, podczas której Gorini dowiedział się, że ewolucja układu kwantowego powinna spełniać warunek kompletnej dodatniości – warunek ten jest silniejszy niż rozważany do tej pory warunek dodatniości. Niezwłocznie przekazał mi te informacje wraz z materiałami konferencyjnymi.

Okazało się też, że Gorini współpracował z George'em Sudarshanem z Austin w Teksasie nad charakteryzacją odwzorowań zbioru macierzy gęstości (odwzorowaniami dodatnimi). W 1974 r., na zaproszenie Sudarshana, Gorini i ja przyjechaliśmy razem do Austin. Na miejscu okazało się, że bardzo łatwo jest przeformułować warunki, które wcześniej znalazłem dla dodatniości, na warunki dla kompletnej dodatniości. Zajęło nam to jedno przedpołudnie. Wykorzystując podane wcześniej warunki konieczne i dostateczne oraz pojęcie kompletnej dodatniości, podaliśmy ogólną postać generatora kompletnie dodatniej półgrupy dynamicznej dla układu n-poziomowego.

W równaniu Panów autorstwa są cztery nazwiska. Do kogo należy czwarte?

To zabawna historia. Tamtego roku sympozjum wypadło 6 grudnia, a ja wróciłem do Polski 10 grudnia już z preprintem naszej pracy. Dowiedziałem się, że gościem na sympozjum był profesor Göran Lindblad ze Sztokholmu i mówił na podobny do mojego temat. To mnie zaciekawiło, wysłałem mu preprint, a po kilku dniach on przysłał mi manuskrypt swojej pracy, który pieczołowicie przechowuję do dzisiaj. Jednym słowem okazało się, że w dwóch różnych częściach świata w tym samym czasie nasza trójka i niezależnie on pracowaliśmy nad tym samym zagadnieniem z podobnym rezultatem. Lindblad, używając innego narzędzia matematycznego, podał nieco ogólniejsze rozwiązanie tego problemu.

Nasza praca i praca Lindblada ukazały się w tym samym, 1976 r. w dwóch czasopismach z różnicą miesiąca: nasza w maju w „Journal of Mathematical Physics", jego w czerwcu w „Communication in Mathematical Physics". Dlatego dziś równanie nosi nazwę GKS-L od inicjałów naszych nazwisk. Do tego równania doprowadziły bardzo szczególne koincydencje. My do rezultatów dochodziliśmy jako fizycy. Lindblad doszedł do niego jako matematyk. Widać, że ta idea po prostu przez lata dojrzewała.

Czym się Pan jeszcze zajmował?

Następnie, współpracując ze Stanisławem Dembińskim z naszego Instytutu, pracowałem nad teorią lasera z nasycalnym absorberem, będącym uproszczonym modelem lasera barwnikowego. W takim układzie występuje przejście fazowe pierwszego rodzaju.

Przez ponad dziesięć ostatnich lat współpracuję z Dariuszem Chruścińskim, zajmowałem się problematyką stanów splątanych, odwzorowań dodatnich, a w szczególności równaniami ewolucji z pamięcią, które są uogólnieniem równań GKS-L.

Jak wyglądała współpraca między naukowcami z różnych instytutów, gdy zaczynał Pan swoją karierę?

Trzeba pamiętać, że przed 40 laty współpraca z zagranicznymi ośrodkami naukowymi była bardzo utrudniona, m.in. nie było poczty elektronicznej. W związku z tym byliśmy skazani na korespondencję listowną, co było nieefektywnym sposobem komunikacji, wręcz koszmarem. Jestem głęboko przekonany, że gdybyśmy się nie spotkali w Austin, to ta praca nigdy by nie powstała i byłoby tylko równanie Lindblada lub przynajmniej kolejność liter byłaby inna.

Od kiedy jest Pan związany z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu?

Do Torunia przyjechałem na studia w 1955 r. i tu już zostałem. Moja droga naukowa od początku związana była z UMK. Studia ukończyłem w 1960 r. i od razu zaproponowano mi asystenturę. Pracę doktorską obroniłem w 1966, habilitowałem się w 1972, a profesorem jestem od 1979 r. Pracowałem w Zakładzie Fizyki Statystycznej i Matematycznej kierowanym przez Romana

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Stanisława Ingardena, który został dyrektorem Instytutu i kierował przez wiele lat Zakładem Fizyki Statystycznej i Matematycznej. Prof. Ingarden był zainteresowany m.in. fizyką matematyczną, stąd mój kontakt z tego typu problematyką. W latach 70. duże ożywienie, jeśli chodzi o fizykę teoretyczną, było związane z wieloma inicjatywami Ingardena, m.in. założył on dwa czasopisma z redakcją w Toruniu: „Reports on Mathematical Physics" i „Open Systems and Information Dynamics". Ponadto zainicjował coroczne toruńskie Sympozja Fizyki Matematycznej. Dzięki prof. Aleksandrowi Jabłońskiemu zaraz po doktoracie wyjechałem na pierwszy staż do Kanady. Kolejne kontakty nawiązywałem już dzięki swoim publikacjom.

Od lat 90. zacząłem częściej wyjeżdżać za granicę, m.in. do Niemiec, Włoch, Belgii, Hiszpanii, Kanady, USA, Japonii, Chile... W naszej dziedzinie praktycznie zmienia się tylko kraj, miasto i pokój do pracy, ale najważniejsze są kontakty osobiste z innymi uczonymi. Dyskutuje się na tematy naukowe i czasem udaje się rozwiązać jakiś problem.

Czym dla Pana jest fizyka?

Znaczy dla mnie bardzo dużo, można powiedzieć, że właściwie wszystko, za wyjątkiem rodziny. Mam szczęście, że moja praca zawodowa jest równocześnie moją pasją, jest intelektualną przygodą, a jeżeli ma się rezultaty, to jeszcze dodatkowo ma się satysfakcję. Dzięki fizyce miałem szczęście poznać wspaniałych ludzi, z którymi przyjaźń trwa do dziś.

MAGDALENA WIŚNIEWSKA-KRASIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE

PROF. ANDRZEJ KOSSAKOWSKI jest fizykiem. Przez całe życie związany z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu. W 2019 r. został laureatem Nagrody Naukowej Fundacji na rzecz Nauki Polskiej w dziedzinie nauk matematyczno-fizycznych i inżynierskich za rozwinięcie teorii kwantowych układów otwartych.

Mówi Pan o pozostałej trójce z równania GKS-L?

Niestety Sudarshan już odszedł. Spotykałem się z nim często na zjazdach, mieliśmy wspólnych znajomych. Pamiętam nasze spotkanie na konferencji w Tokio, które nastąpiło po dłuższym czasie niewidzenia się, a czuliśmy się, jakbyśmy rozstali się miesiąc wcześniej. On powiedział: „Chodź, pogadamy!". I tak we dwóch przegadaliśmy prawie całą konferencję, nie byliśmy na wykładach. On też przyjeżdżał kilkakrotnie do Torunia, a ja kilka lat temu byłem na jego 75. urodzinach w Hiszpanii. Sudarshan miał duże osiągnięcia w teorii pola i cząstek elementarnych, a przy tym był wielkim filozofem – znał całą filozofię hinduską, sanskryt...

Z Gorinim do dziś utrzymujemy przyjacielskie relacje. On tu przyjeżdża prawie co roku. Siedzimy sobie w moim domku, na wsi. Vittorio spaceruje po lesie, robi dużo zdjęć, zbiera grzyby i przygotowuje pyszne posiłki. Obaj popisujemy się talentami kulinarnymi i na szczęście wszyscy konsumenci żyją. Dużo rozmawiamy, wspominając dawne czasy. To człowiek o bardzo szerokich horyzontach. Nie nudzimy się ani chwilę.

Nawet gdy go nie ma, Pan chyba też się nie nudzi?

Coraz rzadziej odwiedzam mój gabinet w Instytucie. Częściej pracuję w domu. Wystarczy mi kilka książek, parę prac, nieco papieru, ołówek i trochę pomysłów. Coraz chętniej przebywam na wsi, zajmując się ogrodem... oraz pracując naukowo.

© Rozmawiał MARCIN BÓJKO

Układ otwarty

JEDNYM Z KAMIENI WĘGIELNYCH teorii kwantowej jest równanie Schrödingera. Modeluje ono ewolucję w czasie stanu kwantowego opisującego dany układ, np. cząstkę swobodną albo atom w polu elektromagnetycznym.
Stany kwantowe, których dotyczy równanie Schrödingera, to tzw. stany „czyste".
Są one w pewnym sensie idealne – zakładają, że mamy maksymalną wiedzę na temat danego układu. W praktyce doświadczalnej jest to oczywiście mało realistyczne, gdyż zawsze mamy do czynienia z pewnym szumem, czy to pochodzącym od czynników zewnętrznych, czy też od samej aparatury.
Istnienie takiego tła ogranicza naszą wiedzę o stanie układu i wymusza stosowanie stanów „mieszanych", czyli zaszumionych (matematycznie, są one modelowane przez tzw. macierze gęstości). Ewolucję stanów mieszanych modeluje równanie von Neumanna.
Przypuśćmy teraz, że dany układ kwantowy jest stosunkowo „duży", tzn. składa się z podukładów. Stan całości ewoluuje co prawda zgodnie z równaniem von Neumanna, ale wnioskowanie z tego o jakiejś jego części może być bardzo trudne. Możemy zatem próbować zamodelować bezpośrednio interesujący nas podukład. Jednak stanowi on część jakiegoś dużego układu – jest tzw. układem otwartym – nie możemy zastosować równania von Neumanna, które zakłada, że system jest izolowany.
Fizycznie oznacza to, że np. informacja albo energia z podukładu może wpływać i wypływać na „zewnątrz".
W ogólności, modelowanie układów otwartych jest bardzo szerokim i trudnym zagadnieniem. W większości realistycznych systemów fizycznych można jednak przyjąć, że sprzężenie układu z jego „środowiskiem" jest w odpowiednim sensie „słabe".
Innymi słowy, system pozostaje słabo skorelowany z „zewnętrzem" w trakcie całej ewolucji.
Od strony matematycznej oznacza to, że taki układ można opisywać przy użyciu struktury tzw. „półgrupy dynamicznej" scharakteryzowanej jednoznacznie przez pewien generator, co znacznie upraszcza zagadnienie.
Sukces prof. Kossakowskiego i jego kolegów polegał właśnie na znalezieniu ogólnej postaci takiego generatora. Dzięki temu fizycy otrzymali bardzo ogólne i potężne narzędzie do opisu kwantowych układów otwartych.

© MICHAŁ ECKSTEIN

CHARAKTER PISMA

RYSZARD KRYNICKI, POETA:

Czasami wystarczy, że światło pada pod innym kątem i słowo, które przez miesiące, a niekiedy nawet lata nie dawało się odczytać, nagle staje się czytelne.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jakie myśli przychodzą, kiedy czyta się listy swoich przyjaciół?

RYSZARD KRYNICKI: Przede wszystkim żałuje się, że nie ma ich między nami.

Domyślam się, że za pani pytaniem kryje się też inne: dlaczego podjąłem się wydania korespondencji Wisławy Szymborskiej i Stanisława Barańczaka. Po prostu uważam, że listy, a szczególnie listy poetów obdarzonych talentem epistolograficznym, należą do ich twórczości pisarskiej. Istotną rolę odgrywało również to, iż znałem ich oboje osobiście. Znałem Stanisława Barańczaka i znałem trochę Wisławę Szymborską.

Barańczaka znał Pan dobrze.

Staszek był moim najbliższym przyjacielem. Poznaliśmy się w 1964 roku na studiach w Poznaniu. Obaj studiowaliśmy polonistykę, ja byłem na czwartym roku, on na pierwszym, spotkaliśmy się na korytarzu w nieistniejącym już Collegium Philosophicum, na rogu ulic Matejki i Wyspiańskiego. W tymże roku powstała też grupa poetycka „Próby", do której obaj należeliśmy.

Jak wyglądali wtedy poeci?

Stanisław Barańczak, od kiedy go pamiętam, przez całe swoje życie prawie się nie zmienił. Tyle tylko, że po 1970 roku zapuścił brodę, co spowodowało, że z poważnego chłopca w okularach stał się młodym mężczyzną o chłopięcym wyglądzie, w tych samych okularach i z tą samą gęstą czupryną, tak samo bardzo poważnie podchodzącym do świata i literatury, żyjącym poezją, jednak w żaden sposób nie manifestującym swoim sposobem bycia, że jest poetą. Dopiero postępująca choroba zmieniła go fizycznie, chodził z pochyloną głową, a jego uważne spojrzenie stało się niezwykle przejmujące.

Kiedy odkrył w sobie poetę?

Bardzo wcześnie odkrył dla siebie poezję. Jego siostra, Małgorzata Musierowicz, w swojej wspomnieniowej książce cytuje liścik, jaki sześcioletni chyba Staś napisał do matki, prostymi, każdy z osobna, wersalikami: „Jestem grzeczny i pewno będę poetą, bo umiem rymować. Pa pa, całusów 122, do widzenia, Staś". Wcześnie też odkrył swój drugi talent: muzykę. W czasach licealnych oraz na początku studiów uczęszczał również do szkoły muzycznej, grał na trąbce, i gdyby tego nie zaniechał, kto wie, czy Tomasz Stańko nie miałby w nim największego konkurenta, lub czy nie grałby z nim w jednym zespole.

Kiedy kończył studia, Jerzy Kmita, nasz profesor logiki, proponował mu, żeby został jego asystentem, jednak ostatecznie pozostał wierny polonistyce i, jak wiadomo, wybrał asystenturę u profesora Jerzego Ziomka. Był też, co już jest mniej wiadome, świetnym szachistą; grywaliśmy czasem, jadąc pociągiem do Warszawy, na jego podróżnej szachownicy. No i znakomitym pływakiem. Ania [żona Barańczaka – red.] opowiedziała mi kiedyś, jak w Bułgarii uratował tonącą niemiecką turystkę.

Co się musi wydarzyć, by zaprzyjaźniło się dwóch poetów?

Nie wiem, pewnie zależy to od zbiegu szczęśliwych okoliczności. W każdym razie w naszym pokoleniu bliskie przyjaźnie nie były czymś wyjątkowym: Adam Zagajewski przyjaźnił się z Julianem Kornhauserem, Rafał Wojaczek z Bogusławem Kiercem, Krzysztof Karasek z Jarosławem Markiewiczem...

Poeci rozmawiają o poezji?

O własnej raczej rzadko. Dużo za to rozmawialiśmy o bliskich nam poetach: Rilkem, którego Staszek wtedy, w połowie lat 60., tłumaczył, i którego kilka przełożonych przez siebie wierszy podarował mi, chyba w 1966 roku, z żartobliwą dedykacją: „z okazji porzucenia twórczości poetyckiej".

Rozmawialiśmy o Brechcie i Celanie, którego tłumaczył na początku lat 70., i którego sam też zacząłem wkrótce tłumaczyć. O Thomasie Bernhardzie, którego wiersze z cyklu „In hora mortis" także wówczas tłumaczył, o surrealiście Maksie Hölzerze, do którego próbowałem go przekonać, teraz zapomnianym. O Achmatowej, Cwietajewej i Mandelsztamie, wreszcie o poetach angielskich i amerykańskich. Pamiętam, jaki był szczęśliwy, kiedy w księgarni muzycznej w Poznaniu udało mu się zdobyć płytę z wierszami Dylana Thomasa, czytanymi przez autora, spad z Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie. Albo jaki był szczęśliwy, kiedy udawało mu się zdobyć kolejną płytę Beatlesów,

ANNA JANINA BARAŃCZAK / FOTONOVA

Stanisław Barańczak, Wenecja 1994 r.

których również zaczął wcześnie tłumaczyć; do dzisiaj mam numer „Szpilek" z 1975 roku z jego pierwszymi przekładami ich piosenek.

A o polskich poetach rozmawialiście?

Rozmawialiśmy szczególnie o Białoszewskim i Wirpszy. Swoją drogą Wirpsza przysłał kiedyś Staszkowi maszynopis swojego niepublikowanego wtedy poematu „Faeton".

Rozmawialiśmy o Szymborskiej, Herbercie i Karpowiczu, pożyczaliśmy sobie trudne do zdobycia książki Miłosza i Wata. Chcieliśmy zresztą wydać naszą osobistą antologię polskiej poezji współczesnej, początkowo były na to nawet jakieś szanse, póki się nie okazało, że obaj staliśmy się dla władzy niecenzuralni.

Po 1975 roku zostaliście objęci całkowitym zakazem druku.

I wymienialiśmy się swoimi samizdatami, własnoręcznie sporządzonymi książkami z wierszy przepisanych na maszynie. Jesienią 1973 roku miał się ukazać w Wydawnictwie Literackim mój „Organizm zbiorowy", cenzura usunęła z niego prawie jedną trzecią wierszy. Zrobiłem z nich książeczkę „Wszystko jest możliwe" w dwunastu, jeśli dobrze pamiętam, egzemplarzach, z których pierwszy dałem oczywiście Ani i Staszkowi ↦

↦ Barańczakom. Chyba pół roku później, na początku maja 1974, Staszek skończył pisać „Sztuczne oddychanie", przepisał je w kilku lub kilkunastu egzemplarzach i dał nam jeden, z dedykacją, przy okazji najbliższego spotkania. Wróciliśmy do domu po północy, a o szóstej rano obudziło nas natarczywe dzwonienie i dobijanie się do drzwi – przyszło czterech funkcjonariuszy SB na kolejną rewizję. Kartonowa teczka ze „Sztucznym oddychaniem" leżała na stole, bo czytałem je w nocy. Nie chciałem, żeby esbecy wiedzieli, kto jest autorem wierszy, więc zniszczyłem kartę tytułową, zanim otworzyłem drzwi. Po tym traumatycznym doświadczeniu nauczyłem się skutecznie ukrywać nielegalne książki i papiery, i chociaż miałem jeszcze wiele rewizji, następne samizdaty Staszka, na przykład „Ja wiem, że to niesłuszne" z 1976 albo „Kątem u siebie" z 1979 roku, ocalały w całości.

Z „Kątem u siebie" znam na pamięć jeden wiersz:
„Skoro już musisz krzyczeć, rób to cicho (ściany / mają / uszy), skoro już musisz się kochać, / zgaś światło (sąsiad / ma / lornetkę), skoro już musisz / mieszkać, nie zamykaj drzwi (władza / ma / nakaz), skoro już / musisz cierpieć, rób to we własnym domu (życie / ma / swoje prawa), skoro / już musisz żyć, ogranicz się we wszystkim (wszystko / ma / swoje granice)".

W stanie wojennym, kiedy szalała cenzura pocztowa, i „powojennym" w latach 80. przesyłanie wierszy i książek stało się bardziej skomplikowane, wysyłaliśmy je sobie różnymi, czasem bardzo okrężnymi drogami – i większość z nich szczęśliwie dotarła, chociaż niektóre zaginęły bez śladu. Moje wiersze było trochę łatwiej przemycać przez granicę, bo były coraz krótsze. Staszek tłumaczył niektóre z nich na angielski, niekiedy sam, niekiedy z Clare Cavanagh, i zamieszczał w różnych pismach i antologiach, opublikował też mały ich wybór w Mr. Cogito Press. Ja przepisywałem jego wiersze na maszynie i puszczałem w obieg, niektóre z nich, na przykład „Grażynie" i poemat „Przywracanie porządku", wydrukowałem w podziemnych pismach.

Ale przepraszam, zdaje się, że się rozgadałem, wiadomo zresztą, jakim jestem gadułą...

Eh...

...a nie odpowiedziałem do końca, dlaczego podjąłem się wydania tej korespondencji, a ściślej mówiąc, dlaczego chciałem ją opublikować, tak jak wcześniej korespondencję Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta. Przede wszystkim dlatego, że miałem poczucie, iż jest to moja powinność, bo byli mi i są bardzo bliscy, bo były mi i są bardzo bliskie ich wiersze. Bo pamiętałem piękny „List otwarty do Czytelników Poety Barańczaka i Jego żony Ani", napisany przez Szymborską po ukazaniu się „Chirurgicznej precyzji", i pamiętałem, że prawie za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, kiedy nas odwiedzała albo kiedy zapraszała nas do siebie, pytała o Staszka, i jak dojmująco mówiła o jego nieubłaganej chorobie; bo pamiętałem, jak długo, przygotowując do druku jej ostatnie wiersze, nie potrafiłem odczytać trzech fragmentów jednego z jej rękopisów, i dopiero wtedy, kiedy udało mi się odcyfrować słowo „Newtonville", zrozumiałem, iż te z trudem odczytane słowa to echo jej tamtych słów, tamtych rozmów – i że układają się w przejmujące do głębi linijki wiersza, którego nie zdążyła napisać:

Więc można żyć
w dwóch miejscach równocześnie
na przykład tu w Krakowie
i tam w Newtonville

.....

to drugi wpis
w księdze zażaleń
że każdy cierpi
w swój
niepodzielny sposób

.....

Każdy z przyjaciół
cierpiałby tylko trochę
i tylko kilka minut
w ciągu doby

Ciarki mnie przeszły.

Tak więc już chociażby ten drobny pozornie fakt, iż znałem trochę ich pismo, że wiedziałem, jak zmieniało się z biegiem czasu, jeżeli mnie nawet nie predestynował, to niejako zobowiązywał do podjęcia się tego zadania. Pismo Stanisława Barańczaka, zawsze bardzo drobne, i już chociażby przez to – mimo że bardzo harmonijne – trudne do odczytania, dramatycznie zaczęło się zmieniać pod wpływem choroby, niekiedy stając się niemal nieczytelne, zwłaszcza w jego

Wyklejanki Wisławy Szymborskiej, 1993 r.

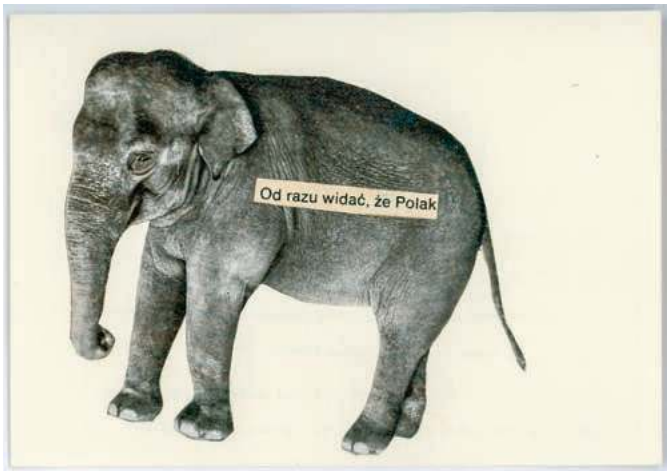

TERESA WALAS

Wisława Szymborska i Stanisław Barańczak w mieszkaniu noblistki, czerwiec 1993 r.

notatkach i brulionach. Obawiam się, że nie wszystkie na razie dadzą się odczytać, może postęp techniki kiedyś w tym pomoże.

A pismo Szymborskiej?

Jest nieco podobne do pisma Barańczaka, w tym sensie, że jest również bardzo drobne, pochyłe, i mimo iż również bardzo harmonijne, nie zawsze daje się odczytać. Mnie w odcyfrowywaniu drobnego pisma długo pomagało to, że jestem krótkowidzem, jednak lata ślęczenia nad rękopisami sprawiły, że zaczynam mieć z tym coraz większe trudności, zwłaszcza jeśli mam do czynienia na przykład z kserokopią albo nawet skanem, chociaż można go powiększyć. Kiedy można obcować z oryginałem, czasami wystarczy, że światło pada pod innym kątem – i słowo, które przez miesiące, a niekiedy nawet lata, nie dawało się odczytać, nagle staje się czytelne.

Prawdziwe oświecenie.

Ciągle też pamiętam, że Wisława Szymborska powiedziała mi kiedyś, że swoje najlepsze wyklejanki wysyła do Ani i Staszka – a że bardzo podziwiam nie tylko jej wiersze, lecz również jej twórczość kolażową, bardzo zależało mi na tym, żeby jak najwięcej zamieścić ich w książce, bo były dotąd w Polsce prawie nieznane.

Bawią mnie do łez wyklejanki Szymborskiej ze słoniem w roli głównej i dymkami: „Jak dobrze być sobą" czy „Od razu widać, że Polak". To chyba nawiązanie do cyklu Barańczaka „Bóg, Trąba i Ojczyzna", parodii najbardziej znanych wierszy – od Reja po Rymkiewicza – gdzie głównym bohaterem okazuje się Słoń, „ten wielki przyjaciel Polski".

W lipcu 1993 roku Stanisław Barańczak skończył pisać pierwszą wersję tomiku „Bóg ,Trąba i Ojczyzna", i sporządził na swojej wspaniałej drukarce kilka egzemplarzy tej książeczki, które rozesłał do najbliższych przyjaciół, w tym przede wszystkim do Wisławy Szymborskiej. O tym, że było to właśnie wtedy, wiem stąd, iż jeden z nich przysłał również do nas. Pokażę go pani.

Wydruk z komputera. O, jest i dedykacja, lecz niewyraźna, napisane maczkiem.

Och, ta akurat jest bardzo czytelna. (*Podchodzi do okna*): „Drogim Krystynie i Ryśkowi – tym razem nie do druku, ale do śmiechu – z niesłabnącym uwielbieniem Stanisław". I data: lipiec 1993.

„Tym razem nie do druku" znaczy tutaj, że Staszek nie oczekuje od nas, żebyśmy tę książeczkę wydali.

Dodatkowym problemem dla edytora jest to, że ani Szymborska, ani Barańczak nie przechowywali kopert, co mogłoby, dzięki stemplom pocztowym, pomóc w ustalaniu chronologii listów niedatowanych, ale to zrozumiałe, bo wszyscy żyliśmy w ciasnych mieszkaniach, w których nie było zbyt wiele miejsca na papiery i książki. To po pierwsze. A po drugie: nie pisali przecież do siebie z myślą, że ich korespondencja będzie kiedyś opublikowana.

Barańczak był zachwycony poezją Szymborskiej, bardzo chciał ją tłumaczyć na angielski, to się czyta od jego pierwszego listu napisanego do niej w 1972 roku.

Że był jej poezją zachwycony, że chciałby ją tłumaczyć na angielski, uświadomił sobie chyba dopiero po wyjeździe do Stanów w 1981 roku, a szczególnie w stanie wojennym.

Barańczak szanował tłumaczenia Krynskiego i Maguire'a. Ale te przekłady publikowane były głównie w mniej znaczących amerykańskich czasopismach. W przypadku tłumaczeń zdarza się to rzadko, że jeden tłumacz zachowuje się *fair* wobec innego. Kiedy Staszek pyta Wisławę, czy pozwoli na to, by on z Clare Cavanagh, wtedy jego doktorantką, tłumaczyli wiersze Szymborskiej, to z uznaniem pisze o przekładach Krynskiego i Maguire'a. Dodaje tylko, że jego i Cavanagh tłumaczenia są ciut lepsze. A prawda jest taka, że ich tłumaczenia są o wiele lepsze. Więc Barańczak zachowuje się *fair*. Ale przede wszystkim jest zapaleńcem. Wie, że poezja Szymborskiej jest pozornie prosta do tłumaczenia, a w rzeczywistości ogromnie trudna – jej kunszt, wyrafinowanie i gry językowe są na najwyższym poziomie.

Barańczak przywiązuje jeszcze ogromną rolę do tego, by tłumaczenia Szymborskiej pojawiały się w ważnych pismach, by dotarły do jak największej liczby czytelników.

Barańczak był po prostu agentem literackim Szymborskiej w Stanach.

I był bardzo z tego powodu dumny, jak pisze w jednym z listów. Jestem głęboko przekonany, że dopiero dzięki przekładom Stanisława Barańczaka i Clare Cavanagh Szymborska prawdziwie zaistniała w Ameryce – i w ogóle w obszarze języka angielskiego. Myślę też, że nie dostałaby Nagrody Nobla akurat w 1996 – czyli rok po ukazaniu się w Stanach jej pierwszego ↦

↦ wyboru wierszy w ich tłumaczeniu. Umacnia mnie w tym przekonaniu komunikat prasowy Akademii Szwedzkiej z 3 października 1996 roku, w którym czytamy m.in.: „Znakomitą prezentacją jej poezji jest wybór stu wierszy w angielskim tłumaczeniu Stanisława Barańczaka i Clare Cavanagh, zatytułowany »View with a Grain of Sand«”.

Czyli ,,Widok z ziarnkiem piasku”. Choć pierwotnie Barańczak planował temu tomikowi dać tytuł „Kot w pustym mieszkaniu”, zaczerpnięty z wiersza, który Szymborska napisała po śmierci Kornela Filipowicza. A w liście do Barańczaka napisała, że wolałaby, by ten wiersz nie powstał, a jak już jest, niech sobie dyskretnie leży między innymi wierszami. Przejmujące są te słowa Szymborskiej. Tak samo jak przejmujące jest to, że Barańczak nie chce, by jego choroba stawała się nawet śladowym tematem ich korespondencji.

Choroba Parkinsona skomplikowała Staszkowi pisanie na komputerze. Wcześniej pisywał listy na maszynie, ale później z upodobaniem na komputerze, bo w nim jest też trochę rękodzieła w rozumieniu Barańczakowym. Kiedy on pisze list, to jednak stara się o to, żeby miał też formę graficzną, więc jak odkrywa nowe fonty, wykorzystuje je jako szlaczki.

Staszek zawsze pracował za co najmniej trzy osoby. Przede wszystkim był poetą, ale też tłumaczem, eseistą, badaczem literatury, redaktorem antologii. Jednocześnie prowadził zajęcia ze studentami jako uniwersytecki profesor. Nie mam pojęcia, skąd brał na to wszystko czas.

Może w ten sposób też się z nim ścigał? Wiedział, że parkinson, na którego zachorował niewiele po trzydziestce, w pewnym momencie jego pracę spowolni, a potem całkiem uniemożliwi.

Pamiętam, jak odwiedziłem Anię i Staszka w listopadzie 2000 roku. Wstawał bardzo wcześnie rano, koło piątej, i pracował prawie non stop, przez kilka godzin niemal bez przerwy, jeżeli akurat nigdzie nie wyjeżdżaliśmy, to powiedzmy do dwunastej w południe. Potem zazwyczaj wyjeżdżaliśmy gdzieś na obiad, albo jedliśmy w domu i długo rozmawialiśmy we troje lub we czworo, jeśli przyjechał

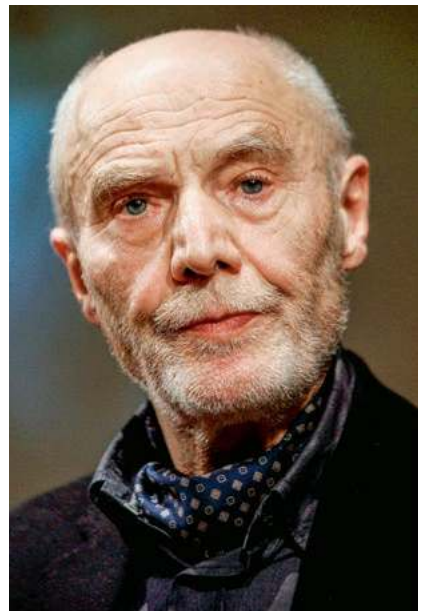

JAREK PRASZKIEWICZ / FORUM

RYSZARD KRYNICKI (ur. 1943) jest poetą, tłumaczem, wydawcą. W 1988 roku wraz z żoną Krystyną założył wydawnictwo a5, którego nakładem ukazała się właśnie korespondencja Wisławy Szymborskiej i Stanisława Barańczaka z lat 1972–2011 zatytułowana „Inne pozytywne uczucia też wchodzą w grę”.

Wojtek Wołyński. Koło szesnastej przychodziła jednak ta nieubłagana chwila, kiedy nagle, w pół słowa, przestawał mówić i musiał się natychmiast położyć.

Jak to znosił?

Bez słowa skargi. Ostatni raz widziałem Staszka właśnie wtedy – w listopadzie 2000 roku. Oboje z Krystyną często telefonowaliśmy do nich, albo oni dzwonili do nas, to znaczy Ania, ale Staszek zazwyczaj był przy tych rozmowach obecny, czasami się odzywał, lecz były to pojedyncze zdania lub słowa – mówienie sprawiało mu już wtedy ogromną trudność.

Gdy umiera przyjaciel...

Proszę mnie o to nie pytać. Tego się nie da powiedzieć.

(*Milczenie*)

Istnieje szczególnie ważny fragment w korespondencji Barańczaka i Szymborskiej?

Lubię trzy króciutkie listy Szymborskiej z 3, 5 i 7 października 1999 roku po wiadomości o nagrodzie Nike dla Barańczaka. Jak też jego piękny przekład wiersza „Kot Pangur”, dołączony jako „coś pogodnego” do listu z 29 grudnia 1994 roku, w którym zwierza się, że mimo optymistycznej filozofii życiowej bywa wydany „na tak zwaną pastwę zwątpień o całkiem zasadniczym charakterze”.

„Pangur Bán” to poemat napisany ok. 800 roku n.e. przez anonimowego irlandzkiego mnicha.

Historię tłumaczenia tego wiersza opowiedziała mi rok temu Ania Barańczakowa. Otóż na początku grudnia 1994 przyjechał do Krakowa Seamus Heaney na wieczór poezji z udziałem jego dwóch tłumaczy, Stanisława Barańczaka i Piotra Sommera, z okazji ukazania się w Biblioteczce Poetów Języka Angielskiego jego „44 wierszy”, oczywiście w tłumaczeniu Staszka. Po tym wieczorze w jednym z krakowskich lokali odbyło się spotkanie towarzyskie, na którym Heaney, zapytany o swój ulubiony wiersz, wyrecytował z pamięci właśnie „Kota Pangura”. Zachwycony Barańczak natychmiast poprosił Heaneya, żeby mu go przepisał, usiadł z boku i od razu zaczął go tłumaczyć, co mu się udało jeszcze w czasie tego spotkania.

I to był właśnie cały Staszek: skoro tylko poczuł rytm tego wiersza, nie mógł się oprzeć pokusie, czy raczej silnej wewnętrznej potrzebie przetłumaczenia go na język polski. W jego archiwum można zobaczyć, jak powstawał ten przekład: rękopis Heaneya na dwóch żółtych kartkach wyrwanych z notesu, dwa bruliony tłumaczenia – i ostateczna wersja zapisana wersalikami na kartce wyrwanej chyba z kalendarza, w każdym razie na tym, co było pod ręką.

Na początku naszej rozmowy powiedział Pan, że trochę znał Szymborską. Co właściwie Pan miał na myśli?

To, że nie wiem, czy zaliczała mnie do swoich bliskich przyjaciół, i że na pewno nie znałem jej tak dobrze jak jej najbliżsi przyjaciele. Ale wiem, że darzyła mnie i naszą małą rodzinę swoją przyjaźnią, a przyjaźń jest jednym z najpiękniejszych darów, jaki nas może spotkać od losu.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

ELLIOTT LANDY / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Festiwal Woodstock, sierpień 1969 r.

Sześćdziesiąty dziewiąty

FILIP ŁOBODZIŃSKI

W listopadzie 1968 r. Serge Gainsbourg i Jane Birkin nagrywają w Londynie piosenkę z refrenem: „Sześćdziesiąt dziewięć – erotyczny rok". 13 miesięcy później na torze Altamont osiemnastolatek zostaje złożony w ofierze nowej dekadzie. Dzieje toczą się na opak.

Ukazała się u nas gruba (arcyciekawa, choć niestety niechlujnie zredagowana) książka Jona Savage'a „1966. Rok, w którym eksplodowała dekada". Autor dowodzi, że tytułowy rok był przełomowy dla Zachodu, zważywszy na przemiany w modzie i przede wszystkim na eskalację protestów antywojennych i ruchów na rzecz praw rozmaitych wykluczonych grup społecznych. Ten ferwor miał znaleźć swoją kulminację w rozwibrowanym od ulicznych emocji roku 1968 – Warszawa, Paryż, Londyn, Berlin, Miasto Meksyk, Praga to tylko niektóre ogniska napięć i otwartych konfliktów.

Liczba zeszłorocznych publikacji wspominających '68 sięgała ekstatycznych rekordów. Jakby 50 lat temu zaczęła się nasza współczesność.

BO TEŻ ROK 1968 WIELE NAOBIECYWAŁ. Był czasem rewolty, która miała przynieść trwałe zmiany w świadomości. Tlił się w nim też puls *flower-power*. Premierę miał musical „Hair". Z anarchii hipisów i determinacji ruchów wolnościowych miała zrodzić się alternatywa dla bezpiecznego konformizmu powojennego ładu świata.

Także w muzyce popularnej rok 1968 to był czas nowego otwarcia. Dwa tria – Jimi Hendrix Experience i Cream – utrwalają położone przez siebie rok wcześniej podwaliny pod psychodeliczny hard rock. Pojawiają się pierwsze jaskółki minimalistycznej muzyki elektronicznej (amerykański duet Silver Apples). Wielobarwny konglomerat Sly & the Family Stone serwuje soul multikulti w „Dance to the Music". Brytyjczycy z Procol Harum stawiają odważny krok ku rockowej symfonice, nagrywając kilkuczęściowe „In Held, Twas In I". Awangarda rockowa objawia swe rewelacyjne niemieckie oblicze – powstają pierwsze ↦

nagrania Can, rodzi się Krautrock, czyli niemiecki pomysł na rocka, z którego zrzyna się do dziś pod każdą szerokością i długością geografii muzycznej. Terry Riley tworzy przełomową kompozycję „In C", która definiuje minimalizm w sposób zrozumiały dla dyletantów. Niezależnie od siebie Miles Davis (na „Filles de Kilimanjaro") i Soft Machine (na debiutanckim albumie) badają muzyczny grunt, któremu na imię *fusion*.

Oto kapitał muzyczny, z którego wyłaniała się obietnica, skumulowana w 1968 roku. Oczywiście historia nie skacze kwantowo wraz ze zmianą daty rocznej i nie można ducha rewolucyjnego utożsamiać z konkretnym okresem, zamkniętym pomiędzy 1 stycznia a 31 grudnia 1968 r. Ale rzeczywiście 51 lat temu pewne zawory puściły.

GDYBYŚMY JEDNAK MIELI WSKAZAĆ W TAMTEJ EPOCE ROK, KTÓREGO MY SAMI JESTEŚMY DZIEĆMI, byłby to rok kolejny – 1969. Przyszłość, która stała się już naszą przeszłością i do pewnego stopnia teraźniejszością, objawiła się dopiero wtedy.

Ton nowym czasom nadał świeżo intronizowany na fotel prezydencki Richard Nixon, wydając tajny rozkaz eskalacji wojny w Indochinach poprzez bombardowanie Kambodży. Cała prezydentura Nixona to jedna z pierwszych odsłon nowych czasów, które trwają nadal. Tamte naloty na bazy Vietcongu dowiodły, że demonstracje antywojenne służą raczej polepszeniu samopoczucia uczestników, nie mając wpływu na przebieg wydarzeń. To lekcja, którą wciąż powtarzamy – przy okazji Rwandy, Jugosławii, Syrii.

Wojna, o której tyle i z taką wściekłością krzyczano wówczas na ulicach Zachodu, rozpełzała się na sąsiednie kraje, a na dodatek przybrała nowe barwy „wietnamizacji", co było świadectwem przebiegłej hipokryzji. Za tamtymi decyzjami Nixona stał przyszły laureat pokojowego Nobla Henry Kissinger.

W 1969 R. W NOWYM JORKU ZACZĄŁ DZIAŁAĆ PIERWSZY NA ŚWIECIE BANKOMAT. Nagle poszerzył się kosmos dzięki wystrzeleniu dwóch sond Mariner w stronę Marsa i – przede wszystkim – dzięki wyprawie Apolla 11 na Księżyc. Doszło do pierwszego przesyłu danych (ściślej: początkowej sylaby słowa LOGIN) – komputery były oddalone od siebie o ponad 570 km. Zainicjowany w ten sposób system ARPANET stał się przodkiem dzisiejszej Sieci.

Wojna, o której tyle i z taką wściekłością krzyczano wówczas na ulicach Zachodu, rozpełzała się na sąsiednie kraje, a na dodatek przybrała nowe barwy „wietnamizacji", **co było świadectwem przebiegłej hipokryzji.**

W 1969 r. Rodzina Charlesa Mansona urządza krwawe gody w willi Romana Polańskiego przy Cielo Drive 10050. Debiutują „Ulica Sezamkowa" i „Latający Cyrk Monty Pythona". Beatlesi nagrywają genialną płytę „Abbey Road" już jako zespół, który ma świadomość, że pisze własne epitafium. Siły Powietrzne USA oficjalnie zamykają projekt „Błękitna Księga", czyli katalogowanie UFO, argumentując, że niewytłumaczalne zjawiska na niebie nie stanowią zagrożenia dla państwa. Kolejny raz płonie rzeka Cuyahoga w stanie Ohio, doprowadzając do powstania amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska (EPA), pierwszej agendy rządowej, która ma dbać o przestrzeganie przepisów prośrodowiskowych. Nowojorska policja robi nalot na klub gejowski Stonewall Inn, prowokując ruch Gay Pride. W Teksasie umierającemu pacjentowi pierwszy raz zostaje wszczepione sztuczne serce jako stadium przejściowe przed implantacją serca od dawcy. W Pradze podpala się Jan Palach. W Libii Muammar Kaddafi przeprowadza zamach stanu, bezkrwawo obalając króla Idrisa. W Ameryce wybuchają masowe protesty czarnoskórych studentów uczelni i szkół średnich. Na polu mleczarza z Bethel w stanie Nowy Jork odbywa się wielkie święto muzyki i sztuki, znane jako festiwal Woodstock (na którym świecą nieobecnością muzycy The Beatles, The Rolling Stones i mieszkający półtorej godziny drogi dalej na północny wschód, w prawdziwym Woodstock, Bob Dylan). Niespełna cztery miesiące potem kolejne takie święto na torze Altamont w kalifornijskim mieście Tracy pod San Francisco kończy się tragedią.

Jeśli upierać się przy Gainsbourgowskiej etykietce roku erotycznego, to rok 1969 stał się areną ostrego, płatnego seksu bez miłości. *Make Love & War (& Money)*. Zaś gdyby sięgnąć do innej ówczesnej piosenki z „1969" w tytule, można by zaryzykować twierdzenie, że rodziło się wówczas podglebie pod przyszły nihilizm ogromnej części ruchu punkowego i późniejszego pokolenia X. „*Another year / for me and you / another year / with nothing to do*" (kolejny rok / dla ciebie i mnie / kolejny rok / wszystko traci cel) – śpiewał Iggy Pop na albumie „The Stooges". To on oraz „Kick Out the Jams", prezentujące rozmyślnie chaotyczną, chuligańską muzykę, towarzyszyły na regałach z nowościami łabędziemu śpiewowi Beatlesów, kunsztownie zrealizowanemu na płycie „Abbey Road".

ÓWCZESNA REWOLUCJA W MUZYCE MIAŁA JEDNAK WIĘCEJ OBLICZY. Szokiem dla jednych, a objawieniem dla wielu innych (w tym arcymistrza fortepianu Glenna Goulda) było fonograficzne dzieło Amerykanina Waltera Carlosa „Switched-On Bach", wydane co prawda późną jesienią 1968 r., ale w 1969 królujące na listach bestsellerów. Ta transkrypcja dzieł lipskiego kantora na syntezator Mooga nie była pierwszą popularną „profanacją" dzieł Bacha (wystarczy przypomnieć dokonania Swingle Singers i Modern Jazz Quartet), ale stanowiła bodaj pierwszą ich adaptację na nowatorski wówczas instrument, o jakim się Bachowi nie śniło.

Z punktu widzenia filozofii tworzenia muzyki co najmniej równie wielkiej rewolucji dokonał Miles Davis, dając producentowi Teo Macero zielone światło. 18 lutego 1969 r. mocno zelektryfikowany zespół Milesa na trzy godziny wszedł do studia – ale dopiero Macero, krojąc i klejąc ścieżki, stworzył nową jakość. Jazz przestał być muzyką graną wyłącznie pod wpływem chwili, dokumentowaną na gorąco – stał się też produktem, konstrukcją powstającą w laboratoryjnych warunkach. Geniusz Macero i Davisa sprawił, że szwów nie zauważamy, muzyka brzmi żywo i przekonująco.

Nowe fenomeny w muzyce to także heavy metal i grunge – choć tej drugiej nazwy jeszcze długo świat muzyczny miał nie słyszeć, a tę pierwszą znał raczej z pio-

senki „Born to Be Wild" grupy Steppenwolf, gdzie była synonimem motocykla. Ale to wielki sukces amerykańskich tras Led Zeppelin usankcjonował ciężkie, riffowe, agresywne granie jako odrębny gatunek rocka, zaś druga płyta Neila Younga „Everybody Knows This Is Nowhere", początek trwającej do dziś przygody Kanadyjczyka z zespołem Crazy Horse, uczyniła zeń proroka muzyki grunge, która dwie dekady później zaczęła dobywać się z garaży i studiów w Seattle.

Za heavymetalową gwiazdę można też uznać Boeinga 747, który swój pierwszy lot zaliczył w lutym – z Seattle do Nowego Jorku. Jak wyglądałyby lotniska i cała infrastruktura związana z podniebnymi podróżami, gdyby nie te pierwsze jumbo jety? Rozmiar nabierał znaczenia. W 1969 r. pierwszy raz użyto oficjalnie określenia „Super Bowl" na mecz o mistrzostwo świata w futbolu amerykańskim pomiędzy NFL a AFL. Niespodziewane zwycięstwo New York Jets, mistrzów tej drugiej ligi, uważanej za dużo słabszą, nad Baltimore Colts sprawiło, że od tamtej pory finały stały się gigantycznymi widowiskami. Sport wkroczył w fazę globalną.

O JESZCZE JEDNEJ REWOLUCJI NIE SPOSÓB TU NIE WSPOMNIEĆ, skoro jej owoce spożywamy – chętnie bądź pod przymusem – po dziś dzień. Rewolucja ta to niewątpliwie dziecko kontrkultury i rosnącej świadomości seksualnej. W styczniu 1969 r. ukazuje się jedna z najsłynniejszych powieści amerykańskich, a może i światowych XX wieku – „Kompleks Portnoya" Philipa Rotha. Wyznania tytułowego bohatera na kozetce psychoterapeuty, obejmujące najbardziej wstydliwe sfery egzystencji (z masturbacją i obsesjami erotycznymi włącznie), podane często dosadnym językiem, sprawiły, że książka trafiła na indeks w Australii, a i w niektórych amerykańskich księgarniach odmawiano jej sprzedaży. Roth otworzył literaturę piękną na świat, który dotąd znany był tylko z dwóch – swego czasu równie szokujących – Raportów Kinseya o życiu seksualnym Amerykanów.

W światła rampy weszła nagość. I to zarówno na scenie, gdzie w pełni zatriumfowała w rewii „Oh! Calcutta", wymyślonej przez Brytyjczyka Kennetha Tynana, a wystawionej najpierw na deskach Off-Broadway, a potem w Londynie – jak i w reklamie: fotografia erotyczna jako trampolina sprzedażowa, dotąd stanowiąca ewenement, w 1969 r. zagościła na stałe w prasie zachodniej, przenosząc wojnę o klienta na zupełnie nowy front.

Dlaczego zgasły światła i barwny, piękny sen lat 60. się skończył?

Dlaczego w nadchodzących latach temat przemocy systemu powracał w piosenkach uporczywie jak pora roku?

Taki był ten rok 1969. Kosmiczny, nabierający szybkości, pełen napalmu, hałasu i gwałtu, świecący nagością. A 6 grudnia w Tracy, podczas koncertu na kalifornijskim torze Altamont, wśród narastającej w tłumie agresji, Alan Passaro z gangu Hell's Angels zabija nożem Mereditha Huntera, który kilka sekund wcześniej wydobył pod sceną rewolwer. Rolling Stonesi grają w tym momencie „Sympathy for the Devil".

Co takiego zdarzyło się pomiędzy londyńską sesją Gainsbourga a Altamont? Dlaczego zgasły światła i barwny, piękny sen lat 60. się skończył? Dlaczego w nadchodzących latach temat przemocy systemu powracał w piosenkach uporczywie jak pora roku?

Dlaczego bałaganiarska, ale szlachetna inicjatywa Michaela Langa i Artie'ego Kornfelda, pomysłodawców „festiwalu miłości" Woodstock, ustąpiła miejsca *elephantiasis* „festiwali próżności", koncertowym „jumbo jetom", jakimi były napęczniałe od dolarów stadiony i trasy koncertowe, symbolizujące sytą dojrzałość pierwszego pokolenia tuzów rocka?

Można sobie wyobrazić, że najpierw tłum zgromadzony w londyńskim Hyde Parku, gdy w lipcu Rolling Stonesi zorganizowali darmowy festiwal i zagrali w hołdzie Brianowi Jonesowi, a potem lipcowe mrowie widzów na festiwalu w Atlancie i wreszcie sierpniowe morze ludzi w Bethel dały niektórym do myślenia: to nie tyle publiczność, ile grupa docelowa, zwykła klientela. Rynek dostrzegł nowe pastwisko.

JUMBO JET. TŁUM NAGICH POSTACI PŁCI OBOJGA NA SCENIE. Płonąca dżungla w Kambodży. Setki tysięcy ludzi w błocie słuchających Carlosa Santany. Krzyk Palacha, Huntera, Sharon Tate. Armstrong i Aldrin na Morzu Spokoju. Rosnący protest prześladowanych gejów i lesbijek. Pożegnalny akord „The End" Beatlesów. Demoniczne riffy i dźwięki „Whole Lotta Love" Led Zeppelin. Improwizacyjne kolaże zespołu Milesa Davisa. Skarga Alexandra Portnoya. Wyuzdany proceder Joe Bucka, bohatera „Nocnego kowboja" Johna Schlesingera. Awaria komputerów po przesłaniu sylaby „LO" z UCLA do Stanford, czyli trudne narodziny internetu. Pierwszy dolar wypluty przez bankomat w nowojorskim Chemical Bank. Kaddafi i Nixon na fotelach najwyższej władzy – choć doprowadzeni tam różnymi drogami – a Charles de Gaulle, polityk-symbol starych czasów, zmuszony do ustąpienia. Wielki Ptak szukający Sally na Ulicy Sezamkowej. Michael Palin pierwszy raz wypowiadający zmęczonym głosem „It's..." w „Latającym Cyrku Monty Pythona". I „milcząca większość", na którą powoływał się Richard Nixon w listopadzie 1969 (i którą czule przywołał Donald Trump w lipcu 2015 podczas swojej kampanii prezydenckiej)...

Skutki wszystkich tych wydarzeń w taki czy inny sposób ukształtowały nasz świat – znacznie bardziej niż zrewoltowany i zmitologizowany rok 1968.

Niektórzy byliby skłonni dodać do tej listy jeszcze jedno – publikację w 1969 r. słynnej książki dwóch badaczy Laurence'a Petera i Raymonda Hulla „Zasada Petera. Dlaczego wszystko idzie na opak". Sformułowana w niej tytułowa zasada mówi, że w organizmie skonstruowanym hierarchicznie każdy członek awansuje tak długo, aż osiągnie swój poziom niekompetencji i tam osiada, a fakt, że organizm nadal działa, wynika z faktu, że nie wszyscy jeszcze ten próg osiągnęli. Teza efektowna i w tamtych czasach zapewne prawdziwa. Jednakże gdy dziś przyglądamy się różnym organizmom (partiom, przedsiębiorstwom, fundacjom), jakże często odnosimy wrażenie, że osiągnięcie progu niekompetencji bynajmniej nie wstrzymuje drogi awansu.

Cóż, 1969 rok to było pół wieku temu. Od tego czasu uczyniliśmy wielki krok naprzód. Krok całej ludzkości.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

Nic nie rzekła Aniołowi

DARIUSZ KOSIŃSKI

Po nieudanej próbie powołania teatralnej wspólnoty Jan Klata coraz mocniej wchodzi w osobiste porachunki z przeciwnikiem największym i najtrudniejszym. W jego najnowszych przedstawieniach co chwila powraca ten, którego imię Legion.

Nie przestanę powtarzać, że likwidacja dyrekcji Jana Klaty w Starym Teatrze była więcej niż zbrodnią – była błędem. Ale nie mam zamiaru znów do tego wracać. Co zostało powiedziane, to zostało. Życie toczy się dalej, teatralne też, a pewnie i samego Jana Klatę wałkowanie tematu jego dyrekcji już męczy.

Jeśli potrącam jeszcze tę strunę jęczącą, to czynię tak dlatego, żeby spróbować syntetycznie i z dystansu spojrzeć na jego „ponarodowostare" przedstawienia.

Poza wspólnotę

Na tle generalnie przeciwwspólnotowego polskiego teatru Jan Klata był jednym z ostatnich reżyserów, którzy usiłowali tworzyć przedstawienia odwołujące się do wyobrażenia o wspólnocie. Czymś połączonej, nawet jeśli tym czymś była żałoba po sobie samej. W wielu jego przedstawieniach „narodowych" (np. „Trylogia", „Termopile polskie" i oczywiście – „Wesele") powraca ten sam motyw oskarżenia zbiorowości o to, że nie jest już żadną żywą i autentyczną jednością, choć nadal wyobraża sobie sama siebie jako taką.

Biedne rytuały i uniesienia bohaterów zamienionych w pensjonariuszy przytułku, piasek rzucony w twarz przywódcy odpoczywającemu na południowej plaży, męczące korowody wokół pustej kapliczki – wszystko to były mocne sekwencje oskarżenia i prowokacji podejmowane w nadziei, że teatralny szok wywoła reakcję obronną, a choćby i refleksję na temat tego, czy i co mamy jeszcze ze sobą wspólnego. Wszystkie spotkały się z taką samą obojętnością, albo jeszcze gorzej – odgrywanym w teatralnej sali zachwytem: wspólnota chłostana teatralnym oskarżeniem przeżyła masochistyczną rozkosz i wstała do owacji. Ach, jakżeśmy marni, ach! Bij mocniej, niech jeszcze bardziej poczujemy się w swojej niegodziwości!

Nic więc dziwnego, że owacjom towarzyszyły cisza i pustka, jakimi przyjęto próby protestów wobec ministerialnej intrygi pozbawiającej Stary Teatr ostatniego dyrektora, który poważnie traktował przymiotnik „narodowy". Ten kontrast może najjaskrawiej pokazał, że Klacie nie udało się stworzyć wspólnoty, która w krytycznym momencie wystąpiłaby w jego obronie i w obronie teatru, jaki proponował. Sądzę, że ta porażka nie jest jego osobistą winą, ale efektem zmian w teatrze, kulturze i społeczeństwie.

Mówiąc krótko: teatr nie potrzebuje już wspólnoty. Więcej – teatr staje się na nowo ważny właśnie dlatego, że przestał być narzędziem do jej powoływania, nie mówiąc już o świątyni, w której miałaby ona być umacniana. Taką funkcję spełniają dziś stadionowe demonstracje jedności, od których zapożyczają taktykę i estetykę patriotyczne marsze i narodowe pielgrzymki. Wobec potęgi masowych przedstawień wytwarzających wspólnotę teatr zdecydowanie zwrócił się ku jednostce, ku samotności i intymności pojedynczego mierzenia się z życiem i śmiercią.

Long time coming

Podobny zwrot nastąpił też w twórczości Jana Klaty. Dowodzą tego dwa przedstawienia zrealizowane w Pradze: „Miarka za miarkę", a jeszcze wyraźniej – „Faust", w którym wyczułem i wyczytałem osobiste mierzenie się z bardzo katolickimi pytaniami o winę, grzech i ocalenie. Tej tezie można oczywiście przeciwstawić gdańskie „Trojanki", uznając je za powrót do tematu wspólnoty. Tyle że tu mowa o jej zagładzie, jej zainscenizowanej z całą brutalnością likwidacji, a przede wszystkim – lamencie po jej utracie.

Argumentów na rzecz „zwrotu ku osobistemu", który nastąpił w twórczości Klaty, dostarcza przedstawienie, od którego zaczął obecny sezon, wracając do Krakowa – i to wracając znacząco, bo do Teatru Nowego Proxima z inscenizacją „Długu", inspirowanego książką Davida Graebera. Na niewielkiej i stosunkowo ubogiej scenie reżyser pokazał Krakowowi, co stracił, przywożąc ze sobą czworo wspaniałych aktorów, którzy wraz z nim opuścili Stary Teatr: Bartosza Bielenię, Marcina Czarnika, Monikę Frajczyk i Małgorzatę Gorol. W przedstawieniu perfekcyjnie wymyślonym na ograniczone warunki sceniczne i czyniącym z tego ograniczenia siłę ta czwórka asów współczesnego możliwego i istniejącego aktorstwa instrumentalnego aranżuje przepływające z niezwykłą energią sytuacje i działania skomponowane wokół tytułowego hasła.

„Dług" nie jest jednak wyłącznie teatralnym esejem ekonomicznym, ale także (a może wręcz przede wszystkim) – metafizycznym. Choć tematyka kredytów, pożyczek i zobowiązań finansowych oraz fikcyjności operacji bankowych jest w nim mocno obecna, to tematem przewodnim jest dług, który zaciągamy żyjąc i który spłacamy każdego dnia. Zasadniczą część przedstawienia tworzą sekwencje wykorzystujące fragmenty znanych dzieł literackich, używających metafory pożyczki i długu do rozważań etycznych i metafizycznych. Raskolnikow odwiedza starą lichwiarkę, Shylock zawiera umowę z Antoniem, Jezus opowiada przypowieść o dwóch sługach dłużnikach... Aż w końcu pojawia się scena pierwszej rozmowy Fausta z Mefistem, w której mowa jest o strachu przed śmiercią, a nie o zobowiązaniach finansowych. (Swoją drogą duet Marcin Czarnik jako Faust i Małgorzata Gorol jako Mefisto brzmi w tej sekwencji tak wspaniale, że gdybym był teatralnym producentem, natychmiast wziąłbym kredyt na realizację całości dzieła Goethego z tą właśnie dwójką).

Cyrograf, który podpisuje Faust w kulminacyjnej scenie „Długu", łączy jego metafizyczny i ekonomiczny wymiar, także w tym sensie, że dług i jego spłata stają się losem Fausta. I zarazem naszym. Operując danymi oraz historiami zaczerpniętymi od Graebera i innych, Klata dowodzi, iż dług finansowy urósł do takich rozmiarów, że przestał być jakąś wymierną, dającą się zarządzać wielkością, a stał się

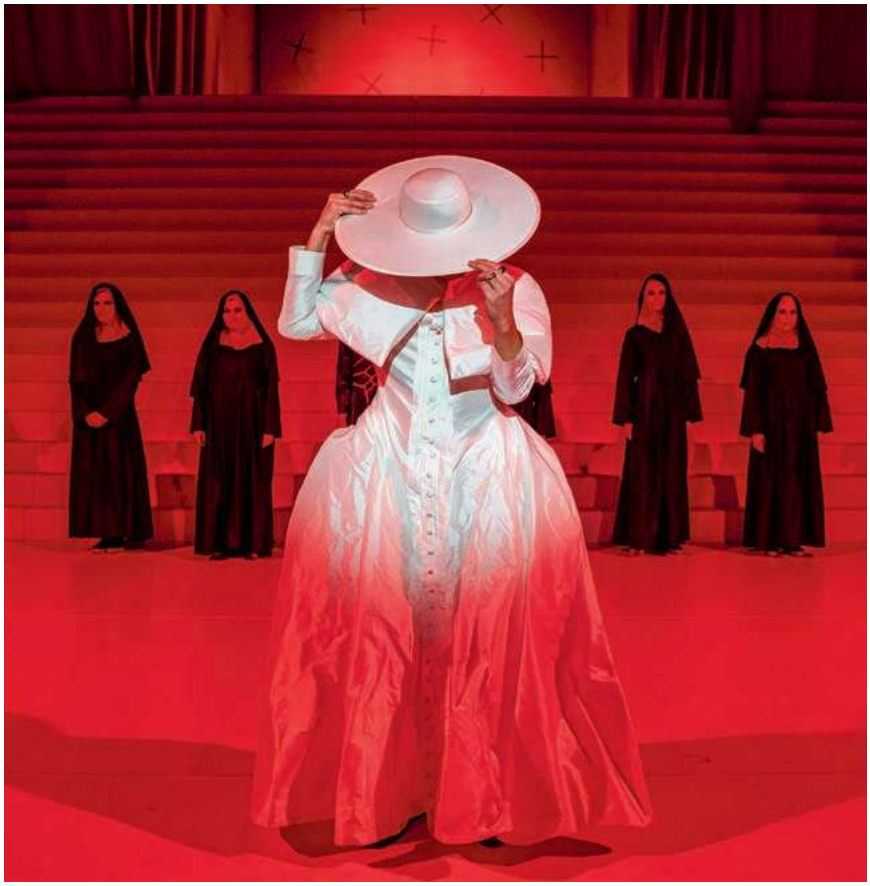

MAURYCY STANKIEWICZ / TEATR NOWY

„Matka Joanna od Aniołów", Teatr Nowy w Warszawie, 28 listopada 2019 r.

dosłownie nadprzyrodzony. W tym kontekście przywołana w finale akcja członków zespołu KLF, którzy w 1995 r. spalili banknoty wartości miliona funtów, ma wymiar radykalnego gestu w swojej niepojmowalności nieludzkiego, transcendentnego, a zarazem będącego jedyną naprawdę sensowną odpowiedzią na cyrograf, który wszyscy – jak się zdaje – podpisaliśmy.

Przedstawienie kończy się zaskakującym (ale zarazem już dobrze znanym z ostatnich przedstawień Klaty) „aktem osobistym". Michał Czarnik śpiewa piosenkę Sama Cooka „A Change Is Gonna Come", swoisty hymn Afroamerykanów walczących o swoje prawa, znany z wielu wykonań (m.in. Arethy Franklin i Beyoncé) oraz z wielu nawiązań (zwłaszcza za prezydentury Baracka Obamy). Zarazem jest to pieśń człowieka samotnego i opuszczonego, któremu pozostała już tylko irracjonalna wiara, że zmiana nastąpi. Piosenka jest anachronicznie emocjonalna i Czarnik tej emocjonalności nie osłabia, śpiewa ją bez ironicznego nawiasu. A choć piosenka mówi o wierze w zmianę, to tym, co bije z tej sceny, jest raczej zmęczenie zbyt długim oczekiwaniem na to, co powinno nastąpić już dawno.

Zadra

To zmęczenie, by nie rzec: udręczenie, kulminuje w może najjawniej i najbardziej bezpośrednio religijnym przedstawieniu, jakie widziałem w teatrze od wielu lat – „Matce Joannie od Aniołów", którą Klata zrealizował właśnie w Nowym Teatrze w Warszawie (premiera 30 listopada). Widziałem je dzień po premierze, a więc w pierwszą niedzielę Adwentu. Być może data nie była przypadkowa, ale nawet jeśli tak, to adaptacja opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza wcale adwentowa nie jest. Adwent to przecież czas skupionego, ale jednak radosnego oczekiwania na zapowiedź zbawienia, nowego życia. W „Matce Joannie" według Klaty trudno się doszukać takiej zapowiedzi. Centrum spowitej czerwonymi kotarami sceny wypełniają wprawdzie wysokie, strome, białe schody (świetna scenografia Justyny Łagowskiej), ale nie są to schody do nieba. To raczej jakieś spotęgowane Schody Hiszpańskie – glamourowy wybieg dla pokazu mody, a też i scena rewiowa, na której popisują się kolejni „ojcowie duchowni".

Ambiwalencje tej centralnej konstrukcji uruchamia w pełni scena, o której pewnie pisać się będzie najczęściej. Młody Papież (Maciej Stuhr) ubrany w biały strój papieski i ogromny kapelusz znany świetnie każdemu miłośnikowi serialu „Młody papież" Paola Sorrentino, parodiuje lekko Jude'a Law, cytując początek filmowego przemówienia na placu świętego Piotra. Ale mówi tylko pierwsze słowo: „Zapomnieliśmy". Powtarza je wielokrotnie, pokazowo schodząc po schodach, a następnie równie pokazowo z nich spadając.

„Zapomnieliśmy" – brzmi gorzko, groteskowo i zarazem bardzo serio. Mogłoby być kwintesencją tego przedstawienia, gdyby nie to, że Klata nie ogranicza się tylko do wyrzekania na pustkę kościelnych rytuałów i pouczeń. Ważniejsze wydaje się pytanie o możliwość wiary w świecie, którego kapłani zamienili najświętsze słowa w kiczowate występy. Celuje w nich Kardynał Callarus (Wojciech Kalarus oczywiście). To on kontrapunktuje sceny między Joanną i księdzem Surynem (znów rewelacyjni, choć operujący odmiennymi środkami, Gorol i Bielenia), śpiewając oazową frazą polską wersję „Blowin' in the Wind" Boba Dylana czy recytując z emfazą „Hymn do miłości" św. Pawła. To scena szczególnie dwuznaczna, bo po słowach „gdybym oddał swoje ciało na spalenie", Kalarus „odgrywa" cierpienia płonącego człowieka, co w Warszawie, wobec (nie) pamięci o śmierci Piotra Szczęsnego, jest naprawdę bardzo ryzykowne. Klata wyrzeka się ostrożności, drążąc miejsca bolesne i jakby szukając odzewu. Ale odpowiada mu cisza. Jak w przewrotnej scenie, w której Bartosz Bielenia zwracając się do widzów inicjuje wspólną modlitwę „bardzo dobrze nam znanymi słowami". Czystym głosem śpiewa „Ojcze nasz" – raz, drugi, trzeci. Śpiewa prosto, bez namaszczenia. Modlitwa Pańska w modnie areligijnym teatrze warszawskim brzmi obco i samotnie. Nikt oczywiście jej nie podejmuje. Nikt nie będzie się przecież „wygłupiał", modląc się na głos na teatralnej widowni. Klata to chyba wie i zastawia tę pułapkę, by ujawnić pustkę otaczającą świat opętany przez demony.

Nic więc dziwnego, że Suryn przegrywa. Choć zgadza się oddać szatanowi siebie w zamian za obietnicę uwolnienia ↦

↦ Joanny, a cyrograf pieczętuje krwią niewinnych prostaczków, to Wszechkłamca go oszukuje. Zakonnica nie zostaje uleczona. To ona wypowiada ostatnie słowa, jakie padają z biało-czerwonej sceny: „Krew pachnie w stajni". Ofiara nie została przyjęta. Szatana nie udało się wypędzić, a Boga w tym przedstawieniu nie ma, choć co chwila ktoś się na niego powołuje i do niego modli.

Wychodząc z teatru mam wrażenie, że najpowszechniejszą reakcją, którą wywołuje „Matka Joanna", jest konfuzja. „A myśmy się spodziewali": umacniających naszą „nowoczesność" ataków na polski Kościół, komentarzy do bieżących sporów wokół niego, spektaklu dynamicznego i ostrego. Klata tymczasem świadomie zwalnia tempo i ścisza ekspresję. Chwilami ma się wrażenie, jakby cytował pracującego także w Nowym Michała Borczucha. W teatrze hołubiącym „słabą" reżyserię, Klata – „mocny" inscenizator – jakby przejął cudzą estetykę, by paradoksalnie wzmocnić ów efekt konfuzji, wymknąć się oczekiwaniom, wciągnąć w hipnotyzującą grę wieloznaczności, jak w może najpiękniejszej scenie przedstawienia – miłosnym tańcu Joanny i Suryna do zmiksowanych zaśpiewów i słów z modlitw Jana Pawła II.

Konfuzja, którą sam czułem, nie jest rozczarowaniem i niezrozumieniem. Jest zadrą. „Matka Joanna" to przedstawienie, które stawia opór próbom „odczytania", to przedstawienie nie chce być ujęte. Chce dręczyć jak dręczące może być pytanie o wiarę w świecie karabinów maszynowych z krucyfiksów i rewii świętych recytacji. Domaga się odpowiedzi we własnym imieniu, bo jest pytaniem zadanym serio i serio nieudzielającym odpowiedzi.

Na plakacie do spektaklu wykorzystano fotografię rzeźby Kle Mensa „Święta Rita" – jednego z 15 odlewów wykonanych lakierem samochodowym na kompozycie polimerowym. To kolejny dwuznaczny wizerunek – seryjna świętość z trywialnego materiału. I tylko w tym podwojonym nawiasie może pojawić się przypomnienie, że ta święta jest patronką ludzi poniżonych i spraw tak trudnych, że aż niemożliwych.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Angelo"

Klatka

ANITA PIOTROWSKA

Niesiony przez Europę obcym ludom kaganiec oświaty konserwuje i nakłada egzystencjalne jarzmo tym, którzy zdają się być panami świata.

Z POCZĄTKU NAWET NIE WIDAĆ JEGO twarzy, a jego prawdziwe imię do końca pozostaje niewypowiedziane. Ponieważ istniał naprawdę, można dowiedzieć się skądinąd, że pierwotnie nazywał się Mmadi Make, że urodził się na terenie dzisiejszej Nigerii i był maskotką licznych dworów europejskich w XVIII wieku. Stając się członkiem wiedeńskiej loży masońskiej, podobno miał okazję spotykać się z Mozartem i był pierwowzorem postaci Selima Baszy z opery „Uprowadzenie z seraju". Kiedy go poznajemy, jest przerażonym chłopczykiem przywiezionym z Afryki przez handlarzy niewolników. Szybko jednak zostaje mu odebrany wszelki podmiotowy status i Angelo (takie imię otrzymał od swojej pierwszej białej właścicielki) zamienia się w metaforyczną figurę inności i poddaństwa, kulturowego barbarzyństwa i wymuszonej asymilacji – karykaturalny „triumf rozumu i człowieczeństwa nad tym, co grzeszne i zwierzęce".

Uczucia trzymane są tu mocno na wodzy – i w środku filmu, i na zewnątrz, po naszej stronie ekranu. Oto wciśnięty w surdut mały Angelo trafia na dwór pewnej hrabiny (Alba Rohrwacher) i żeby stać się „jednym z nas", musi wpierw przyjąć chrzest, nauczyć się francuskiego oraz gry na flecie. Mijają lata, a on nadal ubrany w krzykliwie paradny strój performuje swoją rolę okrzesanego dzikusa, co pozwala jego kolejnym właścicielom spełniać swą cywilizacyjną misję. Najpierw nie wolno mu było być dzieckiem – widzimy, że tylko służki pozwalają mu pobyć nim przez chwilę w bezinteresownej zabawie. Kiedy dojrzewa, zabrania się mu być po prostu zakochanym mężczyzną – czego doświadczy, tworząc potajemny związek z białą dziewczyną. Otrzymując wolność, nadal pozostaje zakładni-

kiem społecznych wyobrażeń czy ograniczeń. I nawet po swojej śmierci Angelo nie może stać się w pełni człowiekiem, a jedynie eksponatem w muzeum historii naturalnej, pełnym wypchanych strusi, dzikich kotów i widoczków z piramidami.

Przez większą część filmu Angelo, grany przez pięciu czarnoskórych aktorów w różnym wieku, jest oglądany, oceniany, dyscyplinowany, przykrawany podług norm zarówno oświeceniowych, jak i religijnych. Nikt tu się szczerze nie uśmiecha, prawie nikt nie wykonuje ciepłych gestów, panuje wystudiowana martwota. Za wypuszczenie z klatki egzotycznych papug, jeden z nielicznych prawdziwie ludzkich odruchów wykonanych w tym filmie, mały bohater dostaje publicznie dziesięć rózg. Sztuka, kultura czy nauka, wchodząca właśnie w fazę swojego rozkwitu, stają się narzędziami bezwzględnej społecznej tresury. Austriacki reżyser Markus Schleinzer celowo nakłada na obiektyw kamery przysłowiowe szkiełko i oko, trzymając swego bohatera na dystans. Stąd długie, nieruchome ujęcia i podział filmu na sztywne rozdziały, które dekonstruują czwartą ścianę na rzecz intelektualnej rozprawy. Poszczególne sceny zdają się oderwane od siebie nawzajem, coraz to urywają się, zawieszają w trakcie, podobnie jak kawałki muzyczne, wzięte ze Scarlattiego, Telemanna czy Rameau, raz po raz prujące gęstą filmową ciszę.

Obraz Schleinzera celowo pracuje na tych odciętych emocjach i wcale nie epatuje obrazami dręczenia. Chętniej zastyga w martwych naturach i martwych rytuałach, bo i światło we wnętrzach (raz skąpe, zgodne z duchem epoki, to znów uderzająco sztuczne), i scenografia czy kostiumy mają tu charakter umowny, na przekór wielu innym pieczołowitym rekonstrukcjom ekranowym. Przemoc dokonuje się całkowicie bezkrwawo, kulturalnie, w białych *nomen omen* rękawiczkach, i w taki właśnie sposób opowiada o tym reżyser. Ponieważ jego bohater, jako „nadworny Murzyn", musi trzymać się kurczowo wyznaczonych mu ram, film o Angelu Solimanie stara się ich przestrzegać równie rygorystycznie.

Wszyscy zresztą, nie tylko czarni niewolnicy, zdają się tutaj unieruchomieni w swoich rolach. Nawet sam Kaiser, który w pewnym momencie przejął Angela pod swoje skrzydła i uczynił swoim powiernikiem, mówi o tym wprost w swoim tragikomicznym monologu. Ścięty po bokach format kadru jeszcze bardziej podkreśla to uwięzienie. Albowiem niesiony przez Europę obcym ludom kaganiec oświaty jednocześnie konserwuje i nakłada egzystencjalne jarzmo tym, którzy zdają się być panami świata.

Dlatego wypadałoby ostrzec: „Angelo", krążący po kinach w bardzo wąskiej dystrybucji, to film rozmyślnie nieprzyjemny, chwilami wręcz odpychający swoim obserwacyjnym chłodem. I jakże przy tym austriacki, przypominający kino Ulricha Seidla, Jessiki Hausner albo Michaela Haneke, u którego Schleinzer pracował kilkakrotnie przy castingach. Sławę przyniósł mu debiutancki „Michael" (2011), w którym opowiadał o kilku miesiącach z życia pedofila przetrzymującego w piwnicy dziesięcioletniego chłopca. Wbrew pozorom był to film o wiele bardziej „ludzki" niż historia Angela Solimana, która operuje raczej na poziomie głębokiego dyskursu politycznego w stylu Jamesa Baldwina i Hannah Arendt czy wizualnej instalacji z dziedziny sztuki krytycznej niż wciągającej filmowej *story*. I cała wspomniana teatralność „Angela" została w ten dyskurs z premedytacją wpisana. Bo przecież nie jest to filmowa biografia dawnej ofiary kolonializmu bądź symboliczny pomnik niewolnictwa. Bohater, nazywający siebie „synem Europy, dzieckiem Afryki", to figura na wskroś współczesna, pytająca o cenę uniwersalistycznych ciągot, kulturowej wyższości oraz idącej za tym wszystkim eksploatacji. Film Schleinzera kończy się sceną historycznego pożaru, ale historia przecież się nie skończyła. ©

ANGELO – *reż. Markus Schleinzer. Prod. Austria/Luksemburg 2018. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty.*

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

WARTO ZOBACZYĆ W TV [14 – 20 XII]

1. Ray i Liz

Dramat, reż. Richard Billingham, Wielka Brytania 2018, Cinemax 2, 15 XII, 20.30, 16 XII, 12.20

Oto brytyjskie kino socjalnego niepokoju w wydaniu nieco innym niż u Kena Loacha. Z inspiracji własnym życiem w epoce Margaret Thatcher debiutujący reżyser, a wcześniej uznany fotografik, opowiada o wyrzuconej na margines rodzinie z Birmingham. Mimo swych licznych dysfunkcji jest ona stałym punktem odniesienia dla kogoś, komu udało się przełamać społeczny fatalizm.

2. Nie mrugaj – Robert Frank

Dokumentalny, reż. Laura Israel, Kanada/ /Francja/USA 2015, Canal+ Dokument, 15 XII, 20.40

Zmarły niedawno mistrz fotografii przez niemal cały wiek XX dokumentował zdarzenia i ludzi, kierując swój obiektyw w rozmaite rejony amerykańskiej (i nie tylko) rzeczywistości, z wykorzystaniem najróżniejszych stylistyk. Twórca „antymomentu" stał się bohaterem filmowego eseju, w którym odbija się także artystyczny i polityczny klimat jego czasów.

3. Historia małżeńska

Dramat, reż. Noah Baumbach, USA 2019, Netflix

Współczesny rozwód „po amerykańsku" to wielkie emocje, bolesne dylematy i publiczne pranie brudów, ale także sztab doradców żerujących na głównych osobach dramatu w chwilach ich największej słabości. Scarlett Johansson i Adam Driver wcielają się w parę, która przegrała swoje małżeństwo i staje u progu nowego, jeszcze bardziej skomplikowanego życia.

4. Opowieść o trzech siostrach

Dramat, reż. Emin Alper, Turcja/Niemcy/ /Holandia/Grecja 2018, vod.pl

Tym razem turecki reżyser, znany z alegorycznej „Blokady" (2015), nie skupia się na kwestiach stricte politycznych. Wbrew tytułowi, nie chodzi też o adaptację Czechowa. Historia osadzona w sercu anatolijskiej prowincji ma jednak ładunek i krytyczny, i melancholijny, opowiadając o świecie opresyjnie zhierarchizowanym i zdeterminowanym w swoim tradycyjnym kształcie.

JAN

Klata:
W najwyższej izbie

Zaczyna się robić naprawdę interesująco. Tło jest niebieskie, a sceneria przedstawia wnętrze izby, najwyższej izby niekontrolowanej kontroli. Przed kamerą, dajmy na to, we własnej osobie Pan Marian, za nim dwóch panów w dresach i złotych łańcuchach. Pan Marian pragnie, łaknie oświadczyć:

„Powodowany troską o przyszłość izby... byłem gotów złożyć urząd... byłem gotów, dopóki nie stwierdziłem, że jednak nie złożę... stałem się brutalnej gry politycznej przedmiotem, a wolałbym podmiotem... a zatem... jako że niekłamany autorytet mojej osoby nie pozwala mi złożyć... więc nie złożę... tylko... ustabilizuję swoje stabilne kierownictwo najwyższej izby kontroli... i nie dam się kontrolować... więc nic nie złożę, poza oświadczeniem... byłem gotów złożyć urząd, ale tere fere nie złożę... bo ruszyliście mojego syna... więc napomknę: dobro Ojczyny nie pozwala mi złożyć, po prostu... rodziny się nie rusza, Prezesie... więc napomknę: Lech Kaczyński, Lech Kaczyński, Lech Kaczyński!... będę kontynuował: Lech Kaczyński, Lech Kaczyński, Lech Kaczyński, Lech Kaczyński, Lech Kaczyński... przypominam: świętej pamięci Lech Kaczyński!

Na zakończenie pragnę bardzo serdecznie podziękować za liczne pocztówki, faksy, maile i telefony z wyrazami wsparcia i otuchy od wielu Polaków, nie tylko akowców... i jeszcze dodam: Lech Kaczyński. Dziękuję".

Kamera stop. Panowie w dresach i złotych łańcuchach wyciągają telefony, żeby zadzwonić do Pana Mariana z wyrazami wsparcia i otuchy. Dzielą się swoimi wyrazami. Pan Marian wzruszony, dzwoni do syna z wyrazami otuchy i wsparcia.

W tym czasie w innej niż najwyższa izba – izbie szpitalnej – sceneria przedstawia białe tło oraz Pana Jarosława, który właśnie obejrzał Taśmę Mariana... i cedzi do koordynatora służb specjalnych: „Panie Mariuszu, Pan Marian ruszył mi brata!".

Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina, a rodziny się nie wybiera. I nie rusza. A jak już się ruszy, to święty Boże nie pomoże. Porachunki rodzinne są najgorsze. ©

Lektor:
Gra w „Przekrój"

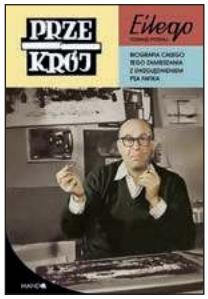

▪ *Tomasz Potkaj*
PRZEKRÓJ EILEGO. BIOGRAFIA CAŁEGO TEGO ZAMIESZANIA Z UWZGLĘDNIENIEM PSA FAFIKA
Mando, Kraków 2019, ss. 382

Tym razem będę się czepiał, choć to książka pięknie wydana, solidnie udokumentowana i na pewno warta lektury. Autor sumiennie odtworzył wczesne lata i wojenne losy Mariana Eilego (1910–1984) – potomka zasymilowanej rodziny żydowskiej, syna legionisty. Eile, plastyk i scenograf, przed wojną związany z „Wiadomościami Literackimi" („ciekawiły mnie zwłaszcza konkursy, które na ostatniej stronie urządzał" – wspominał Stanisław Lem), to jednak przede wszystkim twórca tygodnika „Przekrój" i jego redaktor. Zrośnięty ze swoim dziełem, które mu po Marcu odebrano.

A że z kolei dzieło stanowi fragment ćwierćwiecza dziejów Peerelu, zaczynają się kłopoty: jak fenomen oszałamiająco popularnego „Przekroju" bilansować? Jak ocenić grę z władzą, prowadzoną przez Eilego? Autor pisze, że „zaczynał z zaciekawieniem, ale pełen rezerwy", kończył zaś „jako człowiek wyrozumiały". Może jednak, miast nastawiać się na ocenianie, lepiej skupić się na rekonstrukcji wizji pisma, jaką miał Eile? Tak zrobiła Justyna Jaworska w pracy „Cywilizacja »Przekroju«. Misja obyczajowa w magazynie ilustrowanym". Potkaj odwołuje się do tej książki tylko raz, obficie za to cytuje wspomnienia Andrzeja Klominka, który w redakcji oddelegowany był głównie do „słusznych" wstępniaków, rzadko raczej czytanych. Czy istotnie szkic Wiesława Pawła Szymańskiego, głoszący tezę o błazenadzie „w służbie totalitarnego zniewolenia", jest aż tak „przenikliwy", jak sądzi Potkaj? Po co dwie strony o IPN-owskich teczkach braci Kydryńskich (z rozbrajającą uwagą, że Juliusz po wojnie „nie informował o związkach z Unią", czyli katolicką organizacją podziemną)? Może lepiej było więcej uwagi poświęcić np. literaturze w „Przekroju" Eilego? Bo to nie tylko Gałczyński, Kafka i Borges, ale też H.P. Lovecraft... I usunąć irytujące niedoróbki: Babica, gniazdo rodzinne Kiki Szaszkiewiczowej, gwiazdy Piwnicy pod Baranami i „Przekroju", wędruje spod Rzeszowa pod Kraków; konsul francuski Alain Peyrefitte (postać wybitna!) zmienia się w „Peirefitta" i nie trafia do indeksu. Dodam na koniec, że Anna Turowiczowa dla „Przekroju" robiła nie tylko „jakieś tłumaczenia", ale i obszerne przeglądy prasy francuskiej, opublikowała też wspomnienie o tym, jak portretował ją Witkacy, tyle że te materiały podpisywała nazwiskiem panieńskim, jako Anna Gąsiorowska. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Szopka z dziedzictwem

Sto dwadzieścia sekund. Tyle musi utrzymać się cieniutka pianka w kolorze orzecha laskowego na powierzchni kawy, żeby była ona godna nazwy *espresso*. Tego przynajmniej wymaga Konsorcjum Ochrony Tradycyjnego Włoskiego Espresso. Organizacja ta, uzbrojona w komitet naukowy nabity tuzinem profesorów (nie sprawdzałem czego, wybaczcie, jestem mistrzem marnowania czasu, ale są pewne granice), wydaje regulaminy oraz sążniste prace opisujące językiem akademickim, dlaczego ochrony potrzebuje coś, co wydaje się oczywiste, żywe i wtopione w tkankę codzienności.

A może już nie takie wcale żywe? Przecież w Brukseli o mało nie powołali komisarza ds. ochrony europejskiego sposobu życia – pisałem o tym onegdaj, dodam więc dla porządku, że z „ochrony" zrobiła się „promocja", żeby zatrzeć wrażenie, iż ktoś ma tu ochotę mury wznosić niczym jakiś Trump. No więc skoro coś wymaga ochrony – jeśli traktować takie inicjatywy serio, a nie jako pomysł na lukratywne bicie piany – to znaczy, że tracimy wiarę, iż przetrwa samo. „Gdyby nie społeczne rytuały wokół kawy, nie byłoby takich Włoch, jakie znamy" – mówi pewien socjolog z Perugii na łamach „New York Timesa", która to gazeta zajęła się sprawą, bowiem rzeczone konsorcjum uroczyście, w budynku rzymskiego parlamentu, ogłosiło wniosek o wpisanie espresso na prowadzoną przez UNESCO listę niematerialnego dziedzictwa ludzkości.

Niematerialne? Doprawdy mało przychodzi mi do głowy momentów w ciągu dnia równie materialnych, do spodu cielesnych, bezpośrednich, punktowych jak pierwszy cios mocnej kawy wymierzony codziennie rano w system nerwowy. Niewielka, ale jednak konkretna porcja płynu, smolisty zapach (kwiatowe i czekoladowe nuty zostawmy cmokierom), ciepło rozgrzanego fajansu na ustach, szybki skurcz przełyku – człowiek dziękuje tej czy innej Istocie Najwyższej, że dała mu także prawo udziału w obiegu materii, chociaż na początku było słowo. Ale rację ma socjolog: ów skłócony, bezhołowny zlepek regionów na Półwyspie Apenińskim istnieje jako jeden, z grubsza spoisty kraj tylko za sprawą wielu rytuałów. I to one słusznie mogą uchodzić za dziedzictwo niematerialne. Przy tym kawowy rytuał, o który we wniosku do UNESCO się rozchodzi, jest akurat całkiem świeżej daty – sięga najdalej końca lat 30., kiedy pierwsze maszyny stanęły w awangardowych barach Mediolanu (i nieważne już, że nowoczesność paradowała wówczas w czarnych koszulach). A tak naprawdę sięga wczesnego powojnia. Zatem wszelkie odwołania do „tradycji" kawiarni z XVIII wieku to historyczny szwindel, bo zupełnie inną kawę opiewali Goldoni czy Bach.

Co jeszcze ważniejsze, jego urok tkwi, tak jak ja go widzę i kocham, w nonszalancji i pośpiechu. Kto wpadł kiedyś rano do baru na rogu włoskiej ulicy, ten zna to wrażenie, jakby się trafiło na taśmę montażową: rach-ciach, bez namysłu, syk, brzdęk, dziewięćdziesiąt centów i spadaj człowieku w swoją stronę, tylko jeszcze garść obleśnych uwag co do rozmiaru rogów napastnika rywali z wczorajszego meczu. A to wszystko we wnętrzach byle jakich, nietkniętych ręką dizajnera, zgoła brzydkich. Tani laminat, zdarte lastryko, jarzeniówki i kartki na witrynce z rogalami przylepione krzywo taśmą. Ostatnio coraz więcej barów w zwykłych dzielnicach przejmują Chińczycy, nieziemsko uprzejmi, wcale nie mniej sprawni w robieniu dobrej kawy (bo przyznajmy, to żadna wielka sztuka, cokolwiek wam wmówią na kursie baristów za trzy tysiące plus VAT). Mam wrażenie, że cała ta szopka z „dziedzictwem" jest próbą wyjęcia z kontekstu kawałka tego doświadczenia i zatopienia go jak muchy w bursztynie – a przyszłe pokolenia znajdą swoje rytuały całkiem gdzie indziej.

Piszę „szopka" nieprzypadkiem. Bo to jest na razie nasz jedyny polski wkład w tę listę. A co z obyczajem wypędzania w wigilijny ranek mężczyzn z domu, żeby nie przeszkadzali w przygotowaniach („Chłop przed świętami w chałupie jest jak wrzód na d...")? Mam dobrze w pamięci obraz polskich ulic, a na nich pewnych zawianych facetów, to był dla małego Pawełka pierwszy akord „świątecznego nastroju" i tylko brak konkretnej nazwy tego rytuału broni mnie przed rozpoczęciem zbiórki podpisów pod petycją, by urzędowo ocalić go od zapomnienia. Ale taki na przykład kulturalny podwieczorek? Ta solenna nuda i konieczność uprzejmej konwersacji z ciocią, dziergane serwetki, ciasto, kakao z kubka w jelonki lub kompocik z salaterki. Cenne niematerialne dziedzictwo mieszczaństwa, tego trzeba naszej ciągle niedookreślonej klasie średniej.

W dobie najzdrowszych soków z wszystkiego i napojów o składach ustalanych w laboratoriach NASA kompot z jabłek i wiśni, cienki w smaku i blady w barwie, nie wydaje się mieć wielkiego sensu. Dlatego jest idealnym kandydatem na listę. Kto z was go jeszcze robi na co dzień? Musimy czym prędzej ustalić kanoniczny przepis i zgłosić go do UNESCO. ©℗

Mniej więcej tyle lat co espresso ma tradycja parzenia kawy w maszynce (tzw. kawiarce) stawianej na ogniu, zwanej przez Włochów moka, wynalezionej przez inżyniera Bialettiego w 1933 r. i do dziś produkowanej w identycznej formie. Użyjmy jej przy pieczeniu prostego ciasta będącego wariantem torta all'acqua, czyli „ciasta na wodzie", typowego deseru włoskiej kuchni ubogiej. Parzymy ok. 300 ml kawy, słodzimy 150-200 g cukru. Studzimy. Dolewamy 90 ml oleju roślinnego i intensywnie mieszamy, po czym do tej emulsji dodajemy po trochu 300 g mąki połączonej z 16 g proszku do pieczenia, intensywnie mieszając. Wylewamy do formy o średnicy 24 cm wyłożonej papierem do pieczenia. Pieczemy w 180 st. C ok. 50-60 minut, aż patyczek wbity w ciasto będzie suchy. Można polać lukrem kawowym (50 m zimnej kawy mieszamy w miseczce z 100 g cukru pudru).

JIRI HERA / ADOBE STOCK

HENRIK SORENSEN / GETTY IMAGES

ZMYSŁY

DZIKOŚĆ W SERCU

LARS BERGE, SZWEDZKI DZIENNIKARZ I PISARZ:

Domem pierwszych ludzi było ognisko, przy którym siadali, gdy zapadał zmrok. Wilk trzymał się na uboczu. Obserwował nas z mroku, a my wgapialiśmy się w tę ciemność i zastanawialiśmy się, co kryje.

ADAM ROBIŃSKI: Boi się Pan wilków?

LARS BERGE: Nie, choć szczerze mówiąc nigdy nie widziałem dzikiego wilka z bliska. Mieszkam na przedmieściach Sztokholmu, jakiś czas temu mieliśmy doniesienia o obecności dzikiego osobnika. Zdarzało się, że gonił jakichś ludzi biegających po lesie. Przynajmniej oni twierdzili, że to wilk, choć pewności nie ma. Tak czy inaczej, ci ludzie byli przerażeni. Też pewnie bym był, gdybym się znalazł na ich miejscu.

Coś im się stało?

Chyba nie. Jest taki śmieszny filmik na YouTubie: facet uprawia jogging, a inny filmuje go przez okno samochodu. Ten biegacz sprintem dopada do auta i przerażony wskakuje do środka. A wilk krąży sobie wokół samochodu. Pewnie był po prostu zaintrygowany sytuacją, sprawdzał, co się wydarzy. Więc wracając do pytania: jak tak sobie siedzimy w centrum Warszawy i rozmawiamy o wilkach, to wcale się ich nie boję. Ale nie mam pojęcia, jak bym się zachował, gdyby to mi przydarzyła się taka przygoda.

W reportażu „Dobry wilk" opisuje Pan swoje śledztwo po tragicznym wypadku na wybiegu dla wilków w ogrodzie zoologicznym w Kolmården. Pisze Pan też, że obserwacja wilków na swobodzie kojarzy się Panu z zimnem, zmęczeniem i nudą. I to wychodzi spod ręki autora książki o przyrodzie?

Przepraszam, ale wilki naprawdę mnie nudzą. Kiedy byłem dzieckiem, uwielbiałem filmy dokumentalne o przyrodzie tropików. Ale kiedy na ekran wjeżdżało coś o wilkach, byłem po prostu znudzony. W ogóle szwedzkie lasy w porównaniu z tymi tropikami wydają mi się ponure i mało interesujące.

To skąd ta silna więź z przyrodą, którą miał Pan jako dziecko?

Z telewizji. Kiedy dorastałem, państwowy nadawca miał tylko dwa kanały. Filmy przyrodnicze były jednymi z ważniejszych pozycji w ramówce. Fotograf Jan Lindblad, który pracował dla telewizji, był wyjątkowym gościem. Wyjął z zoo w Kolmården dwa tygrysiątka i zabrał je do swojego domku letniskowego, a potem zrobił o tym fascynujący film. Kiedy te tygrysy dorosły, musiał je oddać z powrotem do ogrodu zoologicznego. Moi rodzice wpadli na pomysł, że skoro tak się w to wkręciłem, to muszę tam pojechać i zobaczyć je na żywo. Mocno przeżyłem tę wizytę w Kolmården. Jak niemal każda szwedzka rodzina mieliśmy takie stare, kanciaste volvo. Na terenie zoo było safari: opuszczało się szyby, a dookoła auta biegały lwy, niedźwiedzie, wilki.

Ile Pan miał wtedy lat?

Dziesięć, może jedenaście. Kiedy wiele lat później w Kolmården wydarzył się ten wypadek – wilki zabiły swoją opiekunkę – te wspomnienia do mnie wróciły.

Ale jako reporter zainteresował się Pan sprawą, gdy usłyszał komentarz dyrektora zoo.

To była właściwie pierwsza rzecz, jaka wyszła z ust przedstawiciela zoo po wypadku, pomijając oczywiście kurtuazyjne kondolencje. Stwierdził, że wypadek będzie miał druzgocący wpływ na „markę wilka". Niesamowite: zwierzę jako marka! Nigdy wcześniej nie słyszałem, by ktoś mówił o zwierzęciu jak o obiekcie handlu. Marka oznacza, że masz do opowiedzenia jakąś historię na temat produktu.

Chcesz coś sprzedać.

Coś, co ma sprawić, że życie kupującego stanie się lepsze. Ta wypowiedź stała się bodźcem, który sprawił, że zainteresowałem się losami wilków w Szwecji. I tym, jak gwałtownej zmianie uległa w latach 70. XX wieku narracja na ich temat. Wcześniej byliśmy, obok Amerykanów, chyba najgorzej nastawionym do wilków narodem na świecie.

Do tego stopnia, że w pewnym momencie w całej Szwecji ostał się tylko jeden osobnik.

Samica. Ale potem pewien naukowiec oświadczył w telewizji, że być może powinniśmy nie tylko objąć wilki ochroną, ale również zacząć je rozmnażać, co udało się wcześniej z paroma gatunkami dzikich ptaków. Tę wypowiedź oglądało mnóstwo ludzi. Zaraz potem przeprowadzono sondaż. Okazało się, że faktycznie odbiór społeczny wilka się zmienił. Większość Szwedów była za odtworzeniem populacji tego gatunku. „Bliskie spotkanie z wilkiem", a więc produkt zoo w Kolmården, o którym piszę w książce, było oficjalną częścią programu działań na rzecz gatunku. Miało poprawić ten wizerunek, pokazać zwierzę płochliwe i przyjazne człowiekowi. Ludzie płacili majątek za to, żeby się znaleźć na wybiegu. ↦

Ile wilków żyje dziś w Szwecji?
Oficjalne dane mówią o trzystu.

Kłusownictwo jest istotnym problemem?
Mamy takie powiedzenie: „Zastrzel, zamknij się i zakop". Kilka osobników rocznie ląduje w ziemi, ale to margines. Poza tym kilkanaście zabija się z błogosławieństwem władz. Oficjalny powód to wady genetyczne konkretnych osobników. Chów wsobny to faktycznie spory problem szwedzkiej populacji wilka, bo wszystkie pochodzą od niewielkiej grupy przodków. W rzeczywistości chodzi też o politykę. Zezwalając na odstrzał, kupuje się głosy na prowincji.

Wilk w Pana książce jest przede wszystkim wytworem kultury, który budzi skrajne emocje, od miłości po nienawiść. Skąd się bierze ta dwubiegunowość w ludzkim podejściu do zwierzęcia?
Może dlatego, że człowiek i wilk pojawili się w Skandynawii mniej więcej w tym samym czasie? Domem pierwszych ludzi było ognisko, przy którym siadali, gdy zapadał zmrok. Wilk trzymał się w cieniu, na uboczu. Obserwował nas z mroku, a my wgapialiśmy się w tę ciemność i zastanawialiśmy się, co kryje. W takich okolicznościach może się zrodzić wiele wyobrażeń i lęków. Niektóre pokonaliśmy, udomawiając wilka jako psa domowego, zmuszając go do pracy na nasze potrzeby.

Dziś – jak Pan zauważa – wilk to jeden z najlepiej przebadanych naukowo gatunków. To dlaczego wciąż pozostaje dla nas tak ulotny, że nie wiemy, co z nim począć?
Może dlatego, że tak świetnie adaptuje się do różnych sytuacji? Łatwo go trzymać w niewoli. Wydaje się, że niespecjalnie mu ona przeszkadza. Tak jest do chwili, gdy decyduje, że jednak nie chce siedzieć za kratami i ku zaskoczeniu opiekunów przestaje być potulny.

Bo wilk w niewoli i wilk na wolności to dwa zupełnie różne gatunki zwierząt.

Jeden z naukowców przekonywał mnie, że absolutnie nie wolno wyciągać wniosków na temat zachowania wilków na podstawie obserwacji osobników trzymanych w zoo. Dzikie wilki mają ogromne areały osobnicze. Mogą się odłączać od stada, którego dynamika jest zupełnie inna niż w odgórnie narzuconej sytuacji. Poza tym u zniewolonych wilków występuje dużo wyższy poziom agresji niż na swobodzie. Z badań wynika, że im mniejszy wybieg, tym tej agresji więcej. Ów naukowiec stwierdził, że prowadzenie badań w zoo przypomina wyciąganie wniosków o człowieku na podstawie obserwacji w więzieniu lub obozie koncentracyjnym.

Do tego dochodzi jeszcze to absurdalne pseudonaukowe przekonanie, że opiekun wilków potrafi się z nimi porozumieć. Że zna ich język, jest członkiem stada, mało tego, stoi na jego czele. Wpatruje się im w oczy, warczy na nie, odpowiednim językiem ciała zdobywa u nich respekt. Dominuje je. Nie ma żadnych naukowych podstaw by twierdzić, że to prawda, chociaż przez kilka lat w zoo w Kolmården mogli tak sądzić. Ich wilki faktycznie zachowywały się wobec ludzi jak psy. Aż do dnia, gdy przestały i zabiły swoją opiekunkę.

Ogród zoologiczny to bardzo specyficzne środowisko.
I przez to tak fascynujące. Wybudowane ręką człowieka, udające, że jest czymś zupełnie innym niż w rzeczywistości. Trochę jak centrum handlowe czy muzeum. Idziesz tam, by wziąć udział w narracji zupełnie oderwanej od prawdy. To dlatego „Dobry wilk" nie jest tak naprawdę opowieścią o wilku, ale o człowieku.

To zresztą przewrotne – w czasach, w których dużo rozmawiamy o prawach zwierząt, wciąż trzymamy je w niewoli.
Dotarłem ostatnio do fascynujących danych – na świecie żyje dziś na wolności około 3,5 tys. dzikich tygrysów. Tymczasem w samych tylko Stanach Zjednoczonych 5 tys. osobników trzymanych jest w niewoli. Czyli tych zniewolonych jest więcej niż dzikich. To nam każe postawić trochę filozoficzne pytanie: czym jest tygrys? Drapieżnikiem z samej góry łańcucha pokarmowego czy też zwierzęciem, które żyje przy

weź, czytaj!
zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego – Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.
Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Wszystko, co wiemy", „Moc czytania", „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

człowieku? To niesamowite, dokąd doprowadziła nas narracja na temat dzikiej przyrody. Tworzymy jakąś zmyśloną opowieść o gatunku, wymazując z niej czynnik ludzki, podczas gdy w rzeczywistości to on jest dominujący.

Zupełnie jak w filmach dokumentalnych o przyrodzie. Z nudnego wilczego życia tworzą ekscytującą fabułę, w której zwierzęta ciągle biegają i polują.

Nasze pojmowanie przyrody jest w dużym stopniu uformowane właśnie przez telewizję, która musi opowiadać konkretną historię. Inaczej nikt by tego nie chciał oglądać. Przez to jesteśmy przekonani, że ten wilk nic, tylko biega. Z drugiej strony wie Pan, co było jednym z najchętniej oglądanych programów w ubiegłym roku w Szwecji? W lesie na północy kraju umieszczono parę kamer, które 24 godziny na dobę nadawały obraz z lasu. Nic się tam generalnie nie działo. Jednak kiedy raz na jakiś czas w kadrze pokazał się łoś, żył tym cały kraj. Ale przez większość czasu ludzie siedzieli w domach, wgapiali się w ekran i obserwowali, jak wiatr szeleści w koronach drzew.

Czy Pana książka wywołała w Szwecji dyskusję na temat ogrodów zoologicznych?

Tak, ale ja nie byłem na nią przygotowany. Chciałem tylko wyjaśnić okoliczności, w których wilki zabiły tę młodą dziewczynę. To była historia, która mnie kręciła. Kiedy ukazała się książka, zostałem wciągnięty w debatę na temat tego, czy ogrody zoologiczne mają dziś rację bytu. Pisali do mnie ludzie, którzy domagali się zamknięcia wszystkich szwedzkich zoo.

Szwecja zwykle wychodzi przed szereg w debatach na temat środowiska. Hasła o ograniczonych zasobach planety i irracjonalnym nieprzerwanym wzroście, którego domaga się kapitalizm, podnoszono u Was już pół wieku temu. Dziś podobne argumenty wciąż traktuje się w Europie jak wywrotowe i zbywa milczeniem.

Dziś zieloni są co prawda w szwedzkim rządzie, ale jako mniejszość. Ale Greta Thunberg i szkolne strajki zarysowują zupełnie nową linię podziału politycznego. Po jednej stronie stoi miastowa młodzież, lewicowa, zorientowana na ochronę środowiska, po drugiej konserwatywna prowincja. Nikt nie wie, co wyłoni się z tego podziału. W ostatnich sondażach socjaldemokraci pierwszy raz od stu lat stracili prowadzenie! Wyprzedziła ich populistyczna prawica. Obserwuję sytuację polityczną w Polsce i innych krajach regionu i wydaje mi się, że Szwecja jest pod tym względem kilka lat za wami. Wybory za dwa lata, zobaczymy, co z tego wyniknie. Na razie trudno cokolwiek przewidzieć.

Ale to chyba wymowne, że Greta Thunberg pochodzi akurat ze Szwecji, z kraju wyznającego *allemansrätten*, a więc silniejsze od własności prywatnej prawo dostępu do natury.

Tylko że Greta to miastowy dzieciak. Wychowała się w centrum Sztokholmu. Jej rodzice to znani ludzie kultury.

W Polsce funkcjonuje taki stereotyp, że wszystkie szwedzkie dzieci są z Bullerbyn. Greta też.

SZYMON CIEŚLAK / MATERIAŁY PRASOWE

LARS BERGE (ur. 1974) jest szwedzkim dziennikarzem, dokumentalistą i scenarzystą. Wieloletni współpracownik dziennika „Svenska Dagbladet". Nakładem wydawnictwa Czarne ukazał się jego reportaż „Dobry wilk. Tragedia w szwedzkim zoo".

Jasne, natura jest ważnym elementem tożsamości narodowej Szwedów. Ja też lubię wycieczki, jako dziecko chodziłem z rodzicami po górach. Ale nie jest tak, że wszyscy śpimy pod gołym niebem i zdobywamy trudne szczyty. Moje dzieci lubią łazić po drzewach, o ile w pobliżu zostały jeszcze jakieś drzewa, ale w ogóle nie myślą o przyrodzie w kategoriach politycznych. Czas spędzają raczej przed komputerami. A ja, kiedy brałem się za pisanie tej książki, miałem przekonanie, że jestem gościem od przyrody. Szybko się okazało, że znam ją tylko z telewizji i książek. I nie mam pojęcia o tym, jaka jest naprawdę. Ktoś mądry napisał kiedyś, że dzika przyroda to ta, w której nie ma człowieka. Ale przecież człowiek jest wszędzie. Więc chyba nie istnieje coś takiego jak dzika natura. Dzikość jest wytworem ludzkiej kultury.

Bo natura nie potrzebuje przymiotnika „dzika"?

To myśmy go dodali. Wilkowi do szczęścia potrzeba jedzenia, innych wilków do rozmnażania się i jeszcze schronienia dla młodych. Nie potrzebuje do życia pięknego krajobrazu czy rozległej panoramy dziewiczych gór. Oczywiście najłatwiej mu tam, gdzie nie ma ludzi, ale gdyby dać mu spokój, poradziłby sobie i na tej warszawskiej ulicy.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

RDC POLSKIE RADIO

ADAM ROBIŃSKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w piątek 13 grudnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

STANISŁAW

Mancewicz:
O planetach

Dziś, mimo niechęci do poruszania tego tematu, czujemy się zmuszeni do choćby drobnych rozważań na temat planety. Zmusza nas do tego mnogość opinii i wszechobecność tej sprawy. Uspokajamy, że nie będziemy wymieniać argumentów zarówno za koncepcją, że planeta nasza niebawem się rozpuknie, ani dowodów, że się ona mianowicie nie rozpuknie. Spróbujemy dziś skupić się na sprawach w tych klimatycznych rozważaniach nieobecnych. Na dobry początek zauważmy, że sporów o kondycję planety w historii ludzkości nie było wiele. Dwa. Pierwszy dotyczył jej kształtu, ruchu i miejsca we wszechświecie, a drugi właśnie trwa. Oczywiście ów pierwszy tylko pozornie wygrali zwolennicy kulistości, oni także brutalnie i wyższościowo narzucili swą wizję programom szkolnym wbrew obserwacjom dostępnym tu każdemu. Ziemianin wyraźnie widzi, że zarówno ziemska kulistość, bądź to rzekoma centralność Słońca – to lita ściema rozwydrzonych elit, znęcających się od wieków nad zdrowym rozsądkiem. W wolnym świecie prawych ludzi coraz wyraźniej słychać głosy, by owe brednie odesłać wreszcie na śmietnik historii, basta! Ziemia jest bowiem płaska jak placek ze śliwkami, a Słońce sobie wesoło wokół niego krąży, co widzi i czuje każdy po placku chodzący. Co więcej, placek jest wiecznie świeży, słowem: ma się dobrze.

Ludzkość teoretycznie rozumie, i to na ogół błędnie, tylko zdarzenia doświadczone. A to – weźmy dla przykładu – wie niby wiele o wojnach, o chorobach, wie plus minus nieco o fizyce, ale tylko tutejszej, zna także z fotek pewien wycinek rzeczywistości pozaziemskiej, ale jest to, powiedzmy sobie szczerze, wiedza mikra i jak to się mówi: dająca do myślenia – ale nielicznym. Nie bardzo wiadomo, czy przyswojone na Ziemi rudymenty są aktualne za rogiem, tzn. powiedzmy miliard kilometrów od dowolnego uniwersytetu. Ktoś tu – z uniwersytetu właśnie – powie, że obserwowane bądź wyliczone katastrofy w kosmosie są doświadczeniem wystarczającym, by się nie kłócić, że są one możliwe. Nic bardziej błędnego. Zjedzenie ciała niebieskiego większego niż pieróg z serem przez czarną dziurę, zderzenie komety z planetą, wyłączenie światła na dowolnej gwieździe, wyschnięcie wody bądź cieczy w tym rodzaju – są to z punktu widzenia ludzkości zdarzenia wyłącznie rozrywkowe. Fakt, że być może jakaś społeczność istot pozaziemskich przestała być podmiotem, a stała się małym przedmiotem, ma na Ziemi znaczenie w zasadzie zerowe i ma wyłącznie potencjał kinowy bądź komiksowy. Ponieważ chodzących po placku nie spotkało nigdy nic w tym guście, nie można od nich wymagać, by katastroficzne zapowiedzi traktowali poważnie i realnie. Cisnący się tu przykład zagłady dinozaurów jest oczywiście nietrafiony. Po pierwsze, dinozaury jeżeli w ogóle istniały, a nie istniały, istnieją tylko z powodów kinowych, bądź to – szerzej – przemysłowych. Mamy tu na myśli produkcję figurek z plastiku. Jedynymi Ziemianami serio traktującymi tragedię dinozaurów są dzieci. Dorośli Ziemianie w swej masie uważają, że dinozaury i ich historia zostały wymyślone w Hollywood przez żydowskich specjalistów od finansów, od kampanii reklamowych i tym podobnych zdarzeń, mających na celu dojenie z forsy dobrych i prostych nie-Żydów. Ich lęk przylegający do tego, co tu i teraz, jest praktyczniejszy. Wynika nie z kosmicznych bajań, ale z konkretu, że oto – dla przykładu – wszyscy mężczyźni i kobiety zostaną pod wpływem propagandy homoseksualistami albo lewakami. Że rzesze zamiast powieści Wildsteina zaczną czytać Marksa. Jest to strach tak straszny, że straszniejszego ze świecą szukać. Rozpuknięcie się planety to przy tej wizji brednia. Ktoś teraz powie, byśmy już przestali, byśmy się opanowali, byśmy zeszli na Ziemię i byśmy wreszcie zaśpiewali „Balladę o pancernym Banasiu". Nie możemy. Do stworzenia ballady potrzebny jest narracyjny koniec, a owego nie widać, dlatego też zajęliśmy się dziś katastrofami kosmicznymi. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY
+
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
50/2019

jak one czytają!

REKLAMA

Dlaczego chrześcijaństwo było tak ważne dla Leszka Kołakowskiego?

Czy gdyby każdy postępował po chrześcijańsku, potrzebny byłby Dekalog?

Czy żyjemy już w po-chrześcijańskim czasie?

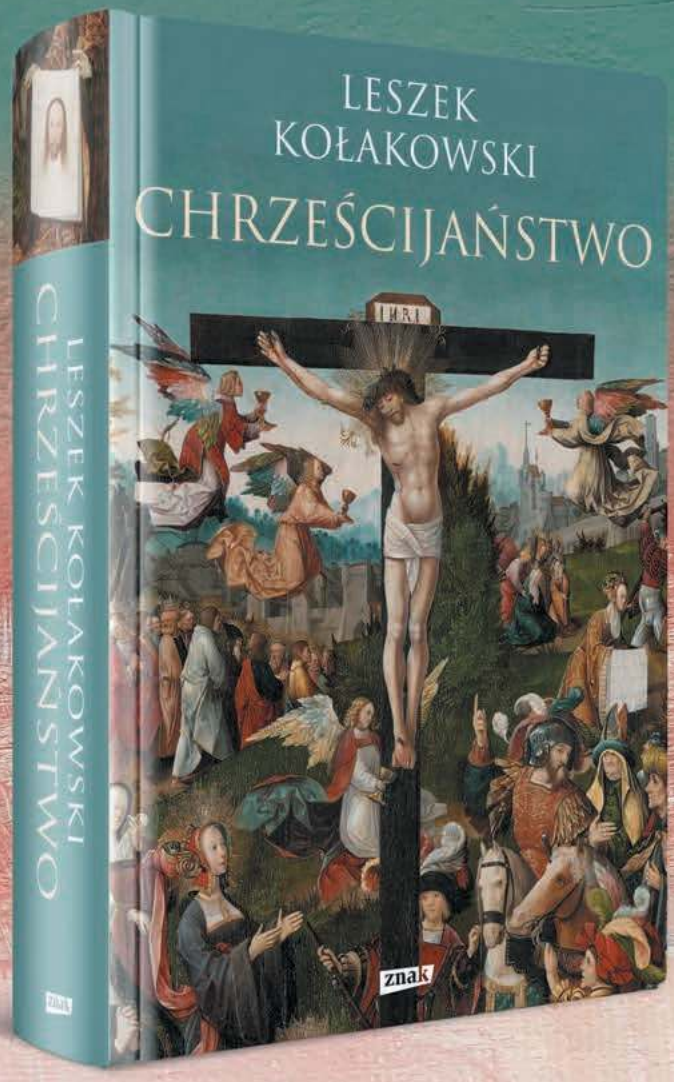

Najważniejsze teksty wybitnego filozofa o fundamencie naszej kultury.

Wstęp, wybór i opracowanie: Hubert Czyżewski.

Książka dostępna ze świątecznym rabatem na znak.com.pl KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

60 znak

w numerze

- JAK ONE CZYTAJĄ?

88. Justyna Bargielska **Polecam, bo czytałam**
92. Natalia Fiedorczuk-Cieślak **o dziecięcych gustach lekturowych**

- RECENZJE

96. Eliza Kącka **Nieskończoność jako labirynt**
98. Grzegorz Jankowicz **o eseju Tadeusza Sławka**
100. Monika Ochędowska **o „Czarnym słońcu”**
101. Katarzyna Kubisiowska **o biografii Boznańskiej**
102. Michał Sowiński **o „Cieśninach”**
108. Michał Kuźmiński **Kuchnia od literatury**

- RUBRYKI

104, 106. **Książki w pigułce**
105. Ks. Adam Boniecki **Zapis z pola bitwy**
110. Inga Iwasiów **Pluszowa pedagogika**
111. Piotr Śliwiński **Dziecko, rozbrojenie słownika**
110. **Bartosz Minkiewicz**

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sowiński
Redakcja: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska, Michał Sowiński
Projekt graficzny: Marek Trojanowski
Skład: Andrzej Leśniak

OKŁADKA: Marek Zalejski / ADOBE.STOCK.COM

ZDJĘCIA AUTORÓW:
GRAŻYNA MAKARA x7, MICHAŁ NIEDZIELSKI

ZAPRASZAMY DO NASZEJ FACEBOOKOWEJ GRUPY DYSKUSYJNEJ BOOK'S NOT DEAD

Book's not dead

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

„Książki w Tygodniku” wydajemy we współpracy z Fundacją TP, dzięki darowiznom od Czytelników przekazanym na jej rzecz za pomocą modułu FaniPay na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

Jak one czytają?

OD LAT OBSERWUJEMY niezwykły rozkwit rynku wydawniczego dla najmłodszych. Dzięki wspaniałym autorom i ilustratorom przygoda z literaturą (nawet jeżeli na początku służy wyłącznie do gryzienia i miętoszenia) może zacząć się już w pierwszych miesiącach życia. O dobrodziejstwach płynących z czytania można by mówić długo – wszyscy chyba jesteśmy zgodni, że im wcześniej (i więcej), tym lepiej: w ten sposób poszerza się nasze słownictwo, rozwijają się zdolności komunikacyjne, pogłębiają się więzi ze światem i innymi ludźmi. No i najważniejsza sprawa – tylko tak można utwierdzić w najmłodszych przekonanie, że lektura to źródło wielu (często nieoczywistych) przyjemności.

PYTANIE KLUCZOWE OCZYWIŚCIE BRZMI: co dzieci powinny czytać? Tu niestety nie ma jednej dobrej odpowiedzi. Rodzice i opiekunowie chcą jak najlepiej, ale często ich oczekiwania i wyobrażenia lekturowe nie wytrzymują konfrontacji z brutalną rzeczywistością gustów swoich podopiecznych. Dzieci to krytycy surowi – swoje niezadowolenie albo znudzenie wyrażają bez litości. Z kolei ich miłość do ulubionych bohaterów (często budzących konfuzję albo przerażenie u dorosłych) potrafi być bezgraniczna. Jedyne wyjście – wspólne, cierpliwe poszukiwania. W ten sposób z pewnością nauczymy się od siebie wielu nowych, fascynujących rzeczy.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

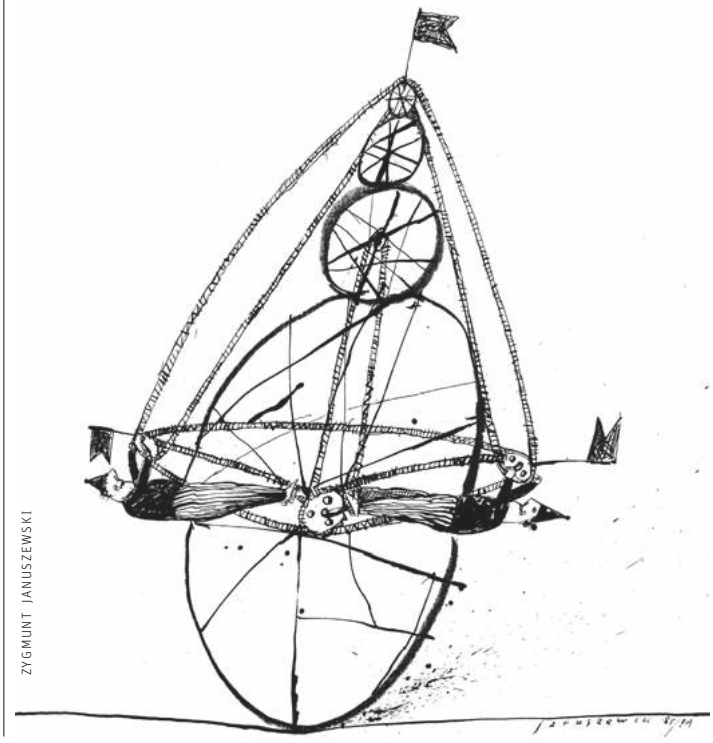

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

Polecam, bo czytałam

JUSTYNA BARGIELSKA

Otwieranie oczu jest podstawowym kryterium, według którego można rozpatrywać wartość książki dla młodzieży.

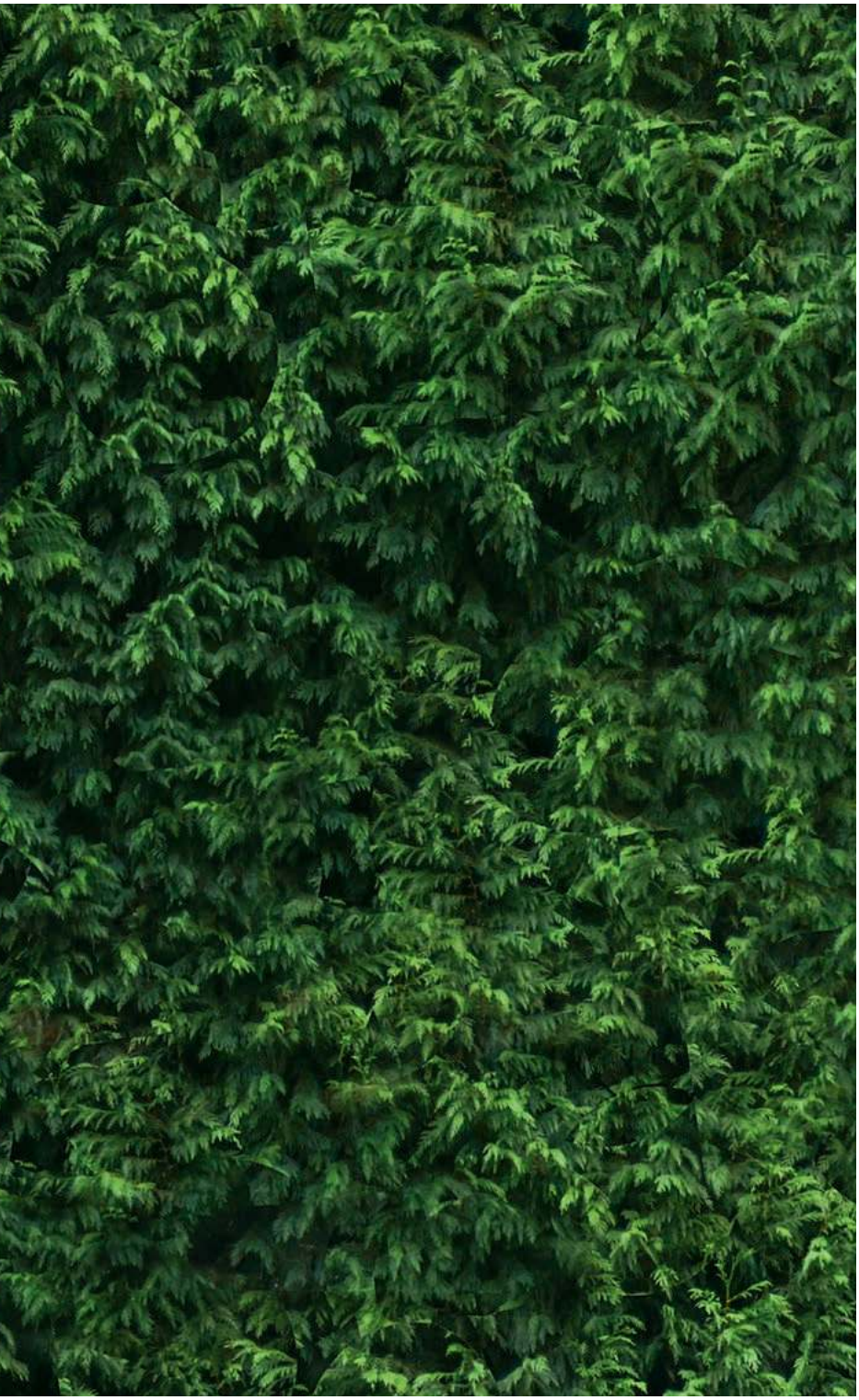

NATALIA CRESPO / GETTY IMAGES

Młodzież czyta wprzód. Jeśli chcecie młodzieży trzynastoletniej zaproponować opowieść o trzynastolatkach, nie róbcie tego, to strata czasu: trzynastolatki od biedy odnajdą się w historii siedemnastolatków, choć i tutaj nie ma gwarancji. Lub też: gwarancja ta w żaden sposób nie zależy od żadnego z czynników, które są ważne dla czytelników dorosłych. To, jakim językiem powieść jest napisana, czy jej konstrukcja nie sypie się jak domek z kart, gdy tylko przyłożymy do niej nasze wyrobione literaturoznawcze poziomice, czy wreszcie jest wartościowa – to słowo klucz przeraża mnie w odniesieniu do literatury dla dzieci i młodzieży chyba najbardziej – dla młodego czytelnika nie ma najmniejszego znaczenia. W istocie jego ocena książki wcale nie musi zależeć od parametrów, od których – przyzwyczailiśmy się – zależałaby nasza ocena, gdybyśmy książki dla młodzieży czytali.

Bo tak!

Jakiś czas temu miałam okazję prowadzić warsztaty dla szesnastolatków w miejskiej bibliotece w Krośnie. Kończąc je, uznałam, że sprawiedliwie by było, gdybym i ja coś z nich wyniosła, więc poprosiłam, wtedy jeszcze gimnazjalistów, o sporządzenie listy książek, które ostatnio czytali i które chcieliby mi polecić. Zaskakująco dużo znalazło się na niej pozycji angielskojęzycznych, które nie były jeszcze tłumaczone na polski, a niekiedy w ogóle takiego tłumaczenia nie planowano, o czym przekonałam się, robiąc wówczas małe, powodowane ciekawością rozeznanie w planach niektórych wydawnictw. Kiedy natomiast zapytałam niektórych z autorów listy o powód, dla którego dany tytuł mi polecił, poza reakcjami „bo tak" zdarzały się odpowiedzi: „bo to jest coś, co ostatnio przeczytałem".

Myślę, że młodzież nie myśli o literaturze jak o zbiorowym obowiązku, co było charakterystyczne jeszcze dla mojego pokolenia: lista najważniejszych dzieł literatury światowej, pomieszczona w encyklopedii powszechnej PWN, była dla nas czymś w rodzaju ogromnie wyrafinowanego flirtu towarzyskiego. Na porównywaniu, przy ilu tytułach postawiliśmy kropki, odhaczając ich przeczytanie, budowało się związki, z których niejeden przetrwał dekady. Nastolatki lat nastych dwudziestego pierwszego wieku czytają, bo im się to przytrafia, a dzielą się tym na takiej zasadzie, na jakiej dzielą się filmikami na YouTubie czy memami: *hype* na czytanie dawno minął, ale *hype* na chłonięcie treści z zewnątrz, w tym okresie życia już z natury potężny, jest u nich wartością absolutną. Internet natomiast pozwala ominąć im pewne bariery, cezury, z którymi jeszcze kilkanaście lat temu nikt nie dyskutował.

To znaczy ja dyskutowałam, na swój podstępny sposób: w dzielnicowej bibliotece publicznej dla dzieci i młodzieży, do której w początkach podstawówki udało mi się zapisać, książki na półkach były podzielone na poziomy, które z grubsza miały odpowiadać temu, jak bibliotekarze wyobrażają sobie dojrzałość ↦

psychiczną i czytelniczą dyspozycję poszczególnych roczników. Półki poziomów od pierwszego do trzeciego zajmowało „Na jagody" na zmianę z kolejnymi tomami przygód Koziołka Matołka. Żeby przejść do poziomu czwartego, na którym pojawiała się „Ania z Zielonego Wzgórza", albo jeszcze wyżej, gdzie stała moja ulubiona Maria Kann czy choćby Krystyna Siesicka, trzeba było przebrnąć przez piekło książek dla dzieci: przebrnąć, niekoniecznie przeczytać – raczej wypożyczyć.

Do tej pory pamiętam ten dzień triumfu nad niemądrymi wytycznymi pedagogów, w którym na mojej karcie bibliotecznej pojawiło się wystarczająco dużo potwierdzających wypożyczenie pieczątek, że zyskałam dostęp do poziomów od czwartego wzwyż. Przez które to poziomy zresztą również przemknęłam jak łania i został mi już tylko Dostojewski, w sąsiadującej z naszą dzielnicowej publicznej bibliotece dla dorosłych.

Przykłady

Córce, która jest najlepszym beta testerem książek przynoszonych przeze mnie do domu, podsunęłam ostatnio wydane przez Bukowy Las „To, co widzę bez ciebie" Petera Bognanniego. Siedemnastolatka, chodząca do farmerskiej szkoły w Iowa, traci miłość swojego życia, z tym że jest to miłość na miarę środków komunikacji, które do uprawiania miłości mamy dostępne współcześnie: widziała się z chłopakiem raz, przez rok prowadzili intensywną, niebezpieczną chwilami korespondencję. Niebezpieczną według naszych, dorosłych, internetowych standardów: Tess wysyła swojemu przyszłemu mężowi – tak, o tym też była między nimi mowa – swoje nagie zdjęcie. Łamie podstawową zasadę internetowej relacji, tylko po to, żeby potem złamać kolejne, odnoszące się już nie tylko do funkcjonowania w internecie, ale również w realnym życiu. Tess od początku do końca robi wszystko po swojemu.

Autonomiczność bohaterki ma paradoksalnie ogromny walor edukacyjny: bo kiedy dowiaduje się, że Jonah, chorujący od dawna na depresję, popełnił samobójstwo, nie zawaha się przed niczym, łącznie z potajemnym wyjazdem na Sycylię, aby żałobę po utraconym kochanku, którego dorośli określiliby w najlepszym razie „pen palem", przeżyć jak najpełniej i jak najzdrowiej. Oczywiście, że realia, w których operuje Tess, są w pełni znaczenia tego słowa „amerykańskie" – ma kartę kredytową na nagłe potrzeby, dzięki której może kupić bilet do Syrakuz, miasta, w którym Jonah, mieszkający na co dzień w Syracuse w stanie Nowy Jork, widział dla siebie ratunek, rodzaj równoległego świata, w którym, niedręczony depresją, mógłby przeżyć. A jednocześnie realia psychiczne i wirtualne pogrążonej w żałobie siedemnastolatki wydają się na tyle przystawać do realiów nastolatków środkowoeuropejskich, że nie mam wątpliwości, iż książka ta może stanowić wydajną pomoc dla borykających się z problemem straty, zwłaszcza straty nieoczywistej, dzieciaków.

> Młodzież nie myśli o literaturze jak o zbiorowym obowiązku, co było charakterystyczne jeszcze dla mojego pokolenia.

Czego niestety – że może pomóc dzieciakom w rozkminianiu czegokolwiek – nie da się powiedzieć o „Fluffie". Że jest to „trzecia część cyklu o przygodach poznańskich nastolatków z liceum na Grunwaldzie", dowiaduję się z okładki wydanej przez Agorę książki Natalii Osińskiej. Nie znam dwóch poprzednich części, ale od pierwszych zdań części trzeciej czułam, że proponuje mi się „Jeżycjadę Bis" lub może umiarkowanie udaną próbę światopoglądowej aktualizacji sagi Małgorzaty Musierowicz.

Oryginałowi Musierowicz zarzucano, że nie idzie, zwłaszcza w najnowszych tomach, z duchem czasu, a w istocie nie ma też wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem: krytykom brakowało w jej książkach nawiązań do aktualnych światopoglądowych, obyczajowych sporów. Niepokoił ich też fakt, że bohaterowie praktycznie nie cierpią, a jeśli nawet, każdy ich kłopot da się rozwiązać za pomocą podobnej procedury, której sedno stanowi dość prymitywny stoicyzm na zmianę z bałwochwalczym oddaniem idei utrzymywania dobrych stosunków międzyludzkich.

Zdaje się, że Osińska jest godną spadkobierczynią carycy Jeżyc: w jej książce dogadują się wszyscy ze wszystkimi, również osiemnastolatka ze zdiagnozowanym spektrum autyzmu ma z komunikacją tylko niewielkie kłopoty, a jej schorzenie jest przez Matyldę, główną bohaterkę, podsumowane tak: „nie jesteś chora, tylko leniwa".

Z drugiej strony Osińska wprowadza w swojej książce aż tyle wątków, o których pomijanie Musierowicz była oskarżana, że zwyczajnie nie da się tego traktować poważnie. Oto obserwujemy zmianę płci jednego z bohaterów, którego poznaliśmy w książkach wcześniejszych, nieheteronormatywne pary nastolatków praktycznie nie występują, wśród dorosłych heteronormatywność prowadzi do patologii (matka bohaterki ze spektrum autyzmu uważa, że choroba córki to „kara boska" za jej romans, który zniszczył rodzinę, wobec czego rezygnuje z terapii Wiki).

Już na wstępie autorka skazuje się na porażkę przez swoje ambicje – swatając ze sobą budowlańca i panią coach z korporacji, przy okazji próbuje poruszyć i oczywiście rozwiązać zagadnienie klasizmu. Książka Osińskiej właśnie dostała nominację do tegorocznej nagrody IBBY, co mnie nie dziwi, biorąc pod uwagę, jak bardzo jest aktualna. Jest również w oczywisty sposób „wartościowa", toteż wolałabym, żeby moje dzieci trzymały się od niej z daleka. Przy okazji: warto może pamiętać – to uwaga do pisarzy – że literatura dla młodzieży w niektórych aspektach rządzi się jednak podobnymi prawami, co literatura dla dorosłych. Czar pierwszego zdania porywa – albo nie – czytelników bez względu na wiek. Pierwsze zdanie „Fluffu" brzmi: „Matylda uczyła się do matury". Pierwsze zdanie „Tego, co widzę bez ciebie" zaś: „Następnego dnia po tym, jak rzuciłam szkołę, obudziłam się przed świtem w pustym domu mego ojca i oddałam się rozmyślaniom o powolnej śmierci wszechświata".

Przygody

Zapomniałam dodać, że surowa reguła o czytającej wprzód młodzieży nie dotyczy książek przygodowych, dziejących się w czasach i realiach, których młodzież nie zna, przynajmniej z bezpośredniego doświadczenia, książek, w których występują czarownicy, rycerze, kowboje i krokodyle.

Podsunęłam tej samej córce, która kręciła nosem na „Fluff", „Renomowany katalog Walker&Dawn" włoskiego dzienni-

karza i tłumacza gier komputerowych Davidego Morosinotto. W skrócie: czwórka dzieci na południu Stanów Zjednoczonych w pierwszych latach dwudziestego wieku znajduje zawrotną kwotę trzech dolarów i postanawia dokonać z tytułowego katalogu zakupu rewolweru wraz z amunicją. To nie jest dziecięcy kaprys. Te Trois (tak samo jak jego pozostali trzej bracia ma naprawdę na imię Peter, różnią ich tylko francuskie liczebniki, którymi zwraca się do nich matka) planuje zaprowadzić sprawiedliwość w luizjańskim miasteczku. Julie, rudowłosa córka kobiety, która straciła pozycję społeczną i prawo do mieszkania wśród białych ludzi po tym, jak urodziła czarnoskóre dziecko, chce przede wszystkim bronić brata, aczkolwiek rewolwer mógłby być przydatny również do samoobrony. Matkę Julie odwiedzają po nocach praworządni mieszkańcy miasteczka, z którego została w niesławie wypędzona, i prawdopodobnie już za moment Julie również będzie musiała im świadczyć te usługi, które świadczy jej matka. A Julie jednak nie chce.

Ostatni z czwórki, Edward, okularnik, jest co prawda szamanem z bagien, który rozumie mowę zwierząt i potrafi przemówić do rozsądku aligatorowi, ale ponieważ ogromną wagę przywiązuje do więzi międzyludzkich, a także ma niebezpieczny, co potwierdzą psychologowie, nawyk przyjmowania cudzych pragnień jako swoje, również przeciwko zamówieniu broni nie protestuje. Z tym że w wyczekiwanej przez kilka tygodni paczce dzieciaki otrzymują zepsuty zegarek. Nietrudno się domyślić, że nie jest to po prostu zegarek, tylko klucz do rozwiązania zagadki: kryminalnej, owszem, ale przede wszystkim jest to na swój naukowy sposób magiczny rekwizyt, pozwalający bohaterom odnaleźć się w życiu.

> Nastolatki lat nastych XXI w. czytają, bo im się to przytrafia, a dzielą się tym na takiej zasadzie, na jakiej dzielą się filmikami na YouTubie czy memami.

Zaletą powieści Morosinotto jest fakt, że porusza dokładnie wszystkie pisane przez wielkie „P" problemy również współczesnej młodzieży – zagrożeń seksualnych, inności związanej ze statusem społecznym, kolorem skóry, kondycją psychiczną, dyskryminacji ze względu na płeć – a jednocześnie w żadnym razie nie jest dydaktyczna. Jest to na pewno w dużej mierze zaleta egzotycznych realiów, które zaprojektował autor.

Ogromnie chytra jest też odautorska przedmowa do czytelników, w której możemy przeczytać: „Akcja tej powieści toczy się w minionej epoce, w czasach, kiedy nikogo nie dziwiło spożywanie alkoholu i palenie papierosów przez nieletnich, gry hazardowe, aluzje seksualne lub rasistowskie komentarze, a także wszystkie inne opisane tu gorszące praktyki, które mogą zasiać zamęt w sercach i umysłach współczesnej roztropnej młodzieży. Dlatego też, współczesna i roztropna młodzieży, radzę Wam czytać tę książkę po kryjomu, żeby przypadkiem nie wpadła w ręce Waszych rodziców". Nie muszę tłumaczyć, że tego rodzaju asekuracja wobec strzegących poprawności politycznej czytelników dorosłych znakomicie zaostrza apetyty czytelników młodocianych. W przypadku „Renomowanego katalogu" ogromną rolę odgrywa również forma, w jakiej Dwie Siostry tę książkę wydały: beta testerka była zachwycona reprodukcjami legendarnego katalogu, ale również map, dzięki którym przygoda, którą dzieliła z podróżującymi po swoją wolność amerykańskimi nastolatkami sprzed stulecia, miała dodatkowy, estetyczny wymiar.

A mnie prześliczna ta edycja przypomniała podobną powieść, którą czytałam dawno temu jako dziecko, „Spadkobierców pana Ziółko" Stefana Majchrowskiego i Zbigniewa Piotrowskiego: ta również dzieje się w początkach dwudziestego wieku, z tym że, inaczej niż „Fluff", napisana została w znacznie mroczniejszym, jeśli chodzi o kwestie związane z prawami kobiet czy rasizmem, okresie: mam jej pierwsze, datowane na rok 1957 wydanie. Nie ma w niej za grosz dydaktyzmu, a przecież przygody trzyosobowej patchworkowej rodziny, z rezolutną nastolatką na czele, która udaje się na poszukiwanie zaginionego spadku, już ponad trzydzieści lat temu otworzyły mi oczy na nierówności społeczne i płciowe dużo skuteczniej niż książki, które wyłącznie w tym celu wydają się powstawać – i to otwieranie oczu jest podstawowym kryterium, według którego można rozpatrywać wartość książki dla młodzieży. Choć oczywiście procedura polecania proponowana przez gimnazjalistów z Krosna – „polecam, bo przeczytałem" – zawsze, jako najbardziej wiarygodna, jest na propsie.

© JUSTYNA BARGIELSKA

REKLAMA

ANNA HÖGLUND
MISIA I KOSTEK
obrazkowo-słowne lustro relacji
dla małych…
choć może bardziej dla dużych

zakamarki.pl

WESTEND61 / GETTY IMAGES

Jak one czytają

NATALIA FIEDORCZUK-CIEŚLAK

Wyobrażenia dorosłych o literaturze dziecięcej często nie wytrzymują konfrontacji z gustami najmłodszych czytelników. Na szczęście na rynku jest tyle tytułów, że bez trudu można wypracować ciekawy kompromis.

Literatura dziecięca to jeden z najprężniej rozwijających się segmentów rynku wydawniczego. Według danych z 2014 r. to 22 proc. całości wydawanych tytułów (literatura dla młodzieży to zaledwie 4 proc.). Rośnie też ich sprzedaż – co roku o prawie 20 proc. Modna, pięknie zilustrowana książka obrazkowa to optymalny prezent na liczne przedszkolne urodzinki i sytuacje świąteczne. Podarowanie dziecku książki to także gest szlachetny (lub uchodzący za taki) – w założeniu ma pogłębiać więź rodzicielską, pozwala też na obcowanie z kulturą i estetyką, do tego wzbogaca słownictwo i wyobraźnię.

Niziutka półka

Przygoda z czytaniem zaczyna się już w pierwszym roku życia, najczęściej od szmaciano-gumowych publikacji do gryzienia i miętoszenia w łapkach – przewracanie *quasi*-stron umacnia chwyt pęsetowy, niezbędny dla późniejszego pisania i innych operacji manualnych. Nieco starsze, około roczne dzieci zaczynają wykazywać coraz więcej uwagi kierowanej: wskazują na obrazku przedmioty wymieniane przez opiekuna, odkrywając relację między rzeczami a ich symbolicznymi przedstawieniami. Identyfikują też dźwięki wydawane przez zwierzęta na ilustracjach.

Skupienie uwagi trwa w tym okresie około 5 minut. Tyle właśnie potrzeba, by „przeczytać" razem z rodzicem pozycję wyczerpującą temat mieszkańców gospodarstwa rolnego czy skupić się na krótkiej beletrystyce. Czołowym reprezentantem tej ostatniej kategorii jest sprzedana w ponad 46 milionach egzemplarzy „Bardzo głodna gąsienica" amerykańskiego ilustratora i autora Erica Carle'a, która w tym roku obchodzi 50. rocznicę pierwszego wydania. Treść nie jest skomplikowana – sympatyczny stawonóg w fazie larwalnej najpierw obżera się bez pamięci, a następnie owija kokonem, by po jakimś czasie odfrunąć jako piękny motyl. Stylowe ilustracje i unikalny jak na swoje czasy projekt książki (dziurki, warstwy, nietypowy układ stron) od pół wieku wprawia dzieciaki na całym świecie w radosne upojenie.

Każda mama i każdy tato wie, że istotą wczesnego rodzicielstwa jest repetycja. Zabawy, puzzle, książeczki, posiłki – nim się znudzą – są odtwarzane nieskończoną ilość razy w identyczny sposób. Poprzez strukturę powtarzalności dzieci utwierdzają się w poczuciu emocjonalnego bezpieczeństwa i stałości rodzicielskiej opieki. Do tego chwaląc się nabytymi już umiejętnościami, utrwalają je i przygotowują grunt pod dalszy rozwój.

W moim domu (a także u wielu moich dzietnych rozmówców) obowiązkowym punktem książkowej krucjaty – oprócz „Gąsienicy" – okazała się „Księga dźwięków" Soledad Bravi, którą w Polsce wydała koneserska oficyna dla najmłodszych Dwie Siostry. Gruba kartonowa książka to podróż przez najrozmaitsze obiekty audiosfery, które dziecko zna z otaczającego świata. Niestety, wydawnictwo to nie jest pozbawione wad – kilkanaście rund czytelniczych i rekordzistka grubości dosłownie rozpada się w rękach, co generuje konieczność zakupu nowego egzemplarza. Moja słodka dwójka zajeździła trzy egzemplarze: zapewne ten feler w jakimś stopniu przyczynił się do jej sukcesu sprzedażowego.

Dźwięki, które pełnią funkcję komunikacyjną, to kamień milowy w rozwoju mowy. Autorką polskiego bestsellera w tej samej audio-kategorii jest dr Marta Galewska-Kustra, logopedka i pedagożka. Jej seria o Puciu idealnie wpisuje się w potrzeby rodziców, którzy z troską przyglądają się prawidłowemu rozwojowi swoich pociech. Nic dziwnego, że przygody słodkiego chłopczyka doczekały się już siedmiu części.

– Z Puciem było jak z każdym odnoszącym sukces produktem twórczym: trafił na swój czas – mówi Galewska-Kustra, która oprócz specjalizacji logopedycznej i pedagogicznej jest również ekspertką od psychologii twórczości. – Moją osobistą potrzebą była książka, z którą bez bólu mogłabym pracować z małym pacjentem w gabinecie. Zazwyczaj materiały tworzone dla logopedów i przez logopedów są po prostu... mało estetyczne. Nie budzą zainteresowania dzieci. Publikują je specjalistyczne wydawnictwa, którym brak funduszy na ładne wydanie, dobrego ilustratora czy ciekawy projekt. A Pucio to sukces zarówno mój, jak i ilustratorki, Joanny Kłos.

Pucio, a także jego poprzedniczka, mucha Fefe (cztery książki), początkowo nie wzbudzili entuzjazmu Naszej Księgarni, dziecięcej oficyny z tradycjami. – Logopedia kojarzy się specjalistycznie, z pracą w obszarze, gdzie istnieją problemy w prawidłowym rozwoju. Zatem z rynkiem niszowym. Tymczasem – chwyciło. Książki w założeniu pomagają w kształtowaniu komunikacji, są profilaktyczne, mówią też rodzicom, na co warto zwracać uwagę. Poza tym – zazwyczaj nie zanudzają na śmierć rodzica, który siłą rzeczy uczestniczy w lekturze – mówi autorka.

Według sporządzonego niedawno rankingu najlepiej zarabiających pisarzy Galewska-Kustra plasuje się najwyżej wśród autorów literatury dziecięcej – sprzedaż na poziomie 571 tys. egzemplarzy daje jej w sumie czwartą pozycję w ogólnym rankingu autorów, tuż za Remigiuszem Mrozem – jedynym sprzedażowym „milionerem", Blanką Lipińską i noblistką – Olgą Tokarczuk.

Średnia półka

Kiedy dziecko wkracza w wiek przedszkolny, w jego czytelniczym życiu zaczynają dominować albo fabularne narracje, albo książki związane z ich konkretnymi zainteresowaniami (kosmos, pojazdy, dinozaury, zwierzęta). Tu również oferta jest bardzo urozmaicona, jednak nie zawsze intuicje obdarowujących – rodziców i przyjaciół małych koneserów słowa pisanego – pokrywają się z tym, co ostatecznie spodoba się dziecku. W sukurs przychodzą biblioteki, gdzie pomysły opiekuna i zamiłowania dziecka można bez szwanku skonfrontować.

– Kicia Kocia – na pytanie o przedszkolny hit książkowy odpowiada bez zastanowienia Joanna Kujawska-Frejlich z Miniteki, sopockiej wypożyczalni dla dzieci. – Zawsze jest w obrocie. Nie zawsze podoba się rodzicom, ale... to dziecko decyduje.

Bohaterką super-serii Anity Głowińskiej jest biała koto-dziewczynka o nieco psychodelicznym spojrzeniu. Na stronie Empiku można znaleźć aż 72 tytuły z jej udziałem: pojedyncze przygody (sklep, pociąg, zabawa w parku, pojawienie się młodszego brata, niechciane awanse nowego kolegi), wydania zbiorcze, kartonową podserię dla najmłodszych, zeszyty ćwiczeń, a także pluszową wersję samej bohaterki. Głowińska również trafiła na listę pisarskich bogaczy tygodnika „Wprost".

Znawcy literatury i ilustracji dla dzieci mają Kici Koci wiele do zarzucenia – choćby niezbyt wyrafinowane rysunki i przewidywalną fabułę. Rozmowy o Kici Koci zawsze zapalają w oczach znajomych dziwne płomyczki. Dzieci jednak darzą ją ↦

↦ niezrozumiałym dla sceptycznych rodziców uwielbieniem.

– Schowałem Kicię Kocię za inne książki na regale – zwierza się znajomy ojciec przedszkolaków. – Katowali mnie nią przez rok. Pięć zeszytów pod rząd, a potem znów od początku. Kwadrans czytania przed snem zamieniał się w godzinę, czasem dwie. Ta seria jest niebezpieczna, działa na dzieci jak narkotyk.

Fenomen Kici Koci można tłumaczyć na wiele sposobów. Bohaterka jest kilkulatką: chodzi do przedszkola, majsterkuje z dziadkiem, bawi się z kolegami w parku – dziecko łatwo się z nią utożsamia. Do tego język jest prosty i zrozumiały. Przygody bohaterki w podstawowej postaci to niedrogie zeszyty, zupełnie jak pamiętane jeszcze z czasów PRL pozycje „Poczytaj mi mamo" albo „Seria z wiewiórką". To ważne, bo nowe książki dla dzieci są relatywnie drogie. W kapitalistycznym rozumieniu relacji ceny do wartości dostajemy niewiele treści za pieniądze porównywalne z nowościami wydawniczymi dla dorosłych. A Kicię Kocię możemy zabrać do domu za niewiele więcej niż koszt paczki żelków.

Kiedy dziecięca książka jest wydatkiem zbyt obciążającym domowy budżet, warto udać się do biblioteki. Lokalne oddziały coraz szybciej reagują na rynkowe nowości. Do tego modernizują swoje wnętrza i szkolą personel z myślą o najmłodszych – dlatego odwiedza się je coraz częściej nie tylko w celu wypożyczenia książki. – Dzieci i rodzice przychodzą do nas przy okazji różnych wydarzeń: przedstawień, warsztatów, wieczorów tematycznych. Do biblioteki nie wpada się szybko wymienić książki, tutaj spędza się czas. Książki do domu zabierane są niejako przy okazji – opowiada Kujawska-Frejlich z Miniteki.

Jasne, przestronne wnętrze secesyjnej willi, krąg kanap z Ikei, na których zalegają rodzice, ekspres do kawy, gry planszowe i przede wszystkim – młodzi czytelnicy, którzy bezpardonowo bawią się w chowanego między regałami, nie respektując zasad bibliotecznej ciszy.

Joanna Kujawska-Frejlich szykuje się do wieczoru z wróżbami andrzejkowymi i właśnie zagania wesołą gromadkę do przyjemnie urządzonej, specjalnie zaciemnionej sali multimedialnej. Mali czytelnicy zdecydowanie czują się tutaj jak u siebie. – Realizujemy program „Z książką na start", organizowany w województwie pomorskim i mazowieckim przez fundację Metropolia Dzieci. Każde dziecko, które przychodzi wyrobić kartę, otrzymuje Paszport Małego Czytelnika, w którym wbijamy pieczątki przy okazji każdego wypożyczenia. W ten sposób zdobywa się kolejne stopnie wtajemniczenia i stosowne dyplomy. Nowi klienci na pierwszej wizycie dostają też jedną książkę do domu.

> Każdy rodzic wie, że istotą wczesnego rodzicielstwa jest repetycja. Zabawy, puzzle, książeczki, posiłki – nim się znudzą – są odtwarzane nieskończoną ilość razy w identyczny sposób.

Jako książkę „na zawsze" moja czteroletnia córka wybiera „Kocur mruży ślepia złote" Marii Ekier. – To ciekawe – śmieje się Frejlich. – To częsty wybór dzieci, chociaż niekoniecznie rodziców. Ilustracje są bardzo artystyczne i nieoczywiste, rodzice często uznają je za zbyt dziwne.

Półka szkolna

Monika Szymkowiak razem z mężem Sebastianem prowadzi wydawnictwo Łajka i sopocką księgarnię dla dzieci Ambelucja. Nieduży lokal przy wiodącej na plażę ulicy 3 Maja przypomina przytulny salonik, wypełniony po brzegi książkami. Szymkowiakowie, rodzice trójki dzieci, opowiadają mi nie tylko o gustach czytelniczych klientów, ale o ich własnych, rodzicielskich obserwacjach.

– Kryzys czytelniczy przychodzi razem ze szkołą – książki zaczynają symbolizować naukę, lektury i sprawdziany. Te dzieci, które od najwcześniejszych lat dużo obcowały z czytaniem, wykształcają inne nawyki językowe, słownictwo, sposób wypowiadania się. To przykre, ale nie zawsze jest to mile widziane wśród rówieśników i w środowisku szkolnym.

Dla dzieci szkolnych istotną rolę zaczynają odgrywać inne teksty kultury, takie jak seriale telewizyjne, bajki czy gry komputerowe. Wydawcy książek licencyjnych dostrzegają ten trend – pozycje związane z grą Minecraft obejmują przewodniki po światach, instrukcje ich budowania, a także beletryzowane opowiadania z uniwersum gry. Dzieci, zwłaszcza w późniejszych klasach szkoły podstawowej, sięgają też po książki z nurtu młodzieżowej literatury popularnej i gatunkowej: seria o Harrym Potterze, saga „Zmierzch", „Pamiętnik Księżniczki" Meg Cabot, a z polskiej półki – bestsellerowy cykl „Magiczne drzewo" Andrzeja Maleszki. Dzieci czytają je z własnej woli, często z polecenia kolegi lub koleżanki.

– Przestał czytać, chociaż do momentu pójścia do szkoły uwielbiał to robić – mówi Agnieszka Walędziak, mama dziesięcioletniego Bronka. – Szkoła jest wystarczająco angażująca, do tego zajęcia dodatkowe, prace domowe... Czytanie zaczyna kojarzyć się z przymusem, zwłaszcza kiedy trzeba brnąć przez lektury napisane archaicznym językiem.

Na liście lektur obowiązkowych dla klas I-III widnieje co prawda bestseller ostatnich lat, czyli „Niesamowite przygody dziesięciu skarpetek" Justyny Bednarek, ale dominują książkowe klasyki, jak baśnie braci Grimm, Andersena, „Karolcia" czy „Dzieci z Bullerbyn" Astrid Lindgren. Ostatnia pozycja, uwielbiana przeze mnie jeszcze w wieku przedszkolnym, jest przez moje dzieci traktowana zupełnie bez serca. Przepiękne wydanie Naszej Księgarni wielokrotnie zapowiadało uroczy wieczór z pacholętami zasłuchanymi u mych stóp. Niestety, przygody wiejskiej gromadki zostały druzgocąco zignorowane. – Mamo, lepiej opowiedz jakąś historię o duchach – ziewnęła czterolatka.

I nie tylko moje dzieci pozostały obojętne na sielski pejzaż Bullerbyn. – Kompletny brak zainteresowania – opowiada Olga Wróbel, krytyczka literacka i autorka bloga książkowego Kurzojady. – Moja córka okazała się odporna na uroki szwedzkiej wsi.

Mieszkanie Olgi jest pełne książek – dla dorosłych i dla dzieci, więc jej córka ma w zasadzie nieograniczony dostęp do lektury. – Sama czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce. Podobnie moje dziecko: ma bardzo eklektyczny gust. Od Muminków, po przygody kucyków Pony. Całe szczęście wyrosła już z przygód Martynki, ale

nigdy szczególnie nie cenzurowałam jej zainteresowań czytelniczych.

Seria książek o Martynce to pokaźny cykl belgijskiego autora Gilberta Delahaye. Jest nawet starszy niż przygody wygłodzonej gąsienicy, bo pierwszy tom ukazał się w 1953 r. Sama treść nie jest szczególnie kontrowersyjna, jednak oryginalne ilustracje serii są mocno osadzone w estetyce lat 40. i 50. – cukierkowy realizm ze szczyptą pin-upu. Jednak w tym kontekście przygody kilkulatki, która zdaje się nosić pełen makijaż już od urodzenia i zalotnie błyskać majteczkami przy każdej okazji, nie tyle trąci archaizmem, co wzbudza dość uzasadniony rodzicielski niepokój.

Gusta pokoleń

Ceny książek i rosnąca popularność internetowych dyskontów czytelniczych sprawia, że do księgarni Ambelucja przychodzi klient specyficzny – tak zwany klient macający.

– Klienci księgarni to głównie rodzice, dziadkowie, członkowie rodziny i przyjaciele dzieci. Nie przychodzą po konkretną pozycję, raczej oczekują polecenia. Muszę czasem posługiwać się zaawansowaną intuicją: czy przejdzie coś progresywnego, czy zostajemy przy zachowawczych wyborach – opowiada Monika Szymkowiak. Tymczasem do księgarni wchodzi klientka – tym razem szuka czegoś dla siebie: – „Chciałabym coś do czytania, tylko nie romans ani inny kryminał. Nudno na tych wczasach".

To klientka kurortowa. W Ambelucji stoją trzy regały z lekturami dla dorosłych, stanowiące barwny miks czytelniczych gustów właścicieli. Wspominam witrynę księgarni z zeszłego roku – starannie wyeksponowane dzieła wszystkie rumuńskiego filozofa Emila Ciorana, mizantropa i fatalisty, wznowione niedawno przez oficynę Aleteia. – No tak – uśmiecha się Szymkowiak. – Miewamy takie wisielcze poczucie humoru. Zwłaszcza w gorszych biznesowo miesiącach.

Klienci przychodzący po prezent dla dziecka oczekują poleceń, ale nie zawsze są w stanie przekroczyć swoje wyobrażenia o tym, co spodobać się może obdarowanemu. – Czasem wystarczy, że klient zobaczy „niedziecięce" barwy i od razu widzę zmianę na jego twarzy. Kiedy indziej tematyka wydaje się za trudna. Chcemy chronić dzieci przed opowieściami – mimo że dostosowanymi do ich wieku – o tym, co w świecie nieciekawe, budzące lęk, złość, niezgodę.

> Próbowałam przekonać potomstwo do „Dzieci z Bullerbyn", mojej ukochanej książki. „Mamo, lepiej opowiedz jakąś historię o duchach" – ziewnęła czterolatka.

Tymczasem okazuje się, że dzieci może nie zawsze rozumieją wszystkie konteksty, ale na poziomie emocjonalnym czują metaforę. Dzięki książce są w stanie przepracować to, z czym w realnym świecie czasem trudno sobie poradzić: stratę, rozstanie, chorobę, inność.

Do lektur, o których wspomina Szymkowiak, należą z pewnością książki Piji Lindenbaum, skandynawskiej autorki, w Polsce znanej dzięki oficynie Zakamarki. Operują staranną, poetycką metaforą, która dzieci bawi, ale niepokoi i porusza rodziców. „Filip i mama, która zapomniała" to dość absurdalna opowieść o niedużej rodzinie, w której mama znienacka zmienia się w smokokształtną, różowo-obłą potworzycę. Przestaje zachowywać się jak mama, zapomina o swoim dziecku, wyczynia bezeceństwa, więc rolę opiekuna musi przejąć Filip. W ten sposób książka Lindenbaum oswaja z lękiem przed utratą rodzicielskiej opieki, może też być metaforą sytuacji, w której rodzic doświadcza choroby lub kryzysu psychicznego. W tak zwanej „książce trudnej" prym wiodą autorzy skandynawscy: wspomniana Lindenbaum, Anna Höglund (z poruszającym artbookiem dla nastolatków „O tym można rozmawiać tylko z królikami") czy doceniona również w Polsce Gro Dahle. Poetyckie książki tej ostatniej to między innymi „Zły pan" – opowieść o przemocy domowej, widzianej oczami dziecka-świadka, czy „Grzeczna" – historia o dziewczynce, która jest tak grzeczna, że w pewnym momencie przestaje być widoczna.

Co się komu podoba

Pytam o czytanie pięcioosobową grupę fokusową, złożoną z osób małoletnich: – Jakie książki lubicie?

Syn, lat 7: – O pociągach, komputerach. I „Psie sucharki", ale w sumie wolę oglądać te obrazki w internecie.

Córka, lat 4: – O duchach. O psie. O ludziach, którzy zmarli. O LOL Surprise (licencjonowana seria arcydrogich, nieekologicznych zabawek). Czy na święta dostanę domek dla LOL? Czy jakieś głupie książki?

Chłopiec, lat 11: – Kiedyś lubiłem komiksy. Teraz nie wiem.

Dziewczynka, lat 10: – Harry Potter. I podręcznik robienia glutów.

Dziewczynka, lat 6: – Wszystkie. Wszystkie o Krainie Lodu.

– Wolicie czytać sami, czy kiedy czyta ktoś inny?

Syn: – Babcia. I mama. I tato.

Ja: – Przecież umiesz czytać.

Syn: – Sam to tylko komiksy.

Córka: – Mama musi czytać.

Jedenastolatek: – Nikt.

Dziesięciolatka: – Mama.

Sześciolatka: – Sama sobie czytam (demonstruje improwizowane naprędce czytanie leżącej obok książki; nie umie czytać, więc tylko zabawnie komentuje ilustracje).

Padają tytuły: „Jak wytresować smoka", trudna w identyfikacji „książka, gdzie chłopiec wkłada rękę do piekarnika" („Uwaga, to niebezpieczne!" w serii Wydawnictwa Olesiejuk „Obrazki dla malucha"), „Wiersze" Jana Brzechwy (młodsze dzieci).

– Mamo, pamiętasz książkę o uciętych paluszkach? – zapewne chodzi o „Złotą różdżkę" Heinricha Hoffmanna, klasyka dziecięcej makabreski i purnonsensu.

– Najbardziej książki lubi pies – podsumowuje syn. – Zjadł wszystkie komiksy o Lego i Hildzie. ©

NATALIA FIEDORCZUK-CIEŚLAK
(ur. 1984) jest pisarką i piosenkarką, autorką nagrodzonej Paszportem „Polityki" powieści „Jak pokochać centra handlowe" (2016) oraz „Ulga" (2018). Mama dwójki dzieci.

Nieskończoność jako labirynt

ELIZA KĄCKA

Przełomowe tomy prozatorskie Borgesa wciąż zaskakują poziomem inwencji. Każdy z nich opiera się na koncepcie, na wzięciu serio jakiejś metafizycznej teorii, na rozwinięciu i obmyśleniu zakresu wybranych metafor.

Ileż zdań można utworzyć z dwudziestu czterech liter alfabetu?" – pyta Gombrowicz w „Kosmosie". Oj, czytał on Borgesowską „Bibliotekę Babel", czytał, choć za nic by się nie przyznał. I Miłosz czytał (co poświadcza „Nieobjęta ziemia"). Wszyscy czytali, biorąc jak swoje. Jak widać, Borges jest zaraźliwy.

Na warszawskiej promocji czwartego wydania „Fikcji" (!) przypomniano, że najbardziej borgesowski z tekstów Borgesa, „Tlön, Uqbar, Orbis Tertius" (w towarzystwie pół tuzina szlagierów tegoż) ukazał się w listopadowej „Twórczości" z roku 1969 – mamy więc jubileusz. U niektórych czytelników, bardzo wówczas nielicznych, tekst ten – wpół esej, wpół opowiadanie, forma bez precedensu w literaturze światowej – wywołał coś na kształt estetyczno-poznawczego wstrząsu. Tak ofensywnie podważać, kwestionować osobność zmyślenia i prawdy? To się w głowie nie mieści! Tekst ów, łamiący konwencje, relacjonował przy tym, co nie mniej istotne, niepowstrzymane zakradanie się świata urojonego w realny. Było w tym coś z transgresji, swoista perwersja tekstualna.

Wszystko to wyjaśnia, dlaczego Borges nazwał swą książkę „Fikcje": nowe treści, a tym bardziej nowy ton, domagały się nowej nazwy gatunkowej. I rzecz szczególna: ta nowość nie blaknie, obydwa przełomowe tomy Argentyńczyka, „Fikcje" (1941) i „Alef" (1944), wciąż zaskakują poziomem inwencji. Inwencja to zresztą dobre słowo, gdyż proza z tych zbiorów opiera się na koncepcie. Na wzięciu serio jakiejś metafizycznej teorii, na rozwinięciu i obmyśleniu zakresu wybranych metafor. To samo miał wkrótce autor „Tajemnego cudu" praktykować w esejach. Jeden z nich, „Kulę Pascala" (1951), zamyka sentencja: „Być może historia powszechna jest historią różnych intonacji kilku metafor". Być może i twórczość Borgesa jest historią różnych intonacji kilku metafor... Tak, na wzór innego sławnego eseju, „Analitycznego języka Johna Wilkinsa", napisać by należało studium „Język analityczny Jorgego Luisa Borgesa". Taka książka mogłaby powstać z powodzeniem – a, co symptomatyczne, książki o Borgesowskiej dialektyce światów, dialektyce fikcji i realności, nie dałoby się napisać bez redukcjonistycznej wymowy i puenty. Nie wiem, czy zawdzięczał to Schopenhauerowi, ale wyraźnie umknął „ukąszeniu heglowskiemu".

Nie mniej zagadkowa jest osobowość autora. Jak dowodził Jan Gondowicz, Borges to psyche bez reszty dwoista (acz nie pęknięta, jak dopowiedział Grzegorz Jankowicz). Jednym sobą ciąży ku folklorowi dawnych przedmieść Buenos Aires, ku legendom półświatka z przełomu XIX i XX wieku. Poświęcił im wiele opowiadań, właściwie ballad prozą, stanowiących wyraz fascynacji drapieżną bestią ludzką, prostymi regułami gangsterskiego honoru. Na całym świecie gangsterzy są niemal jednakowi; te same inklinacje zdradzał inny pisarz na drugiej półkuli. Nie jest jednak tak, że piewca gangsterów odeskich, Izaak Babel, i epik nożowniczych rozpraw ze slumsów Buenos nie słyszeli o sobie. Borges znał prozę Babla i już przed wojną recenzował ją w piśmie „El Hogar". Efekt w postaci imitacji stylu Babla, opowiadanie „Człowiek z przedmieścia", podziwiać można w tomie „Antologia osobista" (1968).

„Drugi" Borges – by tak go rozegrać po leśmianowsku na role – to pisarz spekulatywny. I tej właśnie inkarnacji mistrza opowieści nie mógłby zastąpić nikt inny. I jeśli połową jego duszy włada Bablowski heros Benia Krzyk, drugiej połowie patronuje bohater „Gry szklanych paciorków" Hermanna Hessego, Józef Knecht. Swoją drogą, mamy tu kolejny przykład niezwykłej zbieżności w czasie. Kiedy Hesse w 1943 r. wydawał swą powieść w Szwajcarii, nie mógł wiedzieć, że w Buenos Aires grę szklanych paciorków ktoś już w najlepsze (choć od niedawna) uprawia. Owa gra, jak pamiętamy, to zajęcie elity fikcyjnej Kastalii, polega zaś na kombinowaniu nowych całości z oryginalnych idei filozoficznych, archetypów, wielkich metafor, świadectw literackiego i artystycznego kunsztu. Gracze tworzą w tym celu „własny język ludyczny, złożony z wzorów, skrótów i kombinacji", wyraz „pewnej świadomej umysłowej dyscypliny", dającej intelektualną rozkosz. Jak uczy powieściowy mistrz gry, magister ludi Józef Knecht, Borges znalazł sobie własne szklane paciorki: tu czytelnik wysypuje z zasobnika skojarzeń obrazy czy pojęcia, które z imaginarium Borgesowskim kojarzy. Co jeden pisarz wymyślił, drugi spontanicznie, a potem zapewne świadomie wcielał w życie.

Obserwowana z bliska gra Borgesa zdradza swoje reguły. W eseju „Od alegorii do powieści" (1949) czytamy: „Coleridge zauważa, że wszyscy ludzie rodzą się arystotelikami lub platonikami; ci ostatni czują, że idee są rzeczywistościami, pierwsi, że są uogólnieniami; dla tych drugich język nie jest niczym innym, jak tylko systemem arbitralnych symboli, dla pierwszych – mapą wszechświata. (...) Poprzez szerokości geogra-

HORACIO VILLALOBOS / CORBIS / GETTY IMAGES

Jorge Luis Borges, Buenos Aires, 1973 r.

ficzne i epoki dwaj nieśmiertelni antagoniści zmieniają dialekt i imię: jeden to Parmenides, Platon, Spinoza, Kant, Francis Bradley; drugi to Heraklit, Arystoteles, Locke, Hume, William James". Słowo w słowo powtarza to esej „Słowik Keatsa": „Ludzie, powiedział Coleridge, rodzą się arystotelikami lub platonikami". I jeszcze raz w opowiadaniu „Deutsches requiem" z „Alefa": „Powiedziane jest, że ludzie dzielą się na arystotelików i platończyków". Borges jest nominalistą, wyznawcą Heraklita i spółki, i stąd wytrwale tropi oszałamiający i niepojęty dlań światoogląd platoński.

W „Autobiografii" wspomina, jak ojciec na szachownicy wyjaśniał mu Zenonowy paradoks Achillesa i żółwia. Z tą właśnie aporią – pod różnymi jej postaciami – Borges zmagał się całe życie. Tym, co się za nią kryje, jest zagadka nieskończoności i jej wersji w wymiarze czasu – wieczności. Skoro Achilles nigdy nie dogoni żółwia, biec będzie w nieskończoność. W ujęciu Zenona metafizyczny sens paradoksu interferuje z matematycznym – a to czyni owo pojęcie, by tak rzec, jeszcze bardziej niepojętym. Borges podąża zawsze tropem nieskończonego regresu, drogą, którą postępowali poszukiwacze dowodów na istnienie Boga, a zarazem szlakiem matematycznym, aż po ideę rachunku różniczkowego. „Linia składa się z nieskończonej ilości punktów; płaszczyzna z nieskończonej ilości linii" (bryła – trzeba by dodać – z nieskończonej ilości płaszczyzn...) – czytamy w późnym opowiadaniu „Księga piasku" (1975). To (ściśle) wywód XVII-wiecznego matematyka nazwiskiem Bonaventura Cavalieri. Nie przypadkiem drugi zbiór próz spekulatywnych, wraz z opowiadaniem tytułowym, zapożycza od Georga Cantora miano „Alef". ℵ, symbol wszystkich nieskończoności, które zarazem są jednią.

Borges jest nominalistą, wyznawcą Heraklita i spółki, i stąd wytrwale tropi oszałamiający i niepojęty dlań światoogląd platoński.

Pisząc opowiadania, Borges stara się wysłowić – drogą okrężną, pracą wyobraźni na skrajach jej zasięgu – to, co nie daje się ująć w słowa wprost: nieodpartą intuicję, że nieskończoność nie jest ciągiem dalszym skończoności. To różnica inna niż między „mniej" a „więcej", a więc metafizyczna. W istocie pisarz sięga tu po technikę myślenia zwaną *docta ignorantia* – niesamowitą logikę apofatyczną raz tylko, o ile pamiętam, przywołanego przezeń kardynała Mikołaja z Kuzy (XV wiek). Tego, który wykazał, że obwód nieskończenie wielkiego okręgu nie różni się od prostej, a okrąg nieskończenie mały jest swoim własnym centrum. Światy Borgesa – nieskończona biblioteka, nieskończenie rozgałęziająca się powieść, nieskończenie rozmaite „pismo" cętek jaguara – to próby, w których *docta ignorantia*, uczona niewiedza, staje do walki z dialektyką nieskończoności.

Trudy to bezowocne, lecz niedaremne. Na starość Borges lubił przytaczać zdanie z powieści Williama Hudsona „Purple Land", o przygodach młodego Anglika na pampie: „Wielokrotnie w życiu zaczynałem studiować metafizykę, ale zawsze przerywało mi szczęście". Także i dla autora „Twórcy", w jednym wyrażało się drugie. I w nim się spełniało. ©

• *Jorge Luis Borges*
FIKCJE
przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski, Stanisław Zembrzuski
PIW
Warszawa 2019

Bez rozstrzygnięć

GRZEGORZ JANKOWICZ

W powieściach i opowiadaniach Kafki człowiek wrzucony jest w świat, w którym nigdy nie jest u siebie, w którym nieustannie coś go dezorientuje.

Książka Tadeusza Sławka jest zbiorem komentarzy do tekstów Kafki. Przede wszystkim do opowiadania „Lekarz wiejski", ale nie tylko. W konstelacji interpretowanych utworów znajdują się również powieści, dzienniki oraz listy praskiego pisarza. Celem jest rekonstrukcja wyjątkowego doświadczenia życia oraz uchwyconej przez Kafkę i konsekwentnie przez niego opisywanej struktury nowoczesnego świata, którą Sławek nazywa „przestrzenią bez rozstrzygnięć". Jaka jest jej specyfika?

Bohater powieści „Zabliźnione serca" Maksa Blechera ma wrażenie, że ktoś wymazał kontury rzeczywistości, wyjął nić, która nadawała spoistość tkaninie świata. W jednej chwili to, co stałe, zostało upłynnione, przekształciło się w rwący potok zagarniający ludzi i rzeczy. Przyczyną tego dojmującego poczucia nieokreśloności jest u Blechera informacja o nieuleczalnej chorobie (bohater dowiaduje się, że cierpi na gruźlicę kręgosłupa). Od teraz świat będzie mu się jawił i będzie przez niego przeżywany jako siedlisko chaosu pozbawione jakichkolwiek stałych punktów odniesienia.

W opowiadaniach i powieściach Kafki rzeczywistość przyjmuje inny kształt. Wydaje się doskonale zorganizowana i osadzona na solidnych fundamentach. Wypełniają ją liczne instytucje, które przytłaczają swym rozmiarem. Stający u ich wrót człowiek jawi się (samemu sobie i innym) jako nieadekwatny, zbyt mały, by przekroczyć ich próg i upomnieć się o swoje prawa. Nawet jeśli uda mu się wejść do środka, nawet jeśli podejmie próbę działania, to i tak nie zdoła przezwyciężyć piętrzących się na każdym kroku przeszkód. Nie osiągnie swego celu. Więcej – w pewnym momencie, zmęczony walką, strudzony szamotaniną, utraci ów cel z pola widzenia.

Według Sławka dzieje się tak dlatego, że opisywany przez Kafkę świat jest właśnie przestrzenią bez rozstrzygnięć. Nie oznacza to jednak, że nie można w nim sformułować żadnego sądu na temat określonych zdarzeń. Chodzi o to, że rozstrzygnięć jest zbyt wiele. Na dodatek wszystkie posiadają ten sam status, nie sposób zatem dokonać między nimi wyboru. Zasadność każdej decyzji może zostać podważona, i to nie przez jakąś zewnętrzną instancję, lecz przez nas samych. Spacerujący po ulicy bohater Kafki, inaczej niż postać z powieści Blechera, ma wrażenie, że świat nie utracił spoistości, lecz go przerasta, że do tego świata nie przystaje, że jest jego wadliwym elementem, który nigdy nie powinien się w nim pojawić. „Mówiąc inaczej – pisze Sławek – to przestrzeń, w której nigdy nie jestem *u siebie*, która – pomimo wszelkiej familiarności – wykorzystuje pierwszą sposobność, by mnie *zde-zorientować*".

> W przestrzeni bez rozstrzygnięć, niestrudzenie opisywanej przez Kafkę, jest zbyt wiele rozwiązań, które posiadają ten sam status, nie sposób zatem dokonać między nimi wyboru. Zasadność każdej decyzji może zostać z łatwością podważona.

Dlatego nie wiadomo, kto jest sprzymierzeńcem, a kto wrogiem, co przyniesie wybawienie z opresji, a co zgubę. „*Przestrzeń bez rozstrzygnięć* nie pozwala na ścisłe odgraniczenie ratunku od zagłady (obie możliwości są nie tylko dopuszczalne, ale niejako wzajemnie się w sobie zawierają), przyjaznego przyjęcia od uwięzienia, pomocy od pognębienia".

Co pozostaje? Sławek sugeruje, że jedynym rozwiązaniem jest coś, co za Paulem Tillichem można nazwać „męstwem bycia". Musimy – jak czyni to Kafka – uchwycić istotę świata, w którym przyszło nam żyć, zdemaskować jego opresyjną strukturę, a następnie przystąpić do obchodzenia znajdujących się w nim przeszkód. Jeśli niemożliwe jest ich usunięcie, trzeba zmienić charakter własnych działań. „Posługując się teatralną metaforą – pisze Sławek – moglibyśmy powiedzieć, że zadaniem naszym jest nieustannie podejmować *próby*, które jednak nigdy nie zostaną zwieńczone *premierą*". Jakiej siły trzeba, by wytrwać w podobnej sytuacji, jak wielką determinację należy w sobie wyzwolić, by w takich okolicznościach nie wyrzec się istnienia i nie zrezygnować z jego obrony przed zawłaszczającymi mechanizmami rozmaitych instytucji? Kafkowscy bohaterowie – paradoksalnie – czerpią energię z bezsiły i beznadziei. Ich opór jest tym większy, im mniejsze są szanse na zbawienie. ©℗

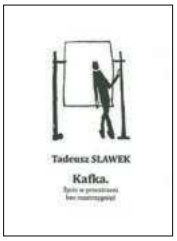

• *Tadeusz Sławek*
KAFKA. ŻYCIE W PRZESTRZENI BEZ ROZSTRZYGNIĘĆ
Instytut Mikołowski
Mikołów 2019

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

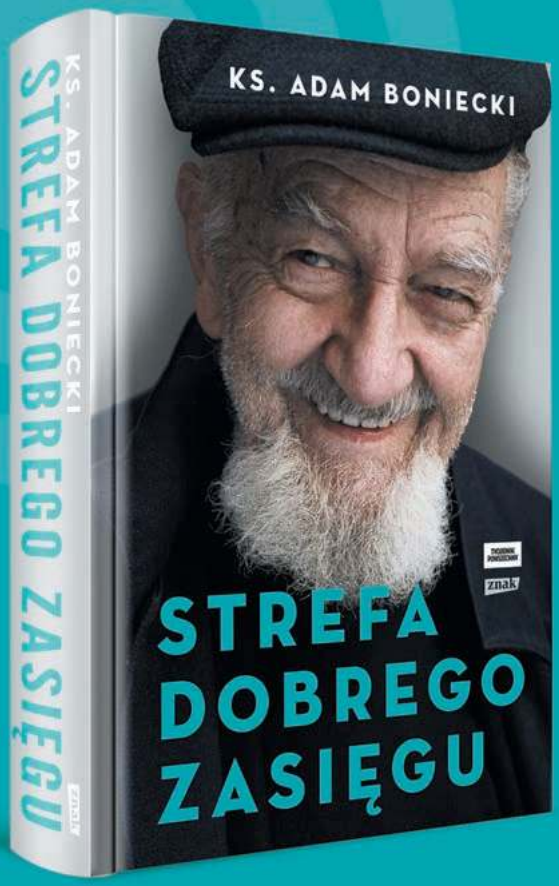

BO JEST TAKI KSIĄDZ, KTÓRY...

... przywraca nadzieję
... przywraca wiarę
... wprowadza równowagę

- Jaka przyszłość czeka Kościół w Polsce?
- Czy da się dziś być prawdziwym katolikiem?
- Dlaczego dla ks. Adama ważne są drzewa?
- Jaki jest ksiądz za kierownicą?
- Jak wciąż żyć pełnią życia po 85. urodzinach?

PRZEŻYJ ŚWIĘTA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

Kod rabatowy: **StrefaTP**

w księgarni **www.znak.com.pl**

Dostajemy tu dużo więcej niż komentarz do rzeczywistości. Dostajemy wgląd w świat księdza Adama, taki, który nie ogranicza się do spraw Polski, Kościoła i „Tygodnika". Spotkania z przyjaciółmi i wspomnienia z młodzieńczych wspinaczek wysokogórskich, wyznanie nieprzemijającej słabości do zakupów w galerii handlowej i refleksja o niewłaściwości mrugania światłami po spotkaniu z wyposażonym w radar policyjnym patrolem. Przepisy na dobre świętowanie ważnych wydarzeń z kalendarza liturgicznego. Relacje z wydarzeń przełomowych. Szpile wbijane w co bardziej nadmuchane balony. „Gdybym był Konferencją Episkopatu Polski..." – zaczyna jeden z tekstów. Trochę szkoda, że nie jest. Całe szczęście, że nie jest.

znak

TYGODNIK POWSZECHNY

Michał Okoński,
redaktor tomu i dziennikarz „Tygodnika Powszechnego"

Schulz Barbarzyńca

MONIKA OCHĘDOWSKA

Zapewne i tym razem Żulczyk przyciągnie nastoletniego czytelnika na przemocowo-pornograficzny lukier. Problem polega na tym, że jego proza nie ma do zaoferowania wiele więcej.

To nie jest dystopia – wtrąca gdzieś w okolicach dwusetnej strony „Czarnego słońca" sam autor, jednocześnie jeden z bohaterów powieści. Słusznie, szkoda byłoby podsumowywać jego nieposkromioną wyobraźnię tym jednym, wyeksploatowanym skądinąd określeniem. Choć czytelnikom, którzy lubią gatunkowe etykietki, trudno będzie pokrótce wytłumaczyć, z czym mamy tu tak naprawdę do czynienia. Najnowsza książka Jakuba Żulczyka to próba osadzenia powieści łotrzykowskiej w scenografii rodem z Quake'a. Horror klasy B z elementami apokryfu. A także bestialska pornografia uzupełniona traktatem filozoficznym dla tych, którzy właśnie skończyli lekturę „Świata Zofii".

Wielka Polska oglądana z niedalekiej przyszłości to kraj wyznaniowy, którym zarządza wielbiony przez tłumy rodaków Ojciec Premier i ekipa jego dość niesympatycznych doradców – między innymi chudy faszysta z zaczeską i stara zakonnica. Właśnie opuściliśmy Unię Europejską i wreszcie zupełnie już oficjalnie i bez żadnych ceregieli możemy w końcu rozprawiać się ze wszystkimi znienawidzonymi Innymi – Żydami, uchodźcami, homoseksualistami.

Główny bohater „Czarnego słońca", niejaki Gruz, niegdyś grubawy, zaniedbany chłopiec fantazjujący o Conanie Barbarzyńcy, obdarzony wciąż rozrastającymi się barkami, terroryzuje swoje otoczenie. Reprezentuje przy tym kompletny katalog ksenofobicznych przekonań i brutalności. Choć trzeba przyznać, że Żulczyk jest zawsze o krok dalej, coraz śmielej spełniając na oczach czytelników mroczne kaprysy swojego bohatera. Gruz zostaje wreszcie współzałożycielem neonazistowskiej bojówki, której największym sukcesem będzie spalenie domu zamieszkanego przez uchodźców, głównie matki z dziećmi. Wzorowe wykonanie powierzonego przez gościa z zaczeską zadania sprawia, że rząd składa Gruzowi propozycję nie do odrzucenia.

„Czarne słońce" tryska przemocą godną najlepszych strzelanek i kreskówek dla dorosłych. Co rusz urywa komuś pół szczęki, wylewają się ciecze z oczodołów albo wycieka mózg. Można stracić głowę od uderzenia maczetą, zostać zmiażdżonym na dżem albo podpalonym żywcem. Do bólu sprawnie opisane są też wszystkie akcje terrorystyczne, sceny walki i pościgów. Nawet w sposobie prowadzenia dialogów, które jeszcze we „Wzgórzu psów" mocno szeleściły papierem, Żulczyk dosyć się podciągnął. Niemniej wszystkie te fabularne fajerwerki tylko odwracają uwagę od banalności diagnoz, jakie mimochodem wtrąca autor, który zresztą co rusz tłumaczy się za swojego bohatera.

O czym zatem rozprawia Gruz, gdy przestaje się „grzmocić" w łóżku i poza nim? Gdy doświadcza dobra i piękna? Gdy doznaje krótkiego wglądu w istotę rzeczy? „Człowiek musi wyzwolić się z manipulacji dokonywanych przez władzę, przez religię" albo „Przetrwamy tylko wtedy, gdy zaakceptujemy zmianę jako silnik wszystkiego".

Nieprzypadkowo refleksje filozoficzne utrzymane są tu na poziomie niezbyt oczytanego nastolatka. Gruz to właśnie taki typ – niby dorosły, wielki i silny, a przecież nie skończył nawet podstawówki. A żeby pozostali „dorośli" nie mieli w tej książce zbyt wiele do powiedzenia (wyjątkiem jest para starzejących się gejów, niegdyś dość popularnych publicystów), autor na wszelki wypadek zamyka im usta kopniakiem głównego bohatera.

Żulczyk wciąż pozostaje pisarzem próbującym dotrzeć do wyobraźni i wrażliwości nastoletniego czytelnika (książkę można kupić wraz z czapką i koszulką). I zapewne tym razem przyciągnie go na przemocowo-pornograficzny lukier. Problem w tym, że jego proza nie ma do zaoferowania wiele więcej. Trudno bowiem traktować poważnie pseudofilozoficzne i pseudoreligijne apokryficzne wtręty albo widzieć w nich – nawet na przekór autorowi – przestrogę przed dystopijnymi scenariuszami.

A już zapraszanie do tego całego bałaganu Brunona Schulza, które odczytuję jako próbę wzniesienia książki na wyższy poziom metanarracji i mrugnięcia okiem do bardziej wyrobionego czytelnika – wygląda wręcz kuriozalnie. A może to jedyny naprawdę udany dowcip Żulczyka? ©℗

„Czarne słońce" to bestialska pornografia uzupełniona traktatem filozoficznym dla tych, którzy właśnie skończyli lekturę „Świata Zofii".

• *Jakub Żulczyk*
CZARNE SŁOŃCE
Świat Książki
Warszawa 2019

Dama z pieskiem

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Kuźniak tworząc biografię Boznańskiej myśli o tekście przede wszystkim jako o ludzkiej historii – nieutopionej w przydługawych opisach oraz niezliczonej liczbie dat i nazwisk.

Okoliczności sprzyjają: bohaterka nie żyje, spadkobierców nie ma, autorce nie grożą pretensje, awantury, procesy o zniesławienie. Dostępne jest też archiwum listów Olgi Boznańskiej, a to dla biografa żyła złota. Zachowały się również przedmioty należące do artystki: puderniczka, kamizelka, torebka. Woda na młyn dla wyobraźni biografki.

I teraz pytanie, przed którym Angelika Kuźniak na pewno stanęła: jak z tych martwych szczątków – śladów przeszłości – zbudować żywą, uczciwą, pasjonującą opowieść o kobiecie urodzonej półtora wieku temu, obywatelce świata, mieszkance Krakowa, Monachium i Paryża? W przypadku tej kobiety – postawionej przez los w roli córki, siostry, narzeczonej, ale przede wszystkim portrecistki, spod pędzla której wyszła „Dziewczynka z chryzantemami", dziś masowo reprodukowana i zdobiąca co drugą poczekalnię przychodni – zadanie nie jest łatwe.

Warsztat biograficzny Angeliki Kuźniak przypomina stanowisko pracy tkacza. Krosnem są reguły rządzące reportażem – myślenie o tekście jako o *human story*, ludzkiej historii nieutopionej w przydługawych opisach oraz niezliczonej liczbie dat i nazwisk. Fakty tworzą kontur, a wypełniają go uczucia i motywacje. Nicią są pojedyncze zdania – znaki intymności, refleksji, przekonań wyłowione z korespondencji.

Nićmi są też fotografie, wykonane aparatem wielkoformatowym z długim czasem naświetlania. Szczególnie przykuwają uwagę te, na których Olga, zazwyczaj z lekko uniesioną głową, jakby cały świat traktowała z góry, jest królową kadru – w kapeluszu na głowie, z pieskiem na ręku, z papierosem w ustach, w japońskim stroju na drobnym ciele.

Nićmi są wycinki z ówczesnej prasy, oddające koloryt epoki, w której kobiety do roku 1920 nie miały wstępu do krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Nićmi są wypowiedzi kolegów po fachu Boznańskiej, uzmysławiające, z jaką ścianą niezrozumienia zderzyła się ta artystka. Malczewski o Boznańskiej: „to zakopcone sadzą malarstwo".

Nićmi są dokumenty dotyczące kamienicy Boznańskich w Krakowie przy ulicy Wolskiej (dziś Piłsudskiego) – źródła wiecznych utrapień i miejsca symbolicznego. Z tych nici tkanych przez Kuźniak prostym ściegiem (czytaj: oszczędnym językiem) wyłania się sylwetka osoby, która czuje pewność wyłącznie w jednej sytuacji: stojąc przy sztaludze z pędzlem i paletą.

Poza sztuką każda inna sfera życia jest dla Boznańskiej czarną dziurą. Finanse: rzadko dobrostan, zazwyczaj na granicy normy, najczęściej pod kreską. Zdarzają się desperackie momenty, kiedy malarka zmuszona jest płacić obrazami. Emocje: pasmo porażek. W obliczu miłości Józefa Czajkowskiego czuje wewnętrzny paraliż, nie ma odwagi, by przełamać lęk przed dotykiem. Po dekadzie przyjaźni mężczyzna, umordowany depresyjnością Olgi, pożegna się na zawsze lodowatym listem. A przed Olgą jeszcze 40 lat życia, w czasie których samotność coraz silniej zmraża ją od środka. Istnieją hipotezy, że przyczyną emocjonalnej chwiejności Boznańskiej był ojciec molestujący ją w dzieciństwie. Kuźniak o tym wspomina, lecz ostrożnie. Nie znajduje twardych dowodów, a domysły to za mało.

I jeszcze pełna napięć relacja Olgi z Izą, młodszą siostrą. Obie kochają się i nienawidzą, wspierają się, jednocześnie są o siebie zazdrosne. Sprawę komplikuje uzależnienie Izy od morfiny i alkoholu. Kiedyś napisze do Olgi: „To zdumiewające, jaką wagę ludzie przywiązują do życia. Doczesność pełna jest przecież cierpienia fizycznego, bólu, rozpaczy, a mimo wszystko uważana jest za lepszą niż śmierć". Iza popełnia samobójstwo w 1933 r. Olga nie ma już nikogo.

Malarka szarości – mówi się o Boznańskiej. Kuźniak jednak udowadnia, że to złudzenie: pociągnięcia pędzla na jej obrazach to mieszanki kilkudziesięciu różnych barw, do samej źrenicy „Dziewczynki z chryzantemami" użyje siedmiu pigmentów, do białka oka sześć.

Kuźniak swoją wielowarstwową książką robi krok w stronę jednej z największych malarek XX wieku. A zbliżając się, pokazuje bezkompromisowość uprawianej przez nią sztuki, dla której poświęciła każdy inny obszar swojego życia. ©℗

> Artystka zderzała się ze ścianą niezrozumienia. Malczewski o Boznańskiej: „to zakopcone sadzą malarstwo".

• *Angelika Kuźniak*
BOZNAŃSKA. NON FINITO
Wydawnictwo Literackie Kraków 2019

Ciemniejsze ścieżki

MICHAŁ SOWIŃSKI

Proza Nowickiego przypomina gęsty, ciemny potok słów, postaci i zdarzeń, które bezlitośnie obmywają czytelnika, wypłukując spod jego nóg resztki stałego gruntu.

Dromomania to przypadłość dziwna i przerażająca. Cierpiący na nią potrafią przemieszczać się bez świadomości wiele kilometrów, czasem przez całe kontynenty, budząc się nagle w obcym miejscu – zagubieni, wystraszeni i pozbawieni pamięci. To przypadłość dziwna również dlatego, że odmówiono jej należytego miejsca w naukowych klasyfikacjach chorób. Na początku XX wieku uznana za romantyczne z ducha dziwadło, dziś raczej uchodzi za metaforę, a w najlepszym razie za nieprecyzyjny czy też potoczny opis innych, lepiej udokumentowanych schorzeń natury psychologicznej czy neurologicznej. Nic więc dziwnego, że dromomania, a także jej synonimy: drapetomania czy poriomania, opuściwszy krainę stabilnych pojęć medycznych, stały się figurami egzystencjalnymi, metaforami opisującymi trudno uchwytną kondycję człowieka, czującego bolesny przymus ciągłego przemieszczania się.

Dlatego też nie o precyzyjną psychofizyczną epikryzę w „Cieśninach" chodzi. Więcej, proza Nowickiego jest jak najdalsza od chłodnej, rzeczowej analizy. Przypomina raczej gęsty, ciemny potok słów, postaci i zdarzeń, które bezlitośnie obmywają czytelnika, wypłukując spod jego nóg resztki stałego gruntu. A jeśli już o nogach mowa – jest to u cierpiących na przymus włóczęgi kluczowa część ciała. Bohaterowie książki Nowickiego, wbrew swojej woli, zredukowani zostają wyłącznie do nóg. Błądzą bez celu po świecie, zdzierają bez litości i opamiętania kolejne pary butów. A jedynym materialnym zapisem tej odbywającej się poza pamięcią wędrówki pozostaje stopień zużycia zelówek. Dromomania bowiem zakłóca chronologię doświadczenia, szatkuje życie na serię niepowiązanych ze sobą epizodów. A co znajduje w oddzielających je wyrwach? Czarną, wymykającą się słowom ciecz, o której mimo wszystko Nowicki próbuje nam opowiedzieć.

Ostatnimi czasy w cenie są książki o podróżowaniu. Czasem ktoś jedzie na koniec świata, kiedy indziej idzie tylko kilka ulic dalej. Skala odległości i egzotyki bywa różna, cel jednak pozostaje ten sam – opowiedzieć historię ze swojej wyprawy. O takich książkach czasem mówi się przy pomocy nieco wyświechtanej formułki „autor zabiera nas do...". W tym przypadku jednak trudno powiedzieć, gdzie właściwie zabiera nas Nowicki. Czy to w ogóle jest jakieś miejsce? Owszem, pojawiają się geograficzne nazwy własne, przewija się Tanger i Stambuł, także Paryż i inne europejskie miasta, ale poza tym faktografii tu niewiele. Przed naszymi oczami przewijają się raczej nieskończone krajobrazy jakiejś mrocznej nie-do-przestrzeni, miejsca niedookreślone i nieustrukturyzowane, które bardziej cechuje ciemna potencjalność niż klarowna konkretność. Wąski obszar między jednym a drugim lądem – cieśnina właśnie, której nie da się przejść suchą stopą.

Albo jeszcze inna metafora – bohaterowie Nowickiego poruszają się tunelami, w których niewiele widać. Dlatego też ze swoich wędrówek przywożą jedynie okruchy, wyrwane z kontekstu i pozbawione wartości szczegóły. Nie da się z nich ulepić barwnych i wciągających historii, w ogóle niewiele da się o nich opowiedzieć. Można jedynie

REKLAMA

DZIENNIK, REPORTAŻ CZY POWIEŚĆ?

NIE MUSISZ WYBIERAĆ

WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

WYDAWNICTWO | krytyka polityczna

gorączkowo szukać kolejnych porównań i metonimii, miejsc i stanów podobnych, dających choćby mgliste wyobrażenie o nieuchwytnej istocie rzeczy. Dlatego „Cieśniny" to potoki słów spływające ze wszystkich stron – wątłe nitki fabularne rwą się, napotkane przypadkowo postaci opowiadają chaotyczne historie, co chwila przerywając sobie nawzajem i gubiąc wątek.

Rewersem uszkodzonej pamięci, która nie potrafi już dłużej w sensowny sposób filtrować rzeczywistości, jest inflacja wrażeń, kompletne ich wypłaszczenie. Skoro nie wiemy, co jest ważne, być może zapisać należy wszystko, licząc, że z tych zachłannie gromadzonych odpadków samoczynnie, warstwa po warstwie, ułoży się jakaś struktura sensu. Dlatego z tej podróży nie da się przywieźć żadnego uroczego suweniru, którym później można chwalić się znajomym na portalach społecznościowych. Wszystko okazuje się zetlałe, tandetne – każda materia rozłazi się w rękach. Nie istnieje ani jeden czysty kadr, wszystko jest beznadziejnie uszkodzone.

> Cały czas poruszamy się po miejscach, których żaden flaner nie obdarzy czułą melancholią. Nie istnieje ani jeden czysty kadr, wszystko jest beznadziejnie uszkodzone.

W „Cieśninach" cały czas poruszamy się po miejscach, które na co dzień omija się wzrokiem, a ewentualne wspomnienie o nich zostaje starannie wyretuszowane: zarośnięte chaszczami torowiska na przedmieściach małych, przemysłowych miast czy anonimowe tunele metra wielkich metropolii. Przestrzenie, których żaden flaner nie obdarzy czułą melancholią. Do tego wszędzie śmieci – całe łańcuchy górskie uformowane z podartych foliówek i wyblakłego plastiku, spod których wypływa śmierdząca, ciemna ciecz.

Biegnąc tymi zatęchłymi korytarzami i ledwo widocznymi ścieżkami łatwo się zgubić. I nie chodzi tu o borgesowski z ducha labirynt śmiechu, w którym można przyjemnie i beztrosko się zatracić, tylko o zdradzieckie grzęzawiska, gdzie każdy krok może okazać się zgubny. „Byłem, a jakby mnie tam nie było, i znowu wracałem bez niczego", podsumowuje Nowicki podróż, w którą nas zabrał. Ale to nie do końca prawda – coś się do nas przylepia, na podeszwach butów zostaje jakaś niedająca się sczyścić maź. Niewypowiedzianie ciemna, niebezpiecznie fascynująca. ©℗

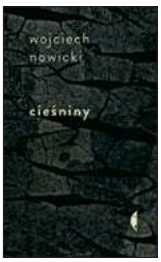

• *Wojciech Nowicki*
CIEŚNINY
Czarne
Wołowiec 2019

REKLAMA

Książki dostępne w dobrych księgarniach i na **www.iskry.com.pl**

Książki w pigułce

Gwiezdna kartografia

Percival Lowell, ekscentryczny XIX-wieczny astronom, przez lata bronił tezy o istnieniu życia na Marsie i Wenus. Wpatrując się latami w powierzchnię obu planet, dostrzegł na ich powierzchniach układ linii, który zinterpretował jako system kanałów stworzonych przez rozumną cywilizację. W 2003 r. naukowcy analizując szczegółowo zapiski badacza, odkryli, że w tym przypadku nie chodziło o zwykłe oszustwo (powszechnie praktykowane w owym czasie). Linie, które dostrzegł Lowell, były bowiem siatką naczyń krwionośnych jego własnego oka odbitego w soczewce. Historia gwiezdnej kartografii to, jak udowadnia Brooke-Hitching, nie tylko triumf ludzkiego umysłu, ale też seria spektakularnych pomyłek. Od prehistorycznych malunków aż po zdjęcie czarnej dziury – „Atlas nieba" to niezwykła opowieść o ciągłej potrzebie opisywania i porządkowanie tego, co nad naszymi głowami.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

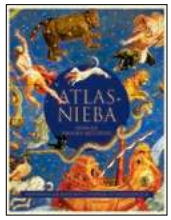

▪ **ATLAS NIEBA**
Edward Brooke-Hitching
przeł. Janusz Szczepański
Rebis, Poznań 2019

Kroniki małych spraw

Sándor Márai pisał w dzienniku, że jego talent przewyższa całą czytaną przez niego amerykańską literaturę, a Peter Esterhazy określił go mianem nieuchwytnego i wielobarwnego. Zachwyty są jak najbardziej na miejscu, bowiem Dezső Kosztolányi, mistrz węgierskiej nowelistyki z przełomu XIX i XX wieku, ma sobie niewielu równych. Wydany zbiór mikroopowiadań „Dom kłamczuchów" dowodzi nie tylko jego znakomitego literackiego stylu – pełnego kunsztu i precyzji, a przy tym niepozbawionego prostoty – lecz także przenikliwości w opisywaniu mieszczaństwa epoki schyłkowej CK monarchii. To kroniki małych spraw i cichych dramatów – chór głosów z kameralnych mikroświatów, wyśpiewujący pokrytą kurzem pieśń smutku i tęsknoty. A pustka, która po nich pozostaje, rezonuje. Jak powiada jeden z narratorów „nie jest ona zanikiem głosów, tylko czymś żywym, pełnym ruchu, jak dramatyczna cisza po wystrzale".

© OLIWIA FRYC

▪ *Dezső Kosztolányi*
DOM KŁAMCZUCHÓW. OPOWIADANIA WYBRANE
przeł. Teresa Worowska
PIW, Warszawa 2019

Duchy epoki

Przełom wieków, belle époque, II Rzeczpospolita: duchy, tajemnice zza grobu, morderstwa z zazdrości, zaginione klejnoty, ektoplazma, magnetyzm i mesmeryzm. Z dzisiejszej perspektywy czasy „jasnowidzów i detektywów" – raczkującej kryminologii, daktyloskopii i medycyny sądowej, ale też wirujących stolików i wszechpotężnych mediów, czasy oszustów i ideowców, szarlatanów i geniuszy – jawią się jako fascynujące w swej egzotyce, pełne zadziwiającej naiwności i perfidnego wyrachowania. Wybuchowy koktajl nauki i pseudonauki, którym był spirytyzm, wzbudza dziś uśmiech, ale gdy przyjrzeć mu się bliżej, to jego składniki wydają się dobrze znajome: niezgoda na tajemnicę, odwieczna potrzeba zajrzenia na „drugą stronę", wiara, nadzieja i ignorancja. Książka Haskiej i Stachowicza to fascynująca podróż w czasy triumfów hipnozy, jasnowidztwa i prasy brukowej. Można się z niej wiele dowiedzieć i nie sposób się przy niej nudzić.

© MAŁGORZATA FUGIEL-KUŹMIŃSKA

▪ *Agnieszka Haska, Jerzy Stachowicz*
JASNOWIDZE I DETEKTYWI
Post Factum, Warszawa 2019

Zaklęty krąg

Świetna, mocna powieść o przemocy na francuskiej, robotniczej prowincji. Louis przyznaje się, że podstawę dla jego pisarstwa wyznaczają obserwacje socjologiczne Didiera Eribona, ale w swojej debiutanckiej powieści wychodzi daleko poza problem robotniczego awansu społecznego: jego bohater, młody homoseksualista, jest sekowany przez otoczenie. Nie ma co liczyć na pomoc rodziny, która wstydzi się jego „babskości". Najważniejszym tematem jest tu właśnie dorastanie Eddy'ego, ale w tle rysuje się bardzo rozbudowane studium przemocy społecznej i rodzinnej, powszechnie stosowanej i chwalonej, uznawanej za kryterium męskości. Louis obserwuje transfer zachowań agresywnych: pijany dziadek leje swoje dzieci, pijany ojciec walczy pod knajpą z kolegami, bracia biją się między sobą. Z tego zaklętego kręgu nie ma ucieczki. Nagle okazuje się, że Pikardia przełomu XX i XXI wieku niewiele różni się od Normandii Zoli z wieku XIX.

© PAULINA MAŁOCHLEB

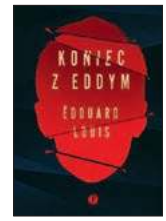

▪ *Édouard Louis*
KONIEC Z EDDYM
przeł. Joanna Polachowska
Pauza, Warszawa 2019

Jabłko Adama

KS. ADAM BONIECKI KUSI DO LEKTURY

Zapis z pola bitwy

Piszę o tej książce dopiero dziś nie tylko dlatego, że odkryłem ją z opóźnieniem, ale także z racji zapowiedzianej właśnie beatyfikacji kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Maria Winowska była zaufaną współpracowniczką Prymasa. W jej korespondencji z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, dyrektorem polskiej sekcji Radia Wolna Europa, najwięcej miejsca zajmuje właśnie „Boss", jak go czasem nazywają, Wielki Rozgrywający bitwę o Kościół.

Urodzona w 1904 r. (Nowak-Jeziorański był o 10 lat młodszy), Winowska studiowała we Lwowie filologię klasyczną i romańską, miała doktoraty z filozofii i teologii. Działała w „Odrodzeniu", związała się ze środowiskiem Lasek, była współzałożycielką pisma „Verbum", ustąpiła jednak z funkcji sekretarza redakcji wobec różnicy zdań z ks. Władysławem Korniłowiczem. W 1939 r. przedostała się do Francji, brała udział w ruchu oporu. Po wojnie pozostała w Paryżu. Publikowała w Polsce (m.in. w „TP") i we Francji. Wydała 38 książek (głównie po francusku), przede wszystkim o wybitnych postaciach katolicyzmu. Jej prace przekładano na osiem języków, od angielskiego po arabski, w 1950 r. otrzymała nagrodę Akademii Francuskiej za książkę o ojcu Kolbem. Pisała o sytuacji katolików w Polsce, na Litwie i w Rosji, utrzymywała kontakt z rosyjskimi dysydentami (Sacharowem, Sołżenicynem i Bukowskim). Przyjaźniła się z wielkimi myślicielami katolickimi, np. Gabrielem Marcelem, zdobyła zaufanie kardynałów Hlonda, Wyszyńskiego i Wojtyły, sympatią darzył ją sekretarz Pawła VI prałat Pasquale Macchi.

W latach 60. miała stały dostęp do Prymasa, współredagowała listy do episkopatów zapraszające na obchody milenium. Zasiadała w gremiach decydujących o przyznawaniu stypendiów Polakom, była mężem zaufania Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Na spotkania z Prymasem jeździła do Rzymu na własny koszt – publikacje książkowe zapewniały jej finansową niezależność. Z poczuciem misji zabiegała o przekłady swoich książek informujących o sytuacji wierzących w krajach bloku komunistycznego. Ważne książki o PAX-ie („Dieu contre Dieu") i o Kościele w Polsce („La Pologne défend son âme") opublikowała pod męskimi pseudonimami.

W sądach apodyktyczna, czasem traktowała ludzi nieco z góry i oceniała ich surowo. Była przekonana, że władze w Polsce, ludzie PAX-u i osobiście Janusz Zabłocki usiłują ją zniszczyć. W listach z 1978 r. pisze, że wrogowie źle do niej nastawili otoczenie Prymasa, i dzieli się przekonaniem, że pojawiające się u niego oznaki sklerozy mogą być niebezpieczne. Krytykę swojej książki przez Prymasa składa na karb jego stanu umysłowego; wedle jej relacji kością niezgody miało być postawienie na jednej płaszczyźnie kard. Wyszyńskiego i Adama Michnika. Nowak odpowiada, że jest zaskoczony, bo właśnie spotkał się ze Stanisławem Stommą, który twierdzi, że Kardynał jest w doskonałej kondycji intelektualnej...

Listy te są zapisem niezliczonych projektów działań, informacji o ludziach i sprawach. Zapisem pola bitwy, bo oboje korespondenci walczyli z reżimem komunistycznym, jego ukrytymi i domniemanymi agentami. To ważny dokument epoki. Inaczej czyta go ktoś, kto – jak niżej podpisany – znał oboje autorów, ale lekturę polecam wszystkim. ©℗

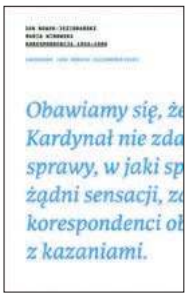

• *Jan Nowak-Jeziorański, Maria Winowska,* **KORESPONDENCJA 1955–1989** *Wstęp i opracowanie Andrzej Nowak Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 2016*

REKLAMA

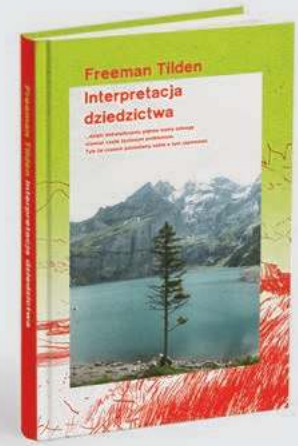

Interpretacja dziedzictwa
Freemana Tildena
Klasyczne dzieło o interpretacji dziedzictwa pierwszy raz w całości po polsku!
Szczegóły: www.bramapoznania.pl

5 lat brama poznania ichot
trakt królewsko cesarski
NARODOWY INSTYTUT DZIEDZICTWA NATIONAL HERITAGE BOARD OF POLAND
POZnań

Książki w pigułce

Najdłuższy dzień

Zaczyna się przed świtem, gdy świat jest wciąż pusty i ciemny. Pierwsza kawa i papieros, w tle dziennikarze radiowi kartkują poranną prasę maskując ziewanie. Za oknem przytłaczająca szarość. Potem wcale nie jest lepiej – nerwowe śniadanie wpychane do ust bez apetytu, nerwowo-ospała krzątanina, a potem długie kwadranse w korku do pracy – nudnej, powtarzalnej i pozbawionej sensu. Wieczór również nie przynosi ulgi: znowu jedzenie, domowe obowiązki i godziny wyczekiwania na sen. Książka Tabaczyńskiego to skrzyżowanie dziennika, eseju i pokoleniowej biografii, a także próba opowieści o tym, co słowom się wymyka – o codziennym życiu z depresją. Z ratunkiem przychodzą inni pisarze. Pełno ich na stronach „Pokolenia...", który jest przy okazji antologią sztuki depresyjnej. Brawurowy manifest napisany w imieniu tych, dla których każdy dzień jest „dłuższy od najdłuższego w roku".

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

▪ *Michał Tabaczyński*
POKOLENIE WYŻU DEPRESYJNEGO
Ha!art
Kraków 2019

Przeżywana przestrzeń

Między pisaniem a zasiedlaniem przestrzeni nie ma według Pereca żadnej różnicy. Kto pisze, ten zapełnia pustą kartkę papieru (dziś: przede wszystkim pusty ekran komputera). Kto żyje, ten zajmuje wolne miejsce (jest ono wolne nawet wtedy, gdy znajdują się w nim inni; widać nie zajęli go do końca). Istotę życia rozumianego jako konsekwentnie prowadzone użytkowanie przestrzeni możemy zatem uchwycić za pomocą czynności pisania. Wszystko, co się wydarza, wszystko, co się wokół nas znajduje, może zostać zapisane, utrwalone przez jednego z niestrudzonych skrybów, w poczet których zaliczyć należy nie tylko pisarzy, ale też autorów przypadkowych notatek. Są tacy, dla których życie jest możliwe tylko o tyle, o ile mogą pisać. Żeby nie zaniechać egzystencji, muszą ją otulić językiem. W każdej chwili – przekonuje Perec – można (a nawet należy) się do nich przyłączyć.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

▪ *Georges Perec*
PRZESTRZENIE
przeł. Agnieszka Daniłowicz-Grudzińska
Lokator
Kraków 2019

Byłaby noblistką

Na okładce tomu poezji zebranych Ginczanki widzimy obraz Beaty Stankiewicz, pochodzący z cyklu „Dziesięciu Żydów, którzy rozsławili Polskę" (kolekcja MOCAK-u). Tytuł bardzo trafny. Piekielnie uzdolniona: już jako 16-latka pisze „Bunt piętnastolatek", afirmację rozerotyzowanego, łakomego pieszczot, bombardowanego hormonami ciała. Może z tego powodu do Ginczanki pasuje określenie: „polski Rimbaud", o ile w ogóle ta dzika, sensualna, bezhamulcowa liryka potrzebuje jakichkolwiek porównań. Zuzanna Ginczanka trzy lata przed okupacją zdąży zadebiutować tomikiem „O centaurach", zdąży też publikować w „Szpilkach" satyry. W 1940 r. zdąży wyjść za mąż, za trzy lata we Lwowie zdąży napisać „Non omnis moriar", gdzie utrwali nazwisko kobiety, która doniosła na nią gestapo. Potem już nic nie zdąży: rozstrzelana w wieku 27 lat. Gdyby żyła, jestem pewna, byłaby noblistką.

©℗ KATARZYNA KUBISIOWSKA

▪ *Zuzanna Ginczanka*
POEZJE ZEBRANE
Marginesy
Warszawa 2019

Oz: instrukcja

Proza Amosa Oza może onieśmielać. Zmarły przed rokiem pisarz zostawił po sobie kilkadziesiąt książek, które układają się w gęstą opowieść o ludzkiej naturze, ale także o skomplikowanej historii powojennego Izraela. Dla zaczynających dopiero przygodę z tym literackim uniwersum wydany właśnie tom rozmów będzie idealnym przewodnikiem. Szira Chadad, redaktorka powieści Oza, rozmawia z pisarzem o rzeczach najważniejszych: o miłości, historii, ale też o współczesnej polityce. Jednak przy każdej okazji powraca temat samego pisania, któremu Oz podporządkował wszystko inne. „Kiedy piszę opowiadanie, jedną z rzeczy, które poruszają moją ręką, jest ciekawość. Taka, której nie mogę zaspokoić", mówił w jednym z ostatnich wywiadów. W tej opowieści pisanie jawi się jako zajęcie żmudne i wymagające, do tego niewdzięczne i frustrujące, bez którego jednak życie byłoby nie do zniesienia.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

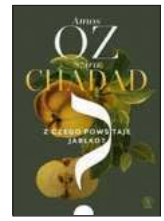

▪ *Szira Chadad, Amos Oz*
Z CZEGO POWSTAJE JABŁKO?
przeł. Leszek Kwiatkowski
Rebis
Poznań 2019

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Bóg – poprzez wydarzenie wcielenia – chce nas nie tylko zrodzić „od nowa". Chce nas zrodzić do innego jakościowo życia, tego, które nazywamy życiem wiecznym.

Abp Grzegorz Ryś

PREMIERA

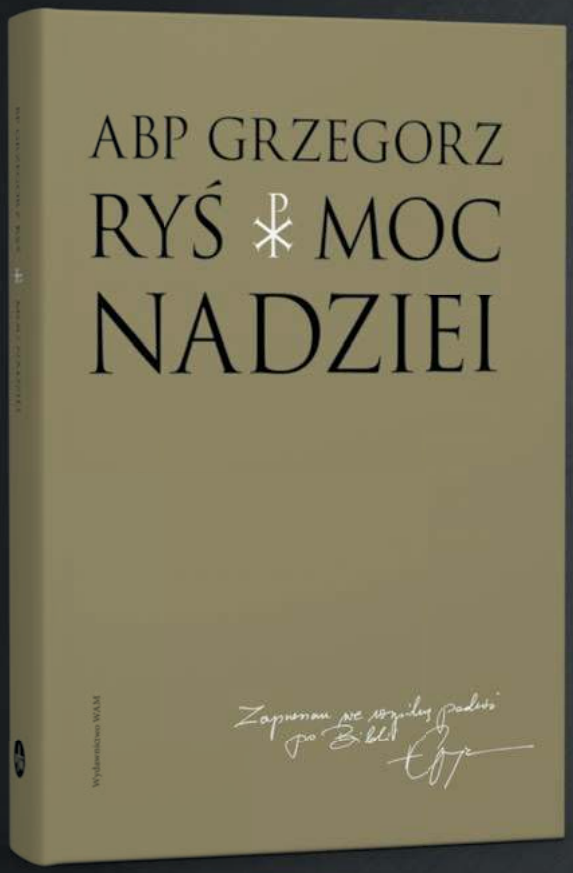

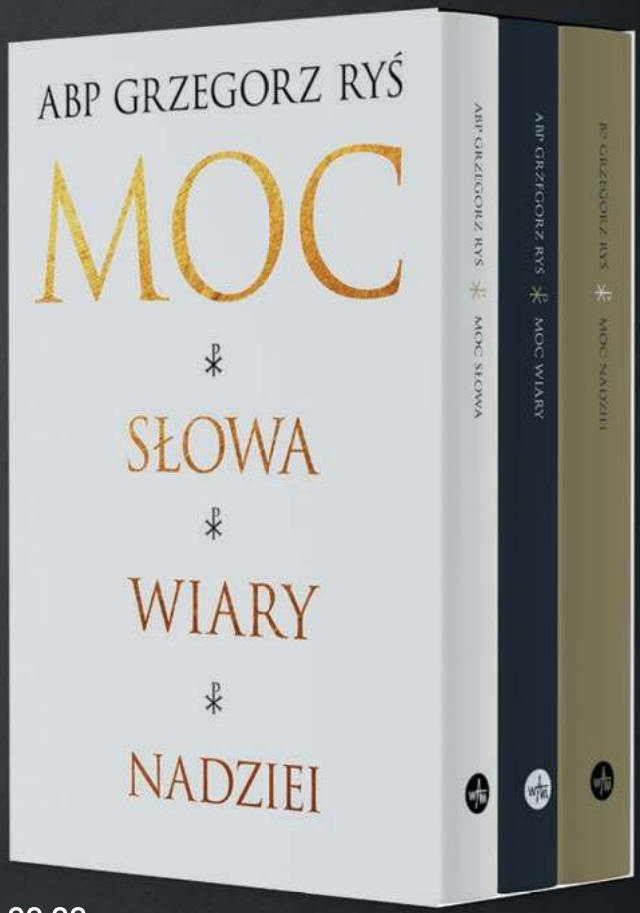

~~39,90 zł~~
29,92 zł

~~99,90 zł~~
74,92 zł

TYGODNIK POWSZECHNY

RABAT **-25%** KOD: **TP19**

wydawnictwo WAM · DEON.PL · ŻYCIE DUCHOWE

ZAMÓWIENIA WYDAWNICTWOWAM.PL

zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP19**
Przy zakupie od **75 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**

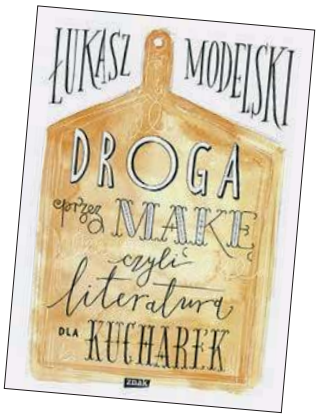

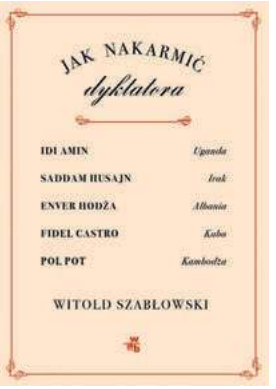

Kuchnia od literatury

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Jedzenie można serwować także w formie opowieści, prowadzących nas przez najróżniejsze światy, przez wielkie i małe historie. Na szczęście istnieją książki kulinarne, które to doskonale rozumieją.

Między hedonizmem a obsesją – tak układa się większość nowości wydawniczych w dziale „kuchnia". Słowa-klucze na okładkach to najczęściej „zdrowie" i „naturalność" albo „domowość" i „polskość". Z jednej strony snują się tu sielskie baśnie o swojskich smakach i słodkościach, a z drugiej sączy się poczucie zagrożenia, jeśli nie ze strony przemysłowych sztuczności, to z głębi naszych własnych organizmów: nietolerujących, zakwaszonych, niedoenergetyzowanych i zintoksykowanych. Dziwny to świat: w napięciu między domowymi wędlinami a dietą fleksi, między lśniącymi paznokciami a zdrowymi jelitami.

Tymczasem jedzenie i kuchnia mogą przecież być także opowieścią. Zamiast skupiać odbiorców obsesyjnie na sobie samych, potrafią prowadzić przez losy i światy, przez wielką Historię i małe historie. Takie książki kulinarne wciąż są nieśmiałą mniejszością, zamiast stać na górnej półce działu „kuchnia", pętają się między „literaturą faktu" a „biografią/wywiadem" (co tym dziwniejsze, że wszystkie poniższe książki zawierają przepisy). Do tego niosą smaki i doznania znacznie ciekawsze niż proste instrukcje żywieniowe.

Męka i mąka

Gdzie mógłby się Bolesław Prus spotkać z Ianem Flemingiem, a Bohumil Hrabal z Orhanem Pamukiem, jeśli nie przy stole? Co ciekawe, autor „Lalki" i twórca Jamesa Bonda zdradzają się z podobnym nieobyciem: Prus, opisując wybujałe uczty arystokracji, posługuje się obrazami kuchni mieszczańskiej, doprawionymi przesadą („zupy z wodorostów Oceanu Spokojnego"), bo o tej prawdziwie arystokratycznej brak mu – jak czytamy – wyobrażeń. Bondowi zaś Fleming każe na deser zamówić „avocado z odrobiną francuskiego dressingu", zmuszając nieszczęsnego agenta, by przy kawie łykał zieloną tłustość przełamaną winegretem.

Ale wtedy, w 1953 r., nikomu nieznane awokado było synonimem egzotyki. Ówczesna nazwa „gruszka avocado" mogła zmylić, a sama sytuacja jest przykładem na to, po co literaturze wiedza o kuchni. W „Lalce" satyra nad stołem arystokracji służy pokazaniu jej moralności. Opisy zaś bondowskich uczt to nie tylko popisy superbohatera, to także toposy: balu na „Titanicu", świata na krawędzi. Szpieg Jej Królewskiej Mości siłą rzeczy musi żyć tak, jakby każdy dzień był tym ostatnim. Zza okna jadalnych komnat dobiega już szczęk żelaza.

Opasła i sycąca książka Łukasza Modelskiego „Droga przez mąkę, czyli literatura dla kucharek" to zapis rozmów z jego audycji w radiowej Dwójce, które przeprowadził z ekstraklasą znawców literatury i kulinariów. Choć forma radiowej rozmowy stawia z początku lekturowy opór, to jednak szybko wciąga. Weźmy choćby Hrabala, gdzie zwykłe, zdawałoby się, świniobicie potrafi zamienić się w rytuał („to to samo, jak kiedy ksiądz odprawia mszę świętą. Bo zawsze idzie o krew i mięso. Czyli o ciało") albo poezję („kryza krtani skrzyła się jak chalcedonowe pierścienie..."), a kiedy indziej jeszcze w świadectwo czasów, gdy zwierzę było cenne, a bieda i szacunek doń zabraniały marnowania (jak blisko od Hrabala do *zero waste*...). Kuchnia w literaturze okazuje się językiem wszechstronnym: zdolnym do wyrażania tożsamości i zadawania pytań o przyszłość, do śmiechu i kpiny (polowanie na kurdle u Lema!), i do trwogi.

Bo śmiech staje w gardle, gdy na przykład u Jaroslava Haška czytając o jedzeniu, widzimy jednocześnie wojenne szaleństwo. Jak powiada jeden z bohaterów „Szwejka": „sztukę kucharską najlepiej poznać można podczas wojny".

Polityka jedzenia

Wiedzą o tym dobrze Abu Ali, Otonde Odera czy Erasmo i Flores, bohaterowie książki reporterskiej Witolda Szabłowskiego. Pierwszy gotował dla Saddama

Husajna, drugi dla Idi Amina. Dwóch kolejnych – dla Fidela Castro. Ich opowieści (a także pana K., kucharza Envera Hodży, oraz Yong Moeun, która gotowała Pol Potowi) dotyczą jedzenia i władzy.

To perwersyjny pomysł na książkę. Łatwo się osunąć w niezdrową sensację lub niesmaczną niestosowność. W książce „Jak nakarmić dyktatora" nic takiego jednak się nie dzieje. Autor oddaje głos swoim bohaterom, a ci mówią o sprawach ważniejszych niż błahe w sumie pytanie o to, co warzyło się w garnku, gdy ważyły się losy świata. Opowiadają też, jak łatwo kupić ludzi za poczucie sytości. „Pełne brzuchy nie wszczynają rewolucji" – brzmiała dewiza Saddama, gdy partia Baas w latach 70. zapewniała sobie pozycję za pieniądze z ropy. Lojalność dworu tyrana to lojalność karmionych z ręki.

Ale to też opowieść o tym, że jeszcze potężniejszym od jedzenia narzędziem władzy jest głód. Nie tylko jako kara. „Głód zaspokajał wszystkie myśli (...). Gdy otrzymywaliśmy jedzenie, byliśmy wdzięczni Angkarowi [czyli organizacji, partii – MK]" – cytuje Szabłowski Laurence Picq, która przeżyła rządy Czerwonych Khmerów.

Jest w tym też motyw niemych aktorów historii („nikt od kucharza nie oczekuje, żeby miał poglądy", mówi Odera), których decyzje, refleks czy sama obecność miały duże znaczenie. Bo kucharz też obdarzony jest przewrotną władzą: nad nastrojem chlebodawcy. „[Hodża] nieraz siadał do obiadu podenerwowany, a wstawał w dobrym nastroju, nawet żartował. Kto wie, ilu ludziom uratowałem w ten sposób życie?" – rzuca kucharz dyktatora Albanii. Ale to brzmi jak usprawiedliwianie się przez ludzi, którzy dobrze wiedzą, że „jak oni już zrobią pucz, to przyjdą z pustymi brzuchami i dopóki masz dla nich coś dobrego, jest szansa, że cię nie zabiją".

W ich historiach przegląda się też syty konsument z Zachodu. „Mzungu [białym – MK] nie wystarczy trochę kaszy albo manioku i kawałek mięsa", mówi kucharz Idi Amina. „Oni jeszcze muszą zrobić zapieczony ser, położyć na to warzywa, a mięso wcześniej poddusić w winie. Kuchnia Mzungu to jedzenie ludzi, którzy chcą pokazać, że mają władzę".

Smaki przeszłości

„Nie wiem dokładnie, kiedy zorientowałam się, że niektóre dania przygotowywane w moim domu mają nazwy niezrozumiałe dla większości znajomych", pisze Hanna Merlak. „Mało kto wie, czym są mace braj, bubelaki, maśtyka...". Anna nie chciała ze swojego przedwojennego dzieciństwa pamiętać niczego, nawet dawnego imienia. Zapamiętała tylko przepisy na jajecznicę, omlet, wątróbkę i rybę. Elizabeth odwiedza kraj, z którego z początkiem XX wieku emigrowali jej przodkowie, i odkrywa, że na latkes mówią tu „placki ziemniaczane". Krzysztof odwrotnie: dopiero w Nowym Jorku zorientuje się, że makaron z jabłkami, jaki robiła mu jego nielubiąca mówić o przeszłości matka, naprawdę nazywa się apfel kugel.

Ta niespełna stustronicowa, smakowicie ilustrowana książeczka zawiera rodzinne przepisy rozmówców Hanny Merlak. Każdy opatrzony jest mikrohistorią: o tym, jak najbliższe osoby, wspomnienia z dzieciństwa, a czasem tylko sugestia tożsamości właśnie w smakach, w kuchni, przetrwały Zagładę. Pojawiają się też czasy powojenne – gdy nie wracało się do żydowskich imion, strzegło tajemnicy przeszłości nawet przed dziećmi albo migrowało. „Żydzi od kuchni" to nie tyle książka o pamięci, ile o przywracaniu do życia zagubionych tożsamości. A kilka przepisów – na chałkę, hamantasze czy ryby – znakomicie sprawdzi się też na wigilijnym stole. ©℗

• *Łukasz Modelski*
DROGA PRZEZ MĄKĘ, CZYLI LITERATURA DLA KUCHAREK
Znak, Kraków 2019

• *Witold Szabłowski*
JAK NAKARMIĆ DYKTATORA
W.A.B., Warszawa 2019

• *Hanna Merlak*
ŻYDZI OD KUCHNI. OPOWIEŚCI WOKÓŁ RODZINNEGO STOŁU
Austeria, Kraków 2019

REKLAMA

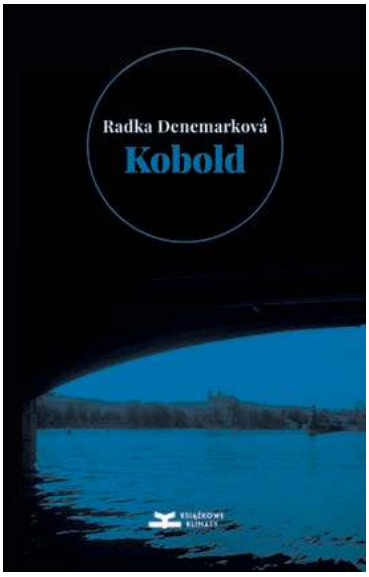

Wstrząsająca powieść o sile i słabości, o destrukcyjnym uczuciu i nieustającej opresji, przede wszystkim zaś o złu, które rodzi się niepostrzeżenie, by potem prędko rozrosnąć się do monstrualnych rozmiarów.

Przekład:
Olga Czernikow i Agata Wróbel

KSIĄŻKOWE KLIMATY
SERIA Z WINNICĄ
Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

Nie chcę, żeby moje książki były deserem po kolacji. Chcę, żeby były kością w gardle.
Radka Denemarková

ZIEMIE OBIECANE INGA IWASIÓW

Pluszowa pedagogika

W dzieciństwie nie wyrzucałam książek – oddawałam młodszym kuzynom, zostawiałam tylko te ukochane. Na pewno była wśród nich dylogia o Ferdynandzie Wspaniałym autorstwa Ludwika Jerzego Kerna. Lubiłam „podglądać" usadowionego w fotelu, elegancko ubranego czworonoga, głęboko przekonana, że tak właśnie się dzieje, gdy zapada zmrok: zabawki ożywają, zwierzaki mówią, złe moce podchodzą pod dom, dobre otulają mnie kocykiem.

Z dzieciństwa lepiej niż same opowieści pamiętam sytuacje związane z biblioteczką domową. Tych jestem pewna, nikt mi ich nie opowiedział – należą do mojej prywatnej historii czytania.

Lepiej niż same opowieści pamiętam sytuacje związane z biblioteczką domową. Tych jestem pewna, raczej nikt mi ich nie opowiedział – należą do mojej prywatnej historii czytania. Obie są nieco dramatyczne i sporo mówią o dziewczynce, którą byłam, ale mają też sens ogólny.

W tak zwanej „poniemieckiej" kamienicy w centrum Szczecina zajmowaliśmy „wspólne" mieszkanie. Dzieliliśmy łazienkę z rodziną aktora pochodzącego ze Lwowa. W każdym pokoju mieli biblioteczkę – w gabinecie oddzielonym od reszty pomieszczeń pluszowymi zasłonami solidniejszą, w drugim pokoju utworzoną z wielofunkcyjnego regału. Książki niemal bez wyjątku wyglądały jak z antykwariatu, pachniały kurzem, podczas gdy nasze były nowe, nuworyszowskie, czyściutkie. Choć moja rzemieślniczo-robotnicza rodzina kupowała i czytała sporo, pożyczałam także powieści od sąsiadów. Czułam, że powinnam się sprawdzić przez te wypożyczenia, a więc nie poprzestawać na „Małej księżniczce", poprosić o „Zew krwi".

Podczas pobytów u sąsiadów chciałam zasłużyć na pochwałę, więc biegłam tam po kolejne tytuły, gdy ich córka studentka wracała do domu. Starsi państwo nigdy nie robili mi uwag, ale ich córka zaczęła mnie przepytywać z treści. Nie zawsze dobrnęłam do końca, wielu fragmentów po prostu nie rozumiałam. Egzamin wypadał więc druzgocąco. Niektóre pozycje kazała mi zabierać do ponownego przeanalizowania.

Krótko mówiąc, moje wczesne doświadczenia lekturowe wiążą się ze wstydem o podłożu klasowym. Pewnie dlatego, jeszcze gdy uczyłam pozytywizmu, nie robiłam nigdy studentom testów z fabuły.

Drugie wspomnienie także nie jest przyjemne. Oddawałam książeczki młodszej koleżance. Pokłóciłyśmy się o coś i jej matka zdecydowała, że ta musi mi oddać cały ten stos, jak mówiła, „makulatury". Była nie do powstrzymania, choć płakałyśmy obie. Dobrze pamiętam gorycz upokorzenia, gdy dar przemieniał się w śmieci, w kłujące przez sukienkę kanty.

Kto by pomyślał, że właśnie ja zostanę profesorką literaturoznawstwa i pisarką. Dziś dbamy o przyjemność czytania, tworzymy dzieciom całą infrastrukturę pozytywnych skojarzeń. Książki są piękne graficznie, specjaliści inscenizują w ciepłych księgarniach małe spektakle, doceniamy rolę intymnego kontaktu rodziców i dzieci, wytwarzanego podczas recytowania wierszyków. Mam nadzieję, że dyscyplinowania i karania przy pomocy literatury jest coraz mniej.

Zapewne moje doświadczenia należą do przebrzmiałego świata nie dlatego, że mamy wysoką świadomość roli literatury. Jest raczej odwrotnie – dzieci idą za nami, więc nie traktują biblioteczki domowej nabożnie i, szczerze mówiąc, nie uznałyby używanych książek za szczególny prezent. Choć nie życzę młodym czytelniczkom i czytelnikom męki, lecz przyjemności, zastanawiam się jednocześnie, czy ta pluszowa pedagogika zadziała, skoro dorosły świat nie zaczyna meblowania domu od książek. ©

MOJE STORY
BARTOSZ MINKIEWICZ

ZIEMIE NICZYJE PIOTR ŚLIWIŃSKI

Dziecko, rozbrojenie słownika

Dlaczego czasami trudno otrząsnąć się z absurdalnej pewności, że jesteśmy stadem starych, strasznych, złośliwych dzieci? Bez względu na wiek, światopogląd, religię, doświadczenie historyczne, te wszystkie rzeczy, do których podobno się dorasta – kieruje nami jakiś zgrzybiały infantylizm. Zebrani w stada, polujemy na okazję, by zohydzić wszystko wszystkim. Po tym, jak nowy marszałek Senatu – chcąc uszczuplić wszechwładztwo cynizmu – powiedział w telewizji kilka składnych kwestii, spadła na niego lawina błota. Kiedy profesor Agata Bielik-Robson miała czelność wyznać, że nie podziela nadziei pokładanych w symetryzmie, mechanicznie powielanym antyliberalizmie i nowej lewicy, Facebook odsądził ją od czci. „Właściwie to jest straszny naród ci Polacy. Lecz jakie są wyjścia? Albo ten naród znienawidzić i odejść od niego zupełnie, albo starać się przy całej beznadziejności walki walczyć, by był inny. Wybrałem tę drugą drogę. Ale ta druga droga wymaga dużej pobłażliwości dla ludzi. To nie jest pesymizm. Jeśli jest grupa ludzi, jak Stempowski, Vincenz, Bobkowski, Florczak, Czapski, to wierzę, że walka ma sens" – pisał Jerzy Giedroyc do Józefa Wittlina przed równo siedemdziesięciu laty.

Dlatego był wielki, że żył dla nas, nie mając złudzeń, kim jesteśmy. Banał, gładkie zdanko? A teraz, kto mógłby stać się poręczeniem takiego wysiłku? Znam wielu, oczywiście. Mieszkają w pobliżu, pracuje się z nimi, uczy się ich, uczy się od nich. Bo przecież uogólniony pesymizm w sprawie tak dużej i złożonej jak naród to taniocha.

Więc kiedy pisze mi się, że jesteśmy jak złe dzieci, to nie o wszystkich, choć również nie tylko o rządzących – i to w najszerszym znaczeniu. Chodzi raczej o to deformujące pragnienie, by zachować w sobie dziecko. Chcemy dziecka w sobie, czystości, czułości, lecz ono – niedokarmione przez dziesięciolecia – przyobleka się w jakąś postać upiorną i niebezpieczną. Pluje wątrobianą szumowiną.

> Po dzieciach pisze się sporo i różnie, lecz zawsze z odcieniem obojętności na poetyckość rozumianą jako inwestycja w poklask.

Jednak tęsknota do dziecka jest prawdziwa, a kiedy trafia na właściwy ton, bywa rozbrajająca: „Masz już tyle słów tylko dla mnie: / tatuch, tatun, tatiś, tatich, tatko, / taśto (kiedy chcesz, żeby było śmiesznie). // Ja mam jedno / niewielkie. Jest jeszcze / na nie miejsce". Dziecko, rozbrojenie słownika, uwolnienie z sarkazmu, wszechwładnej autoironii, dotknięcie czegoś nareszcie prawdziwego.

Rafał Skonieczny w wierszach z książki „Duza muzyka" („duza", nie „duża") nabiera w usta życia i nie dławi się nim. Nie tylko on – po dzieciach, bo raczej „po" niż „o" czy „dla", pisze się sporo i różnie: ekstatycznie i traumatycznie, intymnie i kunsztownie, lecz chyba zawsze z odcieniem obojętności na poetyckość rozumianą jako inwestycja w poklask. Wystarczy wspomnieć Krystynę Miłobędzką, Piotra Sommera, Marcina Świetlickiego, Jacka Podsiadłę, Dariusza Suskę, Jarosława Klejnockiego, Jarosława Mikołajewskiego, Mariusza Grzebalskiego, Krzysztofa Siwczyka, Joannę Mueller, Justynę Bargielską czy Macieja Roberta. Ostatni ma w dorobku wiersz pt. „Dziecko": „Obudziło się, kiedy kończyli. / A może leżało tak dłuższy czas? / Trochę popłakiwało, więc poszedł / do kuchni przygotować co trzeba. / Kiedy wrócił, spało na jego miejscu. // Stara kanapa, jeszcze z kawalerskich / czasów, jest nawet wygodniejsza, / ale nie będzie jej teraz rozkładać. / Prześpi tę noc skulony, z nogami / podciągniętymi pod brzuch".

Sprawdza się przeczucie, iż z dzieckiem na nowo rodzi się język. Również obawa, że dziecko nieurodzone w porę, nieoddane światu, potwornieje, tudzież jego język, nie jest bezpodstawna. ©

„KSIĄŻKI W TYGODNIKU" POLECAJĄ

MEIK WIKING
SZTUKA TWORZENIA WSPOMNIEŃ
Przeł. Olga Siara
Insignis,
Kraków 2019

Nowa książka autora bestsellerowego „Hygge. Klucza do szczęścia". „Dlaczego piosenka, zapach czy smak potrafią ożywić w pamięci coś, co się w niej zatarło?" – pyta we wstępie autor, który jest dyrektorem kopenhaskiego Instytutu Badań nad Szczęściem, jednocześnie pokazując, jak budować i – co ważniejsze – zapamiętywać szczęśliwe chwile, które zostaną z nami na zawsze.

HELEN RUSSELL
ATLAS SZCZĘŚCIA
Przeł. Dorota Malina
Insignis,
Kraków 2019

Ta zręcznie zilustrowana i ładnie wydana książka to podróż, dzięki której czytelnik pozna sekrety szczęścia z różnych zakątków świata. *Dolce far niente*, czyli włoska sztuka nicnierobienia, islandzkie *þetta reddast*, czyli wszystko jakoś się ułoży, albo szwedzkie poletko poziomek (*smultronställe*), które zapewni schronienie przed zgiełkiem codzienności – wspaniała wycieczka w poszukiwaniu radości życia.

DARIUSZ ROSIAK
BAUMAN
Mando,
Kraków 2019

Polak, Żyd i komunista, a także jeden z najważniejszych współczesnych myślicieli, czyli pasjonująca opowieść o Zygmuncie Baumanie – znanym na całym świecie wybitnym socjologu, twórcy pojęcia „płynna nowoczesność", którego zarówno życiorys, jak i poglądy nie pozostawiają obojętnym. Rosiak stworzył biografię uczonego, opierając się na bogatych archiwaliach i na wywiadach z kilkudziesięcioma osobami z jego najbliższego otoczenia.

LESZEK KOŁAKOWSKI
CHRZEŚCIJAŃSTWO
Znak,Kraków 2019

Monumentalny zbiór najważniejszych tekstów filozofa, który nigdy nie określił się jako chrześcijański, ale to właśnie chrześcijaństwo uważał za „fundament naszej kultury" i właśnie ta religia przez lata znajdowała się w centrum jego zainteresowań. „Nie będę odpowiadał na pytanie, czy wierzę w Boga, bo myślę sobie, że Pan Bóg już to wie" — mówił przekornie Kołakowski, zgłębiając jednocześnie z wielką dociekliwością i pokorą drogę do poznania Boga.

JOANNA GROCHOCKA
TOMASZ WIŚNIEWSKI
HISTORIE NIE DO KOŃCA ZMYŚLONE
Fundacja Przekrój,
Warszawa 2019

„Historie..." to zbiór zaskakujących biografii, okraszony solidną dawką absurdu i zabawnymi ilustracjami Joanny Grochockiej. Groteskowe życiorysy królów, czarownic, perwersyjnej baronessy, magów, magnetyzerów i innych dziwaków, co do których istnienia z każdą stroną (słusznie) nabieramy wątpliwości. Ale ile w tym wszystkim prawdy, a ile zmyślenia – to sprawa zupełnie drugorzędna.

EDUARDO GALEANO
DZIECI CZASU. Z KALENDARZA DZIEJÓW LUDZKOŚCI
Przeł. Katarzyna Okrasko
W.A.B., Warszawa 2019

Czy wiedzieliście, że co 2 tygodnie umiera jeden język, a na pogrzeb Karola Marksa przyszło tylko 11 osób? „Dzieci czasu" to jakby kalendarz zawierający 366 krótkich opowiastek z dziejów ludzkości, do opowiedzenia których pretekstem stają się kolejne dni roku. Wiedza podana lekko, choć niekoniecznie o wadze piórkowej – książka przypomina, że historia cywilizacji dzieje się każdego dnia, w każdym zakątku świata.

MICHAŁ JAGIEŁŁO
PIARŻYSKO. TATRY I ZAKOPANE W REPORTAŻACH PRASOWYCH PRZEŁOMU XIX I XX WIEKU
Iskry, Warszawa 2019

O Asnyku, Prusie, Micińskim, Przerwie-Tetmajerze, Witkiewiczu i innych postaciach zakochanych w Zakopanem i jego okolicach. Ten zbiór esejów o tatrzańskim piśmiennictwie i jego twórcach od połowy XIX do początku XX wieku to gratka dla fascynatów, na których także dziś tajemnica i majestat gór robią wielkie wrażenie.

KATARZYNA RYRYCH
WDOWIE WZGÓRZE
Literatura,
Łódź 2019

„Wdowie wzgórze" to słodko-gorzka historia o przemijaniu, które czasem może być początkiem zupełnie nowej drogi. Pulsująca magią codzienność miesza się tu ze wspomnieniami bohaterek, które właśnie na starość zyskują przestrzeń i odwagę do życia według własnych reguł.

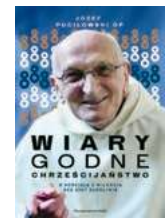

JÓZEF PUCIŁOWSKI OP
WIARYGODNE CHRZEŚCIJAŃSTWO
WAM, Kraków 2019

„O Kościele z miłością acz ciut złośliwie" – już podtytuł mówi, czego możemy się spodziewać po najnowszej książce dominikanina znanego z krytycznego myślenia i prowokacyjnych kazań. To zbiór bezkompromisowych komentarzy do Pisma Świętego, które mają szansę stać się bodźcem do samodzielnych poszukiwań.

Mały Włóczykij Kulturalny

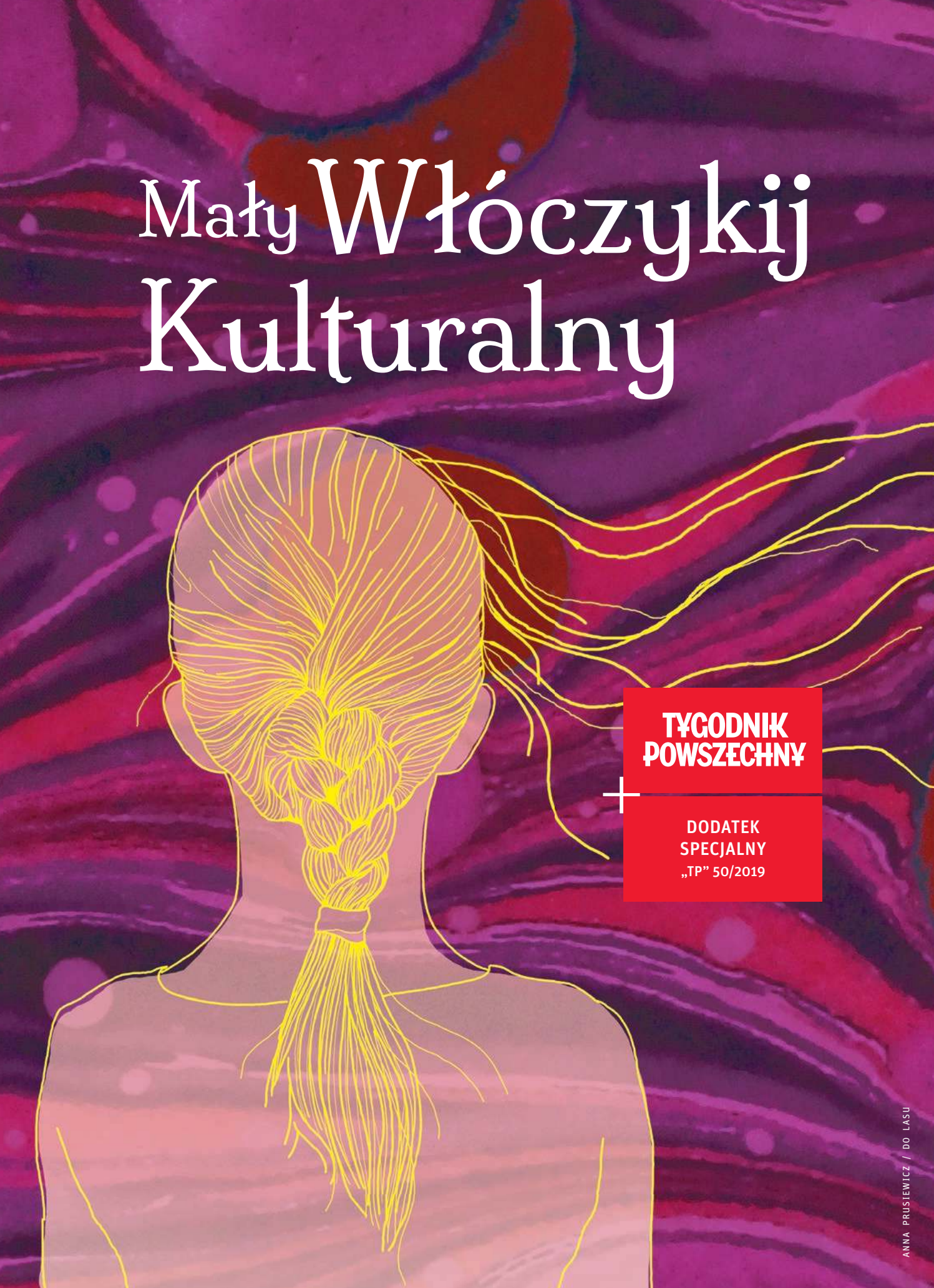

TYGODNIK POWSZECHNY

+

DODATEK SPECJALNY
„TP" 50/2019

ANNA PRUSIEWICZ / DO LASU

To nie są zajęcia z plastyki

MONIKA OCHĘDOWSKA

Zwykle zaczyna od bazgrania w powietrzu. Prosi o wzięcie ołówka albo pędzla i naszkicowanie czegoś przed sobą. Ot tak, niezobowiązująco. Dopiero później, gdy ręce się rozluźnią, ruchy staną się śmiałe i zamaszyste, a niepewność ustępuje zabawie, bazgroły zostają przeniesione na kartki.

To taka próba generalna. Możemy poćwiczyć bez obaw, że zrobimy coś nie tak – krzywo, niedokładnie. „Przecież ja nie umiem rysować", „byłam kiepska z plastyki", „a tak w ogóle to po co to robimy?" – częściej niż dzieci opór stawiają ich opiekunowie. Ale gdy tylko przestaną myśleć o szkolnych świadectwach i pozwolą sobie zrobić coś „bezsensownego", spięcie ustępuje i bywa, że angażują się w prace bardziej od swoich pociech.

– Uparte dążenie do poprawności może wynikać z trudności z zaakceptowaniem własnych, czasem trudnych, emocji – tłumaczy Milena Ryznar-Żak, psycholożka i psychoterapeutka dziecięca, która od wielu lat wykorzystuje w pracy nie tylko rysunek i fotografię, ale też rzeźbę czy bajki terapeutyczne. – Zamiast dla siebie tworzymy dla kogoś, przyzwyczajeni, że to rodzic czy nauczycielka mają być zadowoleni. Tymczasem ważniejszy od efektu jest sam proces pracy. Arteterapia to nie są zajęcia z plastyki. Tutaj mamy czas na rzeczy, których nie robimy na co dzień.

Nie tylko teatr

Już w greckich asklepiejonach prócz krzepiącego snu zalecano pacjentom udział w widowiskach teatralnych. Dziś bez zdziwienia oglądamy na scenie weteranów wojennych, uchodźców czy więźniarki – teatr jest dla nich jednym z elementów wspomagających proces wychodzenia z traumy i depresji. Badania wykazały skuteczność arteterapii w leczeniu zaburzeń emocjonalnych, nerwic, uzależnień. Metoda sprawdza się w rehabilitacji osób przewlekle chorych. Ale aktywne uczestnictwo w sztuce, nie tylko teatralnej, przynosi rezultaty także w terapii dzieci. Pomaga pacjentom ze spektrum autyzmu i nadpobudliwości ruchowej (ADHD), poprawiając ich koncentrację czy umiejętność radzenia sobie w kontaktach społecznych. – Trudno mi zresztą wyobrazić sobie grupę, u której arteterapia nie miałaby zastosowania – mówi „Tygodnikowi" Ryznar-Żak, która prowadziła warsztaty w przedszkolach i szkołach, ośrodkach pomocy społecznej, współpracowała z organizacjami pozarządowymi.

Na muzeum jako miejsce stworzone do terapii pierwsi spojrzeli Brytyjczycy. Pionierem współczesnej arteterapii i twórcą tego terminu był Adrian Hill, nauczyciel sztuki. Hill był też pierwszym zatrudnionym w szpitalu arteterapeutą. Z biegiem lat trend podchwyciły Stany Zjednoczone i Kanada. Dziś w samym Montrealu kilkadziesiąt tysięcy osób rocznie korzysta z programu zajęć prowadzonych przez kilku pełnoetatowych muzealnych terapeutów. W Polsce zawód zarejestrowano w roku 2014, choć za twórczynię arteterapii rodzinnej uważana jest urodzona na początku XX w. psycholożka i rzeźbiarka, poliglotka (mówiła biegle siedmioma ↦

KLAUS VEDFELT / GETTY IMAGES

↦ językami) Hanna Kwiatkowska. Po kilku latach spędzonych na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych wyjechała za granicę, by studiować pod okiem niemieckiego filozofa Ericha Fromma i amerykańskiej psychoanalityczki Margaret Naumburg. Już w latach 70. brytyjska telewizja CNN przeprowadziła z Kwiatkowską wywiad na temat zastosowania rysunku w diagnostyce i pracy terapeutycznej z rodzinami. Jej amerykańskie studentki do dziś w pracach naukowych oraz podręcznikach arteterapii powołują się na Kwiatkowską, uznając opracowane przez nią metody za niezwykle przydatne.

Moja przestrzeń

Rodzice i dzieci pracują w parach nad jednym dużym arkuszem papieru. Mają do dyspozycji farby i – teoretycznie – tyle samo przestrzeni, na której każdy powinien zmieścić swoją część ilustracji. Mama i córka wybierają podobne kolory, ale zupełnie inną techniką nakładają farby. Dziewczynka maluje duże słońce, wokół kolorowe chmury. Niebo pulsuje, chmury wyraźnie odpływają poza przestrzeń kartki. Mama skupia się raczej na konkrecie – mostek, rzeczka, biedronki.

– Rodzinne zajęcia doskonale pokazują, jak funkcjonujemy we wspólnej przestrzeni, czy ktoś ma tendencję do tego, by zajmować jej więcej – mówi Ryznar-Żak. W rodzinach niepełnych, gdy rodzic wychowuje dziecko samotnie, czasem trudniej jest wyznaczyć jasne granice, uznać odrębność młodego człowieka. – Zresztą samo pojęcie granic może wydawać się dość abstrakcyjne – dodaje terapeutka. – Dopiero na papierze widzimy, że ktoś narzuca temat pracy, zajmuje więcej miejsca, że umowna kreska dzieląca wspólną przestrzeń została przekroczona. W ten sposób abstrakcja staje się konkretem. A rozmowa na temat rysunku jest bezpieczniejsza dla uczestników niż bezpośrednie omawianie relacji rodzinnych. Refleksja nad analogią między powstałym obrazem a procesami zachodzącymi w rodzinie przychodzi później.

Tym razem rodzice i dzieci nie mogą uzgodnić tematu pracy ani sposobu rysowania – porozumiewają się tylko na migi. Rysują na przemian, co jakiś czas zamieniają rolami, uzupełniając wzajemnie. – Powstrzymywanie się od rysowania podczas czasu przeznaczonego dla drugiej osoby samo w sobie jest ćwiczeniem wzajemnego szanowania swojej przestrzeni – wyjaśnia psycholożka. – To zresztą i tak łatwiejsze od powstrzymania się od przerywania drugiej osobie podczas mówienia, co często obserwuję podczas zadań bez obowiązkowej ciszy.

Na co jeszcze warto zwrócić uwagę podczas takiego ćwiczenia? – Sprawdźmy, czy nowe elementy rysunku wprowadzają obie osoby, czy może jedna z nich tylko uzupełnia, dorysowuje coś do tego, co stworzy druga – mówi Ryznar-Żak. – Można przyjrzeć się temu, ile miejsca zajmujemy na papierze. Czy dziecko po narysowaniu szuka u rodzica aprobaty? A może rodzic rezygnuje ze swojej „kolejki", zerkając w telefon?

Glina, pierniki i farba z tubki

Aby być ze swoim dzieckiem bliżej, nie musimy jednak planować żadnych specjalnych zajęć. – Świetnie sprawdzą się wszelkie wspólne prace twórcze, poczynając od pieczenia pierniczków przed Bożym Narodzeniem, poprzez konstrukcje z klocków, po rysowanie wymyślonych krain – proponuje Ryznar-Żak. Dlaczego rozmiar rysunku jest tak ważny? – Sprawdza się szczególnie w przypadku dzieci nieśmiałych, zamkniętych w sobie, które zwykle nie lubią zajmować sobą zbyt wiele miejsca. Ośmielające są także wszelkie mniej precyzyjne narzędzia pracy – pastele, farby, najlepiej takie wyciskane z tubek. Może to dobry pomysł na świąteczny prezent? Dla dzieci introwertycznych, które mają problem z ujawnianiem trudnych przeżyć i emocji, takich jak złość, bardzo dobrym prezentem będzie z kolei glina. Brudzenie się jest bardzo terapeutyczne – śmieje się psycholożka.

– Czymś, co jest dla dziecka bardzo otwierające, a rodzicom daje dużo możliwości do pracy nad relacją, jest także wspólne stworzenie czegoś, z czego potem można zrobić opowieść – mówi Ryznar-Żak. To może być ilustracja przedstawiająca kilkoro bohaterów, zamek zamieszkiwany przez dinozaury albo domowy teatrzyk. – Dzięki temu poprzez zabawę dziecko rozwija swój wewnętrzny świat, a jeśli rodzic zechce w nim uczestniczyć, staje się jego częścią. Kiedy możemy być z dzieckiem w jego świecie, nasza relacja się bardzo pogłębia. Tylko pamiętajmy, by wyłączyć ocenę i oczekiwania dotyczące tego, jak mają wyglądać efekty naszych wspólnych działań. To nie są zajęcia z plastyki.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

REKLAMA

Tadeusz Kantor
Widma
wystawa w Cricotece od kwietnia 2020 roku

Organizator
cricoteka
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

REKLAMA

Sopocki Dom Aukcyjny
OD 1990
BYDGOSZCZ

Magdalena Abakanowicz, *Ptak* | Stanisław Bach, *Głowa Marszałka*

13 GRUDNIA

AUKCJA RZEŹBY XXI W. | 18:00

na której zgromadziliśmy prace młodych rzeźbiarek i rzeźbiarzy m.in. Tomasza Górnickiego, Magdaleny Karłowicz, Piotra Sochy, Andrzeja Sobiepana, Pawła Otwinowskiego, Aleksandry Koper, Alicji Buławki-Fankidejskiej.

AUKCJA RZEŹBY | 19:00

na której prezentujemy prace Magdaleny Abakanowicz, jedną z nielicznych prac rzeźbiarskich Zdzisława Beksińskiego oraz rzeźby Doroty Buczkowskiej, Stanisława Horno-Popławskiego, Barbary Falender czy Wacława Szymanowskiego.

katalogi aukcyjne dostępne na stronie: www.sda.bydgoszcz.pl

sda.bydgoszcz | www.sda.bydgoszcz.pl

„ODKRYJ RZEŹBĘ" NA DWÓCH AUKCJACH W BYDGOSZCZY

Sopocki Dom Aukcyjny Bydgoszcz | Jagiellońska 47 | T: 602 593 826

A niech to gęś kopnie! Teatr małego widza

ALICJA MORAWSKA-RUBCZAK

Od ponad dekady w Polsce teatr dla dzieci traktowany jest coraz poważniej. Częściej pochyla się nad nim krytyka, artyści nie są spychani do dydaktycznego getta, a duże festiwale i przeglądy włączają do swych programów również propozycje dla młodszych widzów.

Teatr dla dzieci zyskał na znaczeniu i choć nie oznacza to wcale, że powstają same dobre, mądre i piękne spektakle, zachodzi dużo zmian – zarówno na poziomie estetyki, jak i w formie podejścia do widza. Teatr próbuje prowokować rozmowę, również na tematy objęte społecznym czy kulturowym tabu.

Klasyka na nowo

Kiedy disneyowscy twórcy (i chwała im za to!) dwoją się i troją, by zredefiniować i zrehabilitować postać księżniczki, teatr odpowiada na tę potrzebę poszukiwaniami w obszarze dramaturgii. Klasyczną baśń o Kopciuszku, w nowej wersji francuskiego dramatopisarza Joëla Pommerata, wzięły w ostatnich latach na warsztat dwa teatry – Stary w Krakowie i Polski w Bydgoszczy. Oba spektakle w świetnej, współczesnej oprawie plastycznej stawiają pytania o skomplikowane relacje w rodzinie, rolę dorosłych w życiu dzieci, ale przede wszystkim o siłę międzyludzkich relacji – zarówno tych niszczących, jak i budujących.

W krakowskim przedstawieniu Anny Smolar tytułowy **„Kopciuszek”** (doskonała, niezwykle naturalna, bliska młodym widzom Jaśmina Polak) to dziewczyna umiejąca wykrzyczeć swój ból po śmierci mamy, poszukująca siły do samostanowienia, mądra i twardo stąpająca po ziemi. Łukasz Gajdzis, reżyser bydgoskiej inscenizacji, przefiltrował spojrzenie na Kopciuszka przez popkulturę. Na jego spektaklu

można się świetnie bawić, m.in. dzięki brawurowej roli Katarzyny Figury – obecność gwiazdy na scenie mocno nakierowuje spektakl na temat matczynej kobiecości, a powierzenie roli jednej z sióstr Kopciuszka mężczyźnie wydobywa efekt komiczny.

Polemikę z klasyczną baśnią podejmuje również jeden z najciekawszych współczesnych reżyserów – Konrad Dworakowski. Jego **„Mikrokosmos”** z Wrocławskiego Teatru Pantomimy to dyskusja z Andersenowską „Calineczką”. Piękne wizualnie połączenie pantomimy i pracy z obiektem mocno zakorzenionej w teatrze lalek wciąga w wir scenicznych wypadków i sprawia, że nawet kilkuletni widz podąża z zapartym tchem za losami calowej dziewczynki. To kolejny ważny głos w sprawie baśniowych bohaterek, niezgoda twórcy na ich, wpisaną w baśniowy schemat, bierność, ale także zapierająca dech w piersiach podróż do kreowanego ruchem i formą ogrodu.

Dyskusję z klasyką literatury dla dzieci Dworakowski podejmuje również w swoim najnowszym przedstawieniu – **„Łysku z pokładu Idy”**, na podstawie tekstu Gustawa Morcinka. Warto wybrać się na ten mocny, rozbrzmiewający bluesem spektakl. Jest w tej produkcji piękno i szlachetność, podejście ze zrozumieniem do śląskiego dziedzictwa i szacunkiem dla wielowymiarowej problematyki górnictwa – z jej blaskami i bardzo współczesnymi cieniami. Brzmi jak nie dla dzieci? Ależ skąd! Reżyser dobrze poznał podwórkowe problemy śląskich kamienic i umie dyskutować z dzieciakami jak mało kto w polskim teatrze. Młodych widzów zachwyci nie tylko wzruszające ukazanie relacji człowieka i zwierzęcia, ale również magia teatru lalek, piękno użytych form (wspaniałe figury koni w scenografii Andrzeja Dworakowskiego) oraz kreacja i wieloznaczność tytułowego bohatera (świetny Michał Skiba).

Jeśli o klasyce mowa, nie może zabraknąć w tym zestawieniu jednego z najnowszych spektakli dedykowanych najmłodszym widzom, tym do lat trzech. W swoich zabawnych, kreślonych grubą teatralną kreską **„Czterech porach roku”** z Teatru Miniatura w Gdańsku, reżyser Tomasz Maśląkowski zaprasza dzieci i bliskich im dorosłych do zabawy z motywami utworu Antonia Vivaldiego. Znajdziemy tu elementy charakterystyczne dla twórczości Maśląkowskiego – poczucie humoru, zabawowe spojrzenie na aktora i formę. Dzięki sprawnej ręce choreografki Uli Zerek poszukiwania ruchowe mają tu naprawdę intrygujący charakter i w zabawny sposób budują dialog z wyobrażeniami dorosłych na temat klasycznego baletu.

Zmysły i gesty

Teatr dla najmłodszych widzów to teatr poruszający ciało i zmysły, ale również bardzo mocno poszukujący w obszarze formy i komunikacji. Jedną z najciekawszych propozycji jest spektakl interaktywny **„Księżycowo”**, zrealizowany w warszawskim Teatrze Ochota przez kolektyw artystyczny Holobiont, czyli dwie nieprzeciętnie uzdolnione i wrażliwe choreografki – Hannę Bylkę-Kanecką i Aleksandrę Bożek-Muszyńską. „Księżycowo” to ruchowa podróż do świata abstrakcyjnych gestów, kształtów i form. Kraina bezpieczna i kojąca zmysły, w której każdy może poruszać się swobodnie – dotykać, tulić, doświadczać. Wspaniały spektakl na pierwsze, niemowlęce wejście do teatru i doskonała propozycja dla wrażliwych na estetykę i sztukę współczesną rodziców, ale przede wszystkim – forma otwarta na doznawanie bliskości, tej rodzinnej i tej pomiędzy performerami i odbiorcami.

Warto podoświadczać również propozycji dla starszych widzów. **„Gdzie kształty mają szyje”** to wyprodukowane przez poznańskie Centrum Sztuki Dziecka poetyckie wygibasy gestyczno-słowotwórcze, pełne żywiołowej, wspólnej – uczestników i twórców – zabawy, piękne w obrazie i pomysłowe w ruchu. Natomiast „_on_line_” w produkcji Art Stations Foundation budują ruchowe rozmyślania na temat ↦

COLIN HAWKINS / GETTY IMAGES

REKLAMA

pozostawianych śladów – wspaniałe, ekspresyjne i kolektywne poszukiwanie linii styku pomiędzy kartką, kredką, papierem oraz ciałami w przestrzeni. Wszystko w pełni uważności budowania relacji z widzami, z namysłem nad współbyciem i twórczym działaniem. Wyglądajcie prac kolektywu Holobiont w repertuarach nie tylko poznańskich scen!

A w ruchu migających dłoni oraz w nasłuchiwaniu ciszy czeka Was piękne spotkanie z wrażliwym aktorstwem i głęboko mądrą literaturą **„Morza cichego”** z Teatru Nowego w Zabrzu, w reż. Łukasza Zaleskiego. Opowieść o młodym Katalończyku – Emilio to spojrzenie z perspektywy świata, którego nie można usłyszeć. Na scenie trzy wspaniałe aktorki: Anna Konieczna, Danuta Lewandowska, Joanna Romaniak, jednocześnie mówią i migają, pięknie i naturalnie. Jeśli wypłyniecie na to ciche morze i dacie się porwać falom teatru tworzonego przez Zaleskiego, wyruszcie również do Teatru Fredry w Gnieźnie, gdzie niedawno miał premierę jego **„Atlas wysp odległych”** – czyżby pierwsza w dziejach teatru inscenizacja atlasu geograficznego?

Oswajanie

Teatr dla dzieci nie tylko nie boi się ciszy. Nie boi się także... strachu. To nieodzowna część dzieciństwa, dojrzewania, poznawania siebie. Boimy się wszyscy i choć każdy drogę oswajania lęku musi przejść osobiście, to bliskość rodzica jako gwaranta bezpieczeństwa okazuje się dla dzieci w takich chwilach bezcenna.

„Łauma” w reż. Magdaleny Miklasz z Teatru Dramatycznego w Wałbrzychu to jedna z najciekawiej opowiedzianych teatralnie historii dziecka, które znajduje w sobie moc, by stawić czoło prawdziwemu złu. Spektakl zanurzony w mitologii słowiańskiej i legendach ludów bałtyjskich od początku trzyma w napięciu. Wspaniale patrzy się nie tylko na scenę, ale również obserwuje dynamikę widowni – tych międzyludzkich zbliżeń, przytuleń, podskoków w fotelu, gdy świat zjaw i bogów przekracza granicę sceny. Główna bohaterka Dorota, która ze stolicy musiała przeprowadzić się na suwalską wieś, wysłuchując mądrości z zaświatów – słów swojej babci szeptuchy – przezwycięża nie tylko strach, ale poprzez głębokie doświadczenie otaczającej ją rzeczywistości (również tej nadprzyrodzonej) świetnie radzi sobie z nudą i samotnością. Na wałbrzyskiej scenie nie brakuje przedstawień, które w odważny sposób przyglądają się dziecięcym bohaterom. **„Dziki”** w reż. Klaudii Hartung-Wójciak to zrealizowane najprostszymi środkami teatralnymi przedstawienie o oczyszczającej sile wyobraźni. Młody Benjamin pisząc dziennik powołuje do życia potwora, by poradzić sobie ze stratą najbliższej osoby. Dzięki niezwykle mocnemu zabiegowi wprowadzenia na scenę chóru seniorów głos dziecka rozbrzmiewa niczym echo w zbiorowym pogłosie starszych pokoleń.

Na drugim biegunie strategii estetycznych i scenicznych znajdują się spektakle Wrocławskiego Teatru Lalek. Tutaj strach i radzenie sobie ze stratą zyskały widowiskowy rozmach. **„Piekło-Niebo”** w reż. Jakuba Krofty oraz **„Motyl”**, pierwszy spektakl dla dzieci w karierze reżyserskiej Marcina Libera, to przedstawienia, które nie próbują budować intymnych relacji, lecz wciągnąć w dynamikę zdarzeń i wir podróży głównych bohaterek. Obie postaci doskonale zagrane są przez Agatę Kucińską – jedną z najwybitniejszych aktorek grających w spektaklach dla dzieci, która za rolę w „Motylu” odebrała Wrocławską Nagrodę Teatralną. W tych odsłonach WTL proponuje teatr nowoczesny – głośny, dynamiczny, rozbuchany wizualnie i dźwiękowo, ale jednocześnie mądry.

Obok produkcji kipiących nowoczesnymi środkami inscenizacyjnymi znajdziemy również takie jak **„A niech to gęś kopnie!”** Marty Guśniowskiej z Poznańskiego Teatru Animacji – tutaj twórcy w pełni zaufali tradycyjnemu teatrowi lalek w jego bardzo klasycznej, stolikowej formie (mistrzowska, precyzyjna scenografia i lalki Juliji Skuratovej). To prawdziwa teatralna wisienka na świątecznym torcie! Obsypany nagrodami spektakl na podstawie tekstu i w reżyserii jednej z najbardziej uznanych współczesnych autorek sztuk dla dzieci to przepięknie zagrane, mądre, zabawne przedstawienie opowiadające o... smutku i depresji tytułowej Gęsi. Lekkość i inteligencja, dowcip oraz świetna gra jednego z najsprawniejszych zespołów lalkarzy czynią tę propozycję obowiązkową na liście świątecznych prezentów – najlepiej obok książki o tym samym tytule, która powstała na fali popularności spektaklu.

© ALICJA MORAWSKA-RUBCZAK

REKLAMA

REKLAMA

MAURIZIO BUSCARINO

KO MEDIA NCI! CO MEDIA NS!

7.09.2019 – 31.01.2020

TEATR CRICOT 2 NA FOTOGRAFIACH

CRICOT 2 THEATRE IN PHOTOGRAPHS

cricoteka
UL. NADWIŚLAŃSKA 2–4

cricoteka

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Przy wsparciu finansowym Włoskiego Instytutu Kultury w Krakowie

Istituto italiano di cultura Cracovia

Partner:

MuFo Muzeum Fotografii w Krakowie

Partroni medialni:

Classic TVP3 KRAKÓW KRAKÓW TEATR SwiatObrazu.pl

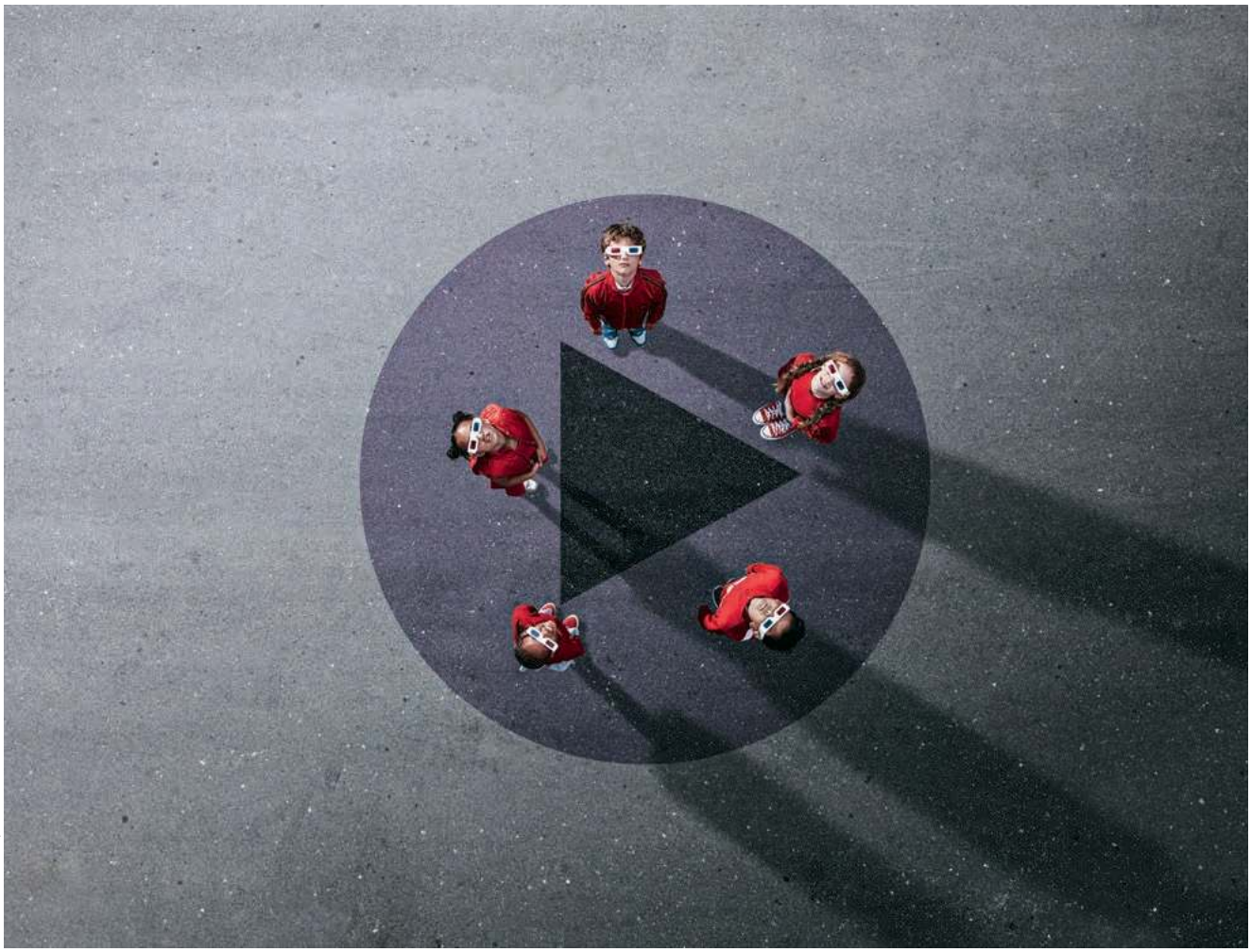

KLAUS VEDFELT / GETTY IMAGES

Podaruj sobie kino

KAROL KUĆMIERZ

Okres świąteczny to idealny czas, by nadrobić filmowe zaległości i podzielić się z bliskimi dobrym kinem. Jest z czego wybierać.

Odkąd korporacja Disneya przejęła „Gwiezdne wojny" od George'a Lucasa, grudniowe premiery filmów z tej franczyzy (wyjątkiem był film o Hanie Solo) stały się dla wielu widzów częścią świątecznej atmosfery i największym kinowym wydarzeniem końca roku. Tym razem **„Skywalker. Odrodzenie"** (19 grudnia) ma przypieczętować całe nowe rozdanie w uniwersum „Gwiezdnych wojen" i ostatecznie zakończyć składającą się z dziewięciu epizodów sagę rodziny Skywalkerów. Część VIII, czyli „Ostatni Jedi", ostro podzieliła widownię, utrudniając reżyserowi finałowej odsłony J.J. Abramsowi i tak już karkołomne zadanie. Czy uda mu się pogodzić widzów i rozwiązać wszystkie wątki w satysfakcjonujący sposób? Biorąc pod uwagę wybredność fanów „Gwiezdnych wojen", szanse są niewielkie, mimo wszystko jednak warto wybrać się do kina i poczuć się częścią jednej z największych filmowych wspólnot.

„Gwiezdne wojny" to oczywiście nie jedyna premiera w tym okresie – na ekranach pojawi się również **„Osierocony Brooklyn"** (20 grudnia) Edwarda Nortona, oparty na błyskotliwej powieści Jonathana Lethema w niecodzienny sposób odwołującej się do dorobku nurtu *noir*. Prywatny detektyw grany przez Nortona zmaga się nie tylko ze skomplikowanym śledztwem w sprawie morderstwa swojego mentora, ale też ↦

z utrudniającym mu wszelkie interakcje zespołem Tourette'a. Zapowiada się aktorski popis oraz wysmakowana estetycznie wizja Nowego Jorku lat 50.

Grudzień to także bardzo istotny miesiąc dla platformy Netflix. Jeśli komuś nie udało się złapać w kinie wyczekiwanych filmów amerykańskich autorów: 3,5 godzinnej elegii dla gangsterów z tamtych lat, czyli **„Irlandczyka"** Martina Scorsesego (Robert De Niro, Al Pacino i Joe Pesci po raz pierwszy w jednym filmie) i przejmującej, bezkompromisowej **„Historii małżeńskiej"** Noah Baumbacha (Adam Driver i Scarlett Johansson w rolach głównych), obie produkcje można już obejrzeć na ekranie domowym. Nowy film Fernanda Meirellesa **„Dwóch papieży"** (Jonathan Pryce w roli Franciszka, Anthony Hopkins jako Benedykt XVI) również ukaże się w ograniczonej dystrybucji – będzie wyświetlany w wybranych kinach od 13 grudnia, a już 20 grudnia pojawi się na Netfliksie. Szum medialny wokół tych trzech tytułów jest niewątpliwie uzasadniony.

Netflix stoi także za prawdopodobnie najgłośniejszą premierą serialową tego roku. Już niedługo na platformie pojawi się pierwszy sezon **„Wiedźmina"** (20 grudnia), wysokobudżetowej, hollywoodzkiej adaptacji książek Andrzeja Sapkowskiego z Henrym Cavillem w roli Geralta z Rivii. Oczekiwania są ogromne – fani powieści i opowiadań od miesięcy obsesyjnie analizują każdy skrawek informacji o serialu, starając się na jego podstawie wywróżyć, czy będziemy mieli do czynienia z nową „Grą o tron", przedłużeniem słynnej gry wideo, czy też czymś zupełnie innym. W każdym razie warto podarować sobie trochę czasu, żeby sprawdzić, w jaki sposób amerykańska scenarzystka Lauren Schmidt-Hissrich przetworzyła materiał literacki, który tak skutecznie promuje polską kulturę na całym świecie.

Oscarowa gorączka

W telegraficznym skrócie przyjrzyjmy się najciekawszym premierom stycznia: **„Gorący temat"** (17 stycznia) z Charlize Theron, Nicole Kidman i Margot Robbie, opowiadający o kulisach pracy w republikańskiej stacji Fox News; **„Jojo Rabbit"** (24 stycznia) – komedia rozgrywającą się w III Rzeszy, przefiltrowana przez wrażliwość ekscentrycznego Nowozelandczyka Taiki Waititiego; wojenne widowisko Sama Mendesa **„1917"** (24 stycznia), ze zdjęciami wybitnego Rogera Deakinsa, oraz kolejna adaptacja **„Małych kobietek"** (31 stycznia), tym razem w wersji Grety Gerwig, potwierdzającej swoją pozycję jednej z najważniejszych młodych reżyserek amerykańskiego kina.

Powyższe zestawienie premier dobrze pokazuje splot istotnych tematów nurtujących filmowców tu i teraz: ruch #MeToo, odrodzenie nacjonalizmu, nowe spojrzenie na historię i klasykę literatury. Każdy z tych filmów to także potencjalny kandydat w wyścigu po Oscary.

Festiwalowo

W okresie świątecznym trudniej o wydarzenia czysto festiwalowe, ale i tutaj zdeterminowani widzowie znajdą coś dla siebie. Katowickie Kino Kosmos ma w swoim repertuarze **Sundance Shorts Tour 2019** (29 grudnia) – selekcję najlepszych krótkich metraży z ostatniego festiwalu Sundance, który regularnie odkrywa nowe gwiazdy amerykańskiego kina niezależnego. Z kolei dla widzów spragnionych filmów, które zazwyczaj nie docierają do nas w regularnej dystrybucji, odpowiednią propozycją będzie 14. edycja festiwalu **AfryKamera** (pod hasłem #BlackFilmsMatter), który odbędzie się w Warszawie (12-19 grudnia) i kilku innych miastach (Poznań, Wrocław, Gdańsk, Kraków), a wydarzenia towarzyszące powędrują m.in. do Łodzi, Białegostoku, Katowic czy Płocka. W programie pokazy filmowe (długie i krótkie metraże), rozmowy z twórcami, koncerty oraz warsztaty.

> Dla zwolenników kina niezależnego wytwórnia filmowa A24 ma do zaoferowania piękne wydawnictwa ze scenariuszami swoich sztandarowych produkcji.

Kinofilski prezent

Jeśli ktoś chciałby sprawić sobie lub bliskim filmowy prezent w postaci materialnej, doskonale nadadzą się do tego nowe wydania DVD i Blu-Ray polskich klasyków w serii Rekonstrukcja Cyfrowa. Pod koniec tego roku pojawią się w obiegu m.in.: **„Brunet wieczorową porą"**, **„Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?"**, **„Kanał"**, **„Noce i dnie"**, **„Poszukiwany, poszukiwana"** czy **„Vabank"**, które ucieszą każdego fana rodzimej kinematografii.

Dla zwolenników kina niezależnego, którzy nie potrzebują polskiego przekładu, wytwórnia filmowa A24 ma do zaoferowania piękne wydawnictwa ze scenariuszami swoich sztandarowych produkcji. Do tej pory wydano książki dotyczące filmów **„Moonlight"** Barry'ego Jenkinsa, **„Ex-Machiny"** Aleksa Garlanda oraz **„Czarownicy"** Roberta Eggersa, w których oprócz scenariuszy można znaleźć także krytyczne eseje, wywiady czy rysunki konceptualne.

Na polskim rynku wydawniczym ukazało się w tym roku wiele pozycji na temat filmu, ale szczególnie warto wyróżnić książkę Michała Piepiórki **„Rockefellerowie i Marks nad Warszawą. Polskie filmy fabularne wobec transformacji gospodarczej"**, która pomimo filmoznawczego charakteru świetnie sprawdzi się jako prezent dla czytelnika zainteresowanego socjologicznymi aspektami polskiego kina. Autor szczegółowo pokazuje, w jaki sposób filmy nakręcone po 1989 roku opowiadają o zmieniającym się kraju, i rysuje fascynującą mentalną mapę polskiego społeczeństwa. Po takiej lekturze spojrzymy na polskie kino zupełnie inaczej.

Prawdziwą gratką dla fanów kina może być również gra **„Death Stranding"** Hidea Kojimy, w której za pomocą technologii motion capture uchwycono mimikę wielu znanych aktorów (Norman Reedus, Mads Mikkelsen, Léa Seydoux czy Margaret Qualley). A to nie koniec atrakcji. W grze spotkamy reżyserów: Guillerma del Toro, Nicolasa Windinga Refna czy Edgara Wrighta. To doskonały przykład na coraz częstsze przenikanie się mediów, a także pomysł na prezent, który ma szansę zjednoczyć miłośników filmów i gier wideo.

© KAROL KUĆMIERZ

REKLAMA

TERAZ ALBO NIGDY

W KSIĘGARNIACH OD 16 GRUDNIA 2019

CHCEMY LEPSZEJ POLSKI, LEPSZEGO KOŚCIOŁA? SAMO SIĘ, PROSZĘ PAŃSTWA, NIE ZROBI.

Gdybym miał się pokusić o samoocenę, powiedziałbym pewnie, że jestem genetyczną krzyżówką realisty z optymistą. Gołym okiem widzę, że jest źle. To nie znaczy jednak, że jest beznadziejnie. A skąd! Co zrobić, żeby było dobrze? Co najmniej tyle czasu, ile poświęcamy na walkę ze złem, poświęcić na wspieranie dobra. Ile pomyj wylewamy na złych polityków, tyle miodu wylać na polityków (czy kandydatów) dobrych. Ile psioczenia na niemądrych hierarchów, tyle lajków (na różne sposoby wyrażanych) dla tych, którzy robią rzeczy dobre. Ile energii wydanej na krytykowanie wstrętnych mediów, tyle wspierania tych uczciwych i mądrych.

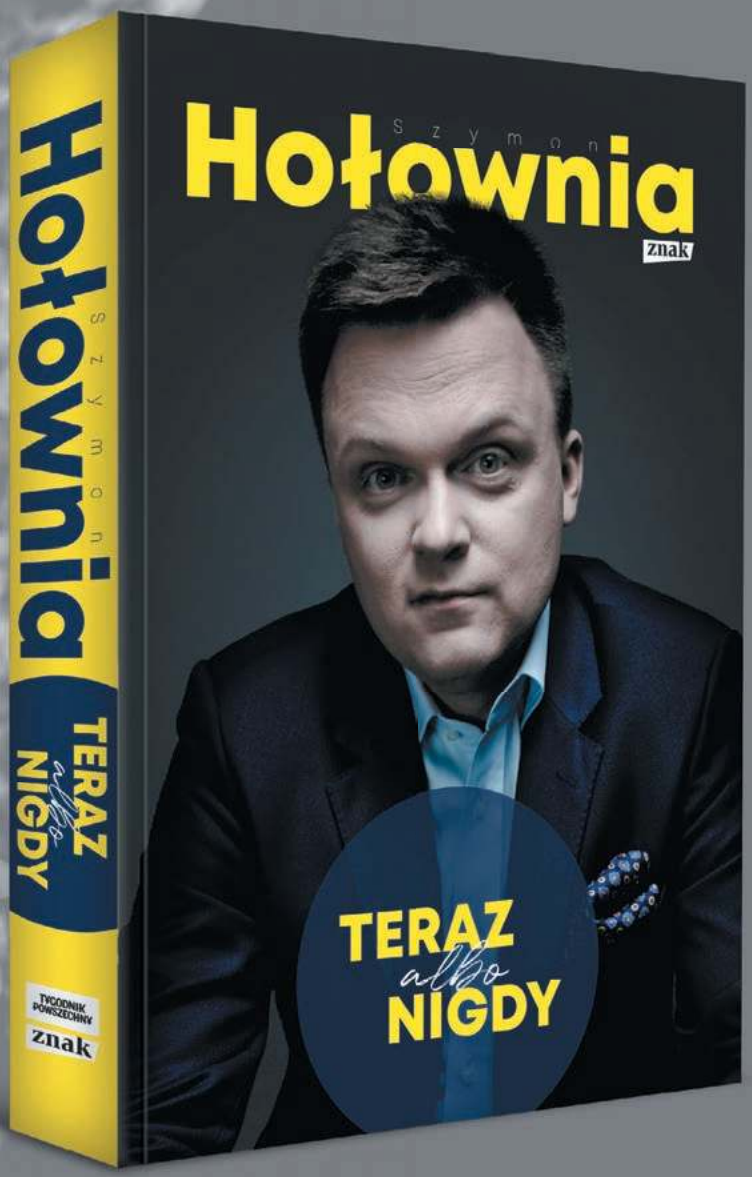

60 znak

TYGODNIK POWSZECHNY

Teraz albo nigdy to wybór najciekawszych i ciągle aktualnych tekstów Szymona Hołowni publikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego" w latach 2017–2019. Autor podejmuje w nich najważniejsze tematy dotyczące społeczeństwa, Kościoła, świata.

REKLAMA

Każdego dnia pomagamy ludziom, których wojna zmusiła do pozostawienia całego dotychczasowego życia za sobą.

WESPRZYJ POLSKĄ AKCJĘ HUMANITARNĄ
www.pah.org.pl/wplac

pah
Polska Akcja Humanitarna